



TERI TERRY

K  
S  
I  
E  
G  
A  
K  
Ł  
A  
M  
S  
T  
W

SKŁAM, A DOPADNIE CIĘ CIEMNOŚĆ

MŁODY  
BOOK!

TERI TERRY

**K  
S  
L  
E  
G  
A  
  
K  
Ł  
A  
M  
S  
T  
W**

Przełożyła z angielskiego  
Patrycja Zarawska

**MŁODY  
BOOK!**

*Dla mojej starszej siostry Sandy*

*Kłamstwo będące w połowie prawdą to najczarniejsze z kłamstw.*

Alfred Lord Tennyson

## Prolog

*Są uwięzione w pułapce, zamarte. Czekają. Szarpią się unieruchomione w lesie, który ich nie wypuszcza. Nieostrożni od czasu do czasu widzą, jak coś mignie w zaroślach – wyczują rozpaczliwy głód, zobaczą błysk palających czerwono ślepi – i pośpiesznie wymykają się z leśnego cienia z powrotem ku światłu.*

*Ona przybywa; już wkrótce tu będzie.*

*Znów popędzą swobodnie przez wrzosowiska. Powróci Dzikie Łów.*

*A ziemia spłynie krwią.*



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Są rzeczy, o których wiemy, że nie powinno się ich robić. Jak stanie na torach, gdy zbliża się pociąg, albo trzymanie ręki nad otwartym płomieniem. Można szybko przesunąć dłoń i będzie w porządku, ale coś gdzieś tam w głębi każe mi przytrzymać ją sekundę dłużej, a potem jeszcze jedną i jeszcze. Tory kolejowe i matki przypominają ogień – jeśli zbyt blisko, zbyt długo się zatrzymasz, ryzykujesz ból.

Gdybym usiadła i sporządziła spis wszystkiego, czego nie powinnam robić, a punkty ułożyłabym w kolejności od najgorszego, przebywanie w tej chwili w tym miejscu znalazłoby się gdzieś na szczycie listy. Ale pociągają mnie rzeczy niewskazane. Chcę jedynie zobaczyć, co się stanie, kto się poczuje zraniony. Chyba.

Zatem bez względu na to, jak natarczywie ten wewnętrzny głos ostrożności, głos rozsądku, każe mi się trzymać z daleka, bez względu na to, jak usilnie staram się odwieść samą siebie, zgubić bilet autobusowy albo celowo nie wkładać na siebie nic, co by choć jako tako uszło w tłumie, żadną miarą nie mogłabym się znaleźć nigdzie indziej, prawda?

Jak blisko, jak długo, to już inna sprawa. W tej chwili dygoczę pod bezlistnymi drzewami na wzgórzu wznoszącym się nad spopieliarnią – plama czerwieni w ten bezbarwny ciemny dzień. Rozważam swoje możliwości.

Zaczyna padać i cieszę się z tego. Ona nie cierpiała deszczu. Nie tak jak większość ludzi narzekających, że złapała ich mżawka albo że ulewa zniszczyła im przyjęcie ogrodowe. Ona go autentycznie *n i e n a w i d z i ł a*. Prawie tak, jakby była zrobiona z czegoś, co może się rozpuścić, a nie ze ścięgien, mięśni i kości ustawionych pod ostrymi kątami.

Może się bała, że deszcz zmyje jej maskę – tę, którą ma w gazetach, uśmiechnięta, sfotografowana z mężczyzną, którego nigdy przedtem nie widziałam. *U ś m i e c h n i ę t a*? Ciekawe, czy w trumnie też się uśmiecha, czy ułożyli jej rysy, żeby wkroczyła w zaświaty z sympatyczną miną. Czy mieli nadzieję, że to przekona gdzieś tam odźwiernego, by jej otworzył perłową bramę, zamiast zepchnąć ją ostatecznie długą zjeżdżalnią w otchłań. A może z jej twarzy nie zostało na tyle szczątków, by dało się je ułożyć?

Krętą drogą zaczynają nadjeżdżać samochody. Pierwszy jest długi i czarny, z trumną z tyłu. Gdy zatrzymuje się przed spopieliarnią, lekki deszcz zamienia się w rześistą ulewę. Rozlega się grzmot, niebo przecina błyskawica.

Choć zwlekam, rozmyślając o tym, co powinnam zrobić, a czego nie, o tym, na ile mogę się zbliżyć do płomienia, burza niejako decyduje za mnie. Mówi mi: „Quinn, musisz się ruszyć. Poszukać schronienia”.

Ale to tylko wymówka. Prawda jest taka, że przyszłam tu po to, by się upewnić, że ona faktycznie nie żyje.



# **P I P E R**



Wiatr wyje, wywraca parasol na drugą stronę, gdy tylko wychodzę z samochodu. Zimne krople deszczu bombardują mnie po twarzy i rękach. W ciągu kilku sekund wichura zamienia moją starannie ułożoną fryzurę w dzikie pobożowisko. Twarde krople wściekle kłują mnie w skórę, skupiam się więc na tym bólu, żeby uniknąć wszystkich innych.

Z wozu wysiada tato i nad naszą dwójką natychmiast otwiera się następny

parasol, ale jedyne, o czym teraz myślę, to stukanie deszczu w wieko jej trumny. Czy słyhać je w środku? Czy ona w proteście zabębni w drewno i krzyknie: „Hej, przestać mi zaraz!”? Tak bardzo kochała słońce, jej ostatni spacer nie powinien tonąć w ulewie.

Niosący trumnę mimo lodowatego prysznica stawiają miarowo krótkie kroki, a ja mam ochotę wrzeszczeć, popędzić ich, żeby się pośpieszyli, żeby zabrali ją z deszczu. Zimna dłoń taty szuka mojej i chwytam ją odrobinę za mocno. Tato i ja idziemy za nią – za trumną i za leżącą w środku mamą.

Jedna z ciotek taty, mamrocząc coś, poprawia mi włosy. Zostaję pociągnięta do ławki na samym przedzie, ale tak naprawdę ani to, ani nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

Znowu obracam w głowie słowa. „Mama nie żyje”. Mój świat stał się inny, wszystko się zmieniło. Wiem o tym, ale nie przyjmuję tego do wiadomości. Trumnę postawiono z boku na przedzie. Jest teraz sucha. Czy ktoś ją wytarł? Ona leży tam w środku, a właściwie nie ona, tylko to, co z niej zostało.

Świadomość tego wszystkiego nie przygotowała mnie na dzisiejszy dzień.

Głęboko w środku coś się we mnie trzęsie, narasta panika. Chcę krzyknąć: „Przestańcie! To się nie dzieje naprawdę! Przestańcie udawać, że to prawda”.

Bo to niemożliwe.

„Skup się na oddychaniu: wdech, wydech; wdech, wydech”.

Wszyscy myślą, że to jest naprawdę. Widzę to w oczach, kiedy napotkam ich wzrok, a oni zaraz go odwracają.

„Oddychaj, Piper: wdech, wydech; wdech, wydech”. Nie mogę się rozkleić. Nie tutaj, nie teraz.

„Skup się na czymś innym”.

Odwracam się i szukam za nami twarzy, omijając wzrokiem większość z nich. Rodzina taty, jego koledzy z pracy, wspólni znajomi rodziców. Niewiele osób. Nikogo z rodziny mamy. Nikogo z jej przeszłości, z czasów, zanim się urodziłam siedemnaście lat temu.

Spora grupa osób z mojej szkoły. Osobno, ale w pobliżu trzyma się Zak oddzielony nie tylko w przestrzeni. W jego opanowanym spojrzeniu odbijają się echem słowa, które powiedział zeszłego wieczoru: „Jestem z tobą. Jeśli coś mogę zrobić, cokolwiek, odezwij się tylko, a zrobię. Nieważne co”. I dotyk jego oczu uspokaja mnie teraz, tak jak uspokoił wtedy. Panika ustępuje nieco. Tyle wystarczy.

Nabożeństwo żałobne ma się już rozpocząć, gdy wtem z tyłu otwierają się drzwi i pastor wstrzymuje się, by zaczekać. Ktoś spóźnialski? Za plecami słyszę pełne przygany syknięcie jednej z ciotek taty. Zdobywam się na odwagę i zerkam za siebie. Drobną postać – dziewczyna w czerwonej kurtce i ubłoconych butach. Idzie ku jednej z pustych ławek z tyłu. Tęczowa chustka zawiązana na głowie



zakrywa też twarz.

Kto to może być?

Czyżby to...?

N i e. Niemożliwe. Nie tu i nie teraz.

Puls mi przyśpiesza.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Strużki wody spływają mi po kurtce i butach, skapując na podłogę. Chustka, którą obwiązałam sobie włosy, przemokła, a ja drżę z zimna.

Siadając, łapię kątem oka jakiś ruch z przodu – odwraca się czyjaś głowa, dziewczyny siedzącej na samym przedzie. Jej długie włosy są na wpół upięte, na wpół potargane wiatrem i deszczem, ale przykuwa mnie nie uczesanie, tylko ich kolor. Głęboko ogniście rudy.

Głęboko ogniście rude włosy – jak moje.

Wszystko we mnie zastyga, wszystko staje. Zaczyna mi się kręcić w głowie, muszę sobie przypomnieć, że mam oddychać, gwałtownie wciągnąć powietrze do zamarłych płuc.

Nie pomyślałam o tym. Nie powinnam była, prawda? Ani razu nie przyszło mi do głowy, że ktoś w rodzaju antymatki, wcielenie tego, czym matka nie powinna być, kto mnie zostawił na łasce własnej antymatki i wpadał tylko od czasu do czasu, by wetknąć kij między moje kraty, że ten ktoś mógł zrobić to jeszcze raz.

Mężczyzna, koło którego siedzi ta dziewczyna, może być tamtym z gazety. Sięgam do kieszeni. Gazeta jest mokra, druk się trochę rozmazał, ale zdążyłam nauczyć się tekstu na pamięć:

*Kobieta ginie w wyniku tragicznego ataku psów*

*Isobel Hughes z Winchesteru, lat 36, spacerowała ze swoim psem w piątek późnym popołudniem, kiedy została zaatakowana przez wałęsające się psy. W wyniku odniesionych obrażeń zmarła następnie w szpitalu. Cztery zwierzęta złapano i zidentyfikowano jako psy stróżujące zbiegłe z pobliskiego ośrodka szkolenia. Trwa śledztwo w tej sprawie.*

Gdyby nie zdjęcie, nie wiedziałabym, że to o nią chodzi. Imię się zgadza, ale dla mnie zawsze nazywała się Blackwood, jak ja; jak jej matka.

To okropne – dostać się w taki sposób na łamy krajowej prasy i wywołać debatę na temat psów stróżujących oraz kontroli nad niebezpiecznymi zwierzętami, ale gdyby nie szum wokół sprawy, nawet bym nie wiedziała, że moja matka zmarła. Nie odwiedzała mnie na tyle często, żeby stworzyć wrażenie regularności i dać mi poczucie, kiedy się mogę spodziewać następnej wizyty. Przyjęłam, że nie należy jej przeszkadzać, i mnie również to nie przeszkadzało. Mężczyzna z fotografii został pod spodem podpisany jako jej mąż. Zdjęcie jest trochę rozmyte przez wodę, ale oglądam je uważnie, porównując z człowiekiem zajmującym miejsce z przodu. W końcu obraca lekko głowę – to zdecydowanie on. Jej mąż? Wygląda na co najmniej dwadzieścia lat starszego od Isobel. W artykule nie ma jednak nic o niej, siedzącej obok niego dziewczynie z włosami takimi jak moje.

Wreszcie nabożeństwo, którego w ogóle nie słyszałam, dobiega końca. Chcę, żeby tamta się odwróciła, bym mogła zobaczyć jej twarz, ale zaraz podnoszą się między nami głowy i nie pozwalają dostrzec nic więcej oprócz plamy rudych włosów.

Poprawiam sobie na głowie przemoczoną chustkę. To szaleństwo. Muszę się stąd wynosić, jak najszybciej i jak najdalej.

Lecz ona i towarzyszący jej mężczyzna – domyślam się, że to jej ojciec, przynajmniej o n a ma ojca – stanęli razem w drzwiach. Nie patrzę w moją

stronę. Ustawiała się do nich kolejka – ludzie zatrzymują się, żeby uścisnąć rękę mężczyźnie, objąć jego córkę. Tyle życzliwych spojrzeń i słów. Tyle osób, którym na nich zależy. Pierwsi w kolejce to zapewne rodzina lub przyjaciele rodziny, potem długi ogonek nastolatków mniej więcej w moim wieku, chłopaków i dziewczyn. Tak ich dużo, to pewnie znajomi tej dziewczyny – każdy ma dla niej jakieś słowo, gest pociechy, uścisk. Następnie podchodzi starszy ciemnowłosy chłopak, wysoki, trzymający się dotąd z tyłu w oczekiwaniu, aż pozostali przejdą pierwsi. Obejmuje ją. Całuje szybko, po czym ściska rękę jej tacie i nachyla się, żeby coś powiedzieć. Tamten ociera sobie oczy. Ktoś mu podaje chusteczkę.

Zastanawiając się nad tym, co się będzie działo i kto się poczuje zraniony, jeżeli dziś tu przyjdę, nie pomyślałam o jednym: że to ja mogę się poczuć zraniona. Spięłam się cała w środku, zawiązałam w supełki bólu, bólu splątanego z pragnieniem... czego właściwie? Etykiety rzeczy, których nigdy nie miałam, które są poza moim zasięgiem.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę uścisnąć im dłoni i spojrzeć w oczy, wiedząc to, co wiem. Osuwam się w dół na siedzeniu, chcę stać się niewidzialna w mroku.

Głosy cichną. Rozlega się kliknięcie zamykanych drzwi. Czy naprawdę zostawiają mnie tu, nawet nie zagadną?

A potem słyszę: „stuk, stuk, stuk, stuk” zbliżających się do mnie kroków. Zatrzymują się.

– Halo? Czy my się znamy? – pyta dziewczęcy głos. Melodyjny dźwięk w tym ciemnym dniu, ciepły i pełen przejęcia.

Odwracam się i z jakiegoś powodu w i e m, kto się do mnie odezwał.

Światło padające z wysokich okien wydobywa ogień z jej włosów. Oczy dziewczyny są szeroko otwarte z ciekawości, przejrzyste, niebieskozielone – tęczęwki, które zmieniają kolor zależnie od oświetlenia, nastroju, ubrania. Wiem o tym, ponieważ są to moje oczy. Jej skóra jest blada, a wysokie kości policzkowe usiane jasnymi piegami. To moje piegi, moje kości policzkowe. Jakbym patrzyła w lustro.

Zagadkowe uwagi i podsłuchane słowa – kiedyś dla mnie niezrozumiałe, lecz teraz nabierające znaczenia – kłębią się w moim umyśle, zderzając ze sobą. W głowie mam pustkę, gwałtownie wciągam powietrze i oddech mi się zacina, walczę o niego z trudem.

– Źle się poczułaś? – pyta dziewczyna. – Może trzeba wezwać lekarza albo coś?

Podnoszę się z miejsca, ściągam z głowy chustkę i staję w świetle.

===bllsX2xdblp1RHBJfkd/SnhleIUehR1VRR6FHU=



**P**

**I**

**P**

**E**

**R**



Jakbym patrzyła w lustro. Nawet włosy, teraz mokre i sfalowane od deszczu, ma zatknięte za lewe ucho, a z drugiej strony opadają na twarz tak samo jak moje, gdy je normalnie uczeszę. Jej oczy wyrażają absolutny szok. Nie wiedziała?

– Jesteśmy bliźniaczkami – szepczę do niej i słyszę zdziwienie w swoim głosie.

Tamta przetyka ślinę, oblizuje sobie usta.

– Ja nie... to znaczy... skąd... – Nie może znaleźć słów.

Wyciągam rękę.

– Jestem Piper. – Gapi się na moją dłoń. – A ty?

Wstrząsa nią lekkie drgnienie.

– Quinn. Mam na imię Quinn. – Podaje mi rękę; jest zimna, lodowato zimna i zaraz zostaje cofnięta.

Oglądam się za siebie, na drzwi.

– Tato zaraz będzie mnie szukał. Nie możemy wyskoczyć tu przed nim z tą nowiną, nie teraz.

– Ani nigdy. Nie martw się, już się zwijam – mówi Quinn i rzeczywiście spina się, żeby zrobić krok. Wygląda na przestraszoną, wręcz spanikowaną, ale nie mogę pozwolić jej czmychnąć – nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie teraz.

„Ani nigdy”.

– Nie! Nie możesz tego zrobić. Proszę. Obiecuj, że zaczekasz chwilę. Powiem, żeby Zak cię zabrał i...

– Nie. To nie jest mój świat. – Już się odwraca.

W moich oczach wzbierają łzy. Chcę wyciągnąć rękę i dotknąć jej, uściskać ją, lecz boję się, że mnie odepchnie.

– Nie możesz. Proszę. Nie chcę ciebie też stracić. Stracić cię znowu.

Quinn waha się.

– Nie znasz mnie. Ja nie znam ciebie. Jedyne, co mamy wspólnego, to twarz.

Po moim policzku spływa łza.

– I matka. Którą właśnie straciłyśmy. Proszę, nie odchodź.

– Matka, której prawie nie znałam. – Jej oczy strzelają w stronę trumny. – Czy to... czy ona naprawdę...?

Chyba niedowierzanie w jej oczach sprawia, że wreszcie jestem w stanie przyznać to głośno.

– Czy nasza mama naprawdę nie żyje? Tak. Chcesz ją zobaczyć?

– Co?

– Jeśli chcesz, mogę to załatwić. Daj słowo, że zaczekasz. Nie ruszaj się stąd. – Błagam ją wzrokiem.

W jej oczach widać zmaganie. Quinn spogląda szybko na drzwi, a potem wzdycha. W końcu kiwa głową.

– W porządku.

Czuję ogromną ulgę.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Drzwi zamykają się za nią.

„Chcesz ją zobaczyć?” Naprawdę to powiedziała? Zmuszam się do półobrotu, do spojrzenia na wystawioną z przodu trumnę. Teraz, kiedy nikogo już nie ma i jestem sama w pustym pomieszczeniu, trumna sprawia wrażenie większej, jakby zdominowała przestrzeń, czego przedtem nie robiła. Lśniące drewno przykuwa mój wzrok i im dłużej stoję i gapię się na nią, tym bardziej wydaje się

mnie wciągać, rosnać, pochłaniać moje zmysły, prawie jakby się przybliżała. Nagle dociera do mnie, że to moje stopy zaczęły z wahaniem kroczyć w jej kierunku.

W kierunku m a t k i.

Czy chcę ją zobaczyć?

Byłby to najlepszy sposób, by się przekonać, czy na pewno nie żyje. Zasycha mi w ustach, z trudem próbuję przełknąć ślinę.

Lada moment może wrócić tutaj ta Piper. Jesteśmy bliźniaczkami? Tak powiedziała, ale mimo że ją widziałam i wiem, jak bardzo jesteśmy do siebie podobne, wciąż nie mogę uwierzyć. Jak to możliwe, żebym miała siostrę bliźniaczą i o niej nie wiedziała? Jesteśmy identyczne, przynajmniej z zewnątrz. Może nawet Isobel nie umiałaby nas rozróżnić?

Może dlatego nas rozdzielono. Czuję się tak, jakbym się obudziła i po raz pierwszy zobaczyła prawdę – prawdę tak niewiarygodną, tak nieoczekiwaną, tak wszechogarniającą, że mnie odmieni na zawsze. Ale boję się skupić na niej zbyt mocno, na tym, co może oznaczać.

Albo na tym, c z e m u jest właśnie taka.

Powinam już iść. W każdej chwili drzwi mogą się otworzyć, ktoś wpadnie i znajdzie mnie tutaj. Przypuszczalnie wezwą policję, jeśli zobaczą, że dotykam trumny. Albo co gorsza, popatrzą na mnie, skojarzą, czyją mam twarz, i sprzedadzą historię do jednego z tych tabloidów, które goście czasami zostawiają w hotelu, gdzie pracuję. *Bliźniaczki spotykają się po raz pierwszy w życiu na pogrzebie matki!* No, rzecz jasna, nie do końca po raz pierwszy. Pewnie kiedy się urodziłyśmy, każda z nas osobno zaczerpnęła powietrza, ale przedtem przez dziewięć miesięcy dzieliłyśmy jedno łono, ciasno wtulone w siebie.

J e j łono.

A co z tą Piper? Jeśli jesteśmy bliźniaczkami, musimy mieć tego samego ojca. Czy on jest także m o i m ojcem?

Za moimi plecami otwierają się drzwi, obracam się szybko na pięcie. Za późno przychodzi mi do głowy, że powinam z powrotem osłonić się chustką. Ale to Piper.

Idzie w moją stronę, zatrzymuje się blisko. Jej oczy przesuwają się po mnie badawczo, jak moje po niej. Nie mogę się powstrzymać od sprawdzania każdego szczegółu, każdej krzywizny, każdego drobnego rysu, poszukując różnic, ale nie znajdując żadnej. Piper jest nieco wyższa, lecz kiedy spoglądam w dół, dostrzegam, że ma buciki na obcasach.

– W porządku – mówi cichym głosem. – Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Powiedziałam im, że chcę pobyć trochę sam na sam z mamą. A dodatkowo Zak pilnuje drzwi. Nikogo nie wpuści.

– Zak?



– Mój chłopak. Chodź.

Podchodzi do trumny. Ramiona się jej prostują, jakby się do czegoś przygotowywała, a do mnie dociera, że bez względu na to, czym ta kobieta była dla mnie, dla niej była m a m a.

– Nie musisz tego robić. Nie ma sprawy.

Zatrzymuje się, odwraca do mnie i unosi lewą brew – identycznie jak ja, gdy rzucam wyzwanie.

– Ty też nie musisz, jeśli nie masz ochoty.

Bezwiednie prostuję się w ramionach, jak ona, po czym celowo je rozluźniam. Robię krok naprzód i kolejny, aż obie stoimy tuż przy trumnie.

Umarła zaatakowana przez psy. Jak będzie wyglądać?

Piper, jakby czytała mi w myślach, potrząsa głową.

– Było już wystawienie zwłok. W zakładzie pogrzebowym pięknie ją oporzadzili.

Na wieku trumny są dwa uchwyty. Piper łapie za ten w nogach i spogląda na drugi, obok którego pewnie znajduje się głowa.

– Chyba musisz mi pomóc.

Wsuwam dłoń w uchwyt – zimny, z gładkiego metalu.

– Gotowa? – szepcze Piper.

Żołądek mi się skręca i chcę powiedzieć: „Nie, nie teraz ani nigdy”, jednak kiwam głową. Piper odpowiada skinieniem. Pociągamy obie.

Wiek jest lite i ciężkie, ale we dwie łatwo je podnosimy. Daje się dźwignąć bez oporu, odkładamy je na bok. Trumna leży otwarta.

Oczy Piper są nieprzeniknione, skupione na tym, co spoczywa w środku.

– Dam ci chwilę – mówi moja bliźniaczka i odwraca się całym ciałem, jakby nie mogła oderwać wzroku od tego, czego ja być może nie chcę ujrzeć. Odchodzi nieco dalej.

Gapię się na podłogę, na ścianę, na własne ręce – wszędzie, byle nie t a m. Wcześniej widywałam martwe zwierzęta, na przykład na skraju drogi albo kiedy Kot przynosił upolowane myszy czy ptaszki. Wiele lat temu do kurnika dostał się lis – to była istna jatka. Musiałam tam posprzątać, po czym przez długie miesiące śniły mi się koszmary. Czy będzie wyglądała jak kura złapana przez lisa?

Przygotowuję się do tego z ociąganiem. Zaczynam od głębokiego wdechu, lecz zachłystuję się powietrzem. Czy będzie ją czuć? Ile dni minęło od jej śmierci? Ale nie. Piper powiedziała, że oporzadzili ją w zakładzie pogrzebowym. Cokolwiek zrobili, na pewno zadbali o to, żeby się utrzymała do pogrzebu.

Zmuszam się, by odwrócić głowę, by spojrzeć. Z jakiegoś powodu wydaje mi się bezpieczniej najpierw zerknąć na stopy. Jest ubrana w długą ciężką suknię. Niebieską... Czy to jej ulubiony kolor? Sięgam pamięcią wstecz. Nieraz miewała na sobie coś niebieskiego podczas swoich nieczęstych odwiedzin, ale tak mało

o niej wiem, nawet tego nie jestem pewna. Czy ta suknia ma ukryć to, co z nią zrobiły psy?

Mój wzrok wędruje w górę. Ręce ma jakby skrzyżowane. Jedna wygląda normalnie, druga jest ukryta w rękawie. Przełykam ślinę i nakazuję oczom podążać wyżej i wyżej. Suknia ma bardzo wysoką stójkę. Czy pies rozdarł jej gardło? Jeśli psy atakują jak lisy, na pewno skoczyły do gardła.

A teraz... już pora.

Jej twarz.

Sprawia wrażenie rozluźnionej, pełnej spokoju. Gdyby się spoglądało z większej odległości, można by pomyśleć, że śpi. Wysokie kości policzkowe, długie rzęsy rzucające cień na policzki. Kasztanowe włosy – nie takie jaskraworude jak u Piper i u mnie – ułożono jej na ramionach. Była piękna. Widzę to teraz, kiedy jej twarz nie marszczy się ani nie wykrzywia w gniewie czy podejrzliwości, jak zwykle bywało, gdy na mnie patrzyła.

Mimo zamkniętych oczu nie mam wątpliwości. To ona. Naprawdę nie żyje.

Mocno pomalowano jej twarz. Z natury jest – była – blada, tak jak ja, a na policzki nałożono jej za dużo różu. Ze skutkiem prawie jak u klauna. Podkład jest gruby, z ledwie widocznymi różnymi odcieniami, jakby tu i tam potrzebne były wypełnienia. Przebiega mnie dreszcz. Napadły ją psy, cztery, czy nie tak napisano w gazecie? Pewnie ją przewróciły na ziemię i zaatakowały. Nie powinny były zrobić tego bez polecenia wydanego przez człowieka, tak powiedział ich trener, zanim postawiono go w stan oskarżenia. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, jak psy w ogóle mogły się wydostać. Ale jakoś im się udało i zagryzły ją na śmierć.

O czymś takim marzyłam, kiedy byłam na nią zła – czyli bardzo często. Marzyłam, żeby umarła. Lecz teraz, gdy stoję obok jej ciała, czuję, że mi niedobrze, że przygniata mnie rzeczywistość absolutnego, ostatecznego końca jej historii.

Ona naprawdę nie żyje.

Na wierzchu drzę cała. W środku coś mnie dławi – coś się właśnie skończyło.

Za moimi plecami rozlegają się kroki; ktoś się zbliża. Czyjaś ręka dotyka mojego ramienia.

– Chodź. Lepiej już pójdziemy. – Miękkie słowa.

Podnosimy wieko i zamykamy trumnę. Patrząc, jak twarz matki znika mi z oczu. Widzę ją po raz ostatni. Stoję z ręką zastygłą na uchwycie, niezdolna do ruchu.

Dłonie Piper są ciepłe, łagodne. Siostra zdejmuje moje palce z wieka, wciska mi włosy pod kurtkę, po czym starannie owija głowę chustką, zawiązuje ją z przodu i nasuwa mi na twarz, żeby ukryć moje rysy. Nie mówi nic o zdradzieckich łzach rozbłyszczonych w moich oczach.

O łzach, których nie rozumiem.

Dlaczego miałabym się przejmować? Ta kobieta nigdy nie dbała o to, co się ze mną dzieje. Nigdy jej przy mnie nie było, gdy czułam strach albo dręczyła mnie samotność. Nie było jej, kiedy w wieku sześciu lat upadłam i złamałam rękę. Nie było jej kilka lat później, gdy zachorowałam i majaczyłam w gorączce, krzyczałam z przerażenia, pewna, że stwory z koszmarów rozedrą mnie na strzępy, jeśli wcześniej nie zabije mnie ogień.

Nigdy mnie nie kochała.

A co gorsza, nigdy już nie pokocha.



# P I P E R



Teraz jest spokojna i uległa. Nie sprzeciwia się, gdy proszę, by chwilę zaczekała. Czy widok matki w takich okolicznościach sprawia, że znów czujemy się dziećmi, choćbyśmy ją ledwie znali?

Mimo że postanowiłam nie patrzeć, nie mogłam się powstrzymać, by nie spojrzeć na mamę jeszcze raz. Chciałam się jej przyglądać, chłonąć ją, wspiąć się do niej do trumny i przywrzeć swoim ciepłem do jej zimnego ciała. Jak gdyby

ciepło było wszystkim, czego trzeba, by do mnie wróciła.

Otwieram drzwi. W przedsionku stoi Zak, tak jak obiecał. Pozostałych widać za następnymi drzwiami.

Zak się uśmiecha, wyciąga rękę, a ja podaję mu swoją.

– Tato na ciebie czeka – mówi. – W porządku?

– Tak. Ale możesz coś jeszcze dla mnie zrobić?

– Jasne. Co to będzie?

Otwieram drzwi nieco szerzej, żeby zobaczyć Quinn, stojącą w cieniu, gdzie ją zostawiłam.

– Czy mógłbyś zabrać... – Waham się, nie chcąc wyskoczyć przy nim z nowiną przy świadkach tuż za drzwiami. Nie jestem pewna, czy umiałby zapanować nad swoją reakcją. – Czy mógłbyś zabrać moją przyjaciółkę do siebie i zaczekać z nią na mnie, aż się skończy stypa?

Spogląda na nią z zaskoczeniem.

– Myślałem, że jesteś tam sama.

– Później ci wyjaśnię. Zrobisz to dla mnie?

– Jasne.

Zak pochyla się do przodu, otacza mnie ramionami. Tulę się przez chwilę do niego i żałuję, że nie mogę pojechać z nimi, zamiast mieć do czynienia z resztą. Chcę tylko być z Quinn: z kolejną osobą, którą pragnę chłonać, przyglądać się jej. Jakby przebywanie z nią – skupianie się na jej twarzy – mogło sprawić, że wszystko inne odejdzie.

Wzdycham i podnoszę oczy na Zaka.

– Zanim wyjdziecie, zaczekajcie, aż wszyscy sobie pójdą, dobrze?

W jego oczach czają się niezadane pytania, ale kiwa głową.

– Okej. Jasne, jeśli tego chcesz – mówi. – Wezmę ją do siebie, a potem przyjadę do was.

Marszczę brwi.

– Nie. Lepiej z nią zostać. Dopilnuj, żeby na mnie czekała.

Bez względu na to, jak moja siostra zachowuje się w tej chwili, nie jestem pewna, czy kiedy szok minie, nie zechce czmychnąć.

– Co? Nie ma mowy. Przyjadę. Chcę być przy tobie, tak jak ty kiedyś byłaś przy mnie.

Potrząsam głową.

– Posłuchaj, Zak. W tej chwili najbardziej mi pomożesz, robiąc to, o co cię proszę. Zabierz ze sobą Quinn i zostań z nią. – Wskazuję ją gestem, wciąż stojącą w milczeniu, ze spuszczoną głową, tyłem do nas. – Przyjdę, gdy tylko będę mogła. Dobrze?

Badawczo patrzy mi w oczy.

– Nie rozumiem, ale w porządku, jeżeli właśnie tego chcesz.

- Tak. Tego dokładnie chcę.
  - Twoi krewni będą się dziwić, dlaczego mnie nie ma. – Przewraca oczami i wiem, że nie dba o to, co sobie pomyślą, o ile nie przysporzy mi to problemów.
  - Powiem im, że się rozchorowałeś albo coś w tym stylu. Załatwię to, nie martw się.
- Jeszcze jeden uścisk. Widzę przez drzwi, że tato patrzy niecierpliwie.
- Muszę już iść. Odciągnę ich, żebyście się mogli wymknąć.



Q

U

I

N

N



Ich słowa docierają do mnie, ale przepływają obok, niezrozumiale dla mojego umysłu. Próbuję nastawić się na słuchanie. To jest chłopak Piper, Zak, ten, którego widziałam wcześniej, jak ją całował w drzwiach. Czy ona go prosi, żeby mnie dokądś zabrał?

Piper, moja b l i ź n i a c z k a. Nawet wypowiedziane w myślach słowo to brzmi nierealnie.

Jak mogłam o tym nie wiedzieć? Co to oznacza?

Piper wymyka się przez następne drzwi. Kiedy się otwierają, dobiega zza nich pomruk głosów, zaraz jednak milknie, gdy tylko się zamkną. Chłopak odwraca się do mnie i staje w dzielącym nas wejściu.

– A, cześć – mówi. – Jestem Zak.

Tkwią tutaj jak zamarła, niezdolna do ruchu ani do podniesienia wzroku.

– Halo? – odzywa się znowu. – Jesteś Quinn?

Zmuszam się do odpowiedzi.

– Tak. To ja. – Wiem, że te słowa są moje, ale słyszę je z oddalenia, jakby wyszły z ust kogoś innego. Siłuję się z własnymi oczami, żeby je na nim skupić i uchwycić się czegoś realnego.

Wysoki. Jest wysoki. Ciemne, prawie czarne włosy; skóra jak czekolada z mlekiem lub kawa ze śmietanką. Dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Szeroko rozstawione brązowe oczy, do tego ciemne rzęsy w ilości większej, niż tak naprawdę potrzebuje chłopak. Barczysty, ale smukły. Stoi w niewymuszonej pozycji, jak sportowiec. Gdybym nie była w tym dziwnym letargu, pomyślałabym, że jest olśniewający. Patrzy na mnie z mieszaniną zaciekawienia i obawy. Pewnie myśli, że zwalono mu na głowę szaloną krewną. Dziwaczkę, według której chustka na głowie to krzyk mody.

Szaloną krewną? Uśmiecham się lekko i tłumię histeryczny chichot, który o mało mi się nie wyrwał. Co mogłoby być bardziej prawdziwego?

– Czekać chwilę – mówi do mnie. – Sprawdzę, czy już ich nie ma. – Podchodzi do drugich podwójnych drzwi, wygląda przez szybę, po czym wraca. – Zbierają się. Dajmy im jeszcze minutę.

Gdy jego zdaniem mija wystarczająco dużo czasu, kiwa na mnie ręką i wychodzę za nim na zewnątrz. Deszcz nie ustał, pada równomiernie, ale nie jest to już taka wściekła ulewa jak przedtem. Wdycham chłodne, rześkie powietrze, na twarzy czuję krople deszczu, robię krok za krokiem, coraz dalej od tego miejsca śmierci, i zaczynam powoli znów być sobą.

Nie żebym była zupełnie pewna, kim teraz jestem. Połówką bliźniaczego zestawu?

Zak wyciąga kluczyk, naciska go, rozlega się piknięcie i chłopak otwiera dla mnie drzwi wysłużonego niebieskiego samochodu, żebym usiadła na miejscu pasażera.

Uruchamia wóz, wolno wyprowadza go z parkingu i jedziemy nieśpiesznie krętym podjazdem, mimo że przed nami nie ma żadnych innych aut. Gdy tylko wydostajemy się na drogę, przyśpiesza tak gwałtownie, aż dwa razy sprawdzam, czy mam zapięty pas bezpieczeństwa.

Zerka na mnie kątem oka, a ja odwracam głowę.

– A więc... dlaczego wymykasz się stamtąd jak jakiś szpieg?



Wzruszam ramionami.

– To pomysł Piper, nie mój.

Potrząsa głową.

– Rzeczywiście, ta dziewczyna miewa szalone plany, ale nawet ona nie zrobiłaby tego bez ważnego powodu.

Nie odpowiadam. Zastanawiam się, czy nie zdjąć tu, w samochodzie, chustki, żeby zobaczyć, jak wyglądam, ale prowadzi tak szybko, że szok mógłby się okazać zbyt niebezpieczny. Czy nasze głosy brzmią podobnie? Na tyle podobnie, żeby to zauważył? Postanawiam odzywać się jak najmniej i trzymać twarz odwróconą. I na ile to możliwe, dalej spoglądać na Zaka.

– Jeżeli mi nie powiesz, będę coś musiał wymyślić. A mam bujną wyobraźnię.

– Serio?

– O tak. Pomyślmy. – Przechyla głowę na bok, po czym kiwa głową. – Jesteś sławną aktorką, głęboko zakochaną w tacie Piper. Nie możesz znieść rozłąki z nim, więc przysłałaś na pogrzeb jego żony w przebraniu, żeby nie wywoływać skandalu, póki nie minie przyzwoity okres żałoby.

– Interesujące.

– A może pracujesz dla firmy sprzedającej ubezpieczenia na życie i właśnie w związku z jej polisą sprawdzałaś, czy naprawdę nie żyje.

Nic na to nie odpowiadam. Jeśli się wytnie firmę ubezpieczeniową, zdaje się, że właśnie to robiłam, prawda?

– Przepraszam, spytałem nietaktownie? Skąd znałaś mamę Piper?

– Przestań zadawać pytania. Zaraz i tak się dowiesz.

– A może uciekłaś z więzienia i miałaś ochotę w pierwszym dniu wolności pójść na pogrzeb?

Trudno mi powstrzymać uśmiech. Miejsce, z którego się wyrwałam, bardzo przypomina więzienie i owszem, było to coś w rodzaju ucieczki.

– Daj spokój – mówię. – Powód, dla którego Piper kazała mi się wymknąć z pogrzebu, wykracza poza wszystko, co mógłbyś wymyślić. Ale wyjaśnienie chyba może poczekać do czasu, aż dotrzemy na miejsce?

– Mogę umrzeć z ciekawości. Jeśli ci nie przeszkadza, że będziesz mnie mieć na sumieniu... – Wzrusza ramionami.

– Jakoś będę z tym żyć.

– O, proszę. Prawie jesteśmy na miejscu, może jednak nie umrę. – Zatrzymuje auto przed jednym z szeregowych domków i z wprawą parkuje w małej wolnej przestrzeni. – Dojechaliśmy.

Wyskakuję z samochodu, obiega go i otwiera mi drzwi. Deszcz jakimś cudem przestał padać, pokazało się nawet słońce. Zak wpatruje się we mnie, gdy wysiadam z wozu, i tym razem nie odwracam wzroku. Oczy mu się rozszerzają.

Otwiera frontowe drzwi domu i przytrzymuje je, przepuszczając mnie przodem. Wchodzę, a on podąża za mną. Po drodze zdejmuję z głowy chustkę. Wyciągam mokre włosy spod kurtki i odwracam się do niego.

Potrząsa głową skonsternowany.

– Piper?

– Nie. Nie Piper. Widziałeś przecież, że wyszła, nie?

– Myślałem, że tak. Ale ty... i ona... nie rozumiem.

– Ja też nie. Przyszłam na pogrzeb swojej matki, a tam była Piper.

– Na pogrzeb t w o j e j matki? Jesteście z Piper b l i ź n i a c z k a m i? – pyta i jeszcze szerzej otwiera oczy. – W głowie mi się to nie mieści.

Zerka w stronę drzwi w głębi pomieszczenia, a ja skupiam się na dochodzącym stamtąd dźwięku – na dźwięku, który zaczął rozbrzmiewać, gdy weszliśmy z ulicy. Byłam tak pochłonięta myślami, że początkowo go nie zarejestrowałam. Lecz teraz staje się głośniejszy, jakby piskliwe skomlenie. I „łup, łup” – dudnienie czegoś, co wali w drzwi. Czy to... możliwe, że...

– Hau! – A jednak. P i e s. Skóra mi cierpnie.

– Daj mi chwilę – mówi Zak i kieruje się ku drzwiom.

Zanim udaje mi się ruszyć językiem w wyschniętych ustach, chłopak otwiera i... wyskakuje czarno-biała błyskawica. Zaczyna na niego skakać, po czym nagle zdaje sobie sprawę, że obok stoi ktoś jeszcze, i zatrzymuje się jak wryta. Odwraca w moją stronę głowę i przekrzywia ją na bok.

– Interesująco będzie sprawdzić, czy was... – Zak urywa w pół zdania na widok mojej twarzy i tego, że przesunęłam się, żeby od psa odgradzać mnie stolik. – Coś nie tak?

Pies rusza w moją stronę, ale Zak chwyta go za obrożę i bierze na rękę.

– Czy ty przypadkiem nie boisz się psów?

Teraz, gdy trzyma suczkę, a ona nie skacze na mnie, wygląda na mniejszą, niż myślałam, i czuję się zawstydzona. Ale chociaż próbuję ukryć panikę, serce wciąż bije mi szybko.

– Nie przepadam za nimi – mówię i jest to ogromne niedopowiedzenie.

– No, jej nie musisz się bać. To jeszcze szczeniak. Pozwól, że was sobie przedstawię. Ma na imię Ness. – Unosi jedną z jej łap i macha do mnie, a potem chowa głowę za psim łebkiem. – Miło mi cię poznać! – zagaduje. A Ness mu wtóruje szczeknięciem. Zak znowu wystawia głowę. – Możemy podejść bliżej?

Potrząsam głową.

– Ness, jak to szczeniak, lubi się bawić. Jest rasy border collie, bardzo inteligentna i przyjacielska, ani trochę agresywna. Ma dopiero około czterech miesięcy. Muchy by nie skrzywdziła. Najwyżej polize cię po twarzy. Może to ty podejdiesz do nas?

Suczka i ja przyglądamy się sobie badawczo. Czy Ness jest dezorientowana

tym, że wyglądam jak Piper, czy może psy nie rejestrują takich rzeczy? Nad uszami i wokół oczu ma białe łatki, biały pasek przebiega przez czoło i nos, a duże brązowe oczy spoglądają z pełnym entuzjazmu zaciekawieniem. Tymczasem mój mózg mówi: „Właściwie nie jest taka przerażająca i całkiem miła, wygląda przyjaźnie”, jednak moje stopy ani drgną i w psich ślepiach pojawia się smutek.

– Przykro mi. Wolałabym nie.

– W porządku. Ness, pobawisz się przez chwilę w ogrodzie?

Na słowo „ogród” suczka wściekle macha ogonem. Chłopak zabiera ją przez te same drzwi, przez które weszła – teraz widzę, że prowadzą do kuchni – i wypuszcza ją z drugiej strony do ogrodu. Idzie za nią, żeby ją przypiąć do umocowanej na stałe długiej smyczy. Ness jak szalona zatacza radosne kręgi, ale gdy Zak odwraca się i zostawia ją samą, suczka przywiera do ziemi z głową złożoną na łapach i patrzy na nas smutno przez okno.

– Będę musiał mieć na nią oko. Czasami się zaplątuje, ale nie spuszczę jej ze smyczy, bo jest mistrzynią ucieczki, przeciśnie się zaraz pod ogrodzeniem – wyjaśnia i siada przy kuchennym stole twarzą do ogrodu.

Wskazuje mi gestem krzesło z drugiej strony, jednak mimo że drzwi są zamknięte, a za nimi szczeniak, nie pies, nie jestem pewna, czy chcę usiąść tyłem. Sadowię się więc obok Zaka, dzięki czemu widzę i jego, i ogród.

– Naprawdę mi przykro. Po prostu nie radzę sobie, kiedy w pobliżu są psy.

– A ja myślałem, że jednakowe bliźniaczki powinny być takie same. Piper uwielbia zwierzęta, zwłaszcza psy. Ness właściwie należy do niej.

– Coś takiego. Dlaczego w takim razie jest tutaj?

Chłopak waha się przez chwilę.

– Zajmuję się nią tymczasowo – odpowiada, po czym patrzy wprost na mnie. – Przykro mi z powodu waszej matki.

Jego oczy są pełne ciepłego współczucia, co wprawia mnie w zakłopotanie. Jeśli przyjmę jego kondolencje, będzie to jak kłamstwo. Potrząsam głową.

– Niepotrzebnie. To znaczy nie byliśmy sobie bliskie. Ledwie ją znałam. – Ness skomli na zewnątrz i wtem coś zaskakuje w mojej głowie. – W gazecie pisali, że Isobel wyprowadzała psa, kiedy zginęła. Czy to Ness była z nią wtedy na spacerze?

– Tak. Jakoś udało jej się wyrwać i uciec. Wróciła do domu, ciągnąc za sobą smycz. Piper znalazła ją w ogródku przed domem, szczekającą i rozdrażnioną. Nic nie podejrzewała, pomyślała tylko, że Ness uciekła, a mama zaraz wróci. Ale nie wróciła. Później szukała jej policja i... no... Skoro czytałaś gazetę, resztę znasz. Znaleźli ją. Jeszcze żyła... ledwie. Sanitariusze zabrali ją do szpitala, ale szybko zmarła. I dlatego dostałem na przechowanie Ness: nie chcieli jej teraz w domu.

Mówiąc, Zak cały czas mi się przygląda, jego oczy przebiegają po mojej twarzy, włosach, po każdym skrawku ciała, a robią to tak skwapliwie, że zaczynam

się wiercić. Odwracam wzrok i czuję, że się oblewam rumieńcem.

– Przepraszam. Gapiłem się? Jesteś taka sama jak Piper. Jak to możliwe, że nic o tobie nie wiedziałem?

– Ja do dziś nawet nie wiedziałam o jej istnieniu.

– Ale gdzie się podziewałaś? Czemu nie byliście razem?

– Nie mam pojęcia. Wychowywała mnie babcia. Isobel wpadała do nas od czasu do czasu. Nigdy mi nie zdradziła, że mam gdzieś siostrę.

– Nie mogę uwierzyć, że Piper ma bliźniaczkę, o której nie wiedziała.

Wygląda na wstrząśniętego, ja czuję się podobnie.

Wtem uświadamiam sobie coś, co powinno było uderzyć mnie wcześniej. Piper przecież w i e d z i a ł a, prawda? Nie była wstrząśnięta moim widokiem, choć nie mogła oderwać ode mnie wzroku, jak ja od niej. Musiała wiedzieć wcześniej. Czy nasza matka powiedziała jej, że ma jeszcze jedną, schowaną gdzieś córkę? Ja nigdy się tego od niej nie dowiedziałam, ale Piper tak. Piper – ta córka, którą matka sobie zatrzymała.

Wszystkie brakujące wskazówki i powiązania, o których starałam się nie myśleć, kiedy ujrzałam twarz siostry, teraz z rozmachem lądują na miejscu. Sposób, w jaki Isobel mnie traktowała. To, co mówiła: że trzeba mnie trzymać w odosobnieniu, w ciemności, żebym nikogo nie zraniła. Nie brzmiało to jak troska o ludzkość, sens okazał się bardziej osobisty. Nigdy nie uzupełniła luki, nie uściśliła, k o g o miałabym zranić, ale widocznie chodziło o moją bliźniaczkę; to od niej trzymała mnie z daleka, prawda?

Isobel pilnowała, żebym się nie zbliżyła do Piper. Dlatego ja o niej nie wiedziałam, a ona o mnie – owszem.

Nic dziwnego, że Isobel nigdy mnie nie potrzebowała. Miała Piper. Wierną kopię, tyle że bardziej uśmiechniętą. Miłą, lubianą przez ludzi, może nawet kochaną przez rodziców i kogoś interesującego, jak Zak.

Coś, co poruszyło się we mnie tego dnia i zmięкло, cofa się i z powrotem twardnieje. Zawsze miałam rację co do matki, prawda? Kto się przejmuje tym, że umarła? Nie ja. Ja jestem z a d o w o l o n a.

I bez względu na to, jak Isobel chciała wszystko poukładać, nie udało się jej. Jestem w Winchesterze razem z jej cenną Piper, a ona nie może nic na to poradzić. Co więcej, właśnie ona doprowadziła do naszego spotkania. Dokładniej: jej śmierć.

Krzyżuję ręce na piersi, zamykając się w sobie.

– Nie do końca dobrze to ująłeś. Piper wiedziała. Ja nie.

Zak nie odpowiada, ale widzę, że mi nie wierzy. Nie uważa, by Piper mogła mieć przed nim taki sekret.

Nie wie, że nigdy nie kłamie. Jedynie okłamuję samą siebie, ale z tym już skończyłam.



**P**

**I**

**P**

**E**

**R**



Moja komórka wibracją sygnalizuje odbiór SMS-a. Wyjmuję ją z kieszeni. To Zak z jednym jedynym słowem wypisanym dużymi literami: WOW. Domyślam się, że Quinn zdjęła chustkę.

Wsuwam telefon z powrotem do kieszeni. Tato unosi brew, wciśnięty między dyrektora mojej szkoły a swojego prawniczego partnera. Wyplątuje się z ich towarzystwa i podchodzi do mnie.

– Czy to Zak?

– Tak.

– Nie mogę uwierzyć, że nie ma go tutaj po tym wszystkim, przez co przeszliście razem w zeszłym roku. Do tej pory wydawał się w porządku. Ale pogrzeb to było dla niego za wiele?

Wzdycham, z trudem skupiając się na bieżącej chwili, na ukryciu emocji, które pulsują mi w żyłach w rytm słów: „Moja bliźniaczka jest blisko”.

– To nie tak – mówię. – Rozchorował się, a nie chciałbyś chyba, żeby wymiotował tu na prawo i lewo, prawda? Pewnie zjadł coś, co mu zaszkodziło. Byłby tu ze mną, gdyby mógł.

Tato ściska mnie za ramię, a ja się o niego opieram.

– Czy będę mogła później zobaczyć, co u niego?

Tato posyła mi ojcowskie spojrzenie.

– Wiesz, że nie ma nikogo innego. A jeśli jest poważnie chory? Poza tym muszę się stąd wydostać.

Otoczające mnie ciała są zbyt ciepłe, uściski rąk zbyt natarczywe. Wraca wrażenie odrealnienia, jeszcze mocniejsze niż przedtem. Mama powinna tu teraz stać obok taty, ale w moim umyśle pojawiają się tylko jej ostatnie obrazy – sztywnej, milczącej w trumnie.

Tato całuje mnie w czoło, puste miejsce obok niego aż kłuje w oczy.

– Ja też nie mam już nikogo oprócz ciebie, kwiatuszku. Ale rozumiem. Idź, jeśli czujesz taką potrzebę.

– Poczekam chwilę i udam, że idę się położyć. Wiesz, o co chodzi.

Kiwa głową. W naszym domu rządzi dziś straszliwy duet. Jego dwie ciotki, zawsze doskonale wiedzące, co ktoś powinien i czego nie powinien robić w danej sytuacji, i kategorycznie narzucające swoje zdanie innym.

Tato idzie do drzwi, żeby przywitać spóźnionego gościa, a ja kieruję się do swoich znajomych.

Zbili się w grupkę w kącie, nieco zgaszeni i jakby niepewni. Erin widzi, że się zbliżam, i daje znak Jasmine, a ona odwraca się i bierze mnie pod ramię.

– Jak się czujesz? To znaczy jak to znosisz, Piper? – pyta. – Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

Opieram głowę na jej ramieniu, a ona obejmuje mnie mocno.

– Wystarczy, że ze mną jesteście – odpowiadam.

Podchodzi do nas Tim.

– Piper i Jas w klinczu, witajcie na ringu! – zauważa z uśmiechem.

– Tim, no wiesz! – napomina go Jasmine i potrząsa głową, ale trzeba przyznać, że udało mu się przełamać zakłopotanie, które do tej pory malowało się na wszystkich twarzach. Ludzie zaczynają rozmawiać bardziej naturalnie, a ja odciągam Jasmine na bok, podczas gdy reszta dogaduje Timowi.

– Właściwie jest coś, co możecie dla mnie zrobić – mówię do niej przyciszonym głosem.

– Jasne, co tylko zechcesz.

– Jestem wykończona. Czy możesz dać wszystkim do zrozumienia, żeby się szybko rozeszli? Pewnie i tak będą zadowoleni, że się mogą zmyć.

– Nieprawda. Oni tylko... po prostu... nie bardzo wiedzą, co zrobić, co powiedzieć. Ale jeśli chcesz, żeby sobie poszli, załatwię to.

– Dzięki, Jas.

Zegar wolno odmierza minuty. Moi przyjaciele i inni goście znikają jeden po drugim, wychodząc przez frontowe drzwi, aż wreszcie następuje finalny akcent: z barku wynurza się whiskey. Tato nalewa trunek, siedząc między swoim bratem a kuzynem, a obie ciotki patrzą na to z dezaprobatą.

– Czy mam zacząć sprzątać? – pytam ciotkę numer jeden. Trę przy tym oczy i tłumię ziewnięcie.

– Nie, nie, oczywiście, że nie, kruszynko. Kładź się do łóżka. Miałaś długi i ciężki dzień.

– Na pewno?

– Na pewno – odpowiada ciotka numer dwa. – My się tym zajmiemy. Odpocznij.

Obie ściskają mnie i całują w policzek na dobranoc. Już po chwili idę po schodach do siebie.

W swoim pokoju zmieniam ciemną żalobną sukienkę i czółenka na wysokim obcasie na dzinsy i adidas. Skupiam się na Quinn, przywołuję w pamięci jej twarz, by przestać widzieć mamę umalowaną i rozciągniętą sztywno w trumnie.

Idę do drugich schodów, z tyłu domu, i wychodzę w noc.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Ostrożnie sączę napój – po raz pierwszy kosztuję czerwonego wina.

– Dobrze!

– Pij powoli, jeśli nie jesteś przyzwyczajona – ostrzega Zak, ale zaraz pociągam następny łyk i następny.

Zaczyna mnie zalewać ciepło, zastępując wewnętrzne drżenie, którego nie odegnały nawet gorąca kąpiel ani suche ciuchy pożyczone od Zaka. Kulę się na



krześle w jego o wiele za dużym dresie, koszulce i polarze, a on tymczasem krząta się po kuchni. Coś apetycznie pachnie, przypominając mi, że jeszcze dzisiaj nie jadłam. Nagle dopada mnie wilczy głód. Gdy Zak wręcza mi miskę ryżu z warzywami i cudownie pikantnym sosem, rzucam się na jedzenie i nie podnoszę wzroku, aż zniknie.

– Albo byłaś porządnie głodna, albo jestem niesamowitym kucharzem. – Uśmiecha się szeroko z sofy, gdzie siedzi ze swoją porcją.

– I jedno, i drugie. Było bardzo smaczne. Co to takiego?

– Wegetariańskie curry, przepis mojej matki. – Spogląda na mnie z ukosa. – Nigdy nie jadłaś curry?

Potrząsam głową.

– Nie było na liście dań pochwalanych przez moją babcię.

– Dziwna kobieta.

Poważnie kiwam głową. Szczera prawda. A zakazy i nakazy żywieniowe to nawet nie połowa jej dziwactw.

Zak dolewa sobie wina i podnosi butelkę z pytającą miną. Wyciągam swój kieliszek, a on napełnia go do połowy.

– Dla ciebie będzie dość – oznajmia.

– To nie fair. – Z uniesionymi brwiami patrzę na jego pełną lampkę.

– Jestem pełnoletni, a skoro ty i Piper macie takie same twarze, zapewne urodziłyście się w jednym dniu, czyli do osiemnastki brakuje ci prawie roku. Te dzisiejsze półtora kieliszka zażywasz wyłącznie w celach leczniczych.

– A ty w jakich celach?

– Uzasadnionych. To nie był łatwy dzień. Mam za sobą kilka ciężkich tygodni.

– Przepraszam, że weszłam ci dziś w paradę.

– Nie przepraszaj. Nie ma sprawy. Wprawdzie powinienem być z Piper, ale z drugiej strony to dobrze, że ominęła mnie stypa.

– Czemu? – Sama sobie się dziwię, że spytałam. Ale ciepło promieniejące z pełnego brzucha i lekkie buzowanie wina w żyłach sprawiły, że się wyluzowałam bardziej niż zwykle.

Zak waha się.

– Nie lubię dużych przyjęć. Zwłaszcza związanych z pogrzebami.

– Nie mieści mi się w głowie, że dla większości ludzi to atrakcja. Byłam na pogrzebie pierwszy raz i nie powiem, żeby mi się dobrze bawiła.

Czy Zak jest samotnikiem? Rozglądam się po pokoju. Na widoku leży niewiele rzeczy osobistych, a te, które dotąd dostrzegłam – magazyn o grze w krykieta na stole, adidas i rower pod schodami – przypuszczalnie należą do niego. Książki na półkach stoją w równiutkich rzędach. Ani śladu nikogo innego.

– Mieszkasz tutaj sam?

- Tak.
- Ile masz lat?
- Dziewiętnaście. Zawsze zadajesz tyle pytań?
- Nie. Gdzie twoi rodzice?

Po jego twarzy przesuwają się cień.

– Rozeszli się, kiedy byłem mały. Z tatą straciłem kontakt już dawno. Mama zmarła rok temu.

- O. Przykro mi. To dlatego...
- Nie lubię pogrzebów? Tak. Mniej więcej.
- Jak umarła? – Za późno gryzę się w język. – Przepraszam. Nie odpowiadaj, jeżeli wolisz o tym nie rozmawiać.

– Przestań przepraszać. Rzeczywiście, na ogół wolę o tym nie mówić. Ale okej. Wszyscy straciliśmy matki, prawda?

Ciepło roztaczane przez wino i jedzenie przygasa. Podciągam kolana, otaczam je rękami. Czy mogłam stracić coś, czego nigdy naprawdę nie miałam?

– Strata jest bezpowrotna – mruczę pod nosem. – Nigdy już ich nie odzyskamy.

– Może jednak tak. Na razie wiem, że mama wciąż jest gdzieś blisko. Pilnuje mnie.

Zak mówi to spokojnie, z cichym przekonaniem. Na mnie jednak nie działa kojąco myśl, że Isobel może być tu w pobliżu i obserwować mnie. Dostaję gęziej skórki na rękach.

– A odpowiadając na twoje pytanie: zginęła w wyniku wypadku. Spadła z konia. Poważnie uszkodziła kręgosłup i narządy wewnętrzne. Pędziłem do domu z uczelni i zdążyłem uścisnąć jej rękę, gdy już umierała.

– Przykro mi – zapewniam i zaraz zaczynam przepraszać za to, że przepraszam, aż w końcu dociera do mnie, co robię, i milknę.

Zak rozpięta się na sofie z przymkniętymi oczami.

– Czuję, że nie powinienem był wyjeżdżać, nie powinienem był zostawiać jej samej. Nie żeby moja obecność coś zmieniła, ale nie mogłem się zmusić do powrotu na studia. – Potrząsa głową i spogląda na mnie. – Nie wiem, czemu ci to mówię. Zazwyczaj dużo o tym nie rozmawiam. Może dlatego, że kiedy patrzę na ciebie, widzę Piper.

– Gdzie studiowałaś?

– W Cambridge. Nauki humanistyczne, społeczne i polityczne. Na uczelni tracą do mnie cierpliwość, bo długo się nie pojawiaam. Muszę albo szybko wrócić, albo zwolnić miejsce.

– Czego by chciała twoja matka?

– Oczywiście chciałyby, żebym wrócił.

– Więc jedź.

- To nie takie proste.
- Jasne. Dlaczego nie?
- A co z Piper? Nie mogę zostawić jej samej. Nie teraz.

Jakby wyczarowało ją ponownie wspomnienie jej imienia, drzwi frontowe stukają, po czym ktoś je otwiera.

- Cześć! – woła od wejścia Piper dziwnie moim głosem.

Zak wstaje, idzie do korytarza. Słysząc pomruk ściszonej rozmowy, potem zapada cisza. Wchodzą do pokoju, trzymając się za ręce. Kiedy Zak patrzy na Piper, jego twarz promienieje ciepłem, którego wcześniej u niego nie widziałam. Ale moja siostra wygląda na zmęczoną, skonaną. Zak prowadzi ją do sofy, lecz ona puszcza jego rękę i zwraca się do mnie.

– Tak się cieszę, że tutaj jesteś, Quinn – mówi i pochyla się niezręcznie, próbując mnie uścisnąć na krześle. Siada na sofie z Zakiem, po czym rozgląda się po pokoju. – Gdzie Ness?

– Śpi w kuchni – odpowiada Zak, ale jakby głos Piper czy dźwięk imienia suczki wyrwał ją z psich snów, po drugiej stronie drzwi natychmiast rozlega się szczekanie.

Piper zrywa się i zmierza w tamtą stronę.

– Czekaj – odzywa się Zak. – Nie wypuszczaj jej z kuchni. Quinn nie lubi psów.

– Co? – Siostra patrzy z niedowierzaniem.

Ale ja czuję się już dzielniejsza. Może z powodu wina?

– Wpuść ją, tylko o b i e c a j, że nie pozwolisz jej na mnie skakać.

– Okej, dobrze, obiecuję. – Piper otwiera drzwi, a ja wciskam stopy głębiej pod siebie na krześle.

Jednak niepotrzebnie się obawiałam. Ness na widok Piper tak się unosi radością, że mnie w ogóle nie dostrzega. Biega wokół niej w kółko, a kiedy Piper siada na sofie koło Zaka, suczka wskakuje między nich. Sadowi się z głową na kolanach swej pani i wpatruje się w nią z uwielbieniem, które Piper zdaje się odwzajemniać. Im dłużej Ness macha ogonem, tym bardziej topnieje napięcie na twarzy dziewczyny.

– Jak się wydostałaś? – pyta moją siostrę Zak.

– Nie martw się. Tato się zgodził, żebym sprawdziła, jak się czujesz, biedaku. A właśnie, wymiotowałeś, jakby się ktoś pytał.

– A co z ciotkami?

– Udałam, że jestem śpiąca, poszłam do łóżka i wymknęłam się tylnymi drzwiami.

Zak potrząsa głową, jakby się nie mógł nadziwić jej sprytowi, lecz ja jestem wstrząśnięta.

– Okłamałaś swojego ojca? I ciotki?

Piper wzrusza ramionami

– Uniknęłam wielu kłopotów. Poza tym po co ich bardziej denerwować, skoro i tak są już wystarczająco zestresowani? Oszczędziłam im tego. A tato wie, gdzie jestem.

Gapię się na nią, nie mogąc przyjąć tego do wiadomości. U babci kłamstwa były niedozwolone, wszelkie, nawet błahe, mające zaoszczędzić komuś zmartwień. Wyolbrzymienie czegoś wystarczyło, żebym za karę nie dostała obiadu. Za cokolwiek choćby przypominającego nieprawdę zamykała mnie w ciemnym zimnym pokoju – na całą noc albo na dłużej. A ona zawsze wiedziała, miała jakiś specjalny dar wykrywania łgarstw. Od lat nawet nie próbowałam kłamać, mam wyrobioną awersję.

Piper unosi brew.

– Ty nigdy nie kłamiesz?

– Nie.

Zak szczypie ją w nos.

– Może siostra będzie miała na ciebie dobry wpływ.

Piper krzywi się, a ja się śmieję.

– To jest coś, o co nigdy do tej pory mnie nie oskarżono.

Piper pochyla się do przodu, opiera głowę na dłoniach. Wpatruje się w moje oczy – jakbym siedziała przed lustrem.

– Zaintrygowałaś mnie, Quinn. Czy masz jakąś ciemną stronę?

Zażenowana wzruszam ramionami i nie odpowiadam na jej pytanie. Isobel uważała, że mam, bo z jakiego innego powodu trzymałaby mnie w ukryciu? I babcia też tak myślała. Wciąż przy mnie trwała, żeby mnie przed tym chronić, nieustannie stosowała zaklęcia, by nie dopuścić tej ciemnej strony do głosu.

Teraz Piper się śmieje.

– Tylko jedno z wielu pytań, które mam do ciebie. Na początek: gdzie mieszkasz? Z kim? Widywałaś mamę? Jak się dowiedziałaś, że zmarła? Jak się tutaj dostałaś?

Im więcej pyta, tym mniej mam ochotę odpowiadać.

– Najpierw ja mam pytanie – mówię, patrząc na nią. – Dlaczego wiedziałaś o mnie, podczas gdy ja o tobie nie miałam pojęcia?

Siostra spogląda mi prosto w oczy.

– Nie wiedziałam.

Wpatruję się w nią uważnie. Czy mam ten sam dar wykrywania kłamstw co babcia?

– Jednak kiedy zobaczyłaś na pogrzebie matki dziewczynę z twoją twarzą, czyli mnie, nie byłaś wcale zdziwiona ani zaskoczona. Wyglądałaś na zadowoloną. Od razu tak załatwiłaś sprawy, że mogłam popatrzeć na Isobel, i poprosiłaś, żeby Zak zabrał mnie tutaj. Potem nakłamałaś swojej rodzinie, żeby prędko dostać się tu

i zadać mi pytania. I aż do dziś nie wiedziałaś o moim istnieniu? Nie sądzę.

Mina jej rzędzie.

– Nie wiedziałam! Ja tylko... – Potrząsa głową, a Zak otacza ją ramionami i mruży coś kojąco. Piper zbiera się w sobie po chwili, w jej oczach błyszczą łzy. – Nie rozumiesz. Byłam w tym okropnym ciemnym miejscu. Czułam się taka samotna. A kiedy cię ujrzałam, coś jakby się uniosło. Zabrało mnie stamtąd, z tamtych wydarzeń. Straciłam wprawdzie matkę, ale niespodziewanie pojawiłaś się ty: piękna siostra, o której dotąd nie wiedziałam.

Wyciąga do mnie rękę, a ja chcę jej wierzyć. Moja ręka wysuwa się w jej stronę bez planu czy myśli. Piper chwyta ją mocno.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałam – mówię. – To wszystko po prostu jest takie dziwne, a ty w ogóle nie wyglądałaś na zdziwioną. Ale ja nie zastąpię ci części twojej rodziny. To nie jest moje miejsce.

– A gdzie ono jest? – pyta Piper. – Skąd przybywasz?

„Skądś, gdzie nie chciałabym być”. Jednak nie mówię tego, nie na głos. Krzyżuję ramiona na piersi.

Zak patrzy to na Piper, w której narasta frustracja, to na mnie z moją zamkniętą postawą.

– Słuchajcie, zrobiło się późno. Może skupimy się na naprawdę ważnej rzeczy: co teraz?

Tego właśnie najbardziej starałam się uniknąć, ale wkraadało się do moich myśli raz po raz bez pozwolenia. Wyjechałam, nie zabierając z sobą żadnych ubrań. Pieniądzy ledwie mi starczyło, żeby się tu dostać, nie miałam też dokąd pójść. Zamierzałam jedynie trafić na pogrzeb Isobel, nie planowałam nic więcej. A teraz nie chcę wracać, jednak nie mogę tu zostać.

Patrzę na Piper zaciekawioną, sypiącą pytaniami, i nagle chcę się od niej po prostu uwolnić.

– Muszę się zbierać – stwierdzam.

– A co z twoim tatą? – pyta Zak. – Nie chciałabyś go poznać? To całkiem niezły starszy gość.

– Mój... tato?

– Tak to zazwyczaj bywa z bliźniakami – mówi Piper. – Jest moim tatą, więc twoim pewnie też.

– Ja... nie wiem – zacinam się. Jakaś częśćka mnie chce go poznać, ale reakcja babci, ilekroć pytałam o ojca, wprawiała mnie w przerażenie. Najwyraźniej babci zdaniem był on kimś pomiędzy zwyrodniałym kryminalistą a diabłem wcielonym. A jednak Zak go zna, powiedział o nim: „całkiem niezły starszy gość”. Z drugiej strony, ojciec wciąż jest dla mnie kimś obcym.

– Jakbyś się czuł, gdyby twój tato nagle pojawił się po tych wszystkich latach? – pytam Zaka.

Piper unosi brew, patrzy to na swojego chłopaka, to na mnie. Czy zaskoczyło ją, że wiem o jego ojcu? Zak wzrusza ramionami.

– Pewnie bym go walnął za to, że od nas uciekł. Ale moja historia jest inna.

– Inna? Skąd pewność, że mój ojciec o mnie nie wie? Może uczestniczył w rozdzieleniu córek? Może to był jego pomysł?

Piper potrząsa głową.

– Nie ma możliwości, żeby o tobie wiedział. Nie uwierzyłabym w to ani przez chwilę – stwierdza, a jej słowa tchną takim przekonaniem, że w jakiś sposób jej wierzę.

– Ale jak mógł o mnie nie wiedzieć?

– Nie mam pojęcia, ale jednego jestem pewna: gdyby wiedział, ty i ja byłybyśmy razem. A gdyby cię teraz poznał, pokochałby cię – dodaje, jakby odpowiadając na moje myśli. Czy tak to bywa z bliźniakami, czy ona umie dostrzec w moich myślach wątpliwości? – Jesteś jego córką. Oczywiście, że by cię pokochał.

– Isobel nie pokochała. A byłam też jej córką. – Piper chce mi zaprzeczyć, ale jej nie pozwalam. – Nie – przerywam ostro. – Tego nie wiesz, nie było cię tam. Została dla mnie. Pewnie, że czasami wpadała, ale nigdy nie miała dla mnie miłego słowa. Ani razu. Raczej jakby się upewniała, że się nie wydostałam. – Obejmuję się ramionami. Nie chciałam rozmawiać o Isobel, samo mi się wyrwało i powiedziałam więcej, niż zamierzałam.

Piper bezradnie kręci głową.

– Nie rozumiem. W twoim opisie to nie jest ta sama mama, którą znałam.

Zak patrzy na nią znacząco z uniesioną brwią, a ona wzrusza ramionami.

– Dobra, wiem, że miała problemy. Nie znam twojej historii, a bardzo chciałabym ją poznać. Tylko nie zakładaj, że tato będzie taki sam. Mimo to zdecydowanie nie jest w tej chwili gotowy, żeby zaskoczyć go taką nowiną. Taki szok to byłoby dla niego za wiele po tym, co właśnie przeszedł. Ale czy możesz zostać i trochę poczekać, aż będziemy mu mogli powiedzieć?

– Jak miałabym zostać? Gdzie?

– Możesz zatrzymać się u mnie, rzecz jasna – mówi Zak.

Zaczynam protestować, przecież nawet mnie nie zna, lecz on potrząsa głową.

– Jesteś siostrą Piper. To mi wystarczy. Nie musisz tak od razu decydować, czego chcesz, prawda? Po prostu zostań i przemyśl to. Jutro będzie czas na pytania.

– Ale nic ze sobą nie wzięłam. Nie zamierzałam zostawać na noc.

– Możesz pożyczyć rzeczy ode mnie – odzywa się Piper. – Mam mnóstwo ubrań, na pewno będą pasować idealnie. Wybierzemy coś jutro.

– Sama nie wiem. – Nie czuję się przekonana. – Nie wiem, co robić. Jestem zbyt zmęczona, żeby jasno myśleć.

– Zostań – powtarza Zak. – Jutro o tym pomyślisz.

Zgadzam się, choć wbrew sobie. Wszystko, co mówią, brzmi rozsądnie i ma sens. A może chodzi o to, że po prostu nie mam dokąd pójść? I jestem zmęczona, zmęczona do szpiku kości. W ostatnim tygodniu nie spałam za dużo.

– Może chcesz do kogoś zadzwonić? – pyta Piper. – Śmiało, skorzystaj z mojego telefonu.

– Nie, dzięki – odpowiadam i wygląda na zawiedzioną. Czy miała nadzieję, że dostanie numer telefonu i dowie się, skąd przybyłam?

– Chodź. Wyglądasz na wykończoną – odzywa się Zak.

Zabiera mnie na górę, pożycza mi kolejną swoją koszulkę, żebym miała w czym spać, i pokazuje jedną z dwóch sypialni. To piękny pokój, utrzymany w zieleni i różu, z kwiecistą narzutą na łóżku. Zdecydowanie nie urządził go chłopak. Wołam do Zaka:

– Czy to był pokój twojej matki? Nie chcę nadużywać twojej gościnności. Mogę spać na sofie.

– Nie nadużywasz. Tak, to pokój mamy. – Waha się, po czym wskazuje stolik nocny, a na nim telefon. – Jeśli chcesz do kogoś zadzwonić, nie krępuj się. Nie chciałbym, żeby się ktoś o ciebie niepokoił. To może być nasz sekret. – Mruga porozumiewawczo. – Dobranoc.

Zamyka drzwi. Z dołu dobiega pomruk głosów i jakieś miękkie dźwięki. Całują się tam na sofie?

Potem rozlega się odgłos kroków zmierzających do drzwi. Piper coś mówi. Musi iść i nalega, żeby Zak nie odprowadzał jej do domu, bo ktoś go może zobaczyć, a oficjalnie jest chory. Obiecuje, że wyśle SMS-a, gdy dotrze do siebie.

Drzwi się otwierają i zaraz zamykają.

Waham się chwilę, po czym podnoszę telefon i wybieram numer, który znam na pamięć. Jest późno, ale tam, gdzie przebywa babcia, na pewno odbierają przez całą dobę.

I rzeczywiście – ktoś się zgłasza, słyszę w słuchawce nazwę oddziału i nazwisko pielęgniarki.

– Halo? Mówi Quinn Blackwood, wnuczka Sybil Blackwood. Czy może mi pani powiedzieć, jak ona się czuje?

– Witaj, Quinn. Pamiętam cię. Byłam podczas przyjęcia twojej babci. Pani Blackwood czuje się nieźle, znacznie lepiej, niż się spodziewano. Ciągłe o ciebie pyta. – Wymienia mi badania, które jej zrobiono, referuje wyniki. To był udar, tak jak przypuszczali. – Pomimo wieku twoja babcia jest bardzo silna. Udar zaburzył jej aparat mowy i ruchu, ale będzie mogła wkrótce wrócić do domu. Jeśli znajdzie się tam ktoś, kto jej przez jakiś czas zapewni opiekę.

Dziękuję pośpiesznie siostrze i żegnam się z nią. Zostawiam bez odpowiedzi wiszące w powietrzu pytanie: „Kiedy przyjedziesz?”.

Babcia jest silna. Znow stanie na nogi. Chwilowo powalił ją szok. Kiedy jej

pokazałam wycinek z gazety, ten z informacją, że Isobel Hughes nie żyje, babcię ścięło na miejscu. Musiałam biec w ciemności kilka kilometrów do hotelu, żeby wezwali pogotowie. Było zbyt wietrznie, żeby przyleciał helikopter, dlatego sanitariusze ze Służby Poszukiwawczo-Ratunkowej Dartmoor<sup>1</sup> spuścili babcię po skałach i osypisku obok Wisht Tor, żeby ją jak najszybciej zabrać do szpitala, zamiast jechać daleką drogą dookoła.

Podczas długiej jazdy karetką pogotowia miała przerażenie w oczach. Próbowала mi coś powiedzieć, ale nie mogła. Sanitariusze myśleli, że babcia boi się umrzeć, dlatego pocieszali ją, jak mogli. W jej oczach było jednak coś innego. Czy bała się, że odejdę?

Jest silna, tak zapewniła pielęgniarka. Czy rzeczywiście mnie potrzebuje? Jeśli wrócę, czy kiedyś pozwoli mi znów wyjechać?

Zwijam się w kłębek na łóżku matki Zaka. Czuję, że to dobre, bezpieczne miejsce. W tym chłopaku jest coś, co dodaje otuchy, jakby jego obecność zapewniała, że wszystko będzie w porządku. Z Piper zaś wręcz przeciwnie – coś mnie w niej przeraża. Czy to ona budzi we mnie niepokój, czy wszystkie te jej pytania? Tyle spraw wolałabym zatrzymać dla siebie...

Po niedługim czasie na dole rozlega się ciche piknięcie – Piper pewnie przysłała SMS-a, by dać znać, że dotarła do domu.

A więc jej dom – ten, w którym żyła Isobel, w którym mieszka teraz Piper z naszym tatą – musi być blisko. Próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda i jakie byłoby to uczucie, gdybym w nim dorastała jako ukochana córka dwojga rodziców, otoczona przyjaciółmi i dalszymi krewnymi. Ale tu wyobraźnia mnie zawodzi.





# P I P E R



Stało się.

Mówili o tym w radiu w porannych wiadomościach i nic mnie nie powstrzyma, pójdę tam znowu.

Myślałam, żeby zostawić wiadomość dla taty, ale jeżeli wstanie wcześniej, i tak będzie wiedział, dokąd poszłam, a jeśli moją karteczkę znajdzie któraś z ciotek, obie wpadną w szal. Za pierwszym razem pojechał tam ze mną, ale

widziałam wyraźnie, że nie miałby ochoty wracać. Nie chciał tam stać i myśleć o tym, co się wydarzyło. Wie, że ja pójdę, i być może uważa, że nie powinnam, nie jest jednak pewien, czy to dla mnie dobrze, czy źle, dlatego nie próbuje mnie powstrzymać. Nie żeby mu się to miało udać. Tak czy inaczej, postanowiłam, że dziś będzie ostatni raz.

Sprzedawczyni w sklepie wie, kim jestem. Widzę to co rano w jej oczach, w spojrzeniu pełnym współczucia dla biednej dziewczyny, której umarła matka. Lecz nic nie mówi, kiedy sprzedaje mi kwiaty. Dziś biorę nie jedną wiązanekę, tylko pięć. Ekspedientka dziwi się, ale nie pyta czemu. Jeśli się pracuje w sklepie całodobowym, pewnie przestaje się zadawać pytania, po co ludzie kupują to czy owo albo co robią przed świtem.

Tym razem idę dłuższą, okrężną drogą. W pierwszych promieniach słońca zatrzymuję się przed psiarnią. Teraz jest tutaj cicho. Kiedyś, gdy tędy przechodziłam, witał mnie głośny chór psich nawoływań – przyjazne skowyty i szczekanie. Mijałam znaki ostrzegające przed niebezpieczeństwem i podchodziłam do ogrodzenia, a psiaki merdały do mnie, skakały jeden przez drugiego i lizaly moje palce przez pręty klatek.

Teraz panuje głucha cisza, furtkę zabezpieczono łańcuchem. Pozostałe psy wyprzedano albo zwrócono właścicielom.

Stąd mam jeszcze ze dwa kilometry przez zagajnik błotnistą ścieżką, ale dziś jest tak zimno, że błoto stwardniało, prawie zamarzło.

Ścieżka prowadzi do małej polanki. Taśmy policyjnej już nie ma. Leżą porozrzucone kwiaty z poprzednich poranków, reprezentujące wszelkie stany życia i śmierci: świeże, przywędłe i rozkładające się.

Wiem, w którym dokładnie miejscu znaleziono mamę. Uparłam się, żeby mi powiedziano. W pierwszej kolejności rozpakowuję wiązanekę róż, ale tym razem, zamiast ją położyć w całości, odrywam płatki i rozrzucam je po ziemi – tam, gdzie jak sobie wyobrażam, spoczywały jej głowa, ręce, nogi...

Serce.

Pozostałe cztery bukiety są kolorowe i mieszane, jak ten, który mi kiedyś wręczył Zak. Ness stwierdziła, że to psia zabawka, i rozdarła kwiaty, zanim zdążyliśmy ją powstrzymać.

Nie doszłoby do tego, co tu się zdarzyło, gdybym była z mamą. Psy, które uciekły ze szkółki i zrobiły tę potworność, były ze mną zaprzyjaźnione. Wszystkim już dawno ponadawałam imiona i reagowały na nie. Powinnam była wtedy zostać z mamą. Ness to moja suczka, co mama podkreślała wystarczająco często. To ja powinnam była ją wyprowadzać, nie ona.

A wczoraj psy zostały unicestwione. Właśnie tego słowa użyto w radiu. Jak można unicestwić psa? Zabija się go zastrzykiem czy robi coś gorszego?

Prosiłam, żeby tego nie robili. Można by pomyśleć, że prośba biednej

dziewczyny, której umarła matka, odniesie skutek. Ale policjantka, która ze mną rozmawiała, powiedziała, że wydano rozkaz i tyle. Nic nie można poradzić. Widać było, że nie rozumie, dlaczego chcę oszczędzić psy.

Po bukietach dla każdego psa. Rozpakowuję kwiaty i rozkładam je dookoła zarysu z płatków róż, a także kładę na czerwonych płatkach.

Mamę znaleziono dopiero następnego dnia rano. Jeszcze żyła – ledwie. Jak to jest, kiedy się leży tu i krwawi, w bólu, przez całą noc?

Zawiadomiono nas i popędziliśmy do szpitala, ale umarła, zanim tam dotarliśmy.

Nie zdążyłam się z nią pożegnać. Ani przeprosić za to, że ją zostawiłam samą.

Zamykam oczy i sięgam do swego wnętrza.

„Przepraszam, mamó.

Przepraszam, Bob.

Przepraszam, Boo.

Przepraszam, Flapjack.

Przepraszam, Hobie.

Przeze mnie wszyscy nie żyjecie”.

Od ziemi ciągnie wilgocią i chłodem. Czy to takie uczucie, gdy jest się martwym – zimnym i nieruchomym na zawsze?

Mama mogła znaleźć sposób, żeby z tego wyjść. Gdyby chciała, mogłaby to wszystko powstrzymać. Wiem o tym.

Od dawna miałam świadomość, że i mamę, i mnie coś odróżnia od pozostałych osób. Umiałyśmy robić rzeczy dla innych nieosiągalne, wiedziałyśmy też o otaczających nas ludziach rzeczy, których nie miałyśmy możliwości się dowiedzieć. Ale podczas gdy mama odwróciła się od tego, kim była, ja chciałam to przyjąć. **P o t r z e b o w a ł a m t e g o.** Jak śpiewak, któremu odebrano muzykę, lub pisarz pozbawiony pióra – musiałam znaleźć ujście dla swojej skrywanej części albo zwiędnąć i umrzeć.

Nie mogła tego we mnie zrozumieć, a ja nie mogłam zrozumieć jej.

I nie pomogłaby mi. Robiła pewne aluzje, ale nigdy nie postawiła sprawy jasno ani niczego nie wytłumaczyła, nie odpowiedziała też na moje pytania. Tamtego dnia znowu się pokłóciłyśmy, dlatego zostawiłam ją samą. Dlatego to się zdarzyło.

Dziś po raz pierwszy w tym miejscu moje oczy są suche. Dość było już płaczu.

Znajdę sposób, by dojść do tego, kim jestem, co potrafię i jak. Byłoby łatwiej, gdyby mi mama pomogła, ale zapewne da się to zrobić inaczej.

Quinn musi wiedzieć; **m u s i.**

Sprawię, żeby mi zaufała na tyle, by mi pomóc.

Kiedy jednak przybywam do Zaka, sprawy nie toczą się gładko.

– Nie, dzięki. – Quinn patrzy na musztardowobrazowy szal w moich rękach jak na martwego węża i nie chce owinąć nim głowy.

– Nie możemy tak otwarcie paradować razem po ulicy. Na sto procent przyciągałybyśmy uwagę. – Przekleństwo długich, rudych włosów.

– No, jeśli tak ci na tym zależy, sama go załóż.

Wlepiam w nią wzrok. To jest moje miasto, ja tutaj mieszkam. Nie ja powinnam się ukrywać. Ale zaraz rozluźniam twarz i uśmiecham się.

– Świetnie. Jasne. Nie ma przecież znaczenia, która z nas zakryje włosy. – I owijam sobie głowę szalem.

Do kuchni wchodzi Zak, był na przebieżce z Ness.

– Po tych kilometrach powinna teraz błogo spać.

Suczka jakby na polecenie idzie od razu do swojego koszyka i pada z nóg. Zak patrzy na zegar.

– Szybki prysznic i ruszam do pracy. – Zwraca się do Quinn: – Widzimy się po południu? – Nachyla się, żeby ją pocałować, a ona wykręca się i czerwienieje na twarzy.

Wybucham śmiechem.

– Tutaj, matołku.

Zak przygląda się lepiej.

– To przez ten szal, przypuszczałem... no, nieważne. Powinnyście przypiąć sobie identyfikatory czy coś takiego.

Całuje mnie pośpiesznie, a potem po raz drugi, wolniej. Widzę spod rzęs, że Quinn przygląda się nam rozszerzonymi oczyma. Później chyba sama się na tym łapie, bo odwraca wzrok.

Zak idzie do łazienki.

– Zdziwiło cię to? – pytam.

– Co? Że Zak pomylił mnie z tobą?

– Ha! To rzeczywiście było dziwne. Nie, chodzi mi o to, że całowaliśmy się przy tobie.

– Nie. Czemu?

– Trochę się na nas gapiłaś.

– Naprawdę? Przepraszam. – Quinn przestępuje z nogi na nogę. – Gdzie on pracuje?

Zmiana tematu?

– Pomaga u przyjaciela w restauracji. Kelneruje.

– Średnia kariera dla kogoś, kto może skończyć Cambridge.

Unoszę brew.

– W wyciąganiu informacji od ludzi jesteś zdecydowanie lepsza niż ja. Zak pracuje tam tylko tymczasowo, dopóki nie zdecyduje co dalej. Chodź, idziemy.

Wychodzimy. Po wczorajszym deszczu nie ma już śladu, lecz wieje przenikliwy wiatr. Otulam się ramionami, kiedy pokonujemy krótki odcinek drogą Zaka, a potem ścieżką na skróty do mojej ulicy. Quinn strzela oczami na prawo i lewo. Kiedy przyjechała tu wczoraj z Zakiem, pewnie była zbyt przestraszona, by się rozglądać, ale nie mam pojęcia, dlaczego tak ją interesują domy, drzewa i takie tam.

Idę podjazdem do naszego domu, gdy wtem uświadamiam sobie, że Quinn została w tyle. Odwracam się. Stoi na chodniku i gapi się na nasz dom.

– Co? – pytam i wracam, by stanąć obok niej.

– Nic, tylko... jest taki... – Moja siostra potrząsa głową. – Nieważne.

Patrzę na nasz dom i próbuję zobaczyć to, co ona ujrzała, lecz mi się nie udaje. Zwykły dom przy zwykłej ulicy w zwykłym Winchesterze. Trzy kondygnacje, garaż i dobudówka, która się właściwie nie liczy. Trochę bez ładu i składu, jak mawiała mama.

– Chodź – ponaglęm.

Gdy docieramy do frontowych drzwi, podnoszę klapkę klawiatury i wstukuję kod.

– Czy to zamiast klucza?

– Tak.

Quinn robi wielkie oczy, gdy przekraczamy próg holu wejściowego. Przypatruje się połyskliwemu parkietowi i błyszczącej balustradzie szerokich schodów. Niepewnie wyciąga rękę, żeby ją pogłodzić.

– Pewnie polerowanie tego zajmuje ci całe godziny.

– M n i e? Nie, od tego jest sprzątaczką. – Ruszam na górę, ale coś w oczach siostry każe mi się zatrzymać. – Chcesz, żeby cię oprowadzić?

Potakuje głową, więc najpierw pokazuję jej cały dół – duży oficjalny salon, którego nigdy nie używamy, bawialnię, jadalnię i kuchnię. Kiedy wchodzimy do pokoju dziennego – tego, w którym zwykle przesiadujemy – Quinn podchodzi do rodzinnego portretu. Przyglądam mu się wraz z nią. Tato uśmiecha się szeroko. Ja stoję pomiędzy nim a mamą. Na jej twarzy błąka się słaby uśmiech, oczy są nieobecne, utkwione w czymś odległym.

Mniej więcej w tamtym czasie zaczęłam podejrzewać, że mama coś ukrywa. Wtedy nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak wiele.

– To zdjęcie zrobiono w moje trzynaste urodziny – mówię.

– W n a s z e trzynaste urodziny – poprawia Quinn.

– Tak, oczywiście. Co porabiałaś w swoje?

Waha się przez chwilę.

– Nic, z czego chciałabym mieć fotkę – odburkuje.

– Czy nie mogłabyś c h o ć r a z odpowiedzieć wprost?

Quinn wzrusza ramionami.

– Zależy, o co pytasz – mówi. I zaraz, jakby sobie uświadomiła, że na to też nie udzieliła prostej odpowiedzi, przewraca oczami.

– Więc to oznacza nie – odzywamy się równocześnie i wybuchamy śmiechem.

Quinn znów spogląda na zdjęcia.

– Z tą fotografią jest coś nie tak. Ze wszystkimi innymi zresztą też – stwierdzam.

– O. Hm?

– Nie ma na nich ciebie. A powinnaś być. Powinnaś była być tutaj. Dlaczego cię nie było?

– Może tylko Isobel to wiedziała – mówi cicho moja siostra.

– Quinn, tak mi przykro, że do tej pory nie byłaś częścią mojego życia, ale mam nadzieję, że odtąd będziesz. – Staram się, żeby w moim głosie nie zabrzmiała desperacja. „Tak bardzo cię potrzebuję”.

Jej oczy wzbierają łzami, moje też. Quinn intensywnie mruga. Biorę ją za rękę.

– Chodź. Splądrujemy moją szafę. Możesz wziąć, co ci się spodoba.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Miękki błękitny sweter Piper sprawia, że moje oczy przybierają jego kolor. Gładzę go, zapatrzona w lustro w sypialni matki Zaka. Nie mogę uwierzyć, że mam na sobie coś tak pięknego. Nie mogę uwierzyć, że Piper mi go pożyczyła. Wyglądała tak, jakby w ogóle się nie przejęła tym, że go wzięłam. A te buty są po prostu cudowne i pasują na mnie idealnie. Zdaje się, że to ma sens: identyczne bliźniaczki – identyczne stopy.

Czy Piper naprawdę ma aż tyle ślicznych rzeczy, że kilka mniej czy więcej nie robi jej żadnej różnicy? Moja reakcja na jej dom i cały ten kram najwyraźniej wprawiła ją w osłupienie. Ma tak wiele i nic z tego nie docenia.

Ten sweter może i jest niebieski, ale powinien być zielony – zielony z zazdrości. Jej życie powinno być m o i m życiem. Nie powinnam się czuć wdzięczna za kilka łaskawych gestów ze strony księżniczki Piper. Powinnam mieć taki pokój z własnym telewizorem, laptopem, systemem nagłośnienia, łazienką i wielką szafą pełną takich pięknych ubrań jak te.

W tym domu jest jeszcze tyle rzeczy, które chciałabym zobaczyć, dotknąć – zwłaszcza pokój Isobel. Piper, kiedy mnie oprowadzała, przemknęła przez niego szybko. Pełno tam było szaf, regałów z książkami i innych interesujących sprzętów. Zauważyłam biurko i jakiś śmieszny mebel, trochę jak kanapa, a trochę jak łóżko. Piper powiedziała, że Isobel czytała jej na tym książeczki, gdy była mała.

Zżera mnie pragnienie, by dowiedzieć się czegoś więcej o moich rodzicach, o życiu, jakiego nigdy nie miałam. To powinien być mój dom. Mam wszelkie prawa, żeby w nim przebywać. Mam wszelkie prawa do wszystkiego, co się w nim znajduje.

Powinnam tam iść teraz, już.

Gdzieś na dnie żołądka czuję jednak, że to nie tak. To, że dom powinien być mój, nie oznacza, że faktycznie jest. A jeżeli ktoś wejdzie? Ale Piper i Zak wyjechali dwadzieścia minut temu, żeby odwiedzić ciotki. Piper powiedziała, że robią to, ponieważ jej tato – n a s z tato – wyszedł ze swoim bratem.

Zanim zdążę to głębiej przemyśleć, nogi już niosą mnie z powrotem do jej domu. Do n a s z e g o domu.

Przed drzwiami waham się przez chwilę. W mojej pamięci tkwi wyraźnie kod numeryczny, którym Piper otworzyła przy mnie drzwi. Ale co będzie, jeśli źle go wstukam? Jeśli uruchomi się alarm i zaraz pojawi się policja? To miejsce wygląda na takie, gdzie stróże porządku przybywają natychmiast, gdy tylko ktoś zakłóci tu spokój.

Żołądek mi się skręca. Podnoszę klapkę, jak to wcześniej podpatrzyłam u Piper, i wybieram numer: osiem – cztery – jeden – sześć.

Nic się nie dzieje, a ja zaczynam panikować. Czy przedtem, kiedy robiła to Piper, też tak długo trwało? Już mam uciekać, gdy błyska zielone światelko. Rozlega się kliknięcie.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka.

W domu jest tak cicho, tak spokojnie. Znowu wyciągam rękę i gładzę balustradę. Teraz, gdy Piper mnie nie pilnuje, chcę zajrzeć do każdego pokoju, napawać wzrok widokiem każdego pięknego przedmiotu, dotykać ich rękami. Nie mogę się powstrzymać i wchodzę do pomieszczenia, które nazwała pokojem



dziennym. Stoi tu ogromna pluszowa sofa w kolorze głębokiej czerwieni i kusi mnie, żeby ją wypróbować. Siadam na niej, podciągam nogi pod siebie. Cudownie się siedzi, tak bardzo wygodnie i przodem do kominka. Korci mnie, żeby zapalić ogień, ale jak sobie to wytłumacza, kiedy wróca do domu?

„Dalej, Quinn”.

Na górze zatrzymuję się w drzwiach gabinetu jej – n a s z e g o – taty. Meble są zrobione z ciemnego drewna: masywne biurko, regały na książki, szafy na dokumenty. Wiem, że babcia nie miała dobrej opinii o naszym ojcu. Jeśli nie liczyć tego, że go widziałam z daleka na pogrzebie Isobel, a Zak zapewnił, że niezły z niego starszy gość, zupełnie go nie znam.

Pokój Isobel, mieszczący się dalej przy tym samym korytarzu, jest jasny, pełen światła wpadającego przez duże wykuszowe okno z siedziskiem na parapecie. Po obu stronach okna regały uginają się od książek. Na niektórych półkach stoją książki dla dzieci, dużo jest takich z obrazkami. Przewodniki turystyczne. Beletrystyka. Literatura faktu. Palce mnie świerzbią, żeby je powyciągać, usiąść tutaj i czytać, przeczytać wszystkie. U babci było niewiele książek, a większość z nich na tematy dla mnie zakazane. Póki nie zaczęłam pracować w hotelu, gdzie mają biblioteczkę dla gości, moje doświadczenia czytelnicze były ograniczone. Zerkam na zegarek, który mi pożyczyła Piper. Nie ma czasu, żeby się rozsiadać. Jeszcze tylko godzina i muszę się zmywać. Co teraz?

Na końcu są jakieś drzwi – Piper nie otwierała ich przy mnie. Idę tam i zapalam światło.

To garderoba, tyle że wielka prawie jak magazyn rekwizytów teatralnych. Całą ścianę wypełniają wieszaki z ładnymi ubraniami. Pośrodku przeciwległej ściany wisi duże lustro, a po jego bokach rozmieszczono buty i kapelusze. Właściwie w większości śmieszne nakrycia czy ozdoby głowy, które pewnie jej nie osłaniają, tylko na niej sterczą. Gdzie można się pokazać w czymś takim? Przymierzam jeden, potem drugi i ze śmiechem wykręcam piruet przed lustrem. Co teraz zrobią z całym tym kramem, kiedy Isobel już nie ma?

Przy ścianie naprzeciwko drzwi stoi piękna toaletka z rzeźbionym krzesłem i trzyskrzydłowym lustrem. Siadam przy niej. Jest włącznik – rozbłyskują światła u góry lustra. Po jednej stronie widzę grzebienie i szczotki oraz kuferek kosmetyczny z najróżniejszymi przyborami do makijażu, po drugiej zaś wielką drewnianą kasetkę na biżuterię, z licznymi szufladkami. Moje ciekawskie ręce same otwierają jedną szufladkę po drugiej.

Te rzeczy są dużo warte, nawet ja to wiem. Srebrne i złote kolczyki i naszyjniki, wiele z drogimi kamieniami. Są zbyt piękne, żeby nie były prawdziwe: szafiry, rubiny, diamenty. I ciężka złota bransoleta z wprawionymi sporymi diamentami oraz pasującym do niej okazałym zegarkiem.

Czy ktoś zauważy, jeżeli coś z tego zginie? Te cenne rzeczy mogłyby

rozwiązać parę problemów. Mogłabym je sprzedać i wyjechać, przenieść się gdzieś indziej. Babci nic by się nie stało. Jest silna, tak powiedzieli. Mogłabym zostawić za sobą Piper z jej poczuciem straty i pytaniami.

Ale co z Zakiem? Z jakiegoś powodu myśl o tym, że miałabym go zostawić, wywołuje większy niepokój niż w przypadku innych osób. W tym krótkim czasie zdążyłam mu zaufać.

„To wariactwo, Quinn. On należy do Piper. Te pocałunki mówią to chyba aż zbyt wyraźnie, nie? Nie całuje się kogoś w ten sposób, jeśli się go nie kocha”.

Nie żebym miała w tym jakieś doświadczenie.

Nie. O Zaku też trzeba zapomnieć.

Isobel była moją matką; mam do tego wszystkiego takie samo prawo jak kto inny. Ale najlepiej byłoby po prostu wziąć parę drobiazgów i mieć nadzieję, że nikt nie zauważy ich zniknięcia, póki nie będę już daleko. No, które z tych kosztowności są najwięcej warte? Próbuję to ocenić na podstawie ciężaru złota, wielkości kamieni. Diamenty muszą być najdroższe, prawda?

Otwieram kolejną szufladkę i dech mi zapiera na widok tego, co w niej leży. Isobel zawsze nosiła tę bransoletę, kiedy przyjeżdżała w odwiedziny. Wyciągam ją i trzymam w rękach. W przeciwieństwie do pozostałej biżuterii ten przedmiot jest ciepły, jakby zapamiętał jej puls. Nie przypomina tamtych, ciężkich od złota czy srebra, skrzęcych się klejnotami. Wygląda staro, naprawdę staro, jak antyk.

W dzieciństwie fascynowała mnie ta bransoletka. Kiedyś, gdy wyciągnęłam rękę, by jej dotknąć, Isobel trzepnęła mnie po palcach i podskoczyła jak użądłona. Teraz przyglądam się temu skarbowi bliżej. Jest zrobiony z metalowych pierścieni, które wyglądają na polerowany brąz i przeplatają się z sobą w zawiłym wzorze, z wstawionymi gdzieś paciorekami. Do obręczy jest przymocowany kamienny wisiołek, jak amulet. Naprawdę ciężki. Jego powierzchnia sprawia wrażenie gładkiej jak szkło, ale kiedy przesuwam po nim palcem, wyczuwam nierówności. Gdybym dotknęła go z zamkniętymi oczami, przysięgłabym, że są na nim wyryte jakieś symbole.

Trzymam wisiołek w dłoni i mocniej czuję Isobel w tej jednej bransoletce niż we wszystkich pozostałych błyskotkach. Tamte były zaledwie ozdobami. Z jakiegoś powodu wiem, że ta jest czymś ważnym. Coś dla niej znaczyła.

Więcej niż ja.

Wtem bierze mnie ochota, by rzucić bransoletą przez pokój, roztrzaskać ją na milion kawałków... i jednocześnie trzymać ją blisko siebie. Przyciskam przedmiot do piersi.

Jedna łza, dwie – łzy złości albo smutku, sama nie wiem. Dwie łzy to wszystko, na co mam odwagę sobie pozwolić. Odrobina więcej mogłaby się przerodzić w cały potop i cienka krawędź kontroli zostałaby przekroczona.

Siedząc, staram się z całych sił nie poddać ciemności, skupiać się na

oddechu – głębokim i równym, wdech, wydech – gdy nagle coś zwraca moją uwagę. Czy coś zakłóciło ciszę? Nieruchomieję i nasłuchuję.

Słaby odgłos, kolejny. Czyjeś kroki? Zbliżają się. Potem skrzyknięcie... drzwi? Czy to drzwi pokoju prowadzącego do tej garderoby? Powinnam była wyłączyć światło. Teraz jest jednak za późno – czy ten ktoś widzi jasną smugę pod drzwiami?

Powinnam się ukryć, zanurkować gdzieś za ubrania. Ale zastygłam w miejscu.

Klik.

Czy to drzwi za mną?

Odwracam się gwałtownie i zrywam z krzesła, serce mi dudni. W wejściu stoi tato Piper. W moich żyłach pędzi przez ciało strach.

– Nie stój tak z przerażoną miną, jakbym cię na czymś przyłapał, niemądra dziewczyno. Wszystko, co tu znajdziesz, jest twoje.

– Ja... – Przeprasiny za wtargnięcie do cudzego domu zamierają mi na ustach. On mnie bierze za Piper? Jasne, że tak. Próbuję pozbyć się spanikowanej miny. – Przepraszam. Przestraszyłeś mnie, to wszystko.

Podchodzi bliżej. Jest wysoki, prawie takiego wzrostu jak Zak, i pachnie miętą, płynem po goleniu oraz pubem.

– Kwiatuszk. Nie wydajesz się sobą. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Potrząsam głową spłoszona. Czy on może się zorientować, że nie jestem Piper? Może po moim sposobie mówienia? „Odzywaj się jak najmniej”. Jego dłoń delikatnie ociera łzę z mojego policzka – łzę, o której zdążyłam zapomnieć.

– Co tam masz? – patrzy na moją rękę, którą wciąż przyciskam do piersi bransoletę Isobel.

Wyciągam ją przed siebie, brązowy pierścień dynda mi na palcach. Tato Piper bierze go ode mnie i trzyma w dłoniach.

– Uwielbiała to nosić, prawda? Trudno mi było wymóc na niej, żeby zdjęła tę ozdobę, kiedy jej dałem na gwiazdkę ten diamentowy zegarek z bransoletą. Pamiętasz?

Czeka na odpowiedź, a ja wpadam w panikę. Nie mogę skłamać. Ale jeżeli pyta, może nie oczekuje, że będę pamiętać. Odpowiadam przeczącym ruchem głowy.

– Zdaje się, że nie. Byłaś bardzo mała. Tak czy inaczej w końcu wymyśliła, że może to nosić na ramieniu nad łokciem, a diamentową bransoletę na nadgarstku i zegarek na drugiej ręce. Robiła tak od czasu do czasu, żeby mi zrobić przyjemność, ale zawsze sprawiała wrażenie zakłopotanej z tego powodu. Dostałem nauczkę i nigdy już nie kupiłem jej bransoletki. Wyglądało to, jakby się bała chodzić bez tej ulubionej. Kazała mi obiecać, że jeśli kiedykolwiek coś jej się stanie, dam tę bransoletę tobie.

– Mnie? Na pewno?

– Oczywiście, chciała, żeby bransoletę dostała jej córka. – Waha się lekko. – Chcesz ją nosić? Jeżeli nie, w porządku.

Stoję niezdecydowana. Jakaś częśćka mnie jest przerażona, że przydarzy mi się coś niedobrego, jeśli wsunę na rękę ulubioną bransoletkę Isobel; że wtedy rozdrażniona Isobel złoży na tym świecie specjalną wizytę tylko po to, by mi odebrać ten przedmiot. Jednak pozostała część mnie chce mieć tę bransoletę na nadgarstku bardziej, niż kiedykolwiek w życiu czegoś pragnęłam. Kiwam głową.

– Proszę. Założę ci ją.

Wystawiam prawy nadgarstek, a on zamyka zapięcie. Bransoleta ciepło opada na moją skórę; na ręce okazuje się lżejsza, niż się spodziewałam.

– Dziękuję – mówię i wyciągam drugą dłoń, by dotknąć metalu zdumionymi palcami. Pierścień jest dość duży, ale nie aż tak, żeby ześliznął się z ręki. Bransoleta Isobel. Nie powinnam jej brać; on myśli, że wręczył ją Piper. Ale jak to powiedział? „Chciała, żeby bransoletę dostała jej córka”.

Ja j e s t e m jej córką. Chociaż przed chwilą nie mogłam się zdecydować, czy roztrzaskać ten przedmiot, czy go przycisnąć do siebie, teraz odczuwam, że dobrze jest mieć go na ręce. Gdy tylko znalazł się na moim nadgarstku, poczułam się spokojniejsza, bardziej skoncentrowana w sobie. A co powiedziała Piper, gdy weszłam tu z nią za pierwszym razem? „Weź, co ci się spodoba”.

Moje palce zamykają się na wisiorze. Cóż, właśnie to mi się spodobało – biorę tę bransoletę.

– Chodź. Napijemy się na dole herbaty?

Tato Piper przytrzymuje dla mnie drzwi. Nie mam wyboru, muszę się zgodzić. Wychodzę, zostawiając za sobą resztę biżuterii Isobel.

Na szczęście gdy tylko herbata jest gotowa, dzwoni telefon. Tato Piper – mój tato, ale jakoś nie umiem myśleć o nim w ten sposób – robi do mnie przepraszające miny, prowadząc z kimś prawniczą rozmowę. Cały czas siedzę przerażona, bojąc się, że w każdej chwili do pokoju może wejść Piper. Dopiero po godzinie udaje mi się wymknąć.

Gdy jestem już tak daleko, że nie widać mnie z domu, zatrzymuję się i uważnie oglądam bransoletę. Piper może i powiedziała, że mogę wziąć, co mi się spodoba, ale jestem pewna, że propozycja nie obejmowała tego skarbu. Powinnam go zdjąć, schować do kieszeni, jednak z jakiegoś powodu nie chcę. Może wypróbuję sztuczkę Isobel?

Przesuwam bransoletę w górę, pod niebieski sweter. Łatwo przechodzi przez łokieć, bez rozpinania. Podciągam jak najwyżej, tak by się ciasno wpasowała i nie ześliznęła ani nie obracała z brzękiem. Pod rękawem powstała wypukła nierówność, lecz wełna jest na tyle gruba, że nikt nie powinien tego zauważyć.

Mam nadzieję.





# P I P E R



Kiedy wracamy do domu Zaka, nie ma tam Quinn. Zalewa mnie zimna panika. Nie zostawiła mnie chyba, co? Biegnę na górę, żeby ponownie sprawdzić jej pokój, i oddycham z ulgą, widząc jej rzeczy leżące na miejscu. Na pewno nie odeszłyby bez nich. A potem jedną obawę zastępuje następna, gdy schodzę z powrotem na dół.

– Gdzie ona może być?

– Bez nerwów – mówi Zak. – Pewnie jej się nudziło i poszła na spacer czy coś. Wieczór jest ładny, a my wróciliśmy znacznie później, niż zapowiadaliśmy.

– Ale co, jeśli ją ktoś zobaczy i pomyśli, że to ja?

– Jeśli nawet, to co?

– No, ktoś może do niej zagadać, a ona powie coś głupawego i pomyśli, że jestem stuknięta. Albo jeszcze gorzej, może wypalić: „Nie jestem Piper, tylko jej sekretną bliźniaczką”.

Zak śmieje się.

– Nie myślisz chyba, że by to zrobiła, prawda? A nawet jeżeli tak powie, nikt jej nie uwierzy. Ostatecznie pomyśli, że jesteś stuknięta.

Nie odpowiadam. Nie sądzę, żeby celowo chciała się ujawnić, skoro do tej pory tak starannie się ukrywała. Ale nie podoba mi się, że czegoś nie wiem – to, że nie mam kontroli nad czymś tak ważnym.

Wzdycham i opadam na sofę. Zak siada obok mnie, a ja wtulam się w niego.

– Może zrobić nie wiadomo co.

– Na przykład?

– Co o niej tak naprawdę wiemy? Oprócz tej oczywistej rzeczy, że jesteśmy bliźniaczkami? Nie mamy pojęcia ani gdzie do tej pory żyła, ani z kim.

– Z babcią. Wychowywała ją babcia.

– O. Więc nawet ty wiesz o mojej siostrze więcej niż ja. Czy przypadkiem nie wiesz też, gdzie mieszkają?

– Nie.

– Może spróbowałbyś się tego dla mnie dowiedzieć?

– Nie ma mowy. Nie zamierzam wchodzić pomiędzy was. Jeśli się chcesz czegoś dowiedzieć, zapytaj sama, poproś ładnie, a jeżeli uwzględnisz jej uczucia, może po prostu odpowie. W każdym razie jeden zręczliwy rudzielec stanowczo mi wystarczy.

Szczypię go mocno w ramię.

– Auć. – Rozciera sobie to miejsce. – To właśnie miałem na myśli. – Odskakuje, zanim go znowu dorwę, i wygląda przez okno od frontu. – I zgadnij, kto idzie tu do nas ścieżką.

Stuka furtka. Otwierają się drzwi. Przez korytarz do frontowego pokoju wchodzi Quinn.

– Cześć – mówi.

Wstaję i zwracam się do niej.

– Gdzie byłaś?

– Przejść się.

Unosi brew w taki sposób, że oznacza to: „Nie twój interes”, ale właśnie, że to j e s t mój interes.

– Herbaty? – pyta Zak z uśmiechem. Staje pomiędzy nami.

Quinn waha się.

– Eee... poproszę.

Zak zaciąga nas obie do kuchni i sadza naprzeciw siebie przy stole. Nastawia czajnik, a ja tymczasem przyglądam się badawczo siostrze. Siedzi skrępowana i jakby unika mojego wzroku. Dlaczego? Nie tak chciałabym ułożyć nasze stosunki. Wzdycham i zdobywam się na niepewny uśmiech.

– Przepraszam, jeśli to zabrzmiało, jakbym była zła. Naprawdę się o ciebie martwiłam.

Zak kładzie na stole herbatniki i posyła mi pochwalające spojrzenie.

– Jak widzisz, zupełnie nic mi nie jest – mówi Quinn.

– A więc gdzie byłaś? – pytam, nadal z uśmiechem.

Wpatruje się we mnie. Dostrzegam drgnienie mięśnia w jej szczęce i ani śladu uśmiechu.

– Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabym ci się spowiadać z każdej minuty dnia.

– A ja widzę – odbijam argument, starając się nie zdradzić miną wzbierającego we mnie gniewu. – Myślę, że skoro tutaj jesteś, mogłybyśmy ustalić pewne reguły. W tym omówić, dokąd możesz chodzić i kiedy. – Usiłuję przemawiać jak najbardziej rzeczowym tonem, ale moje zwykłe zdolności perswazyjne, zdaje się, nie działają.

– Ty tak serio?

– Daj spokój, Piper – wtrąca Zak. – Nie jesteś jej aniołem stróżem. Nie bądź niepoważna. – Gromię go wzrokiem, lecz on nie odpuszcza. – To mój dom, na ile można, strefa wolna od zasad. Oprócz zasady „opuszczaj deskę sedesową”, którą mi narzuciłaś i którą szanuję. Jeśli nie zapomnę.

Uśmiecha się szeroko, ale napięcie w pomieszczeniu jest jak żywe, wijące się stworzenie. Wypełnia kuchnię i zaczynam panikować. A jeśli Quinn jest tak rozdrażniona, że wyjedzie?

Spuszczam głowę i opieram ją na rękach.

– Przepraszam. Jestem po prostu tak zestresowana, że robię głupstwa. Wybaczysz mi? Proszę... – Podnoszę błagalnie wzrok.

Wygląda na zbitą z tropu. Czy moje zmiany nastroju wprawiają ją w zakłopotanie? Ale kiedy mówię „wybacz mi”, ludzie to robią: tato, Zak, wszyscy. Bez względu na to, co zrobiłam. Nagle jednak jestem mniej pewna swojej siostry niż kogokolwiek do tej pory. Oprócz mamy.

Potrząsa głową.

– Piper, uspokój się po prostu i wszystko będzie dobrze.

„Wszystko będzie dobrze”. Banał, zupełnie jak „miłego dnia”. A jednak gdy to mówi, wierzę jej. Potrząsam głową skonsternowana. To ja zazwyczaj wywieram taki wpływ na ludzi. Jest prawie tak, jakby ona była mną, a ja nią.



– Może zaczniemy od nowa? – odzywa się Zak.

Wracam do siebie późno, Zak odprowadza mnie tym razem. Trzyma mnie za rękę. Zanim skręcimy za róg, zabiera mnie do cienia – w nasze miejsce pożegnań, pod drzewami, dokąd nie sięga światło latarni. Obejmuje mnie, ale nie przyciąga do pocałunku. Dłonią gładzi mnie po włosach.

– Wszystko w porządku, Piper?

– Hm?

– Nie wydajesz się sobą. Wiem, to zrozumiałe, z twoją mamą i w ogóle, ale nie chodzi mi o to. Wiem, że ta sytuacja z bliźniaczkami jest co najmniej dziwna, ale chodzi o to, jak do niej podchodzisz. Musisz się pogodzić z tym, że Quinn jest kimś osobnym, a nie przedłużeniem ciebie.

Sztywnieję.

– No, może kiedy następnym razem identyczna bliźniaczka wejdzie w twoje życie, będziesz już wiedział, jakie to uczucie.

– Powiedz mi. Słucham.

Są jednak rzeczy, których nie mogę mu powiedzieć – lepiej, żeby o nich nie wiedział. Zamiast mówić, przyciągam jego głowę ku sobie i całuję go, żeby zapomniał.



Ostrożnie spuszczałam bransoletę po rękę, przez łokieć, do nadgarstka, gdzie jej miejsce. Na ramieniu było jej zbyt ciasno; zostawiła na skórze wgnieciony bolesny ślad, który teraz rozcieram.

Piper zauważyła, że coś ukrywam, jestem tego pewna. Ale zamiast drążyć i zadać mi więcej pytań, aż wpadnę w pułapkę, wycofała się i zdecydowanie odniosłam wrażenie, że zazwyczaj tego nie robi. Wyraźnie jest przyzwyczajona do

stawiania na swoim. Nawet Zak wydawał się zaskoczony. Wygląda to prawie tak, jakby się czegoś bała, tylko czego? To ona ma wszystko. Ja nie mam nic.

Oprócz tej bransolety. Wodzę palcami po ogniwach, kręcę paciorkami i przyglądam się kamieniowi. Dziwne: te znaki, które przedtem wyczuwałam palcami, ale ich nie widziałam, teraz są widoczne. Może tutaj jest lepsze światło; wciąż dość słabo je widać. Splecione ze sobą symbole. Nie wiem, co oznaczają, ale coś mi przypominają; wyteżam pamięć, żeby to rozgryźć.

Ciarki mi przechodzą po plecach, gdy to do mnie dociera. Babcia miała książkę z takimi symbolami na okładce, jestem tego pewna. Księga stała wysoko na półce, w jej pokoju na parterze – w tym, o którym mówi: „pokój do czytania”. Nie wolno mi było tam wchodzić, zamykała go na klucz. Raz jednak, kiedy miałam około dziesięciu lat, zapomniała zamknąć drzwi po wyjściu klienta i wśliznęłam się do środka.

Pamiętam, że stałam tam i chłonełam wszystko, na czym spoczęły moje oczy: rozłożone na stole dziwne karty, znaki na ścianach, ładne kryształy rozmieszczone dokoła i zwisające z sufitu. Książki, w tym tę, która wyraźnie była bardzo stara. Moje ręce same się wyciągnęły, żeby ją zdjąć z półki, pogłodzić spłowiałą czerwoną okładkę – miała narysowane dokładnie te same symbole, które są wyryte na tym kamiennym wisiorku.

Zastała mnie tam stojącą z książką w rękach. Zbielała na twarzy. Wyrwała mi książkę i wywlokła mnie z pokoju za ucho. Kara była surowa: na dwa dni zamknięto mnie w ciemności bez jedzenia, tylko z odrobiną wody.

Nigdy więcej nie zapomniała zamknąć tamtego pokoju. Ale ja pamiętałam każdy jego skrawek – to miejsce wyglądało magicznie.

Wejście do pokoju babci było szaleństwem. Zatrzymanie tej bransolety też, ale czasami trzeba zrobić coś szalonego i ponieść konsekwencje.

Jednak nasz tato – zmuszam się do wypróbowywania tego słowa w myślach – na pewno wspomni o tym Piper, zapyta, dlaczego nie nosi ozdoby. Powinam się przyznać. P o w i n n a m oddać bransoletę siostrze. A jeśli nie, powinnam wynieść się stąd w diabły.

Coś jednak sprawiło, że nie chcę już stąd odejść – przynajmniej nie od razu. Wzdycham. Czy jeśli zatrzymam ozdobę, zamiast ją oddać Piper, będzie to część ciemności, którą mam w sobie i przed którą babcia zawsze kazała mi się strzec?

Nie wiem czemu, ale tak nie uważam. Ta bransoleta była mi p r z e z n a c z o n a, jej miejsce jest na moim nadgarstku. Dał mi ją nasz tato jako córce Isobel. Jestem córką Isobel.

I choć te wyjaśnienia są marne i szalone – trzymam się ich.

Późno w nocy coś mnie wyrывa ze snu. Po głowie snuje się szept z marzeń sennych – o biegu, poszukiwaniu i głodzie, o pogoni za c z y m ś, ale nie wiem za czym. Z jakiegoś powodu to ważne, by się dowiedzieć, co to takiego, ale gdy

sięgam do strzępów snu, umykają.

To łóżko jest zbyt wygodne, koce za miękkie, a ja – zdeorientowana, skołowana. Wtem gwałtownie powraca pamięć: Piper i Zak. Jestem u Zaka.

Rozlega się jakiś dźwięk; i znowu. Czy to on mnie obudził? Dobiega zza drzwi, jakby coś w nie skrobało. To pewnie ta mała suczka, Ness. Co mogłoby być innego?

Serce bije mi szybciej; naciągam na siebie koce. Znowu „skrob, skrob” w drzwi. Nie zasnę już, jeśli ich nie otworzę i nie zobaczę, co jest po drugiej stronie.

Jakoś udaje mi się zmobilizować, wstać i przejść przez pokój do drzwi. Teraz dobiega mnie słabe skomlenie; pewnie usłyszała, że się zbliżam. To zdecydowanie Ness.

Czy powinnam ją zlekceważyć i wrócić do łóżka? Przypominam sobie jednak smutne psie ślepią, którymi spoglądała na mnie, kiedy się do niej nie zbliżyłam.

Wiem, jak wariacko muszę wyglądać w oczach Zaka i Piper, bojąc się szczeniaka. Wiem, że to nie ma żadnego sensu; tej dziwnej reakcji sama nie rozumiem. Nigdy nie miałyśmy psa; nigdy nie przebywałam w pobliżu psów, jeśli nie liczyć bardzo rzadkich spotkań, gdy uciekałam jak najszybciej. Więc skąd się ten strach bierze?

„Ogary Wielkiego Łowu” – coś we mnie szepcze. Ścigają na wrzosowiskach nieochrzczonych, nieostrożnych; mordują ich i zanoszą do piekła. Ich głos zwiastuje nieszczęście i śmierć; ich widok – coś gorszego.

Potrząsam głową. To tylko bajki, zmyślenia i koszmary. Bzdury.

Tak sobie wmawiam, lecz niespokojna pewność w głębi duszy mówi mi, że nie bzdury – nie dla babci, nie dla mnie. Ale nawet jeśli nie bzdury, w małej Ness na pewno nie ma nic nadnaturalnego ani przerażającego.

Dla mnie to szansa, żeby spróbować się z nią zaprzyjaźnić – bez świadków.

Suczka znów skomli.

Naprawdę była słodziutka, prawda? Co to Zak o niej powiedział? „Najwyżej polize cię po twarzy”. Nie jest dorosłym psem, tylko szczeniakiem – jak małe dziecko – i nie rozumie, dlaczego jej nie kocham. Wzdycham. Z tym psiakiem mogę nawiązać przyjaźń.

Dam radę. Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi.

Ness leży po drugiej stronie z łebkiem między łapkami. Tłucze ogonem o podłogę i podnosi głowę. Nie skacze, jakby wiedziała, że nie powinna mnie wystraszyć.

Siadam na podłodze, nie tuż przy suczce, tylko nieco dalej. Serce mi wali dziko; wdech, wydech, wdech, wydech.

Psina patrzy na mnie łagodnymi ślepiami, ogonem wciąż z zapalem wali

w podłogę.

Słodziutki szczeniaczek. Nie wielki groźny pies stróżujący jak te, które zabiły Isobel.

Ness była jednak przy tym, kiedy to się stało – gdy psy dopadły moją matkę. Jak się wyrwała? Jak temu szczenięciu o krótkich łapkach udało się uciec przed dużymi złymi psami stróżującymi? Chyba że nie polowały na nią, tylko na samą Isobel. Ciarki mi przechodzą po plecach.

Wyciągam drżącą rękę. Gładzę delikatnie Ness po czubku łebka. Ma miękką sierść, miększą niż ten wielki zdziczały kot, który czasami zaszczycą wizytą babcię. Jej ogon głośniej dudni na podłodze. Wtem suczka rzuca się na mnie, a ja o mało nie krzyczę – udaje mi się powstrzymać własny wrzask. Psina ochoczo liże mnie po twarzy ciepłym mokrym językiem. Czuję zimny nos i miękką sierść na policzku, a potem Ness układa się obok mnie. Moje ręce same ją oplatają odruchowym naturalnym gestem.

Cóż. Chyba nie było tak źle.

Po drugiej stronie korytarza ze skrzypieniem otwierają się drzwi. Staje w nich Zak – w bokserkach i T-shircie, zaspany, ze zmierzwionymi ciemnymi włosami. Cudowny i nierealny, jak życzenie wezwane z późnonocnego snu. Uśmiecha się sennie.

– Zdawało mi się, że coś słyszę, ale wygląda na to, że tu wszystko dobrze. Dobranoc, Quinn.



# P I P E R



*Biegnę i biegnę. Jestem sama, chociaż nie powinnam. Są inni i do mnie dołączą.*

*Ale jest coś, co muszę znaleźć, coś ważnego. Nie wiem, co to. Czuję głód, gonię za czymś, lecz nie wiem, czego szukać.*

*Biegnę przez noc wbrew wyczerpaniu, wbrew własnej woli. Wciąż biegnę – ku czemuś i od czegoś innego.*

*Od czegoś, o czym nie chcę wiedzieć...*

Budzę się w splątanej, przepoconej pościeli, złapana między strachem a gniewem. Mimo godzin snu czuję się strasznie, jakby część mnie faktycznie biegała przez całą noc.

Na dole tato rzuca na mnie okiem i nic nie mówi o szkole.

Otrząsam się ze snu i czekam, aż tato w końcu wyjdzie.

Wciąż jest we mnie ten rozpaczliwy głód, ta pogoń za czymś, jak w tym dziwnym śnie. Czegoś w moim życiu brakuje. Nie mogę iść do przodu, dopóki tego nie znajdę, tyle że ciągle nie wiem, co to właściwie jest.

Mama by mi pomogła. Miałam nadzieję, że zrobi to Quinn, ale zachowuje się tak drażliwie, kiedy próbuję ją o coś pytać. Jeżeli nie zdradzi mi łatwo swych sekretów, postaram się rozegrać to inaczej.

Musi być c o ś, jakaś wskazówka w tym domu. Jeśli się dowiem, skąd mama pochodziła, czy to doprowadzi mnie do odpowiedzi?

Próbowałam szukać za życia mamy, lecz jej uważne oczy wciąż mnie śledziły. Ale teraz jej nie ma.

Największe szanse na znalezienie czegoś będą w jej gabinecie i garderobie. Spędzała tam samotnie mnóstwo czasu.

Staję w drzwiach, przykuta wspomnieniami. Tu, na szeszlunku, mama mi czytała.

Uwielbiała książki; uwielbiała mi czytać, tuliłyśmy się do siebie przy tym. Wtedy było inaczej – kiedy byłam mała, zanim się dowiedziałam, że ma tajemnice.

Zaczynam na regałach, zaglądam do wszystkich książek po kolei, przetrząsam je, zerkam pod zakurzone obwoluty, potem na każdą półkę i do każdej szuflady.

W głębi jednej z szuflad leży jej smartfon. Włączam go i sprawdzam terminarz, miesiąc po miesiącu wstecz, lecz nie ma w nim nic niezwykłego. Ale chyba nie zapisałaby sobie czegoś takiego, jak „wtorek 15.00, odwiedzić sekretną córkę”, prawda? Wyłączam komórkę, odkładam ją do szuflady i szperam dalej. Zaglądam nawet pod szeszlonek i rozpinam jego poduszki, żeby popatrzeć do środka. Nic jednak nie znajduję.

Wobec tego idę do przyległej maminej garderoby. Obmacuję każdą półkę, wewnątrz każdego kapelusza i buta, każdą kieszeń. Nie wiem, czego właściwie szukam, ale musi być gdzieś wskazówka co do tego, skąd mama pochodziła.

Kolej na toaletkę. Myszkuje w szufladach i pod nimi, nawet w kufierku z przyborami do makijażu. Potem w kasetce na biżuterię; wyciągam po kolei szufladki, sprawdzam je wszystkie. Nic. Ale jedna przegródka jest pusta – to dziwne. Marszczę brwi i próbuję sobie przypomnieć, czego może brakować, jednak oddalam tę myśl. „Skup się na zadaniu, Piper”.

Sypialnia rodziców daje raczej mniejsze szanse, mimo to przechodzę do niej

i przetrząsam mamine rzeczy. Wszystkie leżą na miejscu, tak jak je zostawiła. Ciotki zaoferowały tacie, że mogą pomóc w porządkowaniu, by zdecydować, co zatrzymać, a co oddać dla biednych. Nie przyjąłem ich propozycji, ponieważ wolę sama wszystko przejrzeć. Pierwsza.

I znów zostaję z pustymi rękami. Siadam na brzegu łóżka po jej stronie, żeby pomyśleć. Co jeszcze?

Zaraz. Dokument poświadczający zawarcie małżeństwa! Jeżeli znajdę ich akt ślubu, będzie tam chyba napisane, skąd są pan młody i panna młoda? Kiedyś na lekcję historii ktoś w ramach pracy domowej przyniósł akt ślubu swoich dziadków i pamiętam, że śmialiśmy się, bo u babci w rubryce „stan cywilny” wpisano „stara panna”. Na pewno powinny być też adresy obydwójga państwa młodych.

Gdzie ten dokument może być? W gabinecie taty. Jest przecież prawnikiem w każdym calu – królem segregowania papierów. W swoich ogromnych szafach na dokumenty ma wszystko ułożone w alfabetycznym porządku.

Pędzę do drewnianych szaf w jego gabinecie. Otwieram szufladę oznaczoną literą M i przerzucam jej zawartość. Nie ma aktu ślubu. To nie tutaj. Gdzie indziej? Pod A jak akt? Ś jak ślub?

Jednak wszystko, czego próbuję, kończy się niepowodzeniem. Gdzie się pobrali? Może będzie pod nazwą kościoła czy coś w tym stylu? Marszczę brwi. Nie mogę sobie przypomnieć. Czy nie jest to coś, co powinnam wiedzieć od rodziców? Czy pary małżeńskie nie robią tego, nie wspominają swego ślubu?

Tato kiedyś zaczął mi opowiadać o tym, jak się poznali. Skupiam się, próbując sobie przypominać, co mówił. Coś o wakacyjnym wyjeździe, ale nie wiem, gdzie to było. Mama spojrzała na niego znacząco, gdy zaczął o tym mówić, i zaraz zamilkł. Próbowałam wydobyć coś z niego później, kiedy już nie słuchała, ale zmienił temat; pewnie tak mu kazała.

Może wyciągi z jej karty kredytowej? Znajduję teczkę dotyczącą jej karty i przeglądam rachunki z ostatniego roku. Żadnych kwitów ze stacji paliw czy restauracji ani innego miejsca spoza Winchesteru. Ale przecież by ich nie było, prawda? Tato by je zobaczył na wyciągu i chciałby wiedzieć, dokąd wyjeżdżała. Musiała być ostrożna.

Opadam na jego ogromne krzesło przy biurku, czując się pokonana. Te szafy są potężne. Mogę przejrzeć całą ich zawartość, ale to zajmie mi długie tygodnie. Tak czy inaczej tato wkrótce wróci do domu; muszę się stąd zbierać.

Zaczynam bezmyślnie gmerać w jego korespondencji przychodzącej – są w niej głównie rachunki. Telefoniczny, wyciąg bankowy, rachunek za pogrzeb. Akt zgonu mamy. I...

Z a r a z. Co tutaj napisali? Wyciągam dokument ze stosu poczty. Przecieram oczy i patrzę jeszcze raz.

Budzi się we mnie podekscytowanie. Może marnowałam czas, szukając aktu



ślubu wystawionego dla pana i pani Hughes.

Na akcie zgonu nie widnieje Isobel Hughes.  
Tylko Isobel Blackwood.



„Pip, pip”.

Zak wysuwa głowę z lodówki, gdzie sprawdzał możliwości obiadowe, bierze telefon z blatu i sprawdza wiadomość.

– A. Piper mówi, że musi spędzić trochę czasu z tatą, więc gotuje mu obiad. Biedny facet. Napisała, że „powinienem mieć na ciebie oko”. – Śmieje się. – Co mamy ze sobą zrobić?

– Nie wiem. Ale nie zwiedziłam za bardzo Winchesteru. Czy wolno nam wyjść z domu? – Unoszę wyzywająco brew.

Znowu wpatruje się w telefon, po czym zaczyna niezłe naśladować Piper:

– Pod żadnym pozorem nie powinniście wychodzić z domu. – Podnosi wzrok i szczerzy się w uśmiechu. – Żartowałem! Skoro będą oboje w domu, nie ma szans, żebyśmy na siebie wpadli. Chodźmy. Możemy zjeść wczesny obiad u mnie w pracy, zanim zacznie się moja zmiana. – Waha się. – O ile nie założysz szerokiego kapelusza i ciemnych okularów, ludzie pomyślą, że jesteś Piper. Mogę to załatwić, gdyby ktoś się za bardzo zbliżył. Idziesz na taki układ?

– Pewnie, czemu nie? – Udało mi się uchodzić za Piper przed jej ojcem, który na pewno zna ją najlepiej. Jestem gotowa spróbować z innymi mieszkańcami Winchesteru.

Idę na górę, żeby się przygotować. Znajduję należącą do siostry koszulkę z długim rękawem i zsuwam bransoletę z powrotem z ramienia na nadgarstek. Niewygodnie było nosić ją tak wysoko, ale nie odważyłam się mieć jej na widoku, skoro Piper mogła wejść w każdej chwili. Jeśli Zak zauważy ozdobę, może ją rozpoznać, choć niekoniecznie; nie wiem, ile czasu spędził w towarzystwie Isobel. W jego przypadku jednak jestem gotowa na ryzyko.

Gdy schodzę na parter, Zak czeka na mnie w kuchni.

– Naprawdę musimy zabrać ze sobą Ness. Ostatnio w nocy to chyba nie był sen, więc jeśli naprawdę zaprzyjaźniłyście się, pewnie nie będzie ci to przeszkadzać.

– Nie ma problemu.

Gwiżdże na suczkę, przywołując ją z ogrodu, po czym przypina jej krótką smycz do obroży.

Zatrzymuję się w wyjściu. Czółenka Piper może i są ładne, ale mam ich dość. Uwierają mnie. Wkładam więc z powrotem swoje ciężkie buty i wychodzimy.

Zak stawia duże kroki, lecz jestem przyzwyczajona do marszu, i to szybkiego. Z domu babci było wszędzie daleko – kilometrami szło się po wyboistych ścieżkach, wzgórzach i skalistych pagórkach.

Tu drogi są gładkie, brukowane; chodniki; urocze domy i ogrody. Ile musi być ludzi, żeby mieszkali w tych wszystkich domach! To zupełnie inny świat, a moje oczy napawają się nim.

Ness szarpie smycz, ciągnąc za sobą Zaka, chce iść szybciej i szybciej, nagle staje jak wryta, węszy i wyrywa się znowu.

Zatrzymuję się, żeby wyjąć kamyk z buta, i Ness podbiega do mnie. Podskakuję, automatycznie reagując strachem, lecz pokonuję go. Suczka trąca mnie nosem w nogę, żebym szła dalej, a Zak śmieje się z tego.

– Border collie to rasa psów pracujących. Zaganiają owce. Skoro nie ma

owiec, zaganiają ludzi.

– Nie zauważyłam u ciebie żadnych owiec, u Piper też nie.

– Nie. Ostrzegalem ją, że Ness będzie potrzebowała dużo ruchu, ale Piper całym sercem przywiązała się do tej suczki, ledwie ją zobaczyła. Miłość od pierwszego wejrzenia.

– Tak samo jak z tobą i Piper?

– Poniękad. Brzmi frajersko, ale kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, po prostu popatrzyła na mnie i powiedziała, że się znamy. Choć byłem pewien, że nigdy dotąd jej nie widziałem. I tak jakby coś we mnie ją rozpoznało. Jakbym się do niej dostroił.

– Tiaaa, kompletnie frajersko – mówię na głos, lecz w duchu zastanawiam się nad tym. Czy to naprawdę tak działa? Po prostu mu tak powiedziała, a on już wiedział? My dwie wyglądamy dokładnie tak samo. Czy gdyby mnie spotkał pierwszą, zdarzyłoby się to samo?

Potrząsam głową. To jedno z pytań, na które nie będzie odpowiedzi.



# P I P E R



Kiedy w końcu słyszę, jak podejźdza tato, jest późno – znacznie później, niż zapowiadał.

Otwierają się drzwi od frontu. Cisza, następnie kroki zmierzające w moją stronę – tato idzie ku światłom zapalonym w jadalni. Staje w wejściu i widzi zastawiony stół oraz mnie siedzącą z głową opartą na rękach.

– O, Piper. Zrobiłaś obiad?

Kiwam głową i patrzę na niego przez rzęsy.

– Pomyślałam, że powinniśmy spróbować, no wiesz, zrobić razem coś rodzinnego, ale... – Wzruszam ramionami i urywam zdanie.

Stawia neseser na podłodze, podchodzi, podnosi mnie za ręce z krzesła, bierze w ramiona i całuje w policzek.

– Przepraszam, że się spóźniłem, kwiatuszk. Pierwszy dzień po urlopie, straszliwy zamęt.

– W porządku.

– Nie, nie w porządku. – Zaczyna opowiadać, jak usiłował wyrwać się z pracy o rozsądnej porze, że jestem ważna, wszystko to, co miliony razy już mówił do mamy. Wtem, jakby sam też zauważył echo, przerywa i uśmiecha się cierpko. – Cóż, w każdym razie zrobię, co w mojej mocy.

Odpowiadam uśmiechem.

– Zgodna. Zobaczę, czy obiad przetrwał.

Idzie za mną do kuchni. Podnoszę pokrywkę rondla z potrawą usmażoną na gorącym tłuszczu – trzymałam ją na wolnym ogniu stanowczo zbyt długo – i krzywię się na widok wyschniętych resztek. Tato zagląda mi przez ramię.

– Możemy to zjeść. Wygląda smakowicie! – Uśmiecha się szeroko.

– Daj spokój z udawaniem. Nie, nie możemy. Wygląda tragicznie. Nawet Ness by tego nie jadła, gdyby tutaj była.

– Chcesz wyjść do restauracji? – pyta, ale potrząsam głową. – Albo zamówić pizzę?

Posyłam mu prawdziwy uśmiech.

– Tak, pizzę! Tak zrobmy. Idź się może przebrać, a ja zamówię. – Waham się. – Taką jak zwykle?

Tato zatrzymuje się. Tyle lat negocjowanych rodzinnie składników.

– Wiesz, nie wydaje mi się, żebym teraz mógł zjeść pizzę z cebulą. To byłoby niewłaściwe.

– Ja tak samo. Zamówię taką jak zawsze.

Kiedy tato jest już na górze, zamykam drzwi i dzwonię do pizzerii, z której usług korzystamy – tej, w której po szkole odbiera telefony koleżanka z lekcji angielskiego; nawet kiedy się bardzo stara, nie jest szybka. Składam zamówienie i proszę ją, żeby siedziała nad nim godzinę. To może trochę potrwać.

Gdy tato schodzi na dół, czekają na niego otwarte czerwone wino i album ze zdjęciami.

– Pamiętasz tę fotkę, Piper? – pokazuje zdjęcie ze mną na rowerze, który dostałam na szóste urodziny. Uśmiecham się na nim od ucha do ucha. – Właśnie po raz pierwszy przejechałaś całą długość podjazdu.

– Jasne, że pamiętam. Chyba pstryknęłaś ją tuż przed tym, jak spadłam i złamałam rękę.

Przewraca kartkę i widzi mnie z gipsem na ramieniu i z drżącą dolną wargą. Ostatnia strona albumu. Zamykam go i biorę kolejny.

– Twoja matka była na mnie taka zła, że nie biegłem obok roweru i nie złapałem cię. – Tato potrząsa głową. – W jednej minucie śmiałaś się i pędziłaś podjazdem, a w następnej jakby cię coś podcięło i wyrzuciło w powietrze. Nie mogłem dociec, jak to się stało. Powinienem być bliżej. Powinienem był cię złapać.

– Ale nie pozwoliłabym, żebyś mi pomógł, prawda?

– Nie. Już wtedy byłaś taka uparta jak teraz.

Biorę drugi album i przeglądam go, aż natrafiam na zdjęcie, które przedstawia mnie w łóżku bladą jak prześcieradło. Zamykam szybko album. Miałam najgorszą gripę w historii. Przyszła najwyraźniej znikąd: w jednej chwili czułam się świetnie, a w następnej, cóż... O mało nie umarłam. Opuściłam całe tygodnie szkoły, a wtedy jeszcze lubiłam do niej chodzić. Na myśl o majakach, które mnie nawiedzały wówczas w gorączce, dostaję dreszczy. Do teraz.

– Tato, czy jest jakiś album z tobą i mamą, zanim się pojawiłam? Nie widać tu żadnych zdjęć was dwojga z tamtych czasów.

Zaczyna układać albumy w stertę.

– Dość zdjęć na dziś. Umieram z głodu. Gdzie ta pizza? Zadzwoń do nich jeszcze raz. – Podnosi się z miejsca.

– Nie, daj spokój. Wiesz, że zawsze długo im schodzi. Tato, gdzie jest album z waszymi zdjęciami ślubnymi? Przeszukałam wszystko. Nie mogę go znaleźć.

– Nie mamy takiego albumu.

– Dlaczego? Przecież wszyscy pragną zatrzymać wspomnienia z dnia, w którym poślubili miłość swojego życia.

Wierci się na siedzeniu, nalewa sobie więcej wina do kieliszka.

– No, tak przypuszczam, ale... eee...

– Zaczynam myśleć, że ty i mama nigdy się nie pobraliście.

Patrzy na mnie i tam, w jego oczach, widzę potwierdzenie. Mimo swoich podejrzeń jestem w szoku.

– Nie pobraliście się, tak?

– A czy to ma znaczenie?

– Czy nie jest to rzecz, o której mam prawo wiedzieć, jeśli chodzi o własnych rodziców? Jak mogliście to przede mną ukrywać?

– Isobel tego chciała. Twoja matka miała swoje poglądy. Sama wiesz, jaka była.

– Czy wiem? Mam wrażenie, że pod wieloma względami w ogóle jej tak naprawdę nie znałam, a teraz jest za późno, żeby to naprawić. Nigdy jej nie poznam.

– Och, kwiatuszku...

– Nic nie wiem nawet o tak zwyczajnych rzeczach jak to, skąd pochodziła,

gdzie mieszkała, kto był jej rodziną. Jej rodzina jest też moją rodziną. Teraz, kiedy odeszła, chciałabym odnaleźć krewnych. Ale ile razy ją o nich pytałam, nigdy mi nic nie mówiła.

– Wiele ci tu nie pomogę. Odcięła się od rodziny. Nigdy nikogo z nich nie poznałem.

– No, musisz przynajmniej wiedzieć, skąd się wzięła!

Potrząsa głową.

– Słowo daję, nie mam pojęcia. Wypytywałem ją od czasu do czasu, ale nigdy nie odpowiadała i w końcu w jakimś momencie doszedłem do wniosku, że to nie takie ważne.

– Czy wiesz, dlaczego się odcięła?

– Nie znam szczegółów. Chodziło o coś w tym stylu, że Isobel nie chciała wejść w rodzinny interes albo zrobić czegoś, czego od niej żądała jej matka.

– Kiepski powód do tego, żeby się więcej nie widywać.

– Może tak, może nie. Niewykluczone, że Isobel wiedziała, co robi, i że dla ciebie lepiej będzie trzymać się od nich z daleka.

Krzyżuję ręce na piersi.

– Może to ja powinnam podjąć w tej sprawie decyzję? Nie możesz mnie chronić przed wszystkim, tak samo jak nie mogłeś mnie powstrzymać od jazdy na tamtym rowerze.

– To prawda. – Pociąga kolejny łyk wina. – Nigdy w pełni nie zgadzałem się z twoją matką co do tego, by trzymać cię z dala od tych rzeczy. Ona sobie tego życzyła. Ale teraz, kiedy jej nie ma...

– Jest coś, co mi możesz powiedzieć, prawda? – Zmuszam go, żeby mi patrzył w oczy. – Proszę, tato, powiedz mi. Powiedz cokolwiek, co o niej wiesz. Na początek powiedz, gdzie się poznaliście.

– Dobrze. Gdy ją poznałem, pracowała w hotelu. Byłem tam na pieszej wycieczce z przyjaciółmi. Była wtedy taka piękna... nie żeby wciąż nie była piękna. – W jego oczach widać zadumę. – Rozświetliła pokój. A ja nie byłem właściwie flirciarzem.

– Nie, naprawdę?

Udaje srogie spojrzenie.

– Nie pozwalaj sobie. Tak czy inaczej, było w niej coś takiego... I choć trudno to sobie wyobrazić, najwyraźniej spodobałem się jej. Wybrała mnie. Powiedziała mi, że się znamy. Początkowo trudno mi było w to uwierzyć. To znaczy ona wyglądała wspaniale i była zabawna, a ja byłem... znacznie od niej starszy, prawnik sztywniak, który prawie już nie pamiętał, że umie się śmiać. Ona mi to przypomniała.

– I?

– Można by chyba powiedzieć, że to był wakacyjny romans, ale dla mnie to



było coś więcej. Wróciłem do domu, myśląc, że nigdy jej więcej nie zobaczę i że tak powinno być, nie mogłem jednak przestać o niej myśleć. Zadzwoiłem do hotelu, ale powiedzieli mi, że już u nich nie pracuje. I nie wiedzieli, dokąd odeszła.

– Co to był za hotel?

Marszczy brwi.

– Nie chce mi się wierzyć, że nie pamiętam jego nazwy. Szyld... była na nim dwójka. Dwa coś tam. Dwie Rzeki? Coś w tym stylu, choć niezupełnie.

– Gdzie to było?

– W Dartmoor.

– Więc jak ją odnalazłeś?

– Nie odnalazłem. Ona odszukała mnie. Zapukała do moich drzwi jakieś dziesięć miesięcy później. Z tobą w ramionach.

Szczeka mi opada. Tego się nie spodziewałam.

– No coś ty? Chcesz powiedzieć, że nie byliście razem, kiedy się u r o d z i ł a m?

To by wyjaśniało, dlaczego nic nie wie o Quinn. Mama miała bliźniaczki, ale przyszła do niego tylko z jedną córką; drugą gdzieś zostawiła. Dlaczego?

– Nie. Powiedziała, że myślała, że da sobie radę sama, ale nie dała. Że cena, jaką musiałyby zapłacić za pozostanie ze swoją rodziną, była za wysoka. I że jesteś moim dzieckiem.

– A ty jej uwierzyłeś?

Spogląda na mnie podejrzliwie.

– Oczywiście, że tak. Jak miałbym nie uwierzyć? Poza tym twój wiek się zgadzał.

– Więc jednak się zastanawiałeś, skoro liczyłeś miesiące.

– Nie. To mój brat i partner wszystko kwestionowali i dbali o moje interesy. Dopiero kiedy ją poznali, pokochali. Miała taki wpływ na wszystkich dokoła.

– Ale dlaczego nie wzięliście ślubu?

– O, prosiłem ją wiele razy. Nie chciała z powodów, których nigdy w pełni nie zrozumiałem.

– Jednak zawsze byliście znani jako pan i pani Hughes. Oboje nosiliście obrączki!

– Pojechaliśmy na wakacje, a gdy wróciliśmy, powiedzieliśmy wszystkim, że wzięliśmy cichy ślub.

– Hm, niech sprawdzę, czy dobrze rozumiem: moi rodzice nie byli małżeństwem i okłamali wszystkich na ten temat. Czy ja chociaż naprawdę nazywam się Hughes?

Potrząsa głową.

– Nie. Zgodnie z prawem nazywasz się tak jak twoja matka. Nie było mnie przy tym, gdy się urodziłaś, nie podała nazwiska ojca na twoim akcie urodzenia.

- Jak się nazywam w takim razie?
- Czy to ma teraz jakieś znaczenie?
- Dla mnie tak. To moje nazwisko. – Zmuszam go siłą woli, żeby mi je powiedział, bo jeśli będę musiała skonfrontować go z tym, co widziałam na akcie zgonu, dowie się, że grzebałam w papierach w jego biurze.
- Opróżnia kieliszek i napełnia go ponownie.
- Nazywasz się Blackwood.
- Piper Blackwood – mówię to na głos po raz pierwszy, wypróbując, smakując, sprawdzając, jakie to uczucie na języku. – Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego nie chciała wziąć ślubu, tylko wołała przed znajomymi udawać, że jesteście małżeństwem. Mam na myśli, że nikogo tak naprawdę by nie obchodziło, że nie dopełniliście formalności. Może z wyjątkiem twoich ciotek.
- Myślałem kiedyś, że nie chce ślubu, bo pewnego dnia zniknie. Oczywiście nie zniknęła, więc to nie był powód.
- O ile nie miała takiego zamiaru i nie rozmyśliła się.
- Rzeczywiście przyszło mi to do głowy. Twoja matka potrafiła być czasami przebiegłą istotą. Co mnie martwi, ponieważ coraz bardziej upodabniasz się do niej.
- Przebiegle się za ciebie wezmę! Ale czy nigdy nie pojawiła się jakaś aluzja czy wskazówka co do tego, czemu nie chciała ślubu?
- Tato waha się.
- Cóż, pewnego razu wspomniała coś o dziedzictwie.
- Spoglądałam na niego i ledwie mi się udaje powstrzymać okrzyk: „Aha! Wiedziałam”. Wiedziałam, że coś jest na rzeczy; coś ukryte wśród spraw, o których mama nie mówiła.
- O dziedzictwie? Wiesz, o co chodzi? – Bezskutecznie próbuję nadać swoim słowom niedbały ton.
- Nie wiem. Było w jej rodzinie coś, co można odziedziczyć tylko pod nazwiskiem Blackwood, a małżeństwo unieważniłoby tę możliwość. Ale nie wiem ani co to takiego, ani gdzie się znajduje. Myślę też, że używając mojego nazwiska, w jakiś sposób dystansowała się od krewnych. Albo może dzięki temu trudniej im było ją znaleźć?
- Jeśli jednak nigdy nie zamierzała wracać, dlaczego miałoby ją obchodzić, czy coś odziedziczy, czy nie? Ciekawe, co to może być.
- Nie wyobrażam sobie, żeby to miało być coś więcej niż spadek, który dostaniesz po mnie. Nie szukaj sobie problemów.
- Hm... Czy będzie mi się należał spadek po tobie, skoro nie nazywam się Piper Hughes?
- O, tym się nie martw. Zrobiliśmy odpowiednie zapisy prawne, gdy jeszcze byłaś małą. Zostałaś legalnie adoptowana.

– Ale jak mogłeś mnie adoptować, jeżeli jestem twoim dzieckiem?

– Jesteś moją córką. Co do tego nie ma cienia wątpliwości – mówi i widzę, że w to wierzy, sama jednak nie mam takiej pewności. – Ale ponieważ nie ma mnie na twoim akcie urodzenia, trzeba było dopilnować, żeby wszystko było przeprowadzone zgodnie z prawem. To przez tego prawnika, który we mnie siedzi, nie mogłem się powstrzymać. Chciałem zmienić wówczas również twoje nazwisko na Hughes, ale Isobel sobie tego nie życzyła.

– Niech sprawdzę, czy wszystko dobrze rozumiem. Isobel Blackwood pracowała w hotelu, miała z tobą przygodę miłosną, a dziesięć miesięcy później pojawiła się ze mną w ramionach i powiedziała, że jestem twoją córką. I nie wyszła za ciebie, tylko udawała twoją żonę, a ty okłamywałeś wszystkich znajomych. I robiła to, żeby zostało przy mnie nazwisko Blackwood z powodu możliwego spadku, ty jednak nie wiesz, co to jest ani gdzie się znajduje. Czy tak?

– Piper, w twoich ustach to brzmi jak szaleństwo. Ale tak nie było. Twoja matka to najlepsze, co mnie spotkało w życiu. Uwielbiałem ją. Kiedy wchodziła do pokoju, rozświecała się; gdy wychodziła, zapadała ciemność. Nigdy nie miało dla mnie znaczenia, skąd pochodzi ani dlaczego nie chce o tym rozmawiać. I zawsze cię kochałem. – Wyciąga rękę i dotyka mojego policzka.

– Wiem, tato.

– Ale jak mogę bez niej żyć? Słońce zaszło i więcej już nie wstanie.

Odchyła się na sofie, zamyka oczy, a obok niego stoi niemal opróżniona butelka wina. Spod zamkniętej powieki przeciska się łza i spływa mu po twarzy.

Nie mogę się ruszyć, nie mogę mówić. Jestem taka z łza na wszystkie te sekrety, które mama miała przede mną; wściekła do szpiku kości. Tato również w tym uczestniczył, ale wiem czemu. Był całkowicie pod jej urokiem. Nie miał wyboru.

Jestem też podekscytowana – w środku aż się od tego wiercę. D z i e d z i c t w o. W takiej rodzinie jak mamina, jak moja, jakie są możliwości? Cóż.

Mama odwróciła się od tego, kim była, ale to był jej wybór, nie mój. Nie powiedziała mi o swoich krewnych ani o tym, gdzie są. Jedyne, co od niej słyszałam, to ostrzeżenia, żeby się od nich trzymać z daleka. Mimo to dopilnowała, żebym została przy nazwisku Blackwood. Czy zrobiłaby to, nie mając ważnego powodu? Zapewne wiedziała, że będzie mnie ciągnęło do tamtej rodziny. A może to pokazuje, że wciąż była z nią jakoś związana? Wiem, że od czasu do czasu odwiedzała Quinn. Czy widywała się też z innymi krewnymi? Może mimo wszystko aż tak bardzo się n i e o d c i ę ł a.

Muszę się dowiedzieć, co to za dziedzictwo. M u s z ę.

I jest jedna osoba, która może mi w tym pomóc: Quinn. Wychowywała ją nasza babcia; ona n a p e w n o wie.

„Quinn Blackwood, jakoś w końcu sprawię, że mi powiesz”.

Tato właśnie się ocknął z zadumy, sięga po kieliszek.

Przechwytnę jego rękę i zatrzymuję ją.

– Tato, posłuchaj. Wszystko się ułoży. Będziesz smutny, ale z każdym dniem coraz mniej, aż w końcu ci przejdzie. A na dziś dość już wina.

Kiwa głową, jego oczy szukają mego wzroku.

– Jesteś jak Isobel. Gdy coś mówiła właśnie w ten sposób, zawsze wiedziałem, że to prawda.

Półprawda, przynajmniej. Ponieważ to jest sekret, czyż nie? Obserwowałam tę zdolność u mamy i doświadczyłam jej u siebie. Powiedz półprawdę, wymów ją wystarczająco mocno, a uwierzą.



– Cześć, piękna!

To musi być przyjaciel Zaka, ten właściciel restauracji, Giles. Jest całkiem przystojny – niebieskooki blondyn, prawie taki wysoki jak Zak, ale pod innymi względami raczej jego przeciwieństwo.

Pędzi do nas, pochyla się i całuje mnie w policzek, a nie jest to całus w powietrzu – ciepłe usta ociągają się na mojej skórze. Na szczęście Zak ostrzegł

mnie, że tak będzie, dzięki czemu nie zbaraniałam. Prawie. Wciąż czuję ciepło wspinające mi się po szyi na twarz, pochylam się więc, żeby pogłaskać Ness i nikomu nie pokazać rumieńca.

– Siadajcie tam gdzie zawsze – mówi Giles. – Zak, możemy na szybko pogadać o grafiku? – I ciągnie go w stronę drzwi na tyłach.

Tam gdzie zawsze? Zak nie odwraca się, lecz pokazuje ręką stolik w kącie przy oknie. Jest za wcześnie na obiad i w lokalu prawie nikogo nie ma – zaledwie tu i tam kilkoro ludzi siedzących nad kawą. Przy barze kelnerka o znudzonym wyrazie twarzy poleruje kieliszki. Macha do mnie ręką, gdy przechwytuje moje spojrzenie, więc odpowiadam takim samym gestem. Pochyla się za barem, po czym podchodzi z miską wody. Stawia ją przed Ness i suczka chłepcze łapczywie.

– Dziękuję – mówię, nie mając pojęcia, kim jest ta kobieta. Zerkam na drzwi od zaplecza. „Wracaj, Zak”.

Kelnerka siada na krześle naprzeciwko mnie

– Kochanie, jak tam pogrzeb?

– Eee... w porządku. – Co niby można odpowiedzieć na takie pytanie? „Było super”? Poza tym większość ceremonii i tak mi umknęła, bo wpatrywałam się w tył głowy Piper, nie mogąc ogarnąć, że mam siostrę. W dodatku bliźniaczkę.

Kobieta wyciąga rękę i kładzie ją na mojej dłoni na stole, żeby przekazać mi uścisk.

– Dzielna dziewczyna. O, co to jest? Zak dał ci jakąś poważną biżuterię? – Jej sokole oko zauważyło koniuszek wisiora bransolety.

Potrząsam głową, próbując cofnąć dłoń, lecz ona już ją złapała i podciągnęła rękaw, który wydawał mi się na tyle długi, by ukryć ozdobę.

– Ooo, to naprawdę interesujące. Skąd pochodzi?

Gapię się nerwowo na drzwi, za którymi zniknął Zak.

– Należało do mojej matki – przyznaję.

– Naprawdę? Czy wiesz, skąd to wzięła?

Wciąż trzyma mnie za rękę i bada bransoletę w sposób, który mnie zaciekawia.

– Nie wiem. Zawsze miała tę bransoletę. Czy według ciebie to coś znaczy?

– Nie jestem pewna, ale myślę, że już coś takiego widziałam. Może w moim sklepie? No, gdzie to było...?

Słyszę otwierające się za mną drzwi i odgłos kroków. Zak?

– Zostawię was teraz samych – mówi kelnerka, puszczając moją dłoń. Gładzi mnie po policzku i wraca za bar.

Chowam obie ręce pod stołem, w momencie gdy Zak siada naprzeciwko mnie.

– Wszystko w porządku? Co Wendy miała do powiedzenia?

Potrząsam głową.

– Nic takiego. Pytała o pogrzeb i w ogóle.

Przygląda mi się bacznie.

– Ale coś cię poruszyło, prawda? Słuchaj, nie pozwól, żeby cię omamiła. Z jakiegoś powodu zawsze próbuje rozmawiać z Piper. Chyba jest nią zafascynowana.

– Mówiła coś o swoim sklepie. Co to za sklep?

– Z amuletami, kryształkami i różnym takim dziwactwem. Kręci ją wiedza tajemna. Pracuje tu wieczorami, kiedy jej sklepik jest zamknięty.

– Co Piper o niej myśli? Czy bierze ją poważnie? – Coś mnie skłania, żebym zadała to pytanie.

– Nazywa ją Szurniętą Wendy. Na ogół jej unika. Wendy zapewne była zachwycona, że z nią pogawędziłaś. Ale jest w porządku, naprawdę. Trochę wariacko zakręcona, a Piper nie ma zbyt cierpliwości.

Zak wręcza mi menu, a ja patrzę na nazwy potraw, nie widząc słów. Zaklęcia i amulety dla Piper i Zaka mogą brzmieć jak wariactwo, ale nie dla mnie. Zbyt wiele czasu spędziłam wśród ludzi, którzy w nie wierzą. Czy sama wierzę, czy nie, naprawdę nie umiem powiedzieć. Zdaje się, że widziałam w życiu dziwne rzeczy. Babcia jest całkowicie przekonana do tych spraw.

– Na co masz ochotę? – pyta Zak.

Patrzę na niego przez chwilę zdezorientowana – w jego ciepłe oczy, oczy, które stają się jeszcze cieplejsze, gdy spogląda na Piper. Na co mam ochotę? O. Chodzi mu o jedzenie.

Ness nagle doskakuje do okna z ujadaniem, a we mnie serce zamiera. Na zewnątrz przechodzi kobieta z dużym psem na smyczy. Psisko odwraca się i patrzy na Ness przez okno, nie wykazując zainteresowania.

– Cicho! Siad – napomina ją Zak. – Siad! – powtarza bardziej stanowczo.

A Ness wygląda na rozdartą – spogląda to na niego, to na okno, w końcu jednak siada.

– Dobra psina – mówi Zak i pochyla się, żeby ją pogłaskać po głowie. Po czym zwraca się do mnie: – W porządku?

– Tak. Przepraszam. Nic mi nie jest. Gdy Ness zaczęła szczekać... no... Naprawdę się wystraszyłam.

– Co ci się przydarzyło, że tak bardzo boisz się psów?

– Nie wiem. A chciałabym wiedzieć...

*Głuche warczenie. Nieprzyjemne, kwaśne zianie. Łapy na mojej piersi, ledwie mogę oddychać. Płaczę cicho wielkimi łzami spływającymi po policzkach, zbyt przerażona, by wydać dźwięk, zbyt przerażona, by się poruszyć.*

– *Juści, ooop!* – *Męski głos. Pies schodzi ze mnie. Głosy: tego człowieka i babci.*

– *To powinno wystarczyć – mówi babcia. Potem oddalają się i już ich nie*

słyszę.

„Piper, Piper...”

Głosy powtarzają czyjeś imię.

Kim jest Piper?

Moją siostrą. Te głosy myślą, że ja to ona.

Wracam do rzeczywistości, otwieram oczy. Zak trzyma moją głowę, tuż obok niego klęczy Wendy. Jestem na podłodze?

– W porządku, Piper? – pyta chłopak mojej siostry.

– Eee... tak. Chyba. Co się stało?

– Zbielałaś i osunęłaś się z krzesła. Chyba zemdlałaś – mówi Zak. – Zdarzało ci się to już wcześniej?

Zaczynam zaprzeczać, gdy wtem...

*Przemieściłam się. Omdlenie – nie omdlenie. To coś innego.*

– *Musimy położyć temu kres – rozlega się głos Isobel, stanowczy i wyostrzony strachem.*

Potrząsam głową i odpędzam to od siebie – czymkolwiek jest. Wspomnieniem? Wizją? Tym razem udaje mi się zachować przytomność – ledwie. Co się ze mną dzieje?

Ness wierci się u mojego boku, liżąc mnie po twarzy. Patrzę na nią teraz innymi oczyma, ze zrozumieniem. Ci ludzie zaszczepili we mnie strach przed psami. Celowo. Czemu ktoś miałby robić coś takiego?

„Postanawiam, że nigdy więcej nie będę się bała psów”. Otaczam suczkę ramionami. Nagle z oczu tryskają mi łzy, których nie potrafię zatrzymać.

Wokół mnie rozlega się pomruk głosów.

– Chodź, piękna. – To Giles. – Odwiozę cię do domu, a twojemu kochasiowi dam wolny wieczór. Nie ma dziś dużego ruchu. Damy radę bez niego.

Do domu? Dom Piper nie jest moim domem. Namawiamy Gilesa, żeby zabrał nas oboje do Zaka. To najbliższe miejsce, gdzie mogę się schronić.

Później siedzę u Zaka na sofie, owinięta kocem, a Ness leży obok mnie. W drżących dłoniach trzymam wielki kubek herbaty.

– Przepraszam, że ci zrujnowałam wieczór – mówię.

– Nie przepraszaj. Na pewno nic ci nie jest?

– Nie. Tak. Nie wiem. Ale chyba mi przejdzie. Dziękuję, że się mną opiekujesz.

– Żaden problem.

– Piper będzie wściekła. Przeze mnie wszyscy pomyślą, że jej odbiło.

Zak potrząsa głową.

– Nikt nie pomyślał, że ci odbiło. Właśnie umarła twoja matka. Wolno ci zemdleć i płakać, jeśli czujesz taką potrzebę.

– Piper się z tobą nie zgodzi. Ona nie traci nad sobą kontroli.



Skądś wiem o tym, mimo że znam ją od niedawna.

– To może być na ogół prawdą, chociaż od czasu do czasu zdarza się jej napad złości. Ale pewnie jakoś to przeboleje. Więc... powiesz mi, co się stało?

Odstawiam herbatę na stół, odchylam się w tył i wzdycham.

– Kiedy mnie zapytałeś, czemu boję się psów, pojawiło się coś w rodzaju wspomnienia. Nigdy nie wiedziałam dlaczego, ale to wspomnienie było takie, jakby działo się tu i teraz. Byłam naprawdę mała, miałam może cztery albo pięć lat. A ten okropny pies warczał, szczyrzył zęby i stał mi na piersi. Był ogromny, ledwie mogłam oddychać i... – Potrząsam głową, nie chcąc wracać do tego myśla.

Zak wstaje z krzesła i siada obok mnie na sofie. Bierze mnie za rękę.

– Przykro mi, że wywołałem u ciebie takie wspomnienie. To brzmi strasznie, przerażająco.

– W porządku. Nie żałuję. Teraz znam powód.

Ale nie mówię mu całej reszty. Że zrobili mi to ten mężczyzna i jego pies, a także moja własna babcia.

Jak mogła?

Nie mówię też o tym, co przypomniałam sobie potem – to omdlenie, które nie było omdleniem – i co wzbudziło taki strach w Isobel.

Ness podnosi na mnie wzrok i liże mnie po twarzy. Jej ciepłe ciało pomaga mi opanować drżenie – to oraz fakt, że Zak trzyma mnie za rękę.

Tej nocy boję się zasnąć. Za każdym razem gdy zamykam oczy, widzę tego wyszczerzonego psa, czuję jego ciężar na piersi.

I słyszę głos babci:

„To powinno wystarczyć... to powinno wystarczyć... to powinno wystarczyć...”

*Ryję patykami w ziemi, rysując obraz z mojego nocnego koszmaru.*

*Zęby. Pazury. Oczy. Powinny być czerwone. Jak narysować na ziemi czerwone oczy?*

*Nieodparcie ciągnie mnie do ogrodu – do szczególnego ogrodu babci. Po murze wspina się tam pnącze o czerwonych owocach.*

*Nikt nie patrzy. Isobel jest z babcią w kuchni. Dopiero co weszły; posiedzą tam całe wieki.*

*Zakradam się i zrywam garść owoców, po czym biegnę za kurnik. Cierń z pnącza zaciął mnie w palec. Ssę rankę, a następnie rozgniatam i wyciskam owoce na piasek, żeby zrobić oczy. Wychodzą wybałuszone, jaskrawe. Idealnie.*

*Przysiadam na piętach, żeby przyjrzeć się swemu dziełu. Czy pazury nie powinny być większe?*

*Wtem wydrapany w ziemi zarys migocze. Czerwone ślepia mrugają. Mięśnie stwora falują i rozciągają się, po czym napinają, by się wydostać z ziemi.*

*Z gardła wyrzywa mi się bezwiedny krzyk. Uciekam i wpadam prosto na*

*Isobel, o mało jej nie przewracając. Matka chwytą mnie i nie puszcza. Tuż za nią stoi babcia.*

*– Posłuchaj mnie, Quinn. Tylko ty możesz go odesłać z powrotem.*

*Płaczę, wyrywam się, ale Isobel mocno trzyma mnie za ramiona. Odwraca mnie siłą.*

*– Quinn, otwórz oczy! – mówi babcia i muszę jej posłuchać. Patrzę na nią, bojąc się spojrzeć gdzie indziej. – Wyciągnij rękę – rozkazuje i schyla się. Wyciągam rękę, a ona kładzie mi na dłoń trochę ziemi. – Rzuć mu tym w oczy i powiedz, żeby znów się obrócił w proch. No, już. Dasz radę, Quinn.*

*Z drżeniem podnoszę wzrok. Przed nami stoi postać z mojego koszmaru – okropna, wysoka, z długimi ramionami i potężnymi pazurami, które się wloką po ziemi. Chcę krzyknąć, uciekać. Ale ona po prostu stoi, jakby na coś czekała. Czeką, by jej powiedzieć, co ma zrobić.*

*Rzucam ziemię.*

*– Obróć się znowu w proch! – wołam.*

*Stwór znika.*

*I zaraz palce Isobel wpijają mi się we włosy. Matka ciągnie mnie za nie do domu i w korytarzu rzuca mnie na podłogę.*

*Babcia wchodzi za nią. Schyla się, bierze moje ręce, przygląda się poplamionym na czerwono palcom i potrząsa głową.*

*– Nigdy więcej nie ruszysz moich roślin – mówi. Wypowiada to w ten powolny, szczególny sposób, że słowa wkradają się w moje myśli i oplatają mnie w środku.*

*– Skąd wiedziałaś, że trzeba mieszać krew z jagodami? – pyta gniewnie Isobel. – Skąd wiedziałaś, jaki kształt narysować?*

*– Nie wiedziałam! Po prostu narysowałam coś ze snu i potrzebowałam czerwonych oczu, dlatego wzięłam owoce. Skaleczyłam się w palec cierniem! – wołam z płaczem. Głowa mnie boli po tym wleczeniu; z kolana, którym uderzyłam się o drzwi, leci krew.*

*– Na pewno kłamie – stwierdza Isobel.*

*Babcia kręci głową.*

*– Nie sądzę. Nie zawezwała stwora, tylko go zrobiła.*

*Ale matka i tak zamyka mnie w szafie za kłamstwo. Słyszę ich głosy, lecz nie słowa. Gniewne głosy. Zdenerwowane głosy. Znowu gniewne.*

*Później babcia otwiera szafę; matki już nie ma.*

*Spogląda na mnie bardzo poważnie.*

*– Naprawdę nie wiedziałaś, co zrobią owoce, prawda?*

*– Nie. Daję słowo, że nie!*

*– Masz taki talent do wpadania w kłopoty. – Wzdycha. – Quinn, musisz się strzec ciemności, którą w sobie nosisz. Tak łatwo cię odnajduje. I zwodzi. Musisz*

*być czujna, pilnować się z całych sił.*



# P I P E R



Gdy idę, po niebie przetaczają się chmury, a nagie gałęzie drzew wydają się niemal czarne, jak w moim nazwisku: Blackwood<sup>2</sup>. Tulę mocno do siebie tę wiedzę.

Kiedy docieram do domu Zaka, zaczyna padać.

– Hej? – wołam od progu. Starannie wymierzyłam czas, żeby zastać Quinn samą; Zak od pół godziny powinien być w pracy.

– Cześć – odpowiada Quinn. Siedzi na sofie z kolanami owiniętymi pledem Zaka, z książką w ręce i Ness zwiniętą w kłębek obok niej. Twarz ma bladą, zmęczoną.

– Przytulnie się masz. – Wchodzę, siadam na krześle naprzeciwko i klepię się po kolanach. – Cześć, Ness!

Suczka podnosi głowę. Macha ogonem. Patrzy to na Quinn, to na mnie i na jej mordce maluje się niemal ludzkie zakłopotanie. Ale zostaje tam, gdzie jest.

– Przepraszam – mówi Quinn ze zmieszaną miną. – Czy mam ją zgonić?

– Nie, jasne, że nie. Skoro jesteśmy bliźniaczkami, to oczywiste, że jej się miesza. – Tak mówię, choć poprzedniego dnia nie wyglądało na to, żeby Ness miała jakieś kłopoty z rozróżnieniem nas, i czuję się dotknięta. Otrząsam się z tego.

– Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że musisz spędzić trochę czasu ze swoim tatą. Jak on się czuje?

– Z n a s z y m tatą. Nic mu nie jest. Mniej więcej. Posiedzieliśmy sobie i pooglądaliśmy zdjęcia rodzinne, rozmawiając o mamie. I o przeszłości. Dowiedziałam się kilku interesujących rzeczy.

Quinn zamyka książkę.

– O? Na przykład?

– Nie urodziłyśmy się tutaj. Nasi rodzice poznali się w jakimś hotelu, gdzie mama pracowała, a tato był na wycieczce. Zakochali się w sobie szaleńczo! Ale on ją pożegnał i wrócił do siebie, do domu i pracy.

– W takim razie nie była to taka szaleńcza miłość.

– Zawsze był Kapitanem Rozsądnym. Ale wtedy uświadomił sobie swój błąd i zadzwonił do tego hotelu. Powiedzieli mu jednak, że się zwolniła, wyjechała, i nie wiedzieli dokąd. Był załamany. A potem, dziesięć miesięcy później, pojawiła się u jego drzwi ze mną w ramionach. I powiedziała, że jestem jego dzieckiem. Więc miałam rację: nigdy o tobie nie wiedział.

– Gratulacje. Jesteś Herkulesem Poirot z Winchesteru.

Quinn odchyła się w tył, krzyżuje ramiona; nie chce o tym rozmawiać. Ale nie zawsze dostaje się to, czego się chce.

– Dlaczego zabrała mnie, a ciebie gdzieś zostawiła?

– Nie mam pojęcia – odpowiada moja siostra. – Może za ciężko było jej nieść nas obie?

Unoszę brew.

– Musiała mieć p o w ó d.

Quinn kwituje to milczeniem. Coś wie, coś, czego mi nie chce powiedzieć; czuję to.

– Nasza mama była dobra w utrzymywaniu tajemnic. Nigdy mi nic o tym nie mówiła i nie pozwalała też, żeby tato coś zdradził. Ale teraz, skoro jej nie ma, pomyślał, że mam prawo wiedzieć. – Patrzę na Quinn uważnie. – I jest coś jeszcze.

– O? – Udaje brak zainteresowania, lecz pod jej maską pragnienie poznania sekretu toczy walkę z obojętnością.

Uśmiecham się.

– O tak. Mamie zależało, żeby nie wychodzić za męża. Powiedzieli wszystkim, że się pobrali po cichu, ale tak naprawdę nigdy nie zawarli małżeństwa. Z jakiegoś powodu chciała, żebym zachowała jej nazwisko: Blackwood. – Oczy mojej siostry rozszerzają się, kiedy to wypowiadam. – Więc nazywam się Blackwood. Piper Blackwood. A ty jesteś...

– Quinn Blackwood – mówi, potwierdzając, że była wychowywana pod tym samym nazwiskiem. Wzrusza ramionami.

– I teraz wiem też, skąd pochodzisz: z Dartmoor.

Odpowiada półuśmiechem.

– Naprawdę? Jesteś zadowolona, skoro masz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania?

Dartmoor to domysł oparty na tym, gdzie się poznali tato i mama. Miałam nadzieję, że Quinn go potwierdzi. Ale czy jej uśmiezek oznacza, że mam rację, czy że się mylę?

– Nie na wszystkie moje pytania. Opowiedz mi, Quinn. O swoim życiu, gdzie dorastałaś. Jesteśmy rodziną. Zależy mi na tobie i chcę, żebyśmy były sobie bliskie, ale jak to możliwe, jeśli będą między nami sekrety? Chcę cię zrozumieć i dowiedzieć się, dlaczego do tej pory nie byłaś częścią mojego życia. Proszę.

W jej oczach widzę niepewność. Quinn chce mi uwierzyć i to już połowa sukcesu. Zmuszam się do milczenia, nie naciskam. A ona spuszcza wzrok, włosy spadają jej na twarz.

Wzdycha, podnosi rękę, żeby je zatknąć za ucho.

Brzęk. Coś brzęka na jej nadgarstku przy tym ruchu.

Spłoszona, szybko chowa rękę pod kocem, lecz nie na tyle prędko, żebym nie zauważyła błysku mosiądzu i kamienia. Bransoleta mamy?

– Skąd to masz?

– Co?

– Widziałam, to bransoleta mamy. Masz ją na nadgarstku. Pewnie ukradłaś, kiedy byłaś w domu. To była moja matka; bransoleta jest moja!

– Zaczekaj chwilę. Właśnie mi mówiłaś, że należymy do jednej rodziny; to była też moja matka.

– To nie usprawiedliwia kradzieży. Oddawaj. Oddaj mi to, ale już. – Wyciągam rękę, ale ona patrzy tylko wyzywająco i jestem zszokowana, rozstrojona, a przede wszystkim zła.

– Nie ukradłam. Dał mi ją tato. Jak właśnie sama zaznaczyłaś, jest także moim ojcem, pamiętasz?

– O, czyżby? A kiedy dokładnie to się wydarzyło?

– Znowu do tego wracamy? Nie będę ci się spowiadać z każdej minuty dnia. Jest moim ojcem i jeśli zechcę się z nim zobaczyć, zrobię to.

Trzęsę się, właściwie trzępie mnie z wściekłości.

– Chcesz powiedzieć, że poszłaś tam i udawałaś, że jesteś mną, żeby ci dał rzeczy?

Ness zeskakuje z sofy i przemyka do kuchni.

Wściekłość w oczach Quinn jest równa mojej.

– Myśl sobie, co chcesz. Ale dał bransoletę mnie i zatrzymam ją. Co ci tak zależy? To tylko jeden drobiazg, a ty masz cały dom pełen jej rzeczy.

– Nie o to chodzi!

– Więc o co? O to, że wszystko jest twoje, a moje nic? Że w jednej minucie chcesz, żebym należała do twojej rodziny, a w drugiej nie pozwalasz mi się zbliżyć?

– Wiesz, że nigdy jej nie zdejmowała, że miała ją na sobie, kiedy zmarła? Zmyłaś krew z bransolety czy to była część atrakcji?

W oczach Quinn pojawia się przerażenie i gniew. Posunęłam się za daleko? W furię wplata się panika. **P o t r z e b u j ę s i o s t r y.** Milknę, siląc się na opanowanie. **D l a c z e g o** ona nie robi tego, co każę? Coś poszło źle, bardzo źle, a ja nie wiem co. Moje słowa nie działają.

Jej wzrok traci ostrość. Quinn kiwa do siebie głową, twarz jej tężeje, a potem nasze spojrzenia się krzyżują.

– Mam dość tego szaleństwa. Albo należę do twojej rodziny, albo nie. Musisz zdecydować: albo idziemy do naszego ojca razem, albo wychodzę i nigdy nie wracam.



Q

U

I

N

N



Deszcz leje jak z cebra, smagając mnie po twarzy. Od razu jestem przemoczona, ale mi nie zależy. Fatalna pogoda pasuje do mojego nastroju, gdy idę, tupiąc na drodze.

No, naprawdę, za kogo ona się uważa?

Pomyśleć, że o mało się przed nią nie otworzyłam. Nie jestem pewna, ile bym jej powiedziała, ale chciałam c o ś zdradzić – po prostu, żeby jej sprawić



przyjemność. A ona nazywa mnie złodziejką. Wyrzut odzywający się w głębi duszy przypomina mi, że właściwie to zamierzałam – wziąć coś z kosztownej biżuterii Isobel – zanim wszedł tato. Zanim mi dał bransoletę. Ale Piper posunęła się za daleko, mówiąc, że udawałam ją po to, by dostać jakieś rzeczy. Nigdy nie chciałam udawać, że nią jestem. To ona chce mnie ukrywać jak wstydlivy sekret.

Czy właśnie tym jestem?

Gdzieś w głębi świadomości daje o sobie znać sen z minionej nocy – kolejne wspomnienie z dzieciństwa, którego wolałabym nie pamiętać. Czy naprawdę umiałam tworzyć postacie z ciemności, ziemi, krwi i owoców, czy tylko tak mi się śniło, zdawało? Faktycznie, wstydlivy sekret.

Maszeruję w deszczu. Czy naprawdę odejdę, jeżeli Piper zdecyduje, że nie chce, abym została na własnych warunkach? To jest też moja rodzina. Ona nie ma prawa rozsądzać, czy powinnam zostać, czy nie.

Piper chce, żebym jej zdradziła wszystkie swoje sekrety; chce, żebym się ukrywała i była grzeczna. Zbyt wiele życia spędziłam w ukryciu. Nie będę się więcej chować.

Jak mało o mnie wie – nie jestem stworzona, żeby być grzeczną.

Wkrótce się o tym przekona. Ale nie dlatego, że jej powiem – pokażę, nie powiem. Sama się tego domyśli.

Zanim odmaszerowałam, zostawiając Piper u Zaka, ostrzegłam ją, żeby lepiej nie wychodziła, bo jeszcze ktoś zobaczy nas obie. Pora, żeby to ona posiedziała sobie w ukryciu, gdy ja wychodzę; żeby sobie uświadomiła, jak to jest być więźniem.

Nie odezwała się ani słowem; patrzyła tylko, jak się zbieram. Była biała na twarzy. Jakoś nie może tego ogarnąć, że jej nie będę posłuszna, nie będę robić tego, co mi każe, jak i kiedy sobie zażyczy. Czy naprawdę jest tak rozpieszczona, że uważa, że świat i wszyscy ludzie powinni być niewolnikami na jej żądanie?

Mimo gniewu zaczynam odczuwać, że zimno przenika mnie do kości. Co teraz? Jestem głodna i nie mam pieniędzy. Jedyne miejsce, gdzie mogę się schronić, to dom Zaka, a tam jest Piper.

Albo dom Piper. Mogłabym pójść do naszego taty i przedstawić się. Tylko że jeśli się tam zjawię bez Piper, on pewnie pomyśli, że ja to ona i że wpadłam w jakieś załamanie nerwowe. Tak sobie mówię, ale może po prostu się tego boję – boję się stanąć przed nim sama i powiedzieć mu prawdę.

Jest jednak jeszcze jedno miejsce: restauracja Zaka.

Nie wiem, gdzie jestem, i snuję się bocznymi uliczkami, szukając przejścia na główną drogę. I wtedy zauważam szyld: „Czary od Wendy”. To musi być sklep Wendy. Waham się przed wystawą. Wywieszono na niej mnóstwo amuletów i błyskotek, kryształków i kolorowych kamieni. W środku pali się ciepłe światło, a napis na drzwiach głosi: „Otwarte”.

Czy powinnam wejść? To może być moja szansa, żeby się czegoś dowiedzieć o bransolecie Isobel.

Niebo przecina błyskawica; deszcz się nasila.

Tak.

Kiedy otwieram drzwi, odzywa się dzwoneczek. To mały sklepik i nie widać w nim żywego ducha. Już myślę, że faktycznie nikogo nie ma, kiedy z zaplecza wychodzi Wendy.

– Piper?

Jest zaskoczona i bardzo ucieszona moim widokiem. To ciepło wydaje się autentyczne. Czy Zak nie mówił, że Piper jej nawet nie lubi? Po wszystkim, co mnie dzisiaj spotkało, mam wielką ochotę powiedzieć jej, kim naprawdę jestem, po prostu żeby mieć kogoś – k o g o k o l w i e k – współczującego do pogadania. Kogoś, kto mógłby być m o i m przyjacielem, a nie przyjacielem Piper. Ale patrzę tylko na nią w milczeniu.

– O, biedactwo, jesteś przemoczona. Bez parasola w taką pogodę? Zdejmij płaszcz, siadaj tutaj. – Popycha mnie w stronę jedyne krzesła. Zagaduje, rozwieszając moje okrycie, daje mi ręcznik do wytarcia włosów i robi herbatę. Podaje mi kubek. – Co cię wypędziło z domu w taki straszny wieczór?

– No, rozmyślałam o tym, co powiedziałaś w restauracji. Że widziałaś już kiedyś bransoletę mojej mamy... może tu, w swoim sklepie.

– A, tak. Pozwolisz, że znów na nią zerknę?

Podciągam rękaw, pokazuję rękę, a Wendy wpatruje się w ozdobę. W końcu potrząsa głową.

– Musiałam się pomylić. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek miała tu coś takiego. A mimo to z jakiegoś powodu wydaje mi się znajoma. Jednak nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widziałam.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym się rozejrzała? – pytam.

– Jasne, że nie. Rozglądaj się śmiało. Mogłam o czymś zapomnieć.

Odstawiam herbatę i snuję się po sklepie. Pełno w nim amuletów i biżuterii, ale wszystko to są współczesne rzeczy. Niektóre celowo postarzone, jednak nic tak autentycznie starego jak moja bransoleta.

Wzdłuż tylnej ściany ciągnie się regał pełen książek wyglądających na niepasującą do siebie zbieraninę z drugiej ręki, we wszystkich formatach i kształtach. Biorę jedną z nich. Zaklęcia miłosne? Wykrzywiam się. Jednak może...

– Wendy, czy to możliwe, że widziałaś bransoletę w którejś z tych książek?

– O widzisz, to jest myśl. Tam, na górnej półce, stoi kilka ze zdjęciami amuletów i takich tam.

Wskazuje na właściwe tomy i ściągam je z półki. Biorę jeden, a ona zaczyna kartkować drugi. Ten, który mi się dostał, pokazuje głównie kamienie i kryształy.

Przerzucam pobieżnie strony, potem sięgam po inną książkę.

Kiedy przewracam kartki, unosi się z nich zapach stęchlizny. Dzieło wygląda na spisane odręcznie; litery są dziwne i na ogół nieczytelne, ale jest sporo rysunków i w większości przedstawiają biżuterię.

– Ta książka zapowiada się bardziej obiecująco – mówię.

Przerzucam strony i wtem zatrzymuję się na szkicu przedstawiającym bransoletę – bardzo podobną do mojej, tylko bez kamiennego wisiorka.

– Może to ta? – pytam i Wendy zagląda mi przez ramię.

– O, dobra robota – stwierdza. – Pewnie tu ją widziałam.

Znowu podciągam rękaw i kładę nadgarstek koło rysunku.

– Widać, że nie jest identyczna, ale wzór ogniw i paciorków ten sam. Tak właśnie myślałam, że ją już widziałam! – Wendy promienieje.

– Umiesz to przeczytać? – pytam i wskazuję podpis pod ilustracją.

Jest dziwnie pochylony i pełen zawijasów. Udaje mi się rozróżnić tylko niektóre litery, nie wszystkie. Wendy przygląda się przez chwilę, po czym podnosi wzrok.

– Piszą, że ten dokładnie wzór splecionych pierścieni i paciorków jest podstawą zaklęcia ochronnego.

– Zaklęcia ochronnego? Co to takiego?

– No wiesz, to czarownictwo! Czy raczej: antyczarownictwo. Takie zaklęcie chroni człowieka przed podatnością na czary.

– O. Rozumiem.

– Ale nie znajduję żadnej wzmianki o łączeniu zaklęcia ochronnego z wisiorkiem mocy. – Dotyka wiszącego przy bransolecie kamienia. – Czegoś takiego nigdy dotąd nie widziałam.

Patrzę na nią w zdumieniu.

– Wisiołek mocy? Co to jest?

– Ma za zadanie skupiać moc noszącej go osoby. Oczywiście, o ile ta osoba ją ma. Tego tu jednak nie jestem pewna. Wygląda trochę inaczej.

– Czy wiesz, co oznaczają te znaki na nim? – Wyciągam rękę i Wendy bada wisiołek z bliska.

– Nie widzę na nim żadnych znaków. A ty?

Znów go oglądam. Dla mnie linie są słabe, ale tworzą wyraźny wzór. Wendy nie dostrzega ich wcale? Potrząsam głową.

– Nie, nie, przepraszam. Pewnie mi się zdawało.

Jestem wewnętrznie wstrząśnięta. S k ł a m a ł a m.

– Nastraszyłam cię, co? Twoja matka pewnie wypatrzyła tę bransoletę na targu staroci czy czymś takim, nie domyślając się, do czego mogła służyć. A jeżeli działa, nie zawadzi chronić się przed zaklęciami, które mogą rzucić na ciebie czarownice, nie?

– Chyba nie. – Myśli mi galopują, ledwie panuję nad twarzą. Większość ludzi mogłaby patrzeć na to w ten sposób i uznać, że ozdoba nie ma żadnego powiązania z nimi czy z ich życiem.

Ale większość ludzi nie ma babki, która jest wiedźmą.

– Gdybyś zechciała to sprzedać... cóż, myślę, że bardzo łatwo znalazłabym nabywcę i dostałabym całkiem sporo pieniędzy.

Jestem zaskoczona.

– Naprawdę? Nie sądziłam, że jest wiele warta. Mam na myśli: nie jest ze złota ani nic takiego.

– Ma w sobie historię. Czytałam o nich, ale nigdy dotąd nie widziałam żadnej na własne oczy. Pewnie lepiej by mi szły interesy, gdybym ci nie powiedziała! Ale jestem pewna, że mogłabym dostać za nią... no, z dziesięć tysięcy funtów, nie licząc prowizji. Co najmniej.

Gapię się na nią z opadniętą szczęką.

– Nie. Naprawdę?

Potakuje głową.

– Zdecydowanie. Są kolekcjonerzy, którzy zabiliby, żeby dostać w ręce coś takiego.

W głowie mi wiruje. To by zupełnie wystarczyło, żeby się stąd wyrwać i zacząć od nowa. Gdzieś indziej, gdzie nikt mnie nie zna, nikt nie ma powodu, żeby mi grzebać w przeszłości.

Dotykam bransolety i wzdycham. N i e. Nie mogę jej sprzedać. Nie wiem czemu, ale nie mogę. M u s i zostać dokładnie tu, gdzie właśnie jest – na moim nadgarstku. Potrzęsam głową.

– Przykro mi, Wendy, nie mogę się z nią rozstać.

– Rozumiem. Należała do twojej mamy, to oczywiste, że chcesz ją zatrzymać.

Kończymy pić herbatę. Zaczynam się żegnać, lecz przystaję z wahaniem przy drzwiach.

– Wendy, czy możesz coś dla mnie zrobić?

– Co by to miało być?

– Czy mogłabyś nie wspominać przy mnie więcej o tej bransoletce? Nie chcę jej sprzedać, a trudno mi odmawiać.

– Jasne, nie wspomnę o niej, chyba że sama zaczniesz. A teraz jesteś pewna, że nie chcesz pożyczyć parasola?

Kręcę głową.

– Nie, nic mi nie będzie. Idę tylko do restauracji zobaczyć się z Zakiem. Przyjdziesz później?

– Dziś mam wolne.

Ulewa tymczasem przeszła w miarowy deszcz. O mało nie zapytałam Wendy

o drogę do restauracji – to by ją zdziwiło.

Wędruję uliczkami to w jedną, to w drugą stronę i w końcu znajduję główną ulicę. Restauracja jest blisko. Kiedy tak idę, rozmyślam: dlaczego poprosiłam Wendy, żeby nie wspominała więcej o bransolecie? Czy chcę ukryć jej wartość przed Piper, czy raczej zależy mi, żeby się nie dowiedziała o jej ochronnym działaniu?

Jakaś część mnie zastawia się, czy Piper już wie, ile jest warta ta ozdoba, czy to dlatego tak się uniosła, widząc, że ją noszę. Czy świadomość jej wartości sprawiła ją w taką wściekłość, a nie zwykły fakt, że byłam w domu i nasz tato dał bransoletę mnie, nie jej?

Lecz mimo logiki takiego rozumowania skądś wiem, że to nieprawda. Nawet jeszcze bardziej jestem pewna, że Piper nie wie o ochronnym zaklęciu ani o wisiorku mocy. Gdyby wiedziała, „błyskotka” nie leżałaby tak po prostu w garderobie Isobel z resztą jej biżuterii.

I z jakiegoś powodu wołałabym, żeby się nie dowiedziała.



# P I P E R



Chodzę tam i z powrotem po frontowym pokoju Zaka, ale pomieszczenie jest za małe – czuję się tu jak w klatce. Mój świat przewrócił się do góry nogami i pogmatwał. Gniew zaczyna odpływać, a jego miejsce zajmuje dogłębne poczucie samotności.

Nie rozumiem Quinn. Czemu nie oddała mi bransolety? I dlaczego nie powiedziała mi tego, co chcę wiedzieć? Do tej pory j e d n ą osobą, która nie

robiła tego, czego chcę, była mama. Jedyłą, która mogła tak na mnie działać – wywołując szalony gniew. Niepohamowany, tak że byłabym zdolna do w s z y s t k i e g o.

Teraz do listy trzeba dodać Quinn.

Za cicho jest tu w samotności. Chcę Zaka. Mogłabym zadzwonić do niego do pracy, ale co, jeśli Quinn tam jest? Nie zna zbyt wielu miejsc w okolicy, do których mogłaby pójść. Jak miałby wyjaśnić, że musi iść do domu, żeby pobyć ze mną, jeśli ona tam siedzi cały czas?

Może być nawet tato. Powinien już wrócić do domu – mogłabym tam pójść.

Jednak znowu to samo. A jeśli ona tam jest? Już raz poszła sama, mogła to zrobić znowu.

Opadam na sofę. Ness zerka zza drzwi od kuchni. Waha się.

Wystraszyłyśmy ją tym gniewem, prawda? Wzdycham.

– Przepraszam, Ness. Już mi przeszło, proszę, chodź do mnie.

Wsusza się do pokoju, doskakuje do mnie i liże mnie w rękę. Biorę ją na sofę i wtula się we mnie.

Z Quinn wszystko jest takie zagmatwane. W gardle nabrzmiewa mi gęła, do oczu napływają łzy. Teraz, gdy mamy nie ma, siostra jest jedyną osobą, która mogłaby mnie zrozumieć, która mogłaby wiedzieć, jak to jest być kimś takim jak my – innym od reszty. Wyobcowanym. Chcę, żeby była w moim życiu, jak jeszcze nigdy niczego ani nikogo nie chciałam: p o t r z e b u j ę j e j. Ale wszystko, co robię i mówię, zdaje się ją odpychać.

A teraz, gdy tu utknęłam samotnie, czuję się, jakbym została wyklęta z własnego życia, i to przez kogoś, kogo nie rozumiem. Czego ta Quinn chce? Jak mam do niej dotrzeć?

Zaraz, zaraz. Czy tak właśnie się czuła – jak w klatce, odcięta od świata? A ja prosiłam, żeby nie wychodziła, zachowała ostrożność i nie dała się zauważyć?

To może być to. A jeżeli jest zła o to odcięcie od świata... to znaczy, że chce czuć, że do czegoś należy.

Quinn chce tego, czego ja chcę. Gdyby mi tylko zaufała, mogłybyśmy należeć do siebie nawzajem.

– I tak właśnie do niej dotrzemy, prawda, Ness?

Suczka liże mnie po twarzy.



Q

U

I

N

N



– Cześć, piękna! – Giles całuje mnie w policzek. – Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej?

– Tak, dzięki. Oprócz tego, że przemokłam.

Zak wychodzi z zaplecza z talerzami, które niesie do jednego ze stolików. Spozstrzega mnie i uśmiecha się – bardzo ciepło, tak że m n i e też robi się od tego ciepło w środku. O. Bierze mnie za Piper. Uświadamiam to sobie i mój uśmiech



niknie.

– Przyszłaś na obiad? – pyta Giles.

– A nie będę przeszkadzać?

– W żadnym razie. Pozwól, że wezmę twój płaszcz i rozwieszę w kuchni.

Tam lepiej wyschnie.

Powoli zdejmuje mi go z ramion, stojąc zbyt blisko i wodząc dłońmi po moich rękach. Czuję się zakłopotana. Jak zareagowałaby Piper? Czy pozwoliłaby mu flirtować ze sobą w ten sposób? Nie wiem, ale powstrzymuję się, żeby się nie odsunąć. Giles wskazuje mi stolik w kącie na tyłach. Nasze „zwykłe” miejsce jest w tej chwili zajęte; dziś mają tu duży ruch.

Bez zamówienia pojawia się kieliszek wina. Białego. Czy to ulubione wino mojej siostry? Wypijam łyczek; jest zimne i cierpkie.

Zak przynosi karty do sąsiedniego stolika, po czym zatrzymuje się przy moim.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak. Chciałam tylko wyjść. I jestem głodna, a nie umiem gotować.

Śmieje się i nachyla do mojego ucha.

– Ta uwaga nie pomaga się domyślić, kim jesteś.

I zaraz znika. Nie bierze mnie za Piper. Może ten uśmiech b y ł jednak dla mnie?

Znowu bez zamówienia pojawia się posiłek. I jest smaczny: cudowny makaron z czosnkowym sosem i świeżą bazylią, taką jak ta, która rośnie w ogrodzie hotelowej kuchni. Posiadanie chłopaka, który pracuje w restauracji, może dawać spore korzyści – nawet jeżeli ten chłopak powinien być w Cambridge.

Zak jest chłopakiem m o j e j s i o s t r y, nie moim – przypominam sobie. Nigdy nie będzie mój, tak jak jej życie nigdy nie będzie moim. Wzdycham. To dlatego w rzeczywistości tak się na nią zezłościłam, prawda? I to nie jej wina, tak samo jak nie jest jej winą, że Isobel zatrzymała ją, a mnie zostawiła.

Jem powoli, a potem ociągam się, gdy tymczasem przy stolikach ubywa klientów.

Zak w końcu przysiada się do mnie.

– A więc już wydedukowałeś? – pytam.

– Co?

– Kim jestem.

– Cóż, na sto procent jesteś Quinn. – Ale nie wygląda przy tym na zupełnie pewnego.

– Dlaczego? – Ciekawi mnie, skąd to wie.

– Byłaś bardzo uprzejma. Choć mogłaś tylko próbować mnie zwieść.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

– Zjadłaś danie dnia bez komentarza. Piper nie lubi pesto.

– Choć mogłam tylko próbować cię zwieść.

Śmieje się.

– Naprawdę nas nie odróżniasz? – zagaduję ze smutną zadumą. Z jakiegoś powodu chciałabym, żeby mnie rozpoznawał.

– Jesteś Quinn – mówi tym razem zdecydowanie. – Piper już by mnie walnęła za to, że się pomyliłem.

Wyciągam rękę, daję mu kuksańca w ramię i jego zwątpienie powraca. Potrząsam głową.

– Masz rację. Jestem Quinn. Przepraszam. Mam nadzieję, że nic nie zepsułam, przychodząc tu dzisiaj.

– Jasne, że nie. Wszystko w porządku?

Wzruszam ramionami.

– Piper i ja miałyśmy coś w rodzaju nieporozumienia. Musiałam wyjść.

– A, rozumiem. Czy miało to coś wspólnego z tym, że nie chcesz jej czegoś powiedzieć?

Unoszę brew.

– Tylko zgaduję – zapewniam.

– Częściowo chodzi o to – przyznaję. – Poza tym nie chcę się już ukrywać. Jeśli mam zostać w Winchesterze, muszę wychodzić otwarcie i być sobą.

Zak kiwa głową, jego ciemne oczy są pełne współczucia. W tej sprawie jest po mojej stronie, czuję to. Ale gdyby znał całą resztę?

Nie jestem pewna, czy chcę mu mówić o bransolecie, ale jeżeli nie powiem, zrobi to ona. Może lepiej będzie jako pierwsza przedstawić swoją wersję. Więc opowiadam mu całą historię – o tym, jak poszłam do ich domu i jej tato dał mi ozdobę. Zak tylko słucha, nie komentuje. Jego oczy nie osądzają, ale muszę zapytać:

– Myślisz, że źle robię, chcąc ją zatrzymać?

Potrząsa głową.

– Nie jest łatwo osądzić, czy dobrze, czy źle. Rozumiem, dlaczego chcesz czegoś, co należało do twojej mamy, czegoś, co pamiętasz. To naturalne. A ze strony Piper z kolei nie fair, że tak się uniosła, skoro wasza mama była w jej życiu znacznie bardziej obecna.

– Przykro mi, że stawiam cię w takiej sytuacji. Musi ci być ciężko odnaleźć się między nami.

– W porządku. Znam Piper od dawna. Wiem, że nie najłatwiej się z nią dogaduje. Jest uparta i zawsze bardzo... skupiona. Na tym, czego chce. – Uśmiecha się kpiąco.

– A chciała ciebie.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Czy jeden kieliszek wina sprawił, że odzywam się, zanim pomyślę?

Zak śmieje się.

– Wolę myśleć, że miałem coś do powiedzenia w tej kwestii.

„Ale nie miałeś”. Po plecach przebiega mi dreszcz niepokoju.

– Nie żebym próbował zmienić temat czy coś w tym stylu – mówi – ale czy mogę cię o coś zapytać? I nie odpowiadaj, jeśli nie masz ochoty.

– W porządku, dawaj. – I spodziewam się jednego z pytań mojej siostry: kto, co, gdzie, kiedy albo czemu z mojego życia.

– Pomijając to, że Piper się tym wkurza, dlaczego nie chcesz odpowiadać na pytania o to, skąd jesteś?

To coś nowego. Spoglądam w jego szczere ciepłe oczy. Nie skrywają sekretów; przynajmniej nie megasekretów, takich jak moje. Czy on mnie zrozumie? Z jakiegoś powodu chcę spróbować.

– Jest tutaj kilka połączonych rzeczy, dlatego trudno dać odpowiedź. Nie ma jednej odpowiedzi. Moje życie nie było takie jak życie Piper. Pod wieloma względami nie było tak wspaniałe. – Waham się. – Musiałabym komuś naprawdę zaufać, żeby o tym opowiedzieć, choć nawet wtedy... Szczerze mówiąc, są rzeczy, o których nie chcę wspominać.

Wyciąga rękę nad stołem. Jego palce są ciepłe i splatają się z moimi.

– W porządku. Powiesz albo nie, kiedy będziesz gotowa. Chcesz, żebym spróbował wyjaśnić to Piper i poprosił ją, by się wycofała?

– Czy to coś da?

– Prawdopodobnie nie.

– Więc lepiej daj sobie spokój, tak myślę.

– Mogę coś zasugerować? – pyta, a ja kiwam głową. – Powiedz jej to, co właśnie powiedziałaś mnie.

Wciąż czuję lekki, ciepły uścisk jego palców i w milczeniu dodaję: „Jeśli kiedyś będę gotowa o tym opowiedzieć, to tobie, Zak”. Raptownie puszcza moją dłoń, jakby nagle zdał sobie sprawę, że się trzymamy za ręce niezupełnie jak przyjaciele. Zostaje mi zimna pustka.

– Mam tutaj jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, zanim będę mógł wyjść. Chcesz na mnie zaczekać czy wrócisz sama?

– Pójdę. Myślę, że powinnam sama stawić czoło siostrze.

– Okej. Postaraj się z nią dogadać. Uwierz mi: to sprawia, że życie jest z n a c z n i e łatwiejsze. – Znowu uśmiecha się do mnie kpiąco, po czym idzie po mój płaszcz.

Przestało padać. Idąc, rozmyślam o tym, co powiedziałam Zakowi.

Czy to sprawa zaufania – tego, że nie ufam Piper? Czy to dlatego tak się wzdragam przed powiedzeniem jej czegokolwiek? A może to dlatego, że rzeczy, o których chce wiedzieć, to j e d y n e, co mam ja, a nie ma ona? Ma tak wiele, a ja tak mało.

Idę powoli, otulając się ramionami przed zimnem; płaszcz jest wciąż wilgotny. Nie zwierzyłam się Zakowi ze swego ultimatum. Co powie Piper?

Wcześniej tak mnie kusilo, żeby otworzyć się przed nim zupełnie. Ale są rzeczy, które muszę ukrywać. Nie mogę pozwolić, żeby Zak, Piper czy ktokolwiek inny poznał prawdę: prawdziwy powód, dla którego zostałam odcięta i trzymana z daleka od rodziny – dla którego nie wiedziałam nawet, że Isobel ma drugą córkę albo że mieszka z moją bliźniaczą siostrą i naszym ojcem.

Jak Isobel powtarzała mi wiele razy: stanowią niebezpieczeństwo, zagrożenie. Jak ostrzegała mnie babcia, raz po raz.

Mam w sobie ciemność.



**P**

**I**

**P**

**E**

**R**



Jest późno, gdy drzwi w końcu się otwierają. Ness podnosi głowę z moich kolan.

– Zostań – szepczę do niej.

Kroki w korytarzu są wolne, pełne wahania. Wtem w wejściu staje Quinn, a światło padające z korytarza tworzy dokoła jej rudych włosów jasną aureolę. Wciąż nie mogę się pozbyć tego dziwnego wrażenia, jakie mam na jej widok –

że wyszłam z własnego ciała i patrzę na siebie spoza niego.

– Hej – mówię.

– Cześć – odpowiada Quinn.

Cisza przedłuża się. Ness, jakby pamiętała wcześniejszą kłótnię, jest między nami rozdarta, spogląda to na moją siostrę, to na mnie i znowu.

– Przepraszam – odzywamy się obie jednocześnie. Potem śmiejemy się, trochę niezręcznie, lecz lepsze to niż nic.

– Musimy porozmawiać – mówi Quinn.

– Tak.

Siada na krześle naprzeciwko sofy, trzymając się przy tym sztywno i prosto jak struna.

– Przykro mi, że się pokłóciłyśmy. Może powinnam była zachować się bardziej taktownie, ale mówiłam szczerze i nie odwołam tego.

– Miałaś rację. W niektórych punktach. – Ćwiczyłam sobie wypowiedzenie tych słów, zanim przyszła, tej części z „miałaś rację”, żeby zabrzmiała przekonująco, ale nie zamierzałam dodawać „w niektórych punktach”.

– W których punktach? – Quinn wygląda na rozbawioną.

Staram się więcej jej nie zdenerwować.

– Nie zachowałam się fair. To także twoja rodzina; nie tylko moja. Powinnaś do niej należeć, jeśli chcesz. I nie ode mnie zależy, co się wydarzy albo jak. To twoja decyzja.

Otwiera szeroko oczy.

– Naprawdę? – pyta z wahaniem. – Mówisz serio?

– Jak najbardziej.

– A więc mogłybyśmy już teraz obie pójść do naszego taty i zawołać: „Niespodzianka! Jesteśmy dwie!”? I nie będziesz mieć nic przeciwko temu?

– Tak bym tego nie ujęła. Ale jeżeli chcesz mu powiedzieć, decyzja należy do ciebie.

– Więc tobie to nie odpowiada.

Trudny do rozegrania moment.

– Chodzi o to, że tato naprawdę bardzo to przeżywa. Powiem ci, co mi mówił wczorajszego wieczoru. Że kiedy mamy nie ma, to jakby słońce zaszło i nigdy już miało nie wzejść. Gdyby się dowiedział, że trzymała przed nim w tajemnicy drugą córkę, zniszczyłoby to jego dobrą pamięć o żonie. Nie sądzę, żeby sobie poradził z kolejnym szokiem tak szybko po jej śmierci.

– A jednak mówisz, że to mój wybór. Więc jeśli pójdziemy do niego i to spowoduje u niego jakieś załamanie nerwowe, będzie to moja wina. Jeżeli nie pójdziemy, sprawy ułożą się po twojej myśli.

– Nie powiedziałam, że wybór będzie łatwy. Ale jest inna opcja.

– Jaka?

– To, co już zrobiłaś. Poszłaś do mojego domu i tato wziął cię za mnie. Mogłabyś zrobić to znowu. Trochę go poznać i sama ocenić, czy twoim zdaniem poradzi sobie, jeżeli nagle zostanie ojcem bliźniaczek. Wtedy mogłabyś zacząć należeć do naszej rodziny. Jesteś jedną z nas.

– Ale musiałabym tam być jako ty.

– Tylko przez jakiś czas. Możemy skoordynować czas i miejsca, tak żebyśmy nie wpadły jedna na drugą, kiedy nie powinnyśmy. A ty możesz sprawdzić, co zechcesz, i zwać, jeżeli taka będzie twoja wola. Jeżeli nie chcesz uciekać, tylko zostać, przynajmniej będziesz wiedziała, w co się pakujesz.

– Co z bransoletą?

– Może zatrzymaj ją na razie. A jeżeli powiemy tacie o nas, jemu zostawimy decyzję, która z nas ma ją dostać. – Mówiąc to, siłą się na neutralny wyraz twarzy, staram się ukryć gniew, że Quinn ma bransoletę mamy. Wiem, że tato nigdy mi niczego nie odmówi. Dostanę tę ozdobę z powrotem.

Quinn waha się, potem kiwa głową.

– Tak chyba będzie sprawiedliwie. Ale jest jeszcze coś, co musimy załatwić.

– Co masz na myśli?

– W mojej przeszłości są rzeczy, o których nie chcę mówić. To, że pozwalasz mi wchodzić do swojego domu, niczego w tej sprawie nie zmienia. – Wypowiada te słowa w taki sposób, jakby sobie przemyślała, co powiedzieć i jak. Czy przećwiczyła tę kwestię w drodze powrotnej, jak ja ćwiczyłam swoją?

– Nie będę cię okłamywać: jeżeli czegoś nie wiem, ciekawość doprowadza mnie do szaleństwa. Ale to twoja decyzja, co zechcesz mi powiedzieć. Postaram się powstrzymać.

– No, o ile się p o s t a r a s z... – Znowu jest rozbawiona; nie zwracam na to uwagi.

– A więc w porządku. Umowa stoi?

Przerwa. Potem uśmiecha się i wygląda to na prawdziwy uśmiech. Wyciąga rękę, a ja podaję jej swoją.

– W porządku. Stoi.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Czuję się jak tajna agentka, jak George Smiley prosto z powieści Johna le Carré stojącej z tyłu na zakurzonej regale w hotelu. W głowie kłębi mi się długa lista wymienionych przez Piper nakazów i zakazów, gdy zmierzam do jej domu. Do n a s z e g o domu: jest także mój. Prawda? Piper dała mi nawet swój elegancki smartfon, żebym mogła zadzwonić albo wysłać wiadomość na jej tablet w razie nagłych pytań.



Na podjeździe stoi samochód, na górze pali się światło, jak Piper przewidziała. Mówiła, że tato zawsze na nią czeka, a o tak późnej porze przypuszczalnie będzie w swym gabinecie. Mam iść do kuchni, zrobić dwa kubki herbaty, po czym zabrać je na górę – to nasz wieczorny rytuał.

Wstukuję kod dostępu i zatrzymuję się. Którędy do kuchni? Ruszam przez pokój, po czym wracam po własnych śladach, żeby zdjąć buty i zostawić je przy drzwiach.

Torebki herbaty są w pojemniku w szafce koło czajnika. W której szafce? Muszę otworzyć różne drzwiczki, żeby znaleźć właściwą, a potem zaglądać do każdej puszeki, nim trafię na herbatę. Teraz kubki: czekają obok czajnika, jak Piper zapowiedziała. Jej ulubiony kubek jest z wizerunkiem psa – Jinny, suczki, którą miała, odkąd nauczyła się chodzić, a która zestarzała się i zdechła w zeszłym roku. Kubek taty jest duży, czerwony, z logo zespołu krykietowego Lord's – prezent od Isobel.

Kiedy Piper mówiła mi o wszystkim, co powinnam wiedzieć, żeby tu przyjść i podawać się przed naszym ojcem za nią, nie wspomniała, że mogłaby mieć wątpliwości co do tego, czy on naprawdę jest naszym rodzicem. Tato powiedział jej, że Isobel pojawiła się z Piper i twierdziła, że to jego dziecko. Kiedy Piper mi o tym mówiła, wyglądało, jakby się do słów matki odnosiła sceptycznie.

Ale nie mogę uwierzyć, że Isobel by w tej sprawie kłamała. Przez tak długi czas ona i babcia powtarzały mi, że kłamstwo jest niebezpieczne i sprowadza ciemność, więc jak to możliwe, żeby sama mówiła nieprawdę? On m u s i być naszym ojcem.

W czajniku gotuje się woda. Moja wieczorna herbata jest słaba, z dużym dodatkiem mleka; taty – zawsze mocna, jedynie odrobinę zabelona.

Idę na górę z dwoma kubkami herbaty, ostrożnie balansując. Schody są szerokie, nieco szersze niż większość, jakie znam, i skupiam się, żeby się nie potknąć, czując się jak idiotka, skoro schody wydają mi się trudne. To ten węzeł nerwów, który mam głęboko w brzuchu, sprawia, że czuję się w ten sposób. Ostatnim razem, gdy tu byłam – kiedy tato dał mi bransoletę – spotkanie z nim było nieoczekiwanym szokiem. Tym razem jest inaczej.

Chodnik w korytarzu na górze poddaje się miękko pod stopami. Drzwi są przymknięte, światło wlewa się do korytarza – to jego gabinet. Wciąż się zacynam, gdy próbuję myśleć o nim „tato”, jak robiłaby Piper. To gabinet t a t y.

Waham się, biorę głęboki wdech i prostuję ramiona. Nie, lepiej się rozluźnić. Celowo rozluźniam je więc znowu i podchodzę do drzwi.

Tato siedzi przy biurku, stukając w klawisze laptopa. Wokół niego leżą starannie ułożone teczki. Podnosi wzrok.

– Jesteś wreszcie – mówi. – Właśnie miałem wysłać po ciebie ekipę poszukiwawczą.

– Przepraszam. Poszłam na obiad z Zakiem i trochę się zasiedziałam. – Wyciągam rękę, żeby postawić jego kubek na podkładce koło laptopa.

– Dość tego grania na zwłokę, kwiatuszku. Musisz wrócić do normalnego życia. Jutro idziesz do szkoły.

– Dobrze.

Wygląda na zaskoczonego. Czy Piper by oponowała?

– Więc kładź się spać. Wczesny start dobrze ci zrobi.

Żołądek mam cały w węzłach. Piper kazała mi w tym momencie postawić moją herbatę na podkładce na biurku, obejść je i uściskać tatę. A ja nie jestem pewna, czy umiem albo czy tego chcę, albo jakie to będzie uczucie.

– Coś nie tak? – pyta tato.

– Nie. Tak. Nie wiem. – Stoję jak skamieniała.

Wtedy on wstaje z krzesła i obchodzi biurko. Wyjmuje pełny kubek z mojej dłoni i stawia go na blacie, nie zawracając sobie głowy podkładkami. Bierze mnie za rękę.

– No więc, Piper, co sama mi powiedziałaś wczoraj wieczór?

Gapię się na niego, nie mając pojęcia, co mogła mu powiedzieć, lecz on nie czeka na odpowiedź.

– Będzie coraz łatwiej. Dzień po dniu. – Wyciąga rękę, odsuwa mi włosy na bok twarzy. – A powrót do wszystkich zwyczajnych rzeczy: lekcji, przyjaciół, nawet do zadań domowych, tylko ci w tym pomoże. Prawda?

– Czy powrót do pracy jakoś ci pomaga?

– Ha. Przyłapałaś mnie! Niezupełnie. Ale zapełnia godziny. I pozwala spłacić rachunki, więc tak naprawdę nie mam wyboru. A ty powinnaś wrócić do szkoły, zatem na jedno wychodzi.

Pochyla się i obejmuje mnie za ramiona. Wychylam się trochę w jego stronę. Płyn po goleniu i kawa, i drapiący kilkugodzinny zarost na moim policzku; zaledwie sekundy, potem mnie wypuszcza.

– No, dalej – mówi.

Odwracam się do drzwi.

– Czeka. A twoja herbata?

Wracam, biorę kubek i mam nadzieję, że pamiętam drogę do pokoju Piper. Prawie tam biegnę – na ile się da, nie wychlapując herbaty na chodnik. Do oczu z niewyjaśnionego powodu napływają mi łzy, ręce się trzęsą. To był mój prawdziwy o j c i e c. Ktoś, o kim myślałam, że nigdy niczego się o nim nie dowiem, nie mówiąc już o tym, że go spotkam.

Teraz wiem nawet, jaką pije herbatę. Wiem też, że pija kawę; musi być kawoszem. Wiem, że o tej porze dnia ma na twarzy kilkugodzinny zarost i mówi do mnie „kwiatuszku”.

Nie. Kwiatuszkiem nazywa Piper, nie mnie. Jak mówiłby o mnie, gdyby

wiedział, kim jestem?

„Niezły starszy gość” – powiedział o nim Zak; nie wcielenie wszelkiego zła, jak sugerowały aluzje babci. To takie dziwne, podawać się za jego córkę, kiedy właściwie j e s t e m jego córką – jedno i drugie jest prawdą. Tylko że on o tym nie wie.

Zamykam za sobą drzwi. Bezpieczna w pokoju Piper – w moim pokoju, przynajmniej na tę jedną noc – chcę z siebie zrzucić tę dziwną mieszaninę emocji. Chcę obejrzeć i dotknąć każdej rzeczy w tym pokoju. Chcę poprzymierzać jej ubrania, ogarnąć, jak działa sprzęt audio. Chcę poczuć, jakby to było być nią.

Zaglądałam już do jej szafy, gdy mnie wpuściła i pozwoliła wybrać ubrania do pożyczenia. Wtedy nie miałyśmy wiele czasu, a Piper nie spuszczała ze mnie oka. Czułam się skrępowana i starałam się wybrać najzwyklejsze rzeczy – takie, których raczej nie będzie jej żal. Teraz nikt na mnie nie patrzy, nie odmierza czasu.

Wyciągam piękną czerwoną bluzkę z głęboko wyciętym dekoltem, połyskliwy czarny szal, wąską czarną spódnicę i przymierzam je wszystkie. Znajduję szafę pełną pudełek z butami i śmieję się, oglądając się w lustrze, jak chwiejnie kroczę w obcasach wyższych, niż kiedykolwiek widziałam w życiu. Podwiązuję włosy w górze i przyglądam się sobie: gdyby nie moja czupryna, nikt by mnie w hotelu nie rozpoznał.

Przymierzam strój za strojem, po czym odkładam je na łóżko na wysoką stertę. Potem w szufladzie znajduję futrzany kudłaty kombinezon, wyglądający jak olbrzymi szczeniak, z kapturem, do którego doszyto psie uszy. Wkładam go i znów się śmieję.

W stroju szczeniaka siadam przy biurku siostry. Na półkach podręczniki szkolne są przemieszane chaotycznie z powieściami. Na ścianach wiszą zdjęcia w ramkach, przedstawiające Piper z przyjaciółmi, z rodziną. I jedno z psem i małą Piper, może ośmioletnią – to pewnie Jinny, suczka sportretowana na kubku.

Powieści są nowe; niektóre nawet wyglądają na nieczytane. Przeglądam teksty okładowe, wybieram jedną, rzucam ją na łóżko i odsuwam ubrania na bok.

Łóżko Piper jest takie wygodne. I ogromne – wielkie jak tamte łoża z kolumienkami, które ścieliłam w hotelu. Ma chyba... co?... cztery poduszki? Wodzę dłońmi po miękkiej poszwie, kiedy podrywa mnie dobiegające z torebki brzęczenie. Telefon Piper?

Wyjmuję go i patrzę na ekran. Przyszedł SMS. Od Zaka.

„Cześć, moja cudna, jestem w drodze. Jak ci się udało przekonać tatę, żebyś mogła zostać na noc? Nie mogę się doczekać. Ściskam”.

Co?

O. Piper musiała go powiadomić, że zostaje u niego na noc, ale nie powiedziała mu, że ja mam jej komórkę. Przez chwilę nie bardzo wiem, jak wysłała wiadomość bez telefonu, ale przypominam sobie – pokazywała mi, że

SMS-y przychodzą do niej i na komórkę, i na tablet. Dzięki temu mogę się z nią kontaktować w razie potrzeby, mimo że nie ma przy sobie telefonu. Pewnie jest też możliwość wysyłania z tabletu.

Wie, że zobaczę wiadomość od Zaka.

„Moja cudna”.

Wcześniej nie mogłam dociec, dlaczego Piper mi na to pozwala. Jeszcze kilka godzin temu była wściekła, że zajrzałam do jej domu i udawałam ją przed jej tatą. A potem zaproponowała, żebym tu przyszła i zrobiła to znowu?

„Zostać na noc”.

I nie postawiła żadnych warunków, nie nalegała, żebym jej coś w zamian powiedziała. A ja się zastanawiałam, czemu mi na to pozwala, co będzie z tego miała, ale okazja wydawała się za dobra, żeby ją przepuścić. Szansa, żeby tu pobyc, żeby zobaczyć, jak wygląda jej życie, choćby przez krótki czas.

A więc. Zasadniczo pozbyła się mnie, żeby pobyc sam na sam z Zakiem. Wysłała mnie tu, by mieć przykrywkę przed ojcem, a w tym czasie zostać z chłopakiem.

Na noc. Na całą noc.

Czy będą w jego pokoju, czy ona pójdzie do mojego? A może oboje będą w moim?

Potrząsam głową. To nie jest mój pokój, tylko pokój jego matki; na pewno ostatnie miejsce, do którego zabrałby Piper. Tamten pokój nie jest mój, ani trochę, nie bardziej niż ten tutaj. Nic tak naprawdę nie jest moje, prawda?

„Nie mogę się doczekać”.

Próbuję trzymać myśli z daleka od tego, co się może tam dzisiaj dziać, ale nie umiem.



# P I P E R



Ness podskakuje i biegnie do drzwi: szczenięcy system wczesnego ostrzegania, coś, co robi tylko w przypadku Zaka. Skądś wie, że to on nadchodzi, zanim się jeszcze znajdzie w zasięgu wzroku czy słuchu. I rzeczywiście, po jakichś pięciu minutach słyszę skrzypnięcie furtki.

Zak otwiera drzwi i wchodzi do domu, a uszczęśliwiona Ness podskakuje u jego stóp. Zak uśmiecha się na mój widok.

– Piper?

– A któżby inny? – mówię. Pociągam nosem i marszczę go z niesmakiem. – Niech zgadnę. Czosnek. Bazylia. Pesto. Makaronowy wieczór w restauracji?

– Zgadza się jak zawsze. – Idzie przez pokój, bierze mnie za rękę, podnosi z sofy i zamyka w ramionach. Pozwalam, by moje ciało wtuliło się w niego. Nachyla się, muska mnie nosem po karku. – Mogę wziąć prysznic. – Jego słowa giną, stłumione w moich włosach. Odsuwa się lekko i rozgląda. – Gdzie jest Quinn?

– Nie ma jej tutaj. Jesteśmy zupełnie sami. – Przymykam oczy i posyłam mu uwodzicielski uśmiech.

W jego oczach błyskają iskry. Ale Zak nie pochyla się, żeby mnie pocałować.

– Gdzie się podziewa o tej porze?

– Poszła do mojego domu. Jest... mną na tę noc.

Unosi brew.

– Czy to oznacza, że ty teraz jesteś n i a?

Szczypię go w ramię.

– Nie bądź głupi.

– Słyszałem, że wcześniej pokłóciłyście się trochę. Zdaje się, że chciała otwarcie być sobą. Zależało jej na tym. Więc dlaczego jest teraz w twoim domu jako t y?

– To się nazywa k o m p r o m i s. Podobno.

– O, czyżby? Dla mnie to brzmi, jakbyś ustawiała sprawy tak, jak ci pasuje. Nie uważam, żeby udawanie kogoś innego było dla Quinn czymś dobrym.

– O, doprawdy? A odkąd to jesteś takim wielkim ekspertem od m o j e j siostry?

– Cóż. – Uśmiecha się. – Jestem trochę ekspertem od ciebie. – Przesuwa dłoń po moim ramieniu, ale je wyszarpuję.

– Nie jesteśmy tą samą osobą, choć wyglądamy tak samo.

Wzdycha.

– O tak. Dość dobrze o tym wiem.

Odwraca się, idzie do kuchni. Słyszę brzdęknięcie czajnika, szum wody płynącej z kranu. Ruszam za Zakiem.

– A to niby co miało oznaczać?

– Po prostu uważam, że powinnaś spróbować postawić się na jej miejscu. Pomyśleć, jak to może być, gdy jest się nią. Ona widzi, że masz wspaniałą rodzinę, wszystko milutko, z mamą i tatą przez cały czas. Podczas gdy ona była... – urywa.

– Ona była: co? Czy wiesz coś, o czym mi nie mówisz?

– Nie. – Ale odwraca się, żeby nalać herbaty.

– Gdybyś coś wiedział, tobyś mi powiedział, prawda?

– Zmierzalem do czego innego – mówi. Robi unik przed moim pytaniem? – Ona myśli, że miałaś idealną rodzinę, idealne życie. Coś, czego sama nie miała. Może powinnaś powiedzieć jej prawdę. Powiedzieć jej, jak w rzeczywistości miały się sprawy z twoją mamą. Że w ogóle nie zgadzałyście się ze sobą, ledwie mogłyście wytrzymać razem w jednym pokoju. Może wtedy chętniej otworzy się przed tobą i powie ci coś o sobie?

Potrząsam głową.

– Nie. Nie! Wcale tak nie było.

– Owszem, Piper. Przykro mi, ale było.

Śpię na sofie z Ness – wściekła na Zaka z powodów, których nawet sama sobie nie umiem wyjaśnić. Jak mógł mówić do mnie w ten sposób? To na pewno przez Quinn: Zak bierze jej stronę i zwraca się przeciwko mnie. A mój gniew sprawia, że tracę panowanie. Wiem o tym, ale nie mogę powstrzymać złości.

I jeszcze to, co Zak mówił o mojej mamie. Nie zawsze się dogadywałyśmy, lecz nie było tak, jak to zabrzmiało w jego ustach. **K o c h a ł a m n i e.**

Poruszył jednak wątpliwości, które teraz czają się gdzieś w głębi. Wiem, że mnie kochała; no przecież. Świadczy o tym tyle wspomnień, które mogę przywoływać i przeżywać na nowo.

Ale czy wszystkie pochodzą z czasów, gdy byłam mała?

Odkąd stałam się świadoma naszych... zdolności, mama patrzyła na mnie inaczej. Obserwowała mnie, jakby się obawiała, że coś, co siedzi we mnie w środku, mogłoby się wydostać.

Właśnie podczas wścieklej kłótni powiedziała mi o Quinn. Mówiła, że nigdy nie może wrócić do naszej przeszłości z powodu mojej siostry bliźniaczki; gdybyśmy się spotkały, Quinn zniszczyłaby nas wszystkich. To dlatego trzymano ją w zamknięciu – miała w sobie ciemność. A mama powiedziała to w taki sposób, jakby uważała, że ja też powinnam być zamknięta.

Albo zamiast niej.

Prawie od razu, kiedy to powiedziała, widziałam, że chce odwołać te słowa; chciała wycofać się ostatecznie, mówiąc coś o prawie przysługującym mi z racji urodzenia.

**O n a s z y m** prawie – Quinn i moim, żebyśmy były razem.

Ale nie mogłabym powiedzieć siostrze, że wiedziałam o niej, podczas gdy ona o mnie nie miała pojęcia; zauważyłam, że Quinn denerwuje się na tę myśl.

Quinn musi mi zaufać. Musi mnie kochać, żeby mi zaufać. Żeby się dać kochać, muszę być dla niej miła, przez cały czas.

Wzdycham. Ból, który obudził we mnie Zak, jest jak otwarta, ziejąca rana.

Próbowałam tego z mamą, ale nie zadziało, prawda? Nigdy nie kochała mnie całej, nie taką, jaka naprawdę jestem.

Odwracam się i usiłuję ułożyć wygodnie na sofie. Nie chcę się kłaść w łóżku

mamy Zaka – w tym, w którym wczoraj spała Quinn. Na poduszce, na której spoczywał jej policzek, rude włosy jak plama krwi na białej pościeli. Pod kocami, które okrywały jej ciało, gdy się pogrążyła we śnie.

Jest tutaj teraz miejsce, które należy bardziej do niej niż do mnie.

Zawisa nade mną samotność, przygniata mnie swoim ciężarem. Nikt, kto uważa, że mnie kocha czy lubi – tato, Zak, przyjaciele – tak naprawdę mnie nie zna, całej mnie. Bo gdyby znali, nikt by mnie w pełni nie pokochał.

Quinn jest jedyną osobą, która by mogła.

– *No dalej, wspinaj się. – Mama wyciąga rękę i gramolę się w górę, by usiąść obok niej.*

– *Bajka! – mówię.*

– *Która dzisiaj? – Całuje mnie w czoło, otacza ramieniem. – Jakbym musiała pytać.*

*Obok niej na stoliku leży stos książek. Mama trzyma jedną – grubą, dorosłą i już na oko nudną.*

– *Tę? – pyta.*

– *Nie. – Chichoczę.*

– *Jesteś pewna? To naprawdę bardzo interesująca książka.*

– *Nie. O szczeniaczku!*

– *O, co za niespodzianka. Dobrze. – Znajduje książkę z obrazkami, tę ze szczeniakiem na okładce, wciąga mnie na kolana i zaczyna.*

*Znam słowa na pamięć i włączam się, opierając się o mamę, podczas gdy ona przewraca kartki, a jej ramiona tworzą ciepłe gniazdko. Bransoleta pobrząkuje, trącąc książkę; wyciągam rękę do wisiorka, żeby go potrzymać w dłoni.*

– *Nie, dziecino. To nie dla ciebie.*

*Odsuwa rękę, lecz ja nie puszczam i wtem...*

*Jesteśmy gdzieś indziej. Nie siedzę na kolanach mamy; nie jestem w domu. Stoję przed nią na zimnej kamiennej podłodze. Gdzie ja jestem?*

*Mama trzepie mnie mocno po ręce, do oczu napływają mi łzy. Puszczam jej bransoletę.*

*Podnoszę wzrok. Jej oczy są ciemne i patrzą na mnie dziko, nie tak jak zazwyczaj.*

*Cofam się o krok. Ona robi krok w przód.*

– *Musisz się nauczyć dobrego zachowania – mówi i podnosi rękę.*





*Bzzz. Bzzz.*

Otwieram jedno oko. Czy to budzik? Szukam zegara oczami: siódma dwadzieścia. W głowie mi łupie po prawie nieprzespanej nocy i niechcianych snach.

Ostatni był taki dziwny: w jednej chwili byłam chyba w tym domu, ale jakby wiele lat temu. Byłam mała i Isobel czytała mi bajkę? Co za fantazja! Ale potem

przeskoczyłam do bardziej mi znanej przeszłości – w domu babci. Mocne trzepnięcie w ucho.

Budzik milczy; może to też był sen. Z powrotem zamykam oczy.

Bzzz. Bzzz.

Otwieram je raptownie. Brzęczenie dobiega chyba z innej strony. A. Na nocnym stoliku odzywa się telefon Piper. Boję się brać go do ręki, boję się popatrzeć na wyświetlacz. Kto to będzie tym razem? Od Zaka: „Droga Piper, dziękuję za upajającą noc”. Albo może od Piper do mnie: „Dzięki, że pozwoliłaś nam spędzić noc we dwoje. Oto nasze zdjęcie w łóżku”.

Nie bądź idiotką, Quinn. Siadam na łóżku i sięgam po komórkę.

Znów się odzywa; to nie SMS. Ktoś dzwoni. Wyświetlacz oznajmia, że to osoba nazwana skrótem EB. Waham się, po czym dotykam ekranu, by odebrać.

– Halo?

– Cześć, Pip, właśnie miałam położyć na tobie kreskę. Idziesz dzisiaj do szkoły? Potrzebujesz podwózki?

Waham się, niepewna, co powiedzieć. Tato kazał mi iść do szkoły. EB – kimkolwiek jest – podwiezie mnie na miejsce. Piper i tak zapewne jest bardzo zajęta Zakiem.

Jeżeli pójdę, zobaczę, co to znaczy naprawdę być nią przez jeden dzień: szkoła, przyjaciele, zajęcia.

Jej się to nie spodoba. Uśmiecham się na tę myśl: czy nie pora, żeby poczuła, jak to jest nie zawsze stawiać na swoim? Ale czy mi się uda? Nigdy nie byłam w szkole. To może być moja szansa, żeby zobaczyć, jak wygląda takie życie. Zawsze się chciałam dowiedzieć. Odsuwam od siebie obawy.

– Jesteś tam, Pip? – pyta EB.

– Przepraszam, tak. Tak, wybieram się do szkoły. Będę wdzięczna za podwózkę. O której?

– Jak zwykle. Widzimy się za godzinę.

EB żegna się, a ja zmierzam do łazienki, którą Piper ma przy swoim pokoju, i biorę gorący prysznic. W szafce znajduję czyste puszyste ręczniki. Potem wkładam szlafrok.

A w co Piper ubiera się do szkoły? Wczoraj wieczorem, kiedy przeglądałam niekończącą się zawartość jej szaf, gdzieś widziałam szkolny mundurek. Ale gdzie?

Rozlega się pukanie.

Drzwi się otwierają; zagląda tato z kubkiem herbaty w ręce.

– Jestem pod wrażeniem. Już na nogach? A więc naprawdę wybierasz się do szkoły?

Uśmiecham się.

– Tak! Choć wszystko wydaje się trochę dziwne i mylące, jakbym nie była

tam od lat. Mam wrażenie, że nie wiem, na jakie zajęcia chodzę. Nie jestem nawet pewna, w co się ubrać.

– Tylko znowu nie wpadnij w kwestię „nie mam co na siebie włożyć”. Choć łatwiej było w zeszłym roku, kiedy musiałaś jeszcze nosić mundurek.

Stawia moją herbatę na biurku i z uniesioną brwią spogląda na ubrania porzrucane po całym łóżku, ale nic nie mówi.

– Chcesz, żebym cię podwiózł?

– Nie, dzięki. EB mnie podrzuci.

– Pozdrów Erin ode mnie. – Z tymi słowami wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

A więc EB to Erin. Na jedno pytanie mam już odpowiedź. I żadnego mundurka – katastrofa zażegnana. Tamta bluza, którą widziałam, musiała być zeszłoroczna. Czy to oznacza, że mogę włożyć c o k o l w i e k?

Przetrzęsam szafę, wyciągając dzinsy, kolorowe bluzki, wszystko, co złowi moje oko, i układam to na łóżku.

Znowu ktoś puka do drzwi. Tym razem nie otwierają się.

– Proszę! – wołam.

Do pokoju zagląda dziewczyna: smukła blondynka, nieskazitelnie zadbana, w kurtce wyglądającej na bardzo drogą. Czy to może być Erin?

– Jeszcze niegotowa? Erin wysłała mnie po ciebie.

Zatem nie Erin.

– Sorki. Jakoś nie mogę się zdecydować, co włożyć.

– Dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają!

– Pomożesz mi?

– N a p r a w d ę? Super. – Uśmiecha się, jakbym jej dała nagrodę, po czym przepatruje rzeczy wyłożone na łóżko i zagląda do szafy. Wkrótce na moje zatwierdzenie czekają dzinsy biodrówki, piękne skórzane wysokie buty, wspaniała bładoniebieska bluzka i pasujący do niej żakiet.

– Wygląda dobrze. Dzięki!

Dziewczyna odwraca się, a ja wkładam ubrania.

– Chodź już – napomina, więc ruszam za nią do drzwi. Zatrzymuje się i odwraca do mnie. – Gdzie twoja torba?

– Moja torba? Sorki. Może to błąd, że wybieram się dzisiaj do szkoły. Jakoś tego nie ogarniam. – Wnętrznosci mi się skręcają w panice. Co mnie podkusiło, bym uznała, że dam radę? Piper nic mi nie wspominała o szkole. Nie wiem, gdzie to jest; a jeżeli nie liczyć domysłów na podstawie podręczników z biurka, nie wiem nawet, na jakie przedmioty chodzi.

– Och, kochanie, oczywiście, że możesz mieć problemy. – Obejmuje mnie i z poruszeniem jej włosów dociera do mnie powiew uroczych perfum. – Nie martw się. Pomogę ci, obiecuję. Będzie w porządku.

Odwraca się, rozgląda, po czym sięga pod biurko i wyciąga szkolną torbę. Z półek wyławia kilka książek i wkłada je do środka, po czym bierze mnie pod ramię i ciągnie do drzwi.

W samochodzie przed domem czekają siedząca za kierownicą ciemnowłosa Erin i słodki blondyn o psotnym uśmiechu. Gdy podchodzimy, chłopak wyskakuje i przytrzymuje dla mnie drzwi, oferując swoje siedzenie z przodu. Erin przewraca oczami.

Ruszamy, a oni wszyscy są niesamowicie mili. Może zawsze tak się odnoszą do Piper, a może nie są przyzwyczajeni do koleżanek, którym umarła matka. Zdaje się, że nie bardzo wiedzą, o czym ze mną rozmawiać, co mi doskonale pasuje; mam nadzieję, że jeśli zachowam się dziwnie, usprawiedliwią to moim żalem po śmierci Isobel. I najwyraźniej nie przeszkadza im, że gawędzą sobie ze sobą, podczas gdy ja siedzę cicho; od czasu do czasu rzucają mi spojrzenia i uśmiechy świadczące, że im zależy na Piper, że się o nią martwią.

W mojej kieszeni odzywa się jej telefon. Wyciągam go: o wilku mowa, a tu przychodzi SMS.

„Cześć, to ja. Jak ci poszło wieczorem? Czy możesz teraz przyjść, żebyśmy się zamieniły z powrotem?”

Nie, tak się składa, że nie mogę. Uśmiecham się. Przygryzam na chwilę wargę, namyślając się, po czym odpisuję: „Wieczorem poszło świetnie. Właśnie jadę do szkoły z Erin i przyjaciółmi. Więc lepiej przeczekać dzień w ukryciu”.

Wyciszam komórkę i odkładam ją do kieszeni. Zaczyna wściekle wibrować. Piper dzwoni? Ignoruję to. Ona miała swoją zabawę wieczorem, teraz moja kolej.



# P I P E R



Gapię się na telefon stacjonarny Zaka, który trzymam w ręce. Nie odpowiada? Jedzie do mojej szkoły z moimi przyjaciółmi? Udaje, że jest mną? Nie jestem zła, raczej... zdumiona. Nie mogę w to uwierzyć.

Nie ma szans, żeby przetrwała cały dzień, nie dając wszystkim do myślenia, że jest stuknięta – że ja jestem stuknięta. Nie ma pojęcia, gdzie co jest, jak ludzie się nazywają, nic. Jak może myśleć, że da sobie radę?

– Dzień dobry. – Zak przechodzi obok sofy w stroju do joggingu i z Ness na smyczy. Zatrzymuje się, odwraca. – W porządku?

Wzruszam ramionami.

– Mniej więcej.

– Wciąż wściekła?

– Mniej więcej. – Wzdycham i spoglądam spod rzęs, odchylając się w tył na sofie.

Zak przechodzi przez pokój i staje przede mną.

– Nie lubię, gdy się kłócimy – mówi.

Podnoszę wzrok.

– Więc tego nie rób. Po prostu zawsze się ze mną zgadzaj.

– Tak nigdy nie będzie – odpowiada z cieniem uśmiechu.

– Nie będzie, kiedy się złość. Tracę swoje talenty. – I jest to szczerą prawdą.

Pochyla się i daje mi szybkiego całusa.

– Wspólne śniadanie, kiedy wrócę?

Potrząsam głową. Zaczynają mi się klarować początki planu.

– Nieee... Idę dzisiaj do szkoły.

– Dobry pomysł. Wpadniesz po lekcjach?

– Okej.

Przypina smycz do obroży Ness i wychodzą.

A więc. Quinn pojechała do szkoły. Na to niewiele mogę poradzić, ale przynajmniej dzięki temu sama nie muszę tam iść. Są inne rzeczy, które mogę dziś zrobić.

Uśmiecham się.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Tyle oczu. Tyle niuansów uczuć w spojrzeniach: współczucie, zaciekawienie i coś jeszcze, głęboko skrywane i nie całkiem przyjemne. A więc nie każdy kocha Piper, prawda? Lecz zatrzymują to dla siebie: jej powrót po śmierci i pogrzebie matki – dokonany przez podszywającą się bliźniaczkę, czyli mnie – zostaje dostrzeżony przez wszystkich, tworzących zamazaną chmurę słów i twarzy, od której kręci mi się w głowie.

Wreszcie rozlega się dzwonek. Blondynka najwyraźniej wzięła sobie do serca obietnicę, że będzie się mną opiekować. Prowadzi mnie po korytarzach i schodach, wśród klaustrofobicznie napierających zewsząd ciepłych ciał śpieszących we wszystkie strony.

Erin i słodki gość z jej samochodu idą do tej samej klasy co my. Pilnie uważam, kiedy nauczycielka sprawdza obecność – staram się zapamiętać wszystkie imiona. Tak więc blondwłosa doradczyni od ubrań to Jasmine; słodziak otwierający drzwi samochodu to Tim. Tak mnie pochłania zapamiętywanie imion, że Erin musi mnie trącić łokciem, gdy nauczycielka wywołuje „Piper Hughes”.

– Przepraszam. Jestem – odpowiadam. Nie moje nazwisko, ale Piper też się tak nie nazywa, prawda? Powinno być: „Piper Blackwood”.

Nauczycielka należy do obozu współczujących. Uśmiecha się.

– Dobrze, że do nas wróciłaś, Piper – mówi, po czym dalej wyczytuje uczniów z listy, a ja staram się spamiętać ich wszystkich i połączyć imiona z twarzami.

Właśnie się zastanawiam, jaki to będzie przedmiot, kiedy ponownie dzwoni dzwonek. Całe to zgromadzenie było tylko po to, żeby sprawdzić obecność? Wszyscy się zrywają i wychodzą, a ja ruszam za Erin, lecz Jasmine chwytą mnie za rękę. Potrząsa głową.

– Naprawdę nie jesteś dziś sobą, co? Chodź. Mamy teraz angielski.

Idę za nią kolejnymi niekończącymi się korytarzami do innej klasy. Schodzą się pozostali uczniowie.

To dzień uczniowskich prezentacji, łatwo więc siedzieć z tyłu i tylko słuchać. Przerabiają Sylvię Plath: kto to taki? Zdaje się, że napisała kilka ważnych książek, i mam ogromną chęć dowiedzieć się o niej więcej, przeczytać jej dzieła i znaleźć wątki ukryte w jej wierszach. W sali jedne twarze są pełne zainteresowania, inne zdziwione, a jeszcze inne to maski skrywające wędrujące myśli.

Jest tyle rzeczy, o których oni wszyscy najwyraźniej wiedzą, a ja nie; aż mnie korci, by o tych rzeczach przeczytać, poznać je i zrozumieć. Mimo że wielu obecnych tu uczniów zdaje się siedzieć jak na torturze, nie mają pojęcia, jacy z nich szczęściarze – co otrzymują w tym miejscu.

Więc to jest szkoła. Zawsze byłam ciekawa szkolnego życia.

Gdy znowu odzywa się dzwonek, ruszam za Jasmine do wyjścia. Nauczycielka zatrzymuje mnie przed drzwiami.

– Piper, zostań na moment. – Czeka, aż pozostali wysypią się z sali. – Nie chcę teraz wywierać na ciebie nacisków, ale ty też musisz przygotować prezentację. Twój termin wypada jutro. Mogę cię przesunąć na koniec kolejki, jeżeli nie jesteś jeszcze gotowa.

Ciekawe, czy Piper odrobiła swoje zadanie domowe. Jakoś w to wątpię. Za



bardzo była zajęta Zakiem. Uśmiecham się.  
– Nie ma problemu. Przygotuję na jutro.



# P I P E R



Z końca naszej drogi zerkam na podjazd; samochodu taty nie ma. Szybko podchodzę do drzwi i wstukuję kod, mając nadzieję, że żaden wścibski sąsiad nie widział, jak odjeżdżam samochodem, a zaraz potem wracam pieszo w innym ubraniu.

Na górze drzwi do mojego pokoju są półotwarte, wchodzę więc i zamykam je za sobą. Gdy się odwracam, oczy wychodzą mi z orbit. Po całym łóżku

porozrzucane są ubrania, rozwleczone też po podłodze – nawet ten głupi kombinezon, który dostałam od ciotek na gwiazdkę w zeszłym roku.

W s z y s t k o poprzeczowała? Wszystkie moje rzeczy? Sprawdzam na biurku i w szufladach – wygląda na to, że nic nie zginęło. Ale wszystko wydaje się jakieś i n n e, zaburzone. Jej oczy i ręce spoczywały na wszystkim, co jest moje, a ja czuję się tak, jakby w moich rzeczach grzebał obrzydliwy włamywacz.

Ale to moja s i o s t r a. Próbuję zmusić się do spokoju, nie mogę jednak powstrzymać gniewu, który zaczyna się we mnie gotować. Siostra, którą mam ochotę wytrzaskać po twarzy, ale nie mogę, ponieważ właśnie jest z m o i m i przyjaciółmi w m o j e j szkole, udając, że jest mną.

„Skup się, Piper”.

A więc: czego się dowiedziałam do tej pory? Jeszcze niedawno nie umiałam znaleźć w tym domu śladu, który by mnie naprowadził na pochodzenie mamy. Tato podał mi jej panięskie nazwisko – i moje: Blackwood. Quinn potwierdziła, że też się tak nazywa. Tato powiedział, że z tym nazwiskiem wiąże się jakieś dziedzictwo, ale twierdził, że nie wie, co ani gdzie by to mogło być. Quinn zdradziła Zakowi, że wychowywała ją babcia, i obydwójgu nam mówiła, że mama ją odwiedzała.

Zatem jedyna nasza krewna, o której wiem na pewno, to ta babcia. Muszę ją jakoś namierzyć, a najlepszy sposób to dowiedzieć się, gdzie mieszkała Quinn albo dokąd jeździła mama. To, mam nadzieję, doprowadzi mnie do naszej rodziny i dziedzictwa.

Następny krok? Internet.

Otwieram laptop. Czy Quinn też tutaj gmerała?

Nie. Nie zna przecież hasła – chyba że się domyśliła, że brzmi ono „Ness”.

Na początek wpisuję do wyszukiwarki „Isobel Hughes”. Jako pierwsze wyskakują zawiadomienia o jej śmierci. Jej oczy spoglądają w moje z monitora, a moje palce same się wyciągają, by dotknąć jej wizerunku. Wizerunku, który w jakiś sposób jest jej portretem i zarazem nie jest.

Jak w tym śnie, który miałam tej nocy. Najpierw była taka, jak ją zapamiętałam z czasów dzieciństwa. A potem stała się kimś innym, kimś strasznym.

Zdjęcie zrobiono na jakiejś firmowej imprezie prawników – mama go nienawidziła. Ma na nim lekko spuszczone wzrok, rozkojarzony i smutny. Uśmiechnęłaby się, gdyby widziała, że ktoś nastawia aparat, tak właśnie chciała być postrzegana. Tu pstryknięto ją w momencie, kiedy się nie pilnowała. O czym myślała? Czy w ogóle kiedykolwiek wiedziałam?

Zmuszam się do przewinięcia wyników poszukiwania i zdjęcie znika, ale gdy omijam ostatnie wydarzenia, pojawia się chaotyczna zbieranina ludzi i miejsc w żaden sposób niepowiązanych ani z nią, ani ze sobą.

Następnie szukam Isobel Blackwood; potem Quinn Blackwood. W obu poszukiwaniach przewijam niekończące się strony, jak zawsze; żadna z nich nie wydaje się związana z mamą ani z Quinn. Nic na Facebooku, nic na Twitterze, zupełnie nic. Wiem, że mamę nie interesowały portale społecznościowe, i byłabym zaskoczona, gdyby Quinn udzielała się dużo w sieci – nie jest zbyt obeznana z techniką, musiałam jej nawet pokazywać, jak ma korzystać z mojego smartfonu. Ale jakoś bardziej zaskakujące jest to, że również nic, co Quinn porabiała w życiu, nie znalazło się na niczym radarze. Gdziekolwiek mieszkała, nie pojawiła się w Internecie, przynajmniej nie jako Quinn Blackwood.

A może Blackwood i Dartmoor razem? Nie wiem, czy moja rodzina rzeczywiście wywodzi się z Dartmoor, a jeśli tak, czy krewni wciąż tam mieszkają. Wiem tylko, że mama tam pracowała, kiedy poznała tatę. Ale jeżeli są z Dartmoor, mogłoby to coś wnieść. Wpisuję słowa, nie spodziewając się w zasadzie niczego konkretnego, i wciskam enter.

Na ekranie pojawiają się liczne wyniki poszukiwania.

*Blackwood*, „czarne drewno”, to starodawna nazwa czarnego torfu pozyskiwanego tu i wykorzystywanego jako opał. Garth Blackwood był brutalnym nadzorcą więzienia w Dartmoor, aż został zamordowany przez jednego z osadzonych w 1895 roku. Zdaje się, że powrócił z grobu, by się zemścić. Niezłe posunięcie.

Pokazują się najróżniejsze chaotyczne, na oko nie łączące się z sobą związki nazwy Dartmoor ze staroświecką wersją naszego nazwiska: „ktoś tam z Black Wood”. Są polowania, mity i mnóstwo nadprzyrodzonych różności.

Tak, Internet potrafi być dziwaczny. Bo czemu nie? Czasami wyszukiwarka wyrzuca niestworzone wymysły, niemające nic wspólnego z tym, czego mi trzeba. Ale wiele z tych dziwactw ma domieszkę czegoś jeszcze dziwniejszego i jest w tym wszystkim coś, co sprawia wrażenie ważnego.

Nic jednak nie wydaje się na tyle specyficzne, by było konkretne. Nic nie wskazuje na to, że na pewno chodzi o moją rodzinę i o Dartmoor, ani nie daje mi wskazówki, gdzie i czego miałabym szukać, gdybym tam pojechała.

Wzdycham i marszczę brwi przed komputerem. Co teraz?

Jeżeli Quinn mieszkała w Dartmoor, musiała chodzić do szkoły tam albo gdzieś w okolicy. Wyszukuję wszystkie szkoły średnie w tym rejonie i robię listę z adresami i numerami telefonów. Zaczynam od góry.

– Halo? Mam pilną osobistą wiadomość do jednej z waszych uczennic. Tak, jestem jej krewną, siostrą. Niestety, w naszej rodzinie zdarzył się śmiertelny wypadek. Siostra nazywa się Quinn Blackwood... O? Nie macie uczennicy o tym imieniu i nazwisku?

Wykreślam pierwszą szkołę z listy i idę dalej. Za każdym razem powtarzam mniej więcej to samo zapytanie i dostaję taką samą odpowiedź, aż lista mi się

wyczerpuje.

Jak ktoś może żyć na tym świecie i nie zostawiać żadnych śladów, najmniejszych tropów? Quinn musi być duchem.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Dzwonek dzwoni na zakończenie niezrozumiałej dla mnie lekcji matematyki, ale przynajmniej nie ja jedna siedziałam jak na tureckim kazaniu: wcześniej rzut oka po klasie upewnił mnie, że większość pozostałych też błądzi we mgle. Zanim jeszcze wybrzmi do końca dzwonek, wszyscy wybiegają z sali, jakby deptały im po piętach Piekielne Ogary. Ale kiedy idę do wyjścia za Jasmine, w drzwiach blokuje mi drogę nauczyciel.

– Piper, czy masz pracę zaliczeniową, która była do oddania w zeszłym tygodniu? – W jego słowach nie ma ani trochę łagodności, z jaką mówiła do mnie anglistka.

– Przykro mi. Nie mam.

– Nie mogę ci już więcej przekładać terminu.

– Może przyniosę jutro? – proponuję, chcąc jak najszybciej wydostać się stąd i ruszyć za Jasmine. Jeśli zniknie mi gdzieś za rogiem, nie będę miała pojęcia, dokąd iść.

– No dobrze, przynieś.

Na szczęście Jasmine czeka na mnie za drzwiami.

– Masz ją zrobioną? – pyta. Najwidoczniej podsłuchiwała.

– Eee...

Unosi brew.

– Tim zechce c z e g o ś w zamian, jeśli wciąż będzie za ciebie odrabiał matematykę, wiesz o tym. I nie wydaje mi się, żeby był aż tak zakochany, by napisać twoją pracę zaliczeniową.

Jestem w szoku. Piper każe Timowi odrabiać swoje zadania?

Idę za Jasmine do stołówki – przerwa obiadowa? – i od razu staje się jasne, dlaczego wszyscy tak pędzili. Sala pęka w szwach. Ale Jasmine zmierza pewnym krokiem przed siebie, przedzierając się przez tłum, który rozstępuje się przed nami. Przy dużym stole dwa miejsca zajęte, kładąc na nie torby i – jak się okazuje – te krzesła czekają na nas.

Opadam na siedzenie obok Tima, koło mnie siada Jasmine.

– Biedna Piper, taka wykończona – mówi Tim i otacza mnie ramieniem.

Ściska mnie i widzę, że po drugiej stronie stołu Erin rzuca mi dziwne spojrzenie. Czy Piper normalnie na to nie pozwala? Uśmiecham się i opieram o jego ramię, a ona wybałusza na mnie oczy.

– Przyniosę ci lancz – proponuje Tim. – Co byś zjadła?

– Ty zdecyduj. Dziękuję. – Uśmiecham się do niego, gdy wstaje i rusza, by się ustawić w niekończącej się kolejce.

– Kochanie – odzywa się przyciszonym głosem Jasmine tuż przy moim uchu – kiedy mówiłam, że będzie chciał czegoś w zamian za pomoc w matmie, nie miałam na myśli, że trzeba zaczynać o d r a z u. – Puszczam do niej oko, a ona chichocze. – Nie jestem pewna, co na to boski Zak.

– Poradzę sobie z nim. – Wzruszam ramionami i zastanawiam się nad tym, co powiedziałam. Czy Piper faktycznie poradzi sobie z Zakiem? Chyba nawet jej nie ujdzie na sucho flirtowanie z innymi chłopakami, jeśli ma kogoś na stałe. Ktoś w końcu doniesie Zakowi.

Jasmine uśmiecha się porozumiewawczo i też puszcza oko. Są zgraną, pełną ciepła paczką. To mogłoby być moje życie. Tak by było, gdyby Isobel wybrała

mnie zamiast Piper, kiedy zostawiła babcię i wyjechała do Winchesteru.

To p o w i n n o być moje życie.

Gdyby tylko Isobel mnie nie zostawiła. Jak mogła mi to zrobić? Za późno, żeby ją zapytać, a wnioski, do których mogę dojść sama, nie są pocieszające.

Wraca Tim z lanczem – dla mnie sałatka i jogurt, dla niego frytki z sosem. Czy Piper jada takie rzeczy na lancz? Sałatę?

– Może być? – niepokoje się Tim.

– Jasne. Czy mogę podkraść parę frytek?

– Weź wszystkie. Przyniosę drugą porcję. – Jest taki przejęty i skory do pomocy, że przypomina mi Ness. Potrząsam głową, a kiedy robi ruch, żeby wstać, biorę go za rękę i pociągam z powrotem na siedzenie.

– Naprawdę może być, nie idź – mówię, a na jego twarzy pojawia się rozanielony uśmiech. Chodzi o to, że go wzięłam za rękę?

– Nie, nalegam. – I już go nie ma, pomknął do kolejki.

Co Piper ma w sobie, że skłania przyjaciół do takiego zachowania? Przyglądam się innym siedzącym przy naszym stole.

Wszyscy należą do obozu „współczucie-dla-Piper” i poddają się mojej – j e j – woli, czasem w nieco dziwny sposób.

Wygląda na to, że niektórym z jej przyjaciół naprawdę na niej zależy, na przykład Jasmine. Z kolei Jasmine przypomina mi klientów, którzy przyjeżdżają do hotelu w luksusowych samochodach i nigdy nawet nie zauważają pracujących tam ludzi. Jest piękna, jej zadbane włosy i drogie ubrania świadczą o dużych pieniądzach, a sposób, w jaki odnosi się do wielu innych uczniów czy nawet nauczycieli, pokazuje, że Jasmine traktuje ich jak pomoc, której nie musi dostrzegać. Mimo to najwyraźniej sama asystuje Piper i z radością spełnia jej życzenia.

Zdaje się, że Piper wzbudza w przyjaciółach w równej mierze uwielbienie, jak i posłuszeństwo. Ale dlaczego? Jak ona to robi? Przecież nie życzliwością ani serdecznością. Tak łatwo okłamywała swojego tatę i ciotki, że przypuszczalnie robi to z wszystkimi innymi. Babcia byłaby przerażona.

I jakbym naprawdę była moją siostrą, kłamstwa zdają się teraz równie łatwo padać z moich ust.

„Babcia mną też byłaby przerażona” – szepcze mi wewnętrzny głos. Kiedy udaję, że jestem Piper, celowo składam w jej imieniu obietnice, które tylko ściągają na nią kłopoty; flirtuję z Timem na jej szkodę. Dlaczego ja to wszystko robię?

W brzuchu coś mi się nieprzyjemnie wierci. Z jednego ogromnego powodu – powodu dużego jak Zak. Chciałam odpłacić siostrze za to, co przez nią odczuwałam, kiedy spędziła noc z chłopakiem. Coś mi w duchu podpowiada, że przez cały czas wiedziała, jak mnie tym zdenerwuje.

Babcia zawsze miała co do mnie rację, prawda? Isobel też. Im dłużej ciągnę



to udawanie, tym bardziej potwierdzam, że się nie myliły.

Jasmine nachyla się do mnie i mówi przyciszonym głosem:

– Wszystko w porządku, Piper? Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić? – Spogląda z życzliwością i troską. Jej ramię dotyka mojego i nagle, niespodziewanie, coś we mnie pęka. Spuszczam wzrok i potrząsam głową, nie jestem w stanie odpowiedzieć. Jasmine otacza mnie ramieniem. Jest przyjaciółką Piper, nie moją. Nikt z tej paczki mnie nie zna. Żadne z nich nie chciałoby mnie poznać.

Podnoszę wzrok i znowu napiera na mnie poczucie klaustrofobii, które miałam wcześniej. Tyle ludzi, tyle oczu i wszystkie są skupione na mnie – oczekują, że będę tą osobą, którą ich zdaniem powinnam być.

– Przykro mi. Muszę się stąd wydostać.

Wstaję i ruszam do drzwi, Jasmine mnie odprowadza. Kręci głową w stronę pozostałych, dając im znak, żeby za nami nie szli.

– Urwijmy się. Pójdziemy na herbatę i ciastko albo coś?

– Nie. Nie, sorki. Po prostu muszę się stąd wyrwać i pobyć sama.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Wygląda na to, że chce zaprotestować, lecz w końcu ustępuje.

– W porządku. Ale zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. Okej?

– Tak. Dzięki. Wyłumacz mnie przed Timem. Czy powinnam komuś zgłosić, że wychodzę?

Potrząsa głową.

– Usprawiedliwię cię. Po prostu idź. – Nachyla się i szybko mnie ściska. A ja wypadam ze stołówki.



**P**

**I**

**P**

**E**

**R**



Kark mi zeszywniał i muszę rozruszać ramiona – do przodu, a potem do tyłu. Jak można znaleźć ducha?

Rozmyślam przez chwilę. Może w moim rozumowaniu jest jakaś luka. Quinn nigdy nie potwierdziła, że przyjechała z Dartmoor, prawda? Wiem tylko, że tato poznał mamę w hotelu podczas wycieczki do Dartmoor. Mimo wszystkich interesujących dziwactw, jakie dało połączone wyszukiwanie nazwiska Blackwood

i nazwy Dartmoor, mogą mieć one z sobą niewiele wspólnego. Mama mogła tak naprawdę pochodzić skądkolwiek. To kompletna strata czasu. Nie obdzwonię przecież wszystkich szkół w kraju.

Ale co mogę zrobić innego? Wzdycham, opierając głowę na rękach. „Myśl, Piper”.

Cofam się o krok. Co wiem pewnego o Quinn?

Jest moją bliźniaczką. Mamy jedną matkę, Isobel Blackwood. Quinn powiedziała Zakowi, że wychowywała ją babcia. Mama od czasu do czasu odwiedzała Quinn.

Sprawdziłam już wszystkie mamine rachunki i wyciągi z karty, jakie mogłam znaleźć, i nie było w nich ani śladu miejsca, gdzie bywałyby regularnie. Musiała celowo zacierać tropy – czy to przede mną, czy przed tatą, czy przed nami obojgiem.

Wtem kawałki układanki wskakują na miejsce. Siadam wyprostowana jak struna. Quinn mieszkała z babcią. Matką mamy. Więc jeśli dotrę do przeszłości mamy – jeśli się dowiem, gdzie mieszkała w dzieciństwie z własną matką – może będę mogła znaleźć terazniejszość Quinn.

Jedyne, co w i e m o przeszłości mamy, to że pracowała w jakimś hotelu w Dartmoor. Tato mówił, że kiedy tam zadzwonił, powiedzieli mu, że już u nich nie pracuje i że nie wiedzą, dokąd się przeniosła. Ale czy ich zapytał, s k ą d p r z y b y ł a ?

To mało prawdopodobna opcja – minęło tyle lat. Nawet jeżeli znajdę właściwy hotel, będę mieć szczęście, jeśli nadal pracuje tam ktoś, kto ją pamięta. A nawet jeśli się dowiem, skąd przybyła mama, nasza babcia mogła się wynieść z wnuczką dawno temu. Ale nie umiem wymyślić nic innego, co warto by wypróbować.

Wracam do laptopa w swoim pokoju i szukam hoteli w Dartmoor i okolicy – tworzę kolejną listę: nazwy, miejsca, numery telefonów. Dzwonię pod pierwszy z nich.

– Halo? Przygotowuję do szkoły swoje drzewo rodowe i próbuję namierzyć przodków. Zdaje się, że około osiemnastu lat temu pracowała u was moja ciocia, nazywała się Isobel Blackwood... Istniejecie dopiero od dziesięciu lat? O. Okej, przepraszam.

Dzwonię do następnego hotelu i do kolejnego, ale nic to nie daje. Musi być przecież jakiś sposób, żeby zawęzić listę. Tato powiedział, że nie pamięta, jak hotel się nazywał – mama zapewne z a s u g e r o w a ł a m u, żeby zapomniał nazwę. Ale potem powiedział, że na szyldzie było coś jakby dwie rzeki.

Przełączyłam listę. Dwa Mosty. Jest hotel o nazwie Dwa Mosty. Czy to może być ten?

No dobra, jeszcze jedna próba. Wybieram numer.

Dzwonię: jeden, dwa, trzy, cztery sygnały...

– Dzień dobry! Hotel Dwa Mosty.

– Dzień dobry. Jestem uczennicą szkoły średniej i przygotowuję na lekcję historii swoje drzewo rodowe. Mam nadzieję, że mogłaby mi pani pomóc w namierzeniu krewnej, która u was kiedyś pracowała.

– Jak dawno to było?

– Jakieś osiemnaście lat temu.

– O, przykro mi, jestem tutaj dopiero od kilku lat. Nie sądzę, żeby pracował tu ktoś, kto by pamiętał tamte czasy, ale mogę poprosić byłych pracowników baru. Jak się nazywała?

– Blackwood. Isobel Blackwood.

– Powiedziała pani: Blackwood? Zabawne, bo teraz mamy sprzątaczkę o takim nazwisku! Quinn. Ale w tej chwili ma wolne, ponieważ jej babcia jest chora. Jeśli jednak szuka pani kogoś z dawnych lat, popytam w barze... Halo? Halo?

Gapię się na słuchawkę w swojej ręce, a głos tamtej osoby zanika. Rozłączam się. Quinn Blackwood. Quinn pracuje w tym hotelu? Cokolwiek robiła Isobel, przestaje mieć znaczenie. Jeżeli Quinn tam pracuje, muszą mieszkać w pobliżu.

Znalazłam ją.



Q

U

I

N

N



Nadciągają chmury. Drzę cała, obejmuję się ramionami z zimna, oddalając się coraz bardziej od szkoły. Żakiet Piper może i jest śliczny, ale nie zapewnia ochrony w październikową pogodę. Poprawiam sobie jej ciężką torbę na ramieniu i wzdycham. Dlaczego bardziej nie uważałam, kiedy jechałam samochodem? Nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Ale zimno, które odczuwam, nie jest tylko wynikiem spadku temperatury; to

coś więcej. Coś kryjącego się w głębi. Na moment, na ulotną chwilę pozwoliłam sobie zapomnieć. Czułam się, jakby to mogło być moje życie: mogłam mieć przyjaciół, chodzić do szkoły, być normalna. Jednak znajomi Piper formują szyki wokół niej, nie wokół mnie. Nie znają mnie. Gdyby Piper powiedziała im o mnie i o tym, co zrobiłam, podszywając się pod nią, wściekliby się.

Choć to niezupełnie tak. Miały rację. Babcia i Isobel miały rację. Ich słowa rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Ciemność mnie znajdzie. Już mnie znalazła i wkrótce dopadnie. Jestem słaba. Mogłam ją powstrzymać, lecz tego nie zrobiłam. Odkąd wyjechałam z Dartmoor, wciąż wybieram złą drogę: zazdrości, kłamstwa, umyślnego powodowania kłopotów. Co jeszcze zrobię?

Marsz mi nie wystarcza, zacynam biec, szybciej i szybciej, ulicami, których nie rozpoznaję – ale nie umiem uciec od tego, co mam w środku. Dokądkolwiek pójde, to będzie ze mną. Ledwie widzę przez łzy. Gorąco wywołane biegiem, łapczywym wciąganiem powietrza do płuc rozgrzewa mi skórę, ale nie topi zimnego strachu, który w sobie niosę.

Po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że moje nogi same odnalazły drogę; że znowu wiem, gdzie jestem. Zmierzam prosto do domu Zaka.

Zwalniam do marszu, kiedy docieram na jego ulicę, i zatrzymuję się przed furką. Jego samochód stoi pod domem, ale wiem, że Zak dzisiaj pracuje, pewnie poszedł do restauracji pieszko.

Znajduję zapasowy klucz, który mi dała Piper, gdy wychodziłam wczoraj wieczór, i otwieram drzwi. Zza rogu wyskakuje Ness. Opadam na kolana i otaczam ją ramionami, kryję twarz w jej sierści. Od dawna już nie próbuję nad sobą panować, zanoszę się płaczem i głośno szlocham.

Otwierają się drzwi frontowego pokoju. Ręka, ciepła ręka dotyka moich włosów. Gładzi je. Podnoszę wzrok i przez łzy widzę Zaka. Jasne, że to on.

Jego dłoń znajduje moją, pociąga mnie, podnosi z klęczek. Ramiona zamykają się wokół mnie w mocnym uścisku. I zimno zaczyna ustępować. Początkowo tylko troszeczkę, ale potem przez całe moje ciało przepływa fala gorąca – fala, która zaczyna się w środku i pędzi do moich rąk, nóg, uderza do głowy.

Podnoszę powieki i patrzę mu w oczy. Zak pochyla się i pocałunkami zdejmuję łzy z moich policzków. Znowu zamykam oczy i teraz całuje mnie w powieki. Odchylam twarz do tyłu i jego usta łączą się z moimi – łagodnie, delikatnie, ciepło, ale to nie wystarcza. Moje palce wsuwają się w jego włosy i przyciągają go bliżej. I odwzajemniam pocałunek, desperacko pragnąc więcej. Jego ręce są już na moich biodrach, przyciskają mnie do ściany, a kciuki gładzą moje biodra – tuż powyżej niskiego pasa dżinsów Piper.

P i p e r.

Rozum walczy o powrót. Zak pewnie bierze mnie za Piper. Próbuję go

odepchnąć, ale jego dłonie wolno zataczają ogniste kręgi na mojej skórze.  
Otwierają się drzwi wejściowe.



# P I P E R



Stoję tam z opadniętą szczęką, jak idiotka, gapiąc się na Zaka i Quinn. Całują się na całego? I nie tylko całują.

Quinn odskakuje od niego, oczy ma rozszerzone strachem, spanikowane.

Zak patrzy to na nią, to na mnie, wyraźnie skołowany. Kręci głową.

– Co się tutaj dzieje? – pyta.

Z trudem przełykam ślinę i wydobywam z siebie głos.



– Wygląda na to, że obściskujesz się z moją siostrą.

– Wcale nie... co... Quinn? – Odwraca się do niej. – To ty? Dlaczego nie powiedziałaś?

Lecz ona tylko potrząsa głową i wycofuje się. Usta ma wciąż czerwone od całowania, ognisty rumieniec na policzkach szybko blednie.

– Jak mogłaś to zrobić? – zwraca się do niej Zak.

Serce jej się łamie, to widać po oczach. No właśnie: pęka z niemal dosłyszalnym trzaskiem. Złamane.

– Przepraszam, przepraszam. – Biegnie na górę; trzaskają drzwi.

Zak przeciera sobie oczy, jakby to miało coś wymazać. Zwraca się do mnie:

– Musisz mi uwierzyć, myślałem, że to ty. Jasmine wysłała mi SMS-a, że wysłałaś wcześniej ze szkoły, cała w nerwach. Próbowałem dzwonić, nie odpowiadałaś. Wziąłem wolne z pracy, pojechałem do twojej szkoły, ale nie znalazłem cię nigdzie po drodze. Wracam do domu, a ona jest tutaj, płacze. Miała nawet twoją szkolną torbę. – Wskazuje gestem torbę na podłodze. – Mówiłaś mi, że idziesz do szkoły. Myślałem, że to ty.

Obejmuję sobie ramiona rękami. W środku jestem wyjątkowo spokojna.

– Naprawdę nas nie rozróżniasz? Czy ona całuje się tak samo jak ja?

Nie odpowiada, ale widzę to w jego oczach. Jakąś częścią siebie w i e d z i a ł. W którymś momencie poczuł różnicę, ale się nie zatrzymał.

– Przepraszam, Piper. Najmocniej przepraszam. Myślałem, że to ty. Myślałem, że to ty.

Czy powtarzanie słów ma sprawić, że staną się bardziej prawdziwe? W jego spojrzeniu maluje się szok i niedowierzanie przemieszane z czymś jeszcze: poczuciem winy.

„Zacznijmy od tego, że wiedziałaś”. Odwracam wzrok, lekko potrząsam głową i kłamię:

– Nie jestem na ciebie zła, Zak. To jej wina. Wiedziała, że się pomyliłaś, ale cię nie naprostowała.

Na schodach słychać niezdecydowane kroki.

Schodzi Quinn we własnych ubraniach. Twarz ma bladą i zdeterminowaną, ale nie podnosi wzroku, nie chce napotkać naszych spojrzeń.

– Przepraszam za wszystkie kłopoty. Wyjeżdżam – mówi.



Q

U

I

N

N



– Czekał – mówi Piper. Jedno słowo; tylko jedno.

Chcę wybiec przez drzwi, zanim postanowienie mnie opuści, zanim jej gniewne słowa sięgną celu.

Zwalniam kroku, oglądam się za siebie. Po wszystkim, co zrobiłam, jestem jej winna chociaż tyle, by wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Daj nam chwilę – zwraca się do Zaka, a on przechodzi do frontowego

pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Patrzę za nim, cierpiąc w duchu. Czy rzeczywiście widzę go po raz ostatni? Czy to może być prawda? Z wysiłkiem kieruję wzrok na nią. Wygląda spokojnie; jak może być taka spokojna? Opiera się o ścianę w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą byłam ja, gdy Zak...

Nie. Nie wolno mi o tym myśleć; ani teraz, ani nigdy.

– Dokąd pójdziesz?

– Ja... nie wiem. Pewnie do domu. Bo niby dokąd?

Wtedy Piper wypowiada słowa, których się nie spodziewam:

– Nie odchodź. Nie w ten sposób.

– Co powiedziałaś?

– Bez względu na to, co się stało, Quinn, wciąż jesteś moją siostrą. Oczywiście, jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Zaka, będę cię musiała zabić. – Cień uśmiechu. – Ale należysz do mojej rodziny. Nie idź.

Potrząsam głową.

– Nie rozumiem. Po tym, co zrobiłam... – Przełykam ślinę. Całowanie się z Zakiem byłoby chyba najgorszą rzeczą, na jaką mogłabym wpaść, żeby dokuczyć siostrze, ale nie planowałam tego. Nie mogłabym; nie tylko z powodu tego, co zrobiłabym jej, ale też co zrobiłabym sobie. – A to nie wszystko – mówię, chcąc ją skłonić, żeby mnie wyrzuciła.

– Dawaj.

– Byłam dziś tobą w szkole. Jutro masz prezentację z angielskiego i powiedziałam też, że oddasz pracę zaliczeniową z matmy. I tak jakby flirtowałam z Timem.

Przez jej twarz przemyka rozdrażnienie; wzrusza ramionami.

– Nieważne. Jakoś wywinę się z tego bajzlu.

– Co z tobą? Nie rozumiem. Powinnaś mnie nienawidzić. – Sama siebie n i e n a w i d z ę.

– Jesteśmy rodziną. Właśnie tak. To wystarcza. Nie łapiesz?

Znowu zalewam się łzami, ale nie zwracam na nie uwagi, pozwalam, by spływały, a sama stoję wrośnięta w podłogę przy drzwiach.

– Quinn? Proszę, zostań. Przynajmniej dopóki nie wyprostujemy spraw między nami.

– Po wszystkim, co zrobiłam?

Wzrusza ramionami.

– Gdybyś знаła chociaż połowę tego, co ja zrobiłam, tobyś tak nie wariowała.

Jej słowa brzmią prawdziwie. Wpatruję się w nią z niedowierzaniem: moja siostra, moja bliźniaczka. W każdym calu taka sama – moja twarz, moje usta – takie same jak te, które całował Zak.

Co takiego Piper mogła zrobić? Może mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślałam. Lecz jeśli jesteśmy takie same, dlaczego nas rozdzielono? Nie rozumiem.

– Musisz mi jednak powiedzieć, co tu się wydarzyło z Zakiem – zastrzega Piper.

– Nie planowałam tego. Po prostu... byłam naprawdę przygnębiona, płakałam, a on mnie przytulił. Nie myślałam, żeby się podszywać pod ciebie. W ogóle nie myślałam.

Przygląda mi się, gdy mówię. Moje słowa są prawdziwe, ale brzmią kiepsko, tak kiepsko. Mimo to Piper w końcu kiwa głową.

– Wierzę ci. Wolałabym, żeby to się nie wydarzyło, ale ci wybaczam. Jednak kiedy następnym razem będziesz się chciała wypłakać na czyimś ramieniu, wypróbuj najpierw moje. – Wyciąga do mnie rękę.

Waham się, a potem robię niepewnie krok w jej stronę. Piper obejmuje mnie pojednawczo. Jej ramiona są miększe niż objęcia Zaka, w których nigdy się już nie znajdę. I płaczę, ponieważ siostra obejmuje mnie pomimo tego, co zrobiłam. Wie o ciemności, a jednak wciąż trzyma mnie w ramionach – coś, czego Isobel nigdy nie zrobiła, czego nigdy nie zrobiła babcia. Nie w ten sposób.

Może Piper to jedyna osoba, która naprawdę może mnie poznać, zrozumieć. Taką, jaka jestem.

I płaczę z powodu Zaka. Wybaczyła mi, więc nigdy nie mogę się do niego zbliżyć. Przenigdy.



# P I P E R



Drzwi się otwierają i rozlega się chrząknięcie.

– Może zrobię herbaty? – pyta Zak.

Quinn chowa twarz w moich ramionach. Gestem daję mu znak, żeby nas zostawił.

– Nie spojrzę mu w twarz – szepcze moja siostra.

– Pozwól, że z nim porozmawiam. Powiem mu, co mówiłaś. Tylko zaczekaj

tutaj chwilę. N i e o d c h o d ź. Obiecujesz?

– Dobrze. Obiecuję.

Zostawiam ją w korytarzu. Czy nadal tam będzie, gdy wrócę? Skądś wiem, że tak.

Idę do kuchni i zamykam drzwi.

– Hej – odzywa się Zak. – W porządku tam?

– Chyba tak. – Wzdycham, wyciągam do niego rękę, a on bierze ją w swoją dłoń.

– A tu też w porządku?

– Tak. Choć jesteś totalnym idiotą. I trzeba cię będzie kiedyś przykładnie ukarać.

– Czy Quinn wyjeżdża?

– Myślę, że musi. Ale jeszcze nie teraz. I nie sama. – Unosi brew. – Jednak boi się spojrzeć ci w twarz.

– Zaraz od tego zwariuję.

– Chodzi o to, Zak, że powinnam cię była posłuchać. Cały czas miałeś rację.

– W czym?

– Tego wszystkiego było dla niej za dużo. Nie wiem, jak się miały sprawy tam, gdzie dorastała, ale jest nieźle pokręcona. A teraz to się z niej wylało i jakby straciła panowanie nad sobą. Nie sądzę, żeby zamierzała cię w coś wciągnąć. Była po prostu bardzo przygnębiona i potrzebowała ramienia, żeby się na nim wypłakać.

– Jesteś zdumiewająco wyrozumiała.

– Nieprawdaż?

Całuje mnie w czoło. Jego usta są ciepłe i miękkie, ale się zmieniły. Zmieniły na zawsze. W głębi mojej duszy otwarło się źródło cierpienia i nie wiem, co z nim zrobić.

Ale jednego jestem pewna: Quinn nie może odejść. Nie beze mnie. M u s i m y być razem.

– I co teraz? – pyta Zak.

– To zależy od niej. Mam ją przyprowadzić?

Kiwa głową, a ja otwieram drzwi. Quinn stoi dokładnie tam, gdzie ją zostawiłam, w tej samej pozycji, jakby przez cały czas nie poruszyła się ani nawet nie odetchnęła – opuszczona, z zapłakaną twarzą. Przerażona – wygląda na przerażoną.

Wyciągam do niej rękę.

– W porządku. Chodź.



Dłonią obejmuję kubek z gorącą herbatą. Moje oczy patrzą wszędzie, tylko nie w twarz Zaka. Na jego ramię – w porządku. Na jego dłoń leżącą na stole. Byle nie na twarz.

Ramię, na którym spoczywała moja głowa; dłoń, która kreśliła ogniste okręgi na mojej skórze. Drzę.

– Quinn – mówi Zak i mimo twardego postanowienia moje oczy wędrują ku

jego oczom. Patrzy na mnie uspokajająco. – Jest okej. Piper mi wyjaśniła i rozumiem, co się wydarzyło. Ale zawarliśmy tajne porozumienie i nie może już więcej dojść do pomyłki.

Po mojej twarzy przemyka cień uśmiechu, lecz nie umiem wydobyć z siebie ani słowa. To się już więcej nie zdarzy. Nie trzeba żadnych tajnych porozumień.

– Teraz moja kolej, żeby coś powiedzieć – odzywa się Piper. – Na ogół tego nie mówię, więc czujcie się zaszczyceni.

– O co chodzi?

– Przepraszam. Widzę, jak bardzo cię to rozstroiło. Zak mnie ostrzegął, że sytuacja nie jest dla ciebie dobra, a ja go nie posłuchałam. Myliłam się. Myślę, że pora, żebyśmy były zupełnie szczerze, ze sobą i ze wszystkimi.

Czy Piper, która tak łatwo kłamie, może być całkiem szczerą? Ale zawdzięczam jej zaufanie. Jest moją siostrą. Moją rodziną. Właśnie mi pokazała, co to może oznaczać.

– Czy masz na myśli, że razem pójdziecie do waszego taty? – pyta Zak.

– Tak – odpowiada Piper. Spogląda na mnie. – Jeśli chcesz.

Narasta we mnie panika. Czy wiem, jak to jest należeć do rodziny? Czy umiem wybaczyć komuś tylko dlatego, że jest ze mną spokrewniony, jak to zrobiła Piper? Coś mi mówi w środku, że gdyby było na odwrót, gdyby Zak był moim chłopakiem i Piper by się z nim całowała, nie wybaczyłabym jej. Czuję się zawstydzona.

– Ale to nie wszystko – ciągnie Piper. – Druga strona medalu jest taka, że chcę, abyśmy razem pojechały do twojego domu: tam, gdzie mieszkałaś.

Wlepiam w nią wzrok.

– Nie jestem pewna, czybyś tego chciała.

– Czy to jest to samo miejsce, w którym dorastała nasza mama? – pyta Piper. Z wahaniem kiwam głową.

– Urodziła się tam. I nasza babcia też. Ja także, więc domyślałam się, że dotyczy to również ciebie.

– No widzisz: to część mojej przeszłości, tego, kim jestem. Chcę tam pojechać. I chcę poznać naszą babcie.

– Już jej tam nie ma.

– Mimo to. Możemy pojechać razem? Do Dartmoor, prawda?

Patrzę na nią. Coś we mnie ustępuje, tylko odrobinę. Kiwam głową.

Uśmiecha się. Kiedy Piper naprawdę się z czegoś cieszy, promienieje tak, jak ja nigdy bym nie umiała, mimo że tak bardzo jesteśmy do siebie podobne pod innymi względami. Coś mnie chwyta za gardło; trudno mi odwrócić wzrok, czuję ciepło w środku. To dlatego jej znajomi i wszyscy inni starają się sprawić jej radość – chcą, żeby na nich patrzyła w taki sposób, w jaki w tej chwili patrzy na mnie.



– Dziękuję, że jesteś ze mną szczerza – mówi, a ja nagle chcę jej powiedzieć więcej.

– Dom babci jest na wrzosowisku koło małej osady Dwa Mosty. Mieszkałam tam przez całe życie. Kiedy tu przyjechałam, po raz pierwszy znalazłam się poza domem.

Jej uśmiech jakoś się pogłębia. Piper bierze mnie za rękę i pyta:

– Gdzie jest nasza babcia?

– Miała udar. Ale już z tego wychodzi. Leży w szpitalu.

– Możemy ją tam odwiedzić?

– Chyba tak.

– Quinn? Czy powinniśmy najpierw pójść do taty, czy pojechać do Dartmoor?

Pytanie zadaje Piper, ale wpatrują się we mnie dwie pary oczu, czekając na moją decyzję. Dla kogoś nieprzyzwyczajonego do decydowania to przerażające.

– No, skoro tutaj jesteśmy, mogłybyśmy pójść najpierw do taty...

Pomiędzy brwiami Piper czai się lekka zmarszczka. Mam wobec niej dług, prawda? Ale ona chce jechać w miejsce, do którego nigdy nie chciałabym wrócić. Spycham swój strach na dno świadomości.

– Ale jeszcze nie teraz. Jesteś pewna, że chcesz poznać babcię? Nie jest zbyt miła. Jeszcze gorsza niż ja.

Piper się śmieje.

– W rodzinie toleruje się przywary bliskich, prawda?

Nie wydaje mi się, żeby sprawy babci podpadały pod kategorię „przywar”. Boję się wracać, stanąć przed nią; boję się, że nigdy więcej nie pozwoli mi już wyjechać. Ale jeżeli Piper pojedzie tam ze mną, będzie inaczej. Dla odmiany ktoś stanie po mojej stronie, i to nie byle kto. Wiedząc, że to będzie Piper, mniej się obawiam.

– W porządku. Jedźmy! – mówię.

– Jeszcze jedno. Dopóki nie powiemy tacie, że jesteśmy dwie, nie możemy nikomu się zdradzić. To by było nie fair wobec niego.

Patrzę na Piper. Wciąż nie chce, żebym się ujawniła. Ma rację, że nie fair byłoby wydać komuś sekret, zanim się dowie rodzina. Mimo to coś we mnie się zastanawia: czy nie kieruje nią jeszcze jakiś powód? Tylko jaki?

– Zgoda? – pyta Piper i wyciąga rękę.

– Zgoda – odpowiadam. Potwierdzamy to uściskiem dłoni.

Później omawiamy szczegóły. Zak proponuje, że nas zawiezie, ale tylko pod warunkiem, że tato pozwoli Piper na wyjazd. Chyba myśli, że to niemożliwe. Piper wygląda na pewną siebie i zaczynam rozumieć dlaczego. Ma przecież sposób na to, żeby zawsze postawić na swoim, prawda?

Siedzimy na sofie w trójkę. Piper pośrodku, jedną ręką trzyma pod ramię

Zaka, drugą mnie.

I jakoś to wydaje się w porządku. Nie ma takiej przepaści pomiędzy mną a Zakiem, gdy ona łączy nas jak most. Jest moją siostrą. Może zaczynam pojmować, jakie to powinno być uczucie?

Piper opowiada nam historie ze swojego dzieciństwa. Zabawne zdarzenia, znaczące. O swoim pierwszym rowerze i złamanej ręce, kiedy z niego spadła. Mówi z ożywieniem, a jej ciepły głos kołysze mnie do snu, jednak gdy padają szczegóły, szeroko otwieram oczy.

– Piper, mówisz, że ile miałaś lat, kiedy złamałaś sobie rękę?

– Sześć. To było na wiosnę po moich szóstych urodzinach.

– Jak to się stało? Straciłaś panowanie nad rowerem, wpadłaś na coś?

Pamiętasz?

– Tak, pamiętam, częściowo dlatego, że to było takie dziwne. Szło mi doskonale, gdy nagle po prostu wyleciałam z siodelka. Jakby mnie coś porwało i rzuciło o ziemię.

– To było w kwietniu, prawda?

– Tak. W Wielkanoc...

– W Niedzielę Wielkanocną. Rano.

Piper odwraca głowę, żeby mi spojrzeć w oczy. Na jej twarzy maluje się wielkie zaciekawienie, tak samo u Zaka.

– Skąd ty to wiesz, u licha? Mama ci powiedziała?

– Nie. Nie powiedziała mi nawet, że istniejesz, pamiętasz? Ale ja też wtedy złamałam rękę. Tego samego dnia rano.

– Jak?

– Wspinałam się na skałki i spadłam.

– Wow – odzywa się Zak. – Jakiś niesamowity zbieg okoliczności czy co?

Piper i ja patrzymy sobie w oczy. Obie powoli kręcimy głowami.

– Nie zbieg okoliczności – zaczynamy jednocześnie.

Potrząsam głową.

– Ty mów.

– To nie może być zbieg okoliczności – ciągnie Piper – że w tym samym momencie, w którym spadłaś, ja wyleciałam z roweru zupełnie bez powodu.

– Myślicie, że to jakieś dziwne połączenie między bliźniaczkami? – pyta sceptycznie Zak. – Miałyście jakieś inne poważniejsze kontuzje czy coś?

Zaprzeczam ruchem głowy, podobnie Piper.

– Zwykle siniaki i zadrapania. Chociaż... – urywam. Było coś, o czym nie lubię mówić.

– Co? – dopytuje Piper.

– Kiedy miałam trzynaście lat, mocno zachorowałam. Myślałam, że umrę.

Twarz mojej siostry tężeje.

– Ja też. Powiedzieli mi, że to grypa, ale nie była taka zwyczajna.  
– Miałam okropne sny. Ciągnęły się też na jawie.  
– Gorączkowe majaki? Ja też.  
– Nigdy mi o tym nie wspominałaś – mówi do niej Zak.  
– Nie lubię o tym myśleć – odpowiada Piper.  
– Ja też – dodaję.  
– Co to były za majaki? Jeżeli były takie same, to by dopiero było dziwaczne. – Zak jest wyraźnie bardzo zaintrygowany.

Ale ja nie chcę o tym opowiadać i po twarzy siostry widzę, że ona też nie ma na to ochoty. Potrząsa głową.

– Za późna pora na takie rzeczy. Lepiej zmieńmy temat.

– W porządku. Na jaki? – zgadzam się. Moja wcześniejsza senność zniknęła bez śladu. Czuję na sobie zimne palce odległego wspomnienia i muszę się skupić na czymś innym, na czymkolwiek, żeby to odpowiedzieć.

– Dość się już naopowiadałam – stwierdza Piper. – Posłuchajmy teraz czegoś o tobie.

– Na przykład?

– Gdzie chodziłaś do szkoły?

Kręcę głową.

– Nigdy nie byłam w szkole. To znaczy zanim poszłam dzisiaj do twojej.

– Masz na myśli, że uczyłaś się w domu?

– Niezupełnie.

Zak i Piper wymieniają spojrzenia.

– Ale przecież władze... – zaczyna Zak.

Potrząsam głową.

– Władze bały się babci.



# P I P E R



Dwa kubki herbaty: jeden dla taty, jeden dla mnie. Niosę je na górę i zatrzymuję się przed drzwiami gabinetu.

Tato podnosi wzrok znad laptopa, spogląda na zegar.

– Trochę za późno, żeby się jutro wybrać do szkoły.

Podchodzę do niego, stawiam przed nim kubek, a swój trzymam w rękach.

– Hm, taaa, no właśnie. Chyba nie jestem jeszcze gotowa, żeby wrócić.

– Kwiatuszku. Szkoła jest ważna.

– Wiem. Ale nie ma sensu tam siedzieć, jeśli mi nic nie wychodzi. Poza tym został już tylko jeden dzień, w przyszłym tygodniu przerwa semestralna. No i chciałabym coś zrobić.

– Co by to miało być?

Odstawiam herbatę, obchodzę biurko dookoła i przysiadam na jego brzegu koło taty, tak jak robiłam, kiedy byłam znacznie młodsza.

– Pamiętasz, jak mówiłam, że chcę się dowiedzieć, skąd mama pochodzi? Znalazłam to miejsce.

Jest zaskoczony.

– Naprawdę? Jak?

– Podzwoniłam do hoteli w Dartmoor i znalazłam ten, w którym kiedyś pracowała: hotel Dwa Mosty. A dom, w którym dorastała, jest niedaleko. – Pomijam to, co mnie naprowadziło na ten trop, a także drugą córkę, która potwierdziła moje domysły i połączyła je w całość.

– Imponująca praca detektywistyczna.

– Chciałabym zobaczyć to miejsce. I poznać babcię.

Bierze mnie za rękę.

– Kwiatuszku, rozumiem twoje uczucia. Ale wiem, że mama odcięła się od własnej matki, i jestem pewien, że nie bez powodu. Zawsze miałem wrażenie, że twoja babcia jest w jakiś sposób niebezpieczna. Nie podoba mi się, że chcesz ją poznać. Kto wie, do czego jest zdolna?

– Babcia nie jest już w swoim domu. W hotelu powiedzieli, że miała udar i leży w szpitalu. Może już długo nie żyć – dodaję, koloryzując.

Tato bierze sobie do serca powagę tej wiadomości.

– Rozumiem – mówi. Robi przerwę, pociąga łyk herbaty. – Co zamierzasz zrobić?

– Chcę pojechać do Dwóch Mostów, zobaczyć dom, w którym mama dorastała. I odwiedzić babcię w szpitalu. Bez względu na to, co między nimi zaszło wiele lat temu, nie musisz się obawiać chorej staruszki na szpitalnym łóżku.

Patrzy na mnie poważnie, w końcu kiwa głową.

– W porządku. Sprawdźę, czy mam jakiś wolny czas. – Otwiera terminarz w komputerze, przegląda go w milczeniu, ale wiem, że ma rozprawy. – Najwcześniej będę mógł się wyrwać za miesiąc.

– Niech Zak mnie zawiezie.

Posyła mi ojcowskie spojrzenie.

– Masz dopiero siedemnaście lat. Nie wybierzesz się na wycieczkę ze swoim chłopakiem.

– Ale tato! To nie jest romantyczna przygoda. Chcę odnaleźć przeszłość mamy, mojej rodziny. Babcia jest stara, samotna i w szpitalu. A jeśli umrze, zanim

do niej dotrę?

Długa chwila milczenia.

– Pomyślę o tym.

Nieco później puka do drzwi mojego pokoju.

– Tak? – mówię.

Tato wsuwa głowę do środka.

– Rozmawiałem z Zakiem. – Jakie to przewidywalne. – Możecie jechać.

Uśmiecham się do siebie, szykując się do snu. Wszystko działa, wszystko układa się dobrze.

*Płonę.*

*Odrzucam koce, chwiejnie wstaję z łóżka i otwieram okno. Jest noc, a ja jestem sama. Księżyc w pełni zdaje się nabrzmiwać, robi się czerwony, zajmuje się ogniem i spada z nieba.*

*Krzyczę i kucam na podłodze, obejmując sobie głowę ramionami, lecz nie mam gdzie się ukryć.*

*„Auuuuuuu!” Gdzieś daleko rozlega się wycie; słabe, ale przerażające. Potem głośniejsze i bliższe, w ogrodzie poniżej.*

*Skradają się po schodach, wślizgują do mojego pokoju. Ich wycie – „Auuuuuuu!” – jest takie głośne, że wypełnia mi głowę, roztapia wnętrze. Boję się popatrzeć; boję się też nie patrzeć.*

*Są ze mną, całe w płomieniach: potężne, czarne ogary z czerwonymi ślepiami, obrzydliwe jęzory zwieszają się spomiędzy ostrych kłów. Wyczuwają śmierć, rozpacz.*

*Przysiadają u moich stóp, czekają, aż umrę.*

*Słyszę skądś czyjś kojący głos. Mamusia? Mówi mi, że to minie, że będzie w porządku, że ona też przez to przeszła, i jej matka także, i że nie można zrobić nic innego, tylko to przetrwać.*

*Ale wciąż płonę.*



Ness gorliwie liże mnie po twarzy w samochodzie Zaka, nieprzyzwyczajona, żeby ktoś leżał na tylnym siedzeniu, w jej strefie.

– Wreszcie na twoim poziomie – szepczę do niej i obejmuję ją odrobinę za mocno.

Suczka wierci się i wyrywa, aż ją puszczam. Samochód zatrzymuje się; Zak wysiada. Ness wybiega za nim przez otwarte drzwi kierowcy, a Zak ją woła. Drzwi

zatrząskują się.

Mam zostać w ukryciu do czasu, aż wyjedziemy, ale nie mogę się powstrzymać i ukradkiem wyglądam przez okno. Otwierają się frontowe drzwi domu i Ness pędzi w podskokach przez trawnik, Zak idzie za nią. W drzwiach stoi Piper, więc chowam się jak najszybciej, żeby mnie nie dostrzegła.

Zeszłej nocy zadzwonił telefon krótko po tym, jak Piper wyszła. Słyszałam, jak otwierają się drzwi Zaka, i wyobraziłam go sobie idącego przez korytarz w samych bokserkach i T-shircie, tak jak go widziałam kiedyś. W mojej wyobraźni przyszedł odebrać telefon w tym pokoju, gdzie śpię, usiadł na łóżku obok mnie i poczułam ciepło bijące od jego ciała. Ale w rzeczywistości zszedł do aparatu na dole.

W domu było cicho, spokojnie. Słowa Zaka rozbrzmiewały wyraźnie i jego część rozmowy pozwoliła mi się domyślić całości. Dlatego nie musiałam czekać do rana, by się dowiedzieć, że następnego dnia jedziemy do Dartmoor. Nasz tato chciał rozmawiać z Zakiem, zanim pozwoli na wyjazd. Słyszałam, jak Zak zapewnia, że będzie się opiekował jego córką, i składa różne inne obietnice, co dla Piper zapewne oznacza, że nie zobaczy swojego chłopaka w samych bokserkach, podobnie jak ja.

Tak więc zaledwie kilka godzin po tym, jak się jakimś cudem zgodziłam pojechać tam z Piper, wszystko zostało uzgodnione. Leżałam potem długo w łóżku, godzina po godzinie, prawie sztywna ze strachu. Jak zbiegły skazaniec, który się dał złapać. Jeśli wrócę do swojego więzienia, czy jeszcze kiedyś uda mi się z niego wyrwać?

„Nie, Quinn. Niedobra Quinn”. Cały czas byłam karana, nie wiedząc nawet, czemu ani co złego zrobiłam. Cały czas moja wola była naginana i zmuszano mnie do robienia albo mówienia rzeczy, których nie chciałam, w które nie wierzyłam. Przebywanie w tamtym miejscu w jakiś sposób miażdżyło moją osobowość. Dopiero teraz, kiedy się stamtąd oddaliłam, zaczynam coś c z u ć – mieć własne odczucia. Nawet jeżeli to boli, jak z Zakiem, wolę raczej własny ból od braku jakichkolwiek uczuć.

Ale pomijając już strach z przeszłości, kłębią się we mnie silne złe przeczucia. Ten wyjazd może być niebezpieczny dla nas wszystkich. Ale jak mogłabym się wycofać teraz, po tym, co Piper dla mnie zrobiła?

Nie mogę.

Po niemal bezsennej nocy – nieliczne godziny snu wypełniły mi nocne koszmary – oto jestem: w samochodzie. Za chwilę wyruszymy do jedyne miejsce, do którego na pewno nigdy nie chciałabym wrócić, przenigdy.

Mija czas. Otwierają się drzwi domu. Słychać głosy. Kroki. Otwiera się bagażnik, auto lekko osiada, gdy coś ląduje z tyłu. Kłapa się zatrząskuje.

Otwierają się drzwi kierowcy; Zak zajmuje miejsce za kierownicą.



– W porządku? – pyta przyciszonym głosem.

– Tak – odpowiadam, choć raczej tylko po to, żeby się z nim zgodzić, ponieważ w moim odczuciu daleko jest do „w porządku”. Najchętniej bym się zerwała, szarpnęła drzwi i uciekła.

– Piper powiedziała, że chce zamienić z tatą słowo na osobności. Pewnie po to, żeby nie podszedł do samochodu i nie zobaczył ciebie. – Wciąż mówi cicho, głowę ma odwróconą, jakby nastawiał radio.

– Trudno by to było wyjaśnić.

– O, idzie.

Rozlegają się kroki.

– Pa! – woła Piper.

Otwierają się drzwi pasażera, Piper przegania Ness do tyłu, do mnie, i wsiada. Wóz rusza. Piper macha ręką.

Samochód cofa po podejździe, po czym wytacza się na ulicę. Piper śmieje się.

– Nie pomyślałabym, że mi się uda wyrwać. Wycieczka!

– Mogę już usiąść? – pytam.

Odwraca się do mnie.

– Strasznie mi przykro, ale czy możesz tak zostać, póki nie wyjedziemy z Winchesteru? Ktoś mógłby zobaczyć nas obie.

Radio gra ściszoną muzykę. Auto kołysze mną wte i wewte. Daje o sobie znać brak snu. Ziewam, przeciągam się i wkładam sobie zwiniętą kurtkę pod głowę.

I z każdym uderzeniem serca zbliżam się do miejsca, z którego uciekłam.

*Jest ciemno. Biegnę i biegnę przez wrzosowisko – to ryzykowne na wyboistej ziemi, ale pędzę ile sił w nogach.*

*„Auuuuuuu!” Ściga mnie ponure wycie Piekielnych Ogarów i ze strachu przyśpieszam jeszcze bardziej.*

*Długo jednak nie utrzymam takiego tempa. Panika skręca mi kiszki.*

*Są coraz bliżej.*

*Słyszę chóralnie wycie – już nie tylko gdzieś za mną, lecz wszędzie dookoła. Zaganiają mnie w najokropniejsze, nawiedzone miejsce, tam gdzie się zawiera pakty i traci nadzieję.*

*Wdrapuję się na skaliste zbocze, rozpaczliwie próbując znaleźć drogę ucieczki.*

*Zatrzymuję się jak wryta na jej widok.*

*Jej oczy jarzą się jasnym błękitem, szata jest gęsta, a długi ogon czarny i zjeżony. Czarna lisica. Wpatruje się w mój nadgarstek – w wiszącą na nim bransoletę Isobel.*

*Ujście ogarów mrozi mi krew w żyłach. Są już bardzo blisko, tak blisko, że*

*dosięga mnie zionący z ich paszcz odór śmierci, i czuję, że zbliża się moja własna śmierć.*

*Oczy lisicy lśnią inteligencją, kiedy przechyla głowę na bok. Wie, że do niej należę, że ona należy do mnie. Mając za sobą ogary, a przed sobą lisicę, nie mam właściwie wyboru, ale ona chce, żeby to się odbyło po dobroci.*



# P I P E R



Zimno mi. Dreszcze zaczynają się gdzieś w głębi; wszystkie włoski na karku stają mi dęba. Słońce świeci mi prosto w twarz, w samochodzie jest ciepło, ale dreszcze nie ustępują. Ness skomli, więc odwracam się, żeby spojrzeć na tylne siedzenie.

Quinn zasnęła. Jej twarz jest blada, usta poruszają się bezgłośnie, ciało drży, na rękach widać gęsią skórkę. Ness liże ją po dłoniach, jakby próbowała pomóc.

Odpinam sobie pas bezpieczeństwa, przekręcam się do tyłu i mocno potrząsam siostrą.

Budzi się z gwałtownym drgnieniem, z trudem łapiąc powietrze. Otwiera oczy – pełne obłędu, niewidzące.

– Quinn? Quinn! – mówię.

Ness szczeka i oczy Quinn w końcu nabierają wyrazu – skupia wzrok najpierw na suczce, potem na mnie. Oddech zaczyna się jej uspokajać. Gdy ustępują dreszcze, ustają i moje.

– Zły sen?

– Coś w tym stylu – mamrocze.

Siada prosto, a ja poprawiam się na siedzeniu i z powrotem zapinam pas.

Przyglądam się jej w lusterku. Siedzi, ale wbita plecami w oparcie. Błada, z głową odwróconą, jakby wyglądała przez okno; ręce z rozkojarzeniem głaszczą Ness, lecz oczy są niemal szkliste, jakby nie rejestrowały otaczającego ją świata.

Więc Quinn miała koszmar – czy może raczej majaki? – a u mnie pojawiła się na to reakcja fizyczna. O co w tym, do diabła, chodzi? Wzdrygam się. Czy to podobnie jak z naszą tak zwaną grypą i złamaniem ręki? Co się stanie, jeżeli jedna z nas zostanie poważnie ranna? Albo umrze?

– Wszystko okej? – pyta Zak, szybko rzucając okiem na mnie i na nią w lusterku.

– Teraz okej. Czy już jesteśmy na miejscu?

– Nie, po raz setny odpowiedź brzmi tak samo.

– Czy ktoś oprócz mnie zgłodniał?

– Ja! – zgłasza się Zak. – Quinn, a jak z tobą? Zjadłabyś coś?

Wolno odwraca do nas głowę.

– Jasne.

Słońce wciąż świeci i jest dość ciepło jak na połowę października. Zak idzie po lancz dla nas, a ja zaciągam Quinn i Ness do jednego ze stołów piknikowych na stacji obsługi przy autostradzie. Wybieram miejsce na samym końcu, nie za blisko innych ludzi. Siadamy obok siebie, Ness skacze dokoła nas na smyczy.

– Masz takie zimne ręce – mówię, biorąc jej dłonie w swoje. Quinn opiera głowę na moim ramieniu. – W porządku?

Wzrusza ramionami.

– Z grubsza. Jakby.

– Czy chodzi o to, dokąd jedziemy, czy o coś innego? Może o sen, który miałaś w samochodzie?

– O jedno i drugie – odpowiada Quinn, nie zaprzeczając.

Zalewa mnie fala ciepła: w końcu trochę mi ufa – może nawet wystarczająco.

– Co ci się śniło?

– Naprawdę nie chcę o tym myśleć.

– To dziwne, ale wiedziałam, że masz koszmar. Dostałam dreszczy i odwróciłam się, żeby cię obudzić. Czułam twój sen.

Quinn prostuje się.

– To rzeczywiście dziwne.

– Dlatego ciekawi mnie, co to było. Nieraz zdarzyło mi się mieć dziwaczne odczucia czy reakcje bez wyraźnego związku z tym, co się faktycznie wtedy działo.

Quinn patrzy teraz na mnie i widać, że myśli. Kiwa głową.

– Też miałam takie przypadki.

– Czy tak bywa u bliźniaczek? Czy trafia się tylko nam?

– Skąd mam wiedzieć? Jesteśmy tym, kim jesteśmy.

– Słuszna uwaga. Więc powiesz mi, o czym był ten sen?

Quinn wzrusza ramionami.

– To był po prostu głupi koszmar o tym, że uciekam przez wrzosowisko i gonią mnie szczekające psy. Jakbym była zaszczutym lisem na polowaniu. – Wypowiadając ostatnie zdanie, robi zaskoczoną minę. Rozmyśla przez chwilę. – Tak. Właśnie tak.

– I to wszystko?

Kiwa głową, lecz odnoszę wrażenie, że o czymś mi nie powiedziała. Wobec tego nie ufa mi wystarczająco; jeszcze nie.

– Piper, a ty miałaś kiedyś podobne sny? – pyta.

– Nie znam wrzosowisk, nigdy na nich nie byłam, więc nie wiem, jak tam jest. Ale miewałam sny, w których biegłam w nocy po wyboistej ziemi. Jednak to nie jest koszmar, tylko radosne przeżycie. Biegnę i biegnę.

Ja też jej czegoś nie mówię. W moim śnie jestem ścigającą, a nie ściganą.

– A zeszłej nocy? – pyta Quinn z wahaniem. – Śniło ci się coś? Bo mnie tak.

Teraz dreszcz mi przebiega po plecach. Potakuję.

– Myślałam, że to dlatego, że rozmawialiśmy o tym u Zaka...

– O tym, że miałyśmy gorączkę – wchodzi mi w słowo Quinn, kończąc moją myśl. – Ja też tak pomyślałam.

– Co ci się śniło?

– Byłam chora. Paliłam się. We własnym łóżku. Wstałam, księżyc był w pełni i...

– I on też zajął się ogniem. Tam też były te psy.

– Tak – szepcze Quinn. – Piekielne Ogary.

– Co to są Piekielne Ogary? – pytam, ale właściwie znam odpowiedź.

Quinn drży na całym ciele.

– Inaczej Ogary Czarownic. Legenda mówi, że w nocy biegają po wrzosowiskach. Jeśli się je zobaczy albo usłyszy, trzeba spodziewać się śmierci lub czegoś gorszego. W Dartmoor widuje się je od setek lat i wiąże się z nimi różne

nieszczęścia. Ale jak to możliwe, że mamy te same sny?

– Nie mam pojęcia. Quinn, czy ty wiesz, o co w tym chodzi? Tamta gorączka i koszmary... co one oznaczały?

Patrzy na mnie zdezorientowana.

– Myślałam, że po prostu chorobę. Ale potem nigdy nie było już tak samo. Babcia stała się inna, a ja... nie wiem. Zaczęłam często mdleć. Myślisz, że to mogło mieć jakieś dodatkowe znaczenie?

– Mama mi powiedziała, że też przez to przeszła, tak samo jak przedtem jej matka.

Quinn w zamyśleniu kiwa głową.

– Mnie nigdy tego nie mówiły.

– A może wiąże się to z tym, że stałyśmy się świadome, kim i czym jesteśmy.

Quinn marszczy czoło.

– Co masz na...

Podchodzi do nas Zak, więc szturcham ją, żeby zamilkła.



Obejmuję dłońmi duży kubek z zupą, chłonąc jego ciepło. Zak przyniósł też kanapki, do tego frytki i ciastka. Gdy zmuszam się do jedzenia, zaczynam czuć się lepiej, rozgrzewać. Ale z jakiegoś powodu sny wciąż są ze mną.

Piper wyczuła ten, który miałam w samochodzie; obudziła mnie. Co by się stało, gdybym spała dalej? Miałam ten sen już wcześniej, lecz zawsze się budziłam, gdy tylko zobaczyłam lisicę. A dziś nie. We śnie odnosiłam wrażenie, że zaraz

wszystko zrozumieć, że stanę przed czymś, czego nie chcę.

Potem wsiadamy do samochodu i zbliżamy się coraz bardziej. Kiedy wjeżdżamy na wrzosowiska, brzuch spina mi rosnące przerażenie. Tu nie ma gdzie się ukryć i im bliżej jesteśmy, tym bardziej czuję się jakby naga, zagubiona, przyszpilona czyimiś baczynymi oczami. Jest dopiero wczesne popołudnie, lecz niebo – jakby odzwierciedlając moje uczucia – ciemnieje, zaciąga się chmurami.

Zak ma w nawigacji wprowadzoną nazwę Dwa Mosty, ale zanim dojeżdżamy do hotelu, pokazuję mu, żeby skręcił. Od szosy odbija tu gruntowa droga.

– Jesteś pewna, że samochód przejedzie? – pyta Zak.

– Tak. Jest trochę wybojów, ale to tylko niecałe dwa kilometry.

Suniemy więc powoli, podskakując na koleinach.

– Mam nadzieję, że nic nie nadjedzie z przeciwka – mówi Piper.

– Są mijanki. Ale to mało prawdopodobne.

Rzadko ktoś tędy jeździ. Teraz nikt nie ma powodu, skoro babcia jest w szpitalu. Nie licząc Isobel, nikt nigdy mnie nie odwiedzał. Aż do dziś.

Dróżka się zwięża i pokazuję ledwie widoczny skrót na wrzosowisku.

– Zaparkuj tutaj.

Zak ma powątpiewającą minę, zatrzymuje się jednak. Wokół nas ciągną się zbocza usiane omszałymi skałami, głazami, porośnięte janowcem i paprocią orlicą. W ich oczach – ludzi z miasta – to pustkowie. Dzicz.

– Nie wygląda na to, żeby gdzieś tu był dom – odzywa się Zak.

– Stąd go nie widać. Dalej nie pojedziemy samochodem. Resztę drogi trzeba przejść pieszo. A patrząc na niebo, powiedziałabym, że musimy się śpieszyć.

Wysiadamy. Piper rozgląda się, strzela oczami na prawo i lewo, jej twarz jaśnieje podekscytowaniem.

– Jak to daleko?

– Godzina w trudnym terenie albo dwie i pół w łatwym.

– G o d z i n a? W trudnym terenie? – dziwi się Zak.

– Jak bardzo jest trudny? – pyta Piper.

Wzruszam ramionami.

– Chodziłam tędy dwa razy dziennie.

– A co z Ness? – dopytuje Zak.

– Da sobie radę. Może w kilku miejscach trzeba będzie jej pomóc.

– No to ruszajmy – rzuca Piper.

Zak otwiera bagażnik. Obok jego plecaka i drugiego, który pożyczył mi na ten wyjazd, stoi masywna waliza. To dlatego samochód osiadł przed domem Piper. Kręcę głową.

– Mówiłam ci, żebyś dużo nie zabierała!

– I nie zabrałam. – W jej oczach widać zaskoczenie.



– Nie dasz rady nieść tego w trudnym terenie. A idąc dłuższą trasą, raczej nie zdążymy przed burzą.

Piper potrząsa głową.

– Chcę się tam dostać! Może po prostu wyjmę parę rzeczy? Zak, możemy mieć twój plecak wspólny?

Zaczyna grzebać w swojej torbie, a Zak wyjmuje to i owo z plecaka, żeby zrobić miejsce. Piper zwraca się do mnie:

– A u ciebie jest jakieś wolne miejsce?

– Nie. Mam pełno jedzenia zrabowanego z lodówki Zaka. Będzie nam potrzebne. – Najchętniej znów bym ją popędziła, ale się powstrzymuję. Niebo ciemnieje coraz bardziej, wiatr się wzmaga. – Słuchajcie, pogoda się psuje. Może pojedziemy do hotelu i wrócimy tu rano?

– Nie ma mowy. Jesteśmy już tak blisko. – Piper ma roztańczone oczy, rude włosy miotają się na wietrze, dziwnie świetliste w półmroku. Trudno mi oderwać od niej wzrok, gdy jest tak rozemocjonowana. Śmieje się.

– Prowadź! – woła.

Zak zamyka samochód. Po raz ostatni zerkam niespokojnie w niebo i ruszam wąską ścieżką. Ness depta mi po piętach. Narzucam szybkie tempo. Jest dopiero około trzeciej po południu, ale tak ciemno, że ledwie widać ścieżkę. Znam ją jednak na tyle dobrze, że odnajdę nawet w zupełnej ciemności, tak jak wtedy, kiedy pędziłam tędy, bo musiałam – gdy babcia miała udar.

Początkowo jest to po prostu gruntowa ścieżka o lekkim nachyleniu. Wije się wokół skałek i u stóp zbrocza pokrytego luźnymi piargami. Potem docieramy do łagodniejszej, równiejszej dróżki, będącej częścią szlaku, którym turyści chodzą do pokręconych drzew – zdaje się, że wszyscy pragną je zobaczyć, czego nigdy nie mogłam zrozumieć.

W oddali rozlega się ponury dźwięk i od razu przenosi mnie do mojego snu. Zatrzymuję się w strachu. Czy to pies, czy wiatr?

Wtem Ness zaczyna gardłowo warczeć.

Dźwięk rozbrzmiewa znowu, bliżej, i na pewno nie jest to wycie wiatru. Piper i Zak zrównują się ze mną.

– Słyszeliście? – pytam.

Zak zaprzecza. Piper przechyla głowę na bok, gdy dźwięk znów się rozlega, głośniejszy, bliższy i zdecydowanie psi. Moja siostra uśmiecha się radośnie.

– Tam! – Zak pokazuje poruszającą się na wzgórzu smugę.

Pies zatrzymuje się, patrzy na nas i biegnie w naszą stronę. Teraz, kiedy się zbliża, widzę, że nie jest to szczeniak ani inna przyjaźnie wyglądająca psina. Powraca mój strach. Zak bierze Ness na rękę, a ja bezwiednie cofam się o krok. Zak uspokajająco kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nie bój się, patrz.

Piper wychodzi psu naprzeciw. Pies zwalnia. Dyszy, jakby biegł od dłuższego czasu, oczy ma dzikie, wyszczerzone zęby, a z jego gardła wydobywa się warczenie.

– Nie bądź niemądry – odzywa się Piper. Podchodzi do niego, a ja boję się o nią. – Jesteś po prostu miłym psiakiem, prawda? – przemawia ciepłym, melodyjnym głosem. Pies patrzy na nią i... zaczyna merdać ogonem. Przypada do ziemi u jej stóp. Piper schyla się, by go pogłaskać, a on macha ogonem jeszcze mocniej.

W oddali słychać teraz nawołujące głosy. Na wzgórzu – tam gdzie przedtem pojawił się pies – stoją dwie osoby. Piper dostrzega je i macha do nich ręką. Tamci pośpiesznie schodzą do nas. Mężczyzna i kobieta w ubraniach trekkingowych.

– Tu jesteś, utrapione psisko – mówi kobieta i pochyla się, żeby potarłosić psa.

– Pobiegł za lisem. Mam nadzieję, że was nie wystraszył – wyjaśnia mężczyzna.

– Ani trochę – zapewnia Piper. – Jest uroczy. – Psi ogon potwierdza to ochoczym merdaniem. – Wygląda na to, że sam się, biedak, czegoś przestraszył.

Kobieta prostuje się.

– Chyba nie wyruszacie teraz na szlak? Może padać.

Co do tego nie ma żadnego „może”.

– Idziemy do... – zaczyna Piper, ale wchodzi jej w słowo:

– Nic nam nie będzie. Dziękujemy za troskę.

I ruszam ścieżką pod górę. Słyszę, jak się żegnają. Ness pędzi za mną, gdy Zak stawia ją znów na ziemi. Zak i Piper idą za nami.

Wkrótce zostawiamy za sobą znakowany szlak i wступujemy na ledwie widoczną ścieżkę, która wspina się początkowo stopniowo, a potem robi się bardziej stroma. Wiatr tak się już nasilił, że zatrzymuję się, żeby związać włosy i wetknąć je sobie pod sweter. Patrzę za siebie, w dół; Piper wspina się z trudem, Zak za nią. Muszę na nich zaczekać i zmagam się z sobą, bo najchętniej uciekłabym jak najdalej od tego miejsca. Ness trzyma się blisko moich nóg, jakby wyczuwała mój strach.

Teraz, kiedy się zatrzymałam, dociera do mnie, jak bardzo spadła temperatura. Włosy mi się jeżą na karku i ramionach, ale nie wydaje mi się, żeby przyczyną było po prostu zimno. Rzucam okiem dokoła – wszystko wygląda tak, jak powinno. A jednak coś w tym miejscu sprawia, że nerwy mam napięte do granic.

T o m i e j s c e: czy to tutaj widziałam we śnie lisicę, kiedy zasnęłam w samochodzie? Żołądek mi się przewraca. Sny nie są prawdziwe – na ogół. „Uspokój się”.

Tamci państwo mówili, że ich pies gonił lisa. Ale to chyba nie mogła być

moja lisica, ta z czarnym, zjeżonym ogonem. Powiedzieliby przecież, gdyby zobaczyli coś tak niezwykłego.

Piper w końcu dogania mnie zadyszana.

– Gdzie się pali?

Gapię się na nią ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Po co ten pośpiech? – dopowiada.

Jakby w odpowiedzi zaczyna padać i nie jest to łagodny deszczyk, tylko ulewa, jaka zdarza się tylko na wrzosowiskach. Z niczego bezpośrednio przechodzi w oberwanie chmury – w ciągu kilku sekund jest tak, jakby się stało pod wodospadem. Ness skomli żałośnie.

Piper mocuje się z parasolem, który wyjęła z kieszeni plecaka, lecz ja potrzebuję głowę.

– Za silny wiatr. Nawet się nie trudź. – Muszę podnieść głos, żeby mnie było słychać w tej ulewie i wietrze.

– Daleko jeszcze? – pyta Zak.

– Na to wzgórze i w dół. Niezbyt daleko, ale ciężko się wspina po mokrym. Może wrócimy do samochodu?

– Nie ma mowy – upiera się Piper. W jej głosie brzmi determinacja.

Zak ma zaniepokojoną minę.

– Czy to niebezpieczne?

Waham się.

– Wiele razy chodziłam tędy w deszczu, ale ja znam drogę, wiem, gdzie stawiać stopy. Jeżeli źle staniecie, może być niebezpiecznie.

– Nie jestem tego pewien, Piper – mówi Zak. – Obiecałem waszemu tacie, że będę się tobą opiekował.

– Będziemy uważać, będzie dobrze – zapewnia Piper. Woda ścieka jej z włosów na twarz. – Idźmy, zanim zamarznę na śmierć.

– W porządku – odpowiadam. – Patrzcie, gdzie staję, i idźcie tak jak ja. Niektóre kamienie się chwieją. Starajcie się unikać mchu, jest śliski.

Stroma ścieżka wkrótce zamienia się we wspinaczkę po skałach. Kilka razy zatrzymuję się, żeby Zak podał mi żałośnie wyglądającą Ness na odcinkach, gdzie jest zbyt stromo dla jej krótkich łapek. Chcę się pośpieszyć, żeby zostawić już to miejsce za sobą i jak najszybciej schronić się przed ulewnym deszczem, ale martwię się o Piper i Zaka. Zmuszanie ich do pośpiechu mogłoby być ryzykowne. Sama zmuszam się więc do wolniejszego kroku i pilnuję, żeby stale byli tuż za mną.

Wtem oślepia mnie jasna błyskawica. W jej świetle na tle nieba na zwałowisku skał wieńczącym Wisht Tor odcina się nieruchoma sylwetka. Lisica? Mrugam, ale światło już zgasło; jestem oślepią, nic nie widzę. Rozlegający się zaraz potem grzmot jest tak głośny, że aż podskakuję i o mało nie tracę gruntu pod

stopami.

– Jest blisko! – woła Zak.

Oglądam się za siebie. Też ją widział? Ale on patrzy w niebo.

Kolejna błyskawica i ogłuszający grzmot następują tym razem niemal równocześnie. Obracam się szybko, by zobaczyć, czy lisica wciąż tam jest, jednak gdy mój wzrok pada w tamten punkt, znów jest ciemno.

Piper i Zak obejmują się za mną, trzymając skomlącą Ness.

– Czy to bezpieczne iść dalej? – pyta Zak, akurat kiedy niebo staje w następnym oślepiającym rozbłysku. Natychmiastowy huk zagłusza jego słowa.

– Tak samo bezpiecznie jest iść dalej, jak stać tutaj albo zawrócić.

– Naprzód! – decyduje Piper.

Deszcz się nasila. Strugi wody spływają po skałach, strumyczki zmieniają się w wodospady. Nawet ja się boję, szukając bezpiecznego oparcia dla stóp, choć przecież znam tutaj każdy kamień. Oglądam się na Piper. Uśmiecha się dziko. Cudownie się bawi. Potrząsam głową i idę dalej. Stopy mam przemoczone mimo wysokich butów, ręce, którymi muszę trzymać się skał i podciągać, są całkiem zgrabiałe.

Jeszcze jeden ruch i jestem na górze. Zak przekazuje mi Ness. Potem odwracam się, żeby wyciągnąć rękę do Piper. Chwyta ją; jej dłoń jest cieplejsza niż moja. Stopa się jej ześlizguje, ale trzymając się mnie i mając za sobą Zaka, Piper jakoś sobie radzi. Zakowi, z jego długimi nogami, idzie się łatwiej.

Całe niebo ponownie przecina sznur błyskawic – byłby to piękny widok, gdybym go oglądała z domu, przez okno. Grzmot rozlega się niemal natychmiast, tak głośny, że trzaska w kościach, wstrząsa mną i odbija się echem w głębi ciała.

– Czy w czasie burzy można stać na wzgórzu? – niepokoje się Zak.

Próbuję mu dodać otuchy, choć sama czuję się przerażona.

– Nie martw się, burza już pokazała, co ma najgorszego. Teraz oddala się od nas.

Jakby na potwierdzenie moich słów niebo znów rozbłyskuje, a grzmot odzywa się kilka sekund potem, już nie tak głośny. Zerkam do tyłu i znowu na tle nieba widzę lisicę.



# P I P E R



Mozolnie bniemy wokół wielkiej sterty skał wieńczących szczyt wzgórza. Quinn mówi nam, że nazywa się to Wisht Tor, i zatrzymuje się w cieniu głazów.

– Wisht tak jak *wish*, życzenie? – pytam.

Quinn potrząsa głową.

– Wisht tak jak *witches*, wiedźmy. I jak Wisht Hounds, Ogary Czarownic.

Po drugiej stronie grunt opada łagodniej. Deszcz zelżał trochę; robi się

jaśniej, w miarę jak odpływają czarne chmury.

– To tu – mówi Quinn.

– Co?

– Dom babci. – Wskazuje w dół i moje oczy z trudem dostrzegają u stóp zbocza zarysy szarej kamiennej chaty, ukrytej wśród drzew o potarganych koronach i głązów kolejnego skalistego wzgórza.

Zatrzymuję się, żeby chłonąć widok najbardziej odizolowanego od świata miejsca, gdzie urodziła się i wychowała moja matka, gdzie Quinn i ja przyszliśmy na świat. Miejsca, z którego matka uciekła, zabierając mnie, a zostawiając moją siostrę.

Ściany domu zdają się zlewać w jedno z piętrzącymi się za nim skałami, prawie jakby chata była częścią pagórka, a on – częścią chaty. Podwórko otoczono bezładnie ułożonym rozsypującym się kamiennym murem, który niemal skrywa domostwo przed wzrokiem, podobnie jak dziwacznie poskręcane skarłowaciałe drzewa, rosnące nie tyle za murem czy przed nim, ile będące jego częścią. Wszystko to wygląda staro, bardzo staro. Z jednej strony domu tulą się do niego walące się dobudówki, jest też coś, co wygląda jak studnia. Serio? Prawdziwa studnia?

– No i? Jak to widzisz? – odzywa się Quinn.

Odwracam się do niej. Policzki ma blade. W jej oczach błyszczy głębia, ale wszelkie uczucia przesłania powierzchnia bólu. Moja siostra nie chciała tu wracać, już nigdy, prawda? Ale zrobiła to dla mnie. Biorę ją za rękę, a ona ściska mocno moją dłoń.

– Jak dom czarownicy z baśni – mówię, sondując ją, sprawdzając.

Quinn unosi brew i kiwa głową.

– Tylko bez „baśni”.

– Chodźcie, moje damy! – woła Zak. – Schowajmy się w ciepłe.

– Nie będzie go tam zbyt wiele – mówi Quinn. – Ale chodźmy.

Z trudem pokonujemy ostatni odcinek. Odkrywam, że odległość była zwodnicza. Dom okazuje się bardziej oddalony i większy, niż się wydawało z góry.

Kiedy do niego docieramy, stwierdzam, że wzrok mnie nie mylił: drzewa faktycznie są wrosnięte w kamienny mur otaczający domostwo. Ich korzenie wiją się wśród kamieni.

Idziemy za Quinn do przeciwległego fragmentu ogrodzenia, gdzie chwieje się otwarta wąska drewniana furka – pokryta mchem, na wpół zbutwiała. Przechodzimy przez nią, po czym podążamy ścieżką omijającą kamienne zarysy jakiejś ruiny rozpadającej się przed domem.

Ściany domu są wykonane z zazębiających się małych kamiennych płyt o krawędziach zaokrąglonych przez czas. Wyglądają jak kawałki układanki, która trzyma dom w całości bez zaprawy czy cementu, tak jak te wiejskie suche mury

w polu. Jest tylko kilka wąskich okien osadzonych głęboko w ścianach. Widać przez nie, że w środku jest ciemno.

Do domu wiodą szerokie dwuskrzydłowe drewniane drzwi przypominające odrzwia stodoły. Może to zaadaptowany budynek gospodarczy? Jeśli tak, przerobiono go zapewne bardzo dawno temu. Quinn zatrzymuje się przed wejściem, jakby czekając, mimo że stoimy tuż obok niej.

– Możemy? – pytam, a ona stoi jeszcze przez chwilę nieruchomo, po czym kiwa głową. Przekręca klamkę. Jest otwarte.

– Niezamknięte? – dziwi się Zak.

– I tak nikt tu nie przyjdzie – wyjaśnia Quinn. Bierze wdech i wchodzi do domu, a my trzymamy się tuż za nią.

Znajdujemy się w korytarzu z jednymi drzwiami po lewej, dwójgim mniejszych po prawej i wiodącymi na górę schodami w głębi.

Zak zamyka za nami. Mimo umieszczonego nad wejściem okienka wewnątrz wydaje się ciemne, tak że mrugam oczami, by przyzwycząić je do mroku. Mam wrażenie, że jest jeszcze zimniej niż na zewnątrz. Quinn drży.

– Gdzie jest kontakt? – pytam.

– Nie mamy elektryczności – odpowiada Quinn. Zdejmuje z ramion plecak, gmera w szufladzie pod stołem, który stoi przy ścianie, i znajduje świece i zapalki. Zapala trzy świece i wręcza nam po jednej. Dymią, są grube i nierówne – czyżby domowej roboty?

– Chodźcie za mną – mówi Quinn. Otwiera drzwi po lewej i przestępuje próg. Ness trzyma się blisko niej. Wchodzimy ze świecami, małe kręgi światła ledwie wydobywają z mroku duży pokój z ogromnym paleniskiem – tak wielkim, że można by na nim upiec krowę.

– Rozpalę ogień – zapowiada Quinn. – Ale dość długo potrwa, zanim się trochę nagrzej, bo nie paliło się od wielu dni.

Przyklęka i sięga do pudełka z boku paleniska, bierze podpałkę i papier. Zręcznie rozpala ogień, a zajmuje jej to ułamek tego czasu, jakiego tato potrzebuje, żeby wzniecić ogień w naszym domowym małym kominku, który raczej wprowadza nastrój, niż służy do ogrzewania salonu.

Quinn przechyla świeczkę, przytykając papier do jej płomienia. Papier zajmuje się jasnym ogniem; wkrótce strzela iskrami podpałka i pomieszczenie rozjaśnia się roztańczonymi płomieniami. Quinn dorzuca węgiel, po czym wszyscy troje wyciągamy ręce, żeby je ogrzać, lecz ja nie mogę upilnować oczu, które biegają mi po całym pokoju.

– Niesamowite miejsce – stwierdza Zak. Rozgląda się z zaciekawieniem tak samo jak ja.

Na ścianach wiszą dekoracyjne tkaniny. Przedstawione na nich sceny zatarły się pod wpływem czasu, dymu i słabego oświetlenia. Potężna pikowana sofa

wygląda jak eksponat muzealny, na jej ciężkie skórzane obicie narzucono koc. Jest tu także sękaty drewniany fotel na biegunach – czyżby wyrzeźbiony ręcznie?

Masywny kredens ma u góry otwarte półki, a u dołu szafki. Na półkach stoją książki i różne interesujące rzeczy, żadna książka ani ozdoba nie przypomina niczego, co do tej pory widziałam.

Quinn kicha.

Odwracamy się i patrzymy na nią; trzęsie się na całym ciele.

– Potrzebna ci gorąca kąpiel – stwierdza Zak. – Nam wszystkim by się przydała.

Moja siostra potrząsa głową.

– Nie ma tutaj gorącej wody, chyba że ją przyniesiemy ze studni, napelnimy wannę i ogrzejemy przy ogniu. – Wskazuje autentyczną blaszaną wannę upchniętą w kącie.

– W takim razie może chociaż suche ubrania dla wszystkich? – mówi Zak i przynosi plecaki, które zostawiliśmy w korytarzu. – Są tu jakieś ręczniki?

Quinn kiwa głową i wreszcie zmienia pozycję, w której zastygła, kiedy zapaliła ogień. Sięga do jednej z szafek kredensu i rzuca Zakowi ręcznik. Zak wyjmuje ze swojego plecaka parę ubrań i wychodzi z pokoju.

A ja zaglądam do kredensu: widzę ręczniki, ale nie takie, jakie znamy – te są cienkie, pocerowane, połatane. Rzucam jeden siostrze, jeden biorę dla siebie.

– Rusz się, zmarznięte dziewczę. Wytrzymaj sobie włosy i rozbieraj się. Zaraz ci znajdę ciuchy.

Jej plecak, jak mówiła, zawiera prawie samo jedzenie, idę więc do drugiego plecaka po moje ubrania. Proszę – ciepły sweter. Majtki. Dresy. Rzucam je do niej, a ona łapie, waha się chwilę, w końcu jednak zaczyna zdejmować przemoczone rzeczy; ja robię to samo.

Skóra Quinn jest taka biała, taka czysta w blasku bijącym od ognia. Z gęsią skórą. Siostra odwraca się zawstydzona ode mnie i wciąga sweter przez głowę. Obraca się z powrotem i teraz ona – jak przedtem ja patrzyłam na nią – przygląda się mojej skórze z takim samym zaciekawieniem w oczach, bo wszystko jest identyczne.

Rozlega się pukanie.

– Gotowe? – pyta Zak przez drzwi.

– Zależy od punktu widzenia – odpowiadam. – Ale możesz wejść.

Czekam chwilę, aż drzwi zaczną się otwierać, i dopiero wtedy powoli wciągam bluzę przez głowę. Quinn odwraca się, by ukryć zszokowanie. Zak szczerzy się w uśmiechu.

– Nie zaczynaj czegoś, czego nie wolno mi dokończyć.

Podchodzę do niego i obejmuję go w pasie. Jest zakłopotany. Czy to z powodu obecności Quinn, czy raczej tego, co przyrzekł mojemu ojcu?



Wtulam się w niego i szepczę:  
– Obietnice są po to, żeby je łamać.  
„Jak te, które mi złożyłeś, zanim całowałeś się z moją siostrą” – dodaję  
w myślach.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Postanawiamy spać w najcieplejszym miejscu, rozścielam więc przy ogniu koce i układam poduszki, które zebrałam z różnych zakamarków domu, chodząc ze świeczką. Piper cały czas tańczy podekscytowana wokół mnie, jakby to była jakaś przygoda; Zak, bardziej przydatny, przynosi potrzebne rzeczy.

Piper znów znika w korytarzu i zaraz woła do mnie:

– Quinn, te drzwi nie chcą się otworzyć.

Zastanawiałam się, jak szybko to zauważy. Wstaję i wychodzę na korytarz.

– Są zamknięte.

– A masz do nich klucz?

Potrząsam głową.

– Co jest w środku?

Wzruszam ramionami z wahaniem.

– Właściwie nie wiem. Byłam tam tylko raz, dawno temu. To babci pokój do czytania, przyjmuje w nim klientów. Tylko ona ma klucz.

– Nie zostawiła go może gdzieś tutaj?

– Nie. Zawsze nosi na szyi.

– Jakie to intrygujące. – Jeszcze raz próbuje otworzyć, szarpie za klamkę.

Drzwi są ciężkie, grube, z litego drewna, osadzone na zawiasach, które widać tylko od wewnątrz. Nie da się łatwo wejść.

Mijauu!

Piper podskakuje i patrzy na frontowe drzwi.

– Co to było, u diabła?

– Pewnie Kot.

Piper wciska mi do ręki swoją świeczkę. Na jej twarzy maluje się oburzenie.

– Zostawiłaś kota samego na cały ten czas? – Kieruje się do drzwi.

– Uważaj, jest bardziej zdziczały niż przymilny. I nie jest to nasz domowy kot ani niczyj; po prostu przychodzi czasami, gdy ma na to ochotę.

Piper otwiera drzwi. Kot siedzi przed nimi i wpatruje się w nią w typowy dla tych zwierząt królewski sposób. Wielki czarny kocur ze szramami po stoczonych walkach.

– Jak ma na imię? – pyta Piper.

– Kot.

– Ile w tym wyobraźni. – Pochyla się, wyciąga rękę, nuci do niego, przysuwa się bliżej i spodziewam się, że zarobi kilka dobrze wymierzonych zadrapań.

– Uważaj – powtarzam ostrzeżenie.

– Ach, to po prostu przerośnięty kociak, prawda?

Kot patrzy uważnie, ale się nie porusza, tylko wacha jej dłoń. Piper głaszcze go, a on pochyla się ku jej ręce, po czym ociera się o jej nogi i mruczy tak głośno, że słyszę to nawet ze swojej bezpiecznej odległości.

Kręcę głową. Tyle razy próbowałam zaprzyjaźnić się z tym kocurem, kiedy naprawdę potrzebowałam przyjaciela, ale on znosił moje towarzystwo, tylko gdy przynosiłam jedzenie. Nawet wtedy utaczał mi krwi, jeśli się zbyt zbliżyłam.

Później nasza trójka, najedzona kanapkami, układa się wygodnie przy ogniu. Kot odsuwa się od paleniska i podchodzi do Piper, a Ness przemyka od niej do mnie. Mądry piesek. Kot miauczy władczo tak długo, dopóki Piper go nie pogłaszcze, po czym opada na koc obok niej, zwija się w kłębek i szykuje do snu.

– J a k ty to robisz? – pytam ją.  
– Co?  
– Zaprzyjaźniasz się z nieprzyjaznymi stworzeniami. – Wskazuję Kota, który otwiera jedno oko, żeby mnie zgromić spojrzeniem, i z powrotem zasypia.  
– Szczerze? Nie wiem.  
– Ma fioła na punkcie zwierząt – odzywa się Zak, pukając się znacząco w głowę, i Piper rzuca w niego poduszką. Kot protestuje zrzędlawie na to zamieszanie. – Do tego stopnia, że nie chciała, żeby uspioono psy, które zabiły waszą matkę.

Gapię się na nią zdumiona.

– Nie miało znaczenia, czego chciałam – mówi Piper. – Tamci i tak je uspiłi.  
– Nie były niebezpieczne?  
– A co jest niebezpieczne? Ja jestem niebezpieczna. Ty też. I ten kot także dla kogoś, kto nie będzie ostrożny. Ale bym go nie uspiła.

Oczy Piper lśnią dziwnie w blasku ognia, żółte kocie ślepia błyszczą tuż obok niej i czuję dreszcz. Niebezpieczna? Ona i ja, obie?

Zak ziewa.

– Dobranoc, niebezpieczne dziewczyny. Pora trochę się przespać.

Wychyla się, żeby pocałować Piper na dobranoc, ale błysk kocich pazurów każe mu się wycofać.

– Myślę, że ten kot to tajny agent twojego taty – stwierdza Zak.

Ness leży obok mnie i wreszcie jest mi ciepło. Brak snu z poprzedniej nocy, gorąco bijące od ognia i popołudniowy wysiłek fizyczny wywołują senność, ale coś mi nie daje spokoju. Powieki mi opadają, po czym zaraz otwierają się znowu. Płomienie zamazują się w polu widzenia i zaraz zajmują je całe, aż roztańczone, migoczące światło jest wszędzie dokoła.

*Płomienie migają i tańczą, przynosząc zarówno piękno, jak i ból. Utknęłam w ich palącej spiekocie i nie mam dokąd uciec. Dom jest zrównany z ziemią.*

*Została po nim naga, martwa ziemia: tylko kamienne ruiny przed frontowymi drzwiami babci znaczą miejsce pożaru. To zakazane, jak tyle innych rzeczy i miejsc.*

*Ale wtem wszystko migocze i zmienia się. Płomienie znikają, a ja kulę się za krzesłem babci. Za późno na ucieczkę; jeżeli mnie teraz znajdą, będę miała wielkie kłopoty.*

– Gdzie ona jest? – pyta Isobel.

– Cieszę się, że tak się rwiesz do spotkania z córką. Cierpliwości.

*Głos babci jest łagodny, ale wyczuwam w nim ukłucie. Wiem, że Isobel wcale nie jest chętna, żeby się ze mną zobaczyć, po prostu chce wiedzieć, gdzie jestem.*

– Teraz, kiedy dziewczyna jest świadoma, musisz ją bardziej mieć na oku.

*Świadoma czego? Nasłuchuję.*

– Uważaj, do kogo się odzywasz takim tonem – mówi babcia.

– *Wiesz, co kładziemy na szali.*

– *Lepiej niż ty. – Teraz w głosie babci wyraźnie brzmi ostrzeżenie. Nawet Isobel musi to słyszeć.*

– *Przepraszam, matko. Nie chciałam ci się przeciwstawiać.*

– *Przynieś mi herbaty, a puszczę to w niepamięć.*

*Kulę się za krzesłem. Isobel przechodzi tuż obok, zmierza do kuchni. Zamyka za sobą drzwi.*

– *Quinn!*

*Obracam się raptownie. Babcia stoi za mną z miną ponurą jak chmura gradowa.*

– *Idź. Zmykaj stąd, zanim cię zobaczy.*

*Wypadam więc na słońce i chowam się za kurnikiem, nie mogąc uwierzyć, że babcia wiedziała, gdzie jestem, i pozwoliła mi uciec. Może ukarze mnie później.*

*Słońce przygrzewa. Leżę na kupce słomy, zastanawiając się, o czym rozmawiają. Co Isobel rozumiała przez to, że jestem świadoma? Świadoma czego? Chciałabym to usłyszeć.*

*Zamykam oczy... i odpływam.*

*Wysnuwam się z siebie i płynę z powrotem do domu. Babcia i Isobel są niżej; widzę je i słyszę.*

*Lecz wtem babcia podnosi wzrok. Widzi mnie, choć nie ma nic do zobaczenia. RzUCA w powietrze coś, co napęłnia mnie bólem – bólem, który narasta, kiedy zamykam się znów w swoim ciele.*

Nieprzyjemne sny ustępują i stwierdzam, że nie śpię. Naciągam na siebie koce; temperatura spadła.

Co przyciągnęło te wspomnienia dziś do moich snów? Piper mówiła coś o tym, że jesteśmy świadome; może właśnie o to chodzi. Potem Zak przyszedł z lanczem i nie zdążyłam zapytać jej, co przez to rozumie.

Incydent z podsłuchiowaniem poza własnym ciałem zdarzył się wkrótce po tamtej chorobie. Później orzekłam, że to musiały być kolejne gorączkowe majaki, jak tamte, które przeniosły mnie do domu naszych przodków, kiedy płonął. Marszczę brwi. Może się pomyliłam i to zdarzyło się naprawdę. Pomyślałam wtedy, że babcia była nadzwyczajnie miła, skoro mnie tak po prostu wypuściła po tym, jak się ukrywałam za krzesłem. Może to jednak nie był gest dobroci, tylko chciała mnie skusić – sprawdzić, czy wrócę, by podsłuchiwać bezcieleśnie.

Albo żeby sprawdzić, czy potrafi mnie powstrzymać.

To zupełnie s z a l e ń s t w o. Pewnie miałam zwidy albo coś mi się przyśniło. Cała ta sprawa to kompletna bzdura.

Drzę; ogień znikł, został tylko żar. Wzdycham i wysuwam się spod przykrycia, żeby dołożyć węgla, zanim całkiem zgaśnie. Poruszam się wolno i ostrożnie, nie chcąc nikogo obudzić. Ness wierci się lekko, otwiera senne oko

i zagrzebuje się głębiej w koce.

Jakoś nie chcę patrzeć na Piper i Zaka. Czy odgonili Kota i wreszcie się przysunęli do siebie? Czy leżą w swoich ramionach? Ale nie umiem też nie patrzeć.

W słabym blasku bijącym od paleniska twarz Zaka wygląda jak ciemna obietnica. Chłopak uśmiecha się przez sen, lecz jest sam.

Gdzie się podziała Piper?

Ałłuuuuuuu!

Skóra mi cierpnie. Psy albo coś gorszego; słabo słyszalny głos, gdzieś w oddali – jak w moim popołudniowym śnie, ale stoję tu przecież i na pewno nie śpię. Moje stopy owiewa zimny przeciąg; lodowaty powiew przemyka po pokoju i ucieka kominem. Wpada z korytarza.

Idę powoli przez pokój do drzwi wiodących na korytarz. Są uchylone. Otwieram je szerzej, by wyjrzeć. Widzę, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież. Wychodzę na korytarz, z zimna niemal szcękam zębami. Czy Piper wyszła na zewnątrz? Późną nocą w panującej na wrzosowiskach ciemności, kiedy wyją Ogary Czarownic?

Chcę pobiec z powrotem do ognia, zbudzić Zaka, kazać mu jej poszukać. Coś jednak każe mi podejść do drzwi: stawiam jeden krok, drugi, każdy niezdecydowany. Docieram do progu i wychylam głowę.

Niebo się przejaśniło, widać gwiazdy. Księżyc jest okrągławy, brakuje kilku dni do pełni.

Piper stoi w jego świetle przy furtce. Ma na sobie tylko piżamę, ale nie drży. Kot zwinął się w kłębek u jej stóp. I ona, i on wpatrują się we wrzosowiska, jakby ich oczy umiały przeniknąć ciemności; oczarowane, nieruchome.

Powinam do niej zawołać, zatrzaskać drzwi, zamknąć na zewnątrz noc i wszystko co ciemne.

Ale w jej postawie, w tym, jak stoi i wygina szyję... jest coś dzikiego. Cokolwiek zamierza czy myśli, nie chciałaby, żeby jej przerywać.

Przynajmniej tak sobie mówię, czy jednak rzeczywiście jest w niej coś takiego, co każe mi się wycofać ze strachem?

Wślizguję się z powrotem do środka niezauważona.



# P I P E R



– Zaplanujmy najbliższe dni – mówię.

– Co chcesz robić? – pyta Quinn i odgryza kolejny kęs kanapki z dżemem.

Śniadanie mistrzów.

– No, oczywiście chcę odwiedzić babcię. Ale może dziś pokręcimy się tu jeszcze trochę?

Quinn chętnie się godzi. Nie uśmiecha się jej odwiedzanie babci; to widać

wyraźnie.

W trójkę wychodzimy na zewnątrz. Słońce świeci, nie ma ani śladu wczorajszej fatalnej pogody.

Kot podchodzi i składa u moich stóp zdechłego szczura – całkiem spore trofeum jak na kota.

– O, aleś ty sprytny. – Schylam się, by go pogłaskać po łebku, i sprawdzam szczura. – Dobra robota, jednak nie przepadam za szczurami. Może zatrzymasz go sobie na śniadanie? – Prostuję się. – Zak, myślę, że potrzebujemy więcej naszych rzeczy z samochodu. Może ty i Quinn opróżnicie plecaki i przyniesiecie coś stamtąd?

– Już lecę, Księżniczko Kwiatuszku – odpowiada Zak, świetnie naśladowując tatę.

Wystawiam do niego język.

– Tak czy inaczej są tylko dwa plecaki, a ja chciałabym pozwiedzać dom. I czy mógłbyś zadzwonić do mojego taty i powiedzieć mu, że dotarliśmy cali i zdrowi? Tu nie ma zasięgu.

Quinn wygląda na zaniepokojoną – czy tym, że ma iść tylko z Zakiem, czy że zostawi mnie samą w swoim domu? Tak czy inaczej, wkrótce się zbierają, a Ness idzie z nimi.

Powinam mieć co najmniej dwie godziny swobody.

Trudno się szuka, nie mając pojęcia czego. Wiem, że jest c o ś w tym domu – coś, co może odziedziczyć tylko osoba nosząca nazwisko Blackwood. Mama zatroszczyła się o to, żebym nazywała się tak jak ona, Blackwood; na pewno nie zrobiła tego bez powodu. Mimo że nie odpowiedziałyby na moje pytania, musiała przeznaczyć to dla mnie.

Sypialnia babci na piętrze wydaje się na początek najbardziej prawdopodobna. Otwieram drzwi i na myśl o tym, że mam być sama w tym pomieszczeniu, odczuwam niepokój.

– Nie bądź niemądra – mówię sobie na głos. – To tylko pokój.

Z tymi słowami napięcie ustępuje. Wchodzę do środka.

Panuje tu półmrok; unoszę wyżej świeczkę, żeby lepiej widzieć. Duży pokój. Kwadratowy. Pośrodku łóżko z kolumnkami, do tego krzesło, toaletka i komoda.

Na trzech ścianach wiszą tkaniny. Widać na nich niewyraźne wzory, ale w tak słabym świetle nie umiem rozpoznać symboli.

Za tkaninami są gołe kamienne ściany – żadnego tynku czy czegoś takiego – i choćby kamienie przylegały do siebie nie wiadomo jak ściśle, od ścian ciągnie chłodem. Zaglądam za każdy kilim, uważając, żeby trzymać świeczkę z dala od materiału. Za jednym z nich jest ukryte okno.

Na toaletce znajduję świecznik, mocuję więc na jego szpikulcu świeczkę i zostawiam ją tam, po czym wślizguję się za tkaninę, żeby wyrzeć na zewnątrz.



Materiał opada na mnie, ciężko opiera się o moje plecy, tak że muszę walczyć z wrażeniem zamknięcia, które mi każe wynosić się stąd, i to już.

Ściany budynku są tak grube, że trudno wyjrzeć przez okno. Szeroki parapet może służyć jako siedzisko. Podciągam się na niego i siadam z plecami opartymi o jeden bok i z podkulonymi nogami.

Okno wychodzi na front domu. Droga, którą wczoraj pokonaliśmy w deszczu, w ogóle nie jest widoczna na zboczu – nie ma tam żadnej ścieżki, tylko nierówny, usiany skałami stok. Quinn zna trasę; prawie nie patrzyła pod nogi, wzrok miała utkwiony w dom, odkąd pojawił się w polu widzenia.

Niżej, pomiędzy domem a prastarym murem i jego stojącymi na straży drzewami, rozpadające się kamienie wyraźniej układają się w geometryczny kształt, tworząc zarysy ścian małego zrujnowanego budynku. W jego obrębie ziemia jest naga, nic tam nie rośnie.

Gdy wyszłam na zewnątrz w nocy, okrążyłam ruinę, nie szłam przez nią, tak jak zrobiliśmy, kiedy dotarliśmy tutaj. Potem stałam przy furtce kilka godzin wpatrzona w niebo. Tam w dali było coś, co mnie wzywało do dzikich miejsc – mimo dziwnych snów, jakie miewa Quinn – i co odczuwałam gdzieś na skraju świadomości. Kiedy Quinn wstała i wyjrzała za mną, nie odwróciłam się ani nie dałam po sobie poznać, że ją widzę, i zaraz wycofała się do domu.

Schodzę z okna, przepycham się pod kilimem do sypialni. Teraz powietrze wydaje się tu zbyt ciemne i duszne. Jestem ogromną zwolenniczką ciepła, ale to jest największe okno w domu oświetlonym wyłącznie świecami – wiecznie zamknięte i zasłonięte.

Wzdłuż jedynej niezakrytej ściany biegnie przewód kominowy z paleniska na dole i właśnie przy nim ustawiono łóżko. Dotykam tutaj kamieni – są ciepłe.

Obok mojej świeczki na toaletce leży szczotka, w której utkwilo kilka białych włosów. Żadnych perfum czy toników. Coś, co wygląda na bardzo starą rzeźbioną kasetkę na biżuterię, zawiera w środku dziwne rzeczy: ptasie pióro z pociemniałym końcem, mały nóż i kilka muszelek.

Komoda okazuje się w połowie pusta, z przypadkową zbieraniną ubrań, w większości znoszonych i pocerowanych. Znajduję jednak kilka pięknych rzeczy, w tym kolorową spódnicę i szal. Nie jestem pewna, co to za materiał; w dotyku jest zarówno lekki, jak i ciepły.

Pokój babci w najlepszym razie można nazwać skromnym – poszukiwanie nie trwa długo.

Następnie idę do sypialni Quinn. Mieści się po przeciwnej stronie przewodu kominowego, ale nie ma tutaj kilimów ani okien i mimo ciepłej kamiennej ściany pokój sprawia wrażenie wyraźnie chłodniejszego. Stoi tu twarde, wąskie łóżko i mała komoda. Nie wydaje mi się, żeby tu miało się znajdować to, czego szukam, ale nie mogę się powstrzymać i przetrząsam każdą szufladę, dotykam wszystkiego,

czego Quinn zapewne dotykała nieskończenie wiele razy, jakby jej rzeczy mogły przesiąknąć wskazówkami o tym, kim i czym jest moja siostra.

Ma więcej ubrań niż babcia, głównie dziwnych i niedopasowanych. Dzinsy, które wyglądają bardziej na stare niż stylowo postarzone, i rzeczy robocze: niebieskie tuniki i spodnie. Pracowała jako sprzątaczką w hotelu, prawda? Pewnie stąd te ciuchy.

Na komodzie leży wyszczerbiony porcelanowy talerz z zasuszonymi płatkami kwiatów; jest też ładna, ale pęknięta ramka na zdjęcie oraz kawałek aksamitnej wstążeczki, niepasującej do żadnego z jej ubrań.

Tak mało tych przedmiotów, a te nieliczne w ogóle nic nie mówią o tym, kim jest ich właścicielka. Oglądając teraz jej pokój, nie dziwię się, że oniemiała na widok mojego domu i rzeczy. Ale musi tu być coś więcej; musi być coś.

Niecierpliwie macam pod materacem i moja dłoń napotyka coś twardego. Podnoszę róg materaca. Książki? Ale to nudny wybór. Powieści i dramaty. Nic interesującego, wyglądają na starocie, nawet kilkudziesięcioletnie, oraz z drugiej ręki. Dlaczego ukrywa je pod materacem? *Wichrowe wzgórza* to pewnie jej ulubiona – wygląda na czytana ze sto razy. *Romeo i Julia* tak samo.

I to wszystko.

Na górze jest jeszcze jeden nieduży pokój, obok sypialni Quinn – stąd zeszłego wieczoru wzięliśmy przy świecach dodatkowe koce. Przez małe niezakryte okno wpada światło dzienne. Mieści się tu coś w rodzaju pracowni ze stołem i na wpół zrobioną patchworkową narzutą – Quinn powiedziała, że pracuje nad nią. Gładzę połączone kwadraty, drobnutkie ściegi i zawyły wzór powstający ze skrawków materiału. Obok stoi pudło pełne różności, kawałków tkanin, ubrań z powycinanymi dziurami – czy stąd bierze kwadraty?

Idę na dół, z powrotem do wielkiego frontowego pokoju, w którym spaliśmy. Przyjrzałam mu się już wczoraj, ale teraz sprawdzam wszystko metodycznie. Szafki kredensu kryją chaotyczną zbieraninę naczyń stołowych i ręczników. Na półkach wyżej stoi trochę starych książek i dziwnie wyglądających ozdób. Nic nie wygląda na tak cenne czy interesujące, by stanowiło *d z i e d z i c t w o*.

Kolej na kuchnię, usytuowaną po drugiej stronie korytarza. Jest zimna, z gołą kamienną posadzką. Mniejsze niż w pokoju palenisko, przystosowane do gotowania, jest ciemne i zimne. Z hałasem przetrząsam kredens – same rondle i garnki. Nic interesującego, chyba że dla zbieracza staroci.

Toaleta znajduje się na zewnątrz, z tyłu budynku; nie taka do splukiwania, w ciemności nie jest w niej zabawnie, no i pełno pajaków. Są jeszcze dwie inne dobudówki. Quinn powiedziała, że w jednej z nich trzymały kury. Ciemno tam i zalatuje stęchlizną, na ziemi poniewiera się stara słoma. Przytłumiony tupot sugeruje, że to tutaj Kot może zdobywać śniadania.

Druga przybudówka zawiera ławkę i narzędzia ogrodnicze. Pomiedzy dwa

kamienne budyneczki wciśnięto warzywnik. Na grządkach, spustoszonych przez zimno i wczorajszą burzę, nic nie rośnie.

Pozostaje więc tylko zamknięty pokój koło kuchni. Pokój babci do czytania, jak go nazwała Quinn. To coś – czymkolwiek to jest – zawsze musiało tam być, prawda?

Wracam do domu i znów badam tamte drzwi. Nie ma jak wejść do środka, nie podejmując poważnych działań, takich jak wyrąbanie dziury masywną siekierą lub podłożenie ognia.

Obchodzę dom z zewnątrz, licząc okna. Te na parterze są małe i rozmieszczone w dużych odstępach, a pokój „do czytania” nie ma okna.

Pozostaje tylko jedno rozwiązanie. Potrzebujemy tu babci, prawda? Żeby otworzyła drzwi.



Dzisiaj idziemy lekkim, szybkim krokiem, nawet w drodze powrotnej, z plecakami pełnymi zapasów i ubrań Piper. Ness radośnie biegnie w podskokach z nami.

– To miejsce jest całkiem inne w słońcu – zauważa Zak.

Dotyczy to większości rzeczy. Na przykład Zaka. Jego skóra ma cieplejszy odcień. Im więcej słońca, tym swobodniejszy wydaje się w moim towarzystwie.

Prawie mogę udawać, że jest taki jak przedtem, zanim się całowaliśmy. Mimo że ja jestem inna. I nie słyhać w oddali wycia. Nie ma też szans na spotkania z lisami, normalnymi ani innymi. Są tylko nawoływania ptaków, zrudziałe jesienią paprocie, jasnożółte kwiatki janowca.

Gdy byłam mała, uwielbiałam chodzić po wrzosowiskach – odkrywać, wspinać się, przyjaźnić z ziemią i niebem. Nawet po tym zdarzeniu, gdy spadłam i złamałam sobie rękę, nie mogłam wysiedzieć w domu. Coś się jednak zmieniło z wiekiem. Zaczęłam odczuwać przytłaczający ciężar tego miejsca, fakt, że stale jestem obserwowana, i to w sposób, który utrudnia oddychanie.

Znów oddycham swobodniej. Czy to dlatego, że są tutaj Piper i Zak? A może ja się zmieniłam? Może to nic takiego, że tu jestem, i z naszego przyjazdu nie wyniknie nic złego? Może te wszystkie przeczucia wzięły się u mnie ze zdenerwowania, że muszę wrócić?

Robimy sobie przerwę na szczycie przy Wisht Tor, nad domem babci. W taki pogodny dzień jak dziś jest to dobry punkt widokowy, można się z niego rozejrzeć dookoła. Zak przysłania sobie oczy i patrzy w dal.

– Co tam jest? – Pokazuje szarozieloną smugę odległych drzew.

Nawet stąd zagajnik wydaje się zimny i niedostępny, jakby pochłaniał słońce z okolicy i zostawiał na wrzosowiskach ciemną plamę – obmierzłe miejsce według babci. Ostrzegła mnie, żeby go unikać.

– Wistman's Wood – odpowiadam zwięźle.

– Nie widziałem w tych stronach zbyt wiele drzew, tylko te w murze wokół waszego domu.

– Nie. Na wrzosowiskach nie ma drzew, zwłaszcza tak wysoko. – Ruszam w dalszą drogę.

– A ten zagajnik... jak daleko do niego od domu waszej babci?

Wzruszam ramionami, nie patrząc za siebie.

– Jakaś godzina marszu. Częściowo po niebezpiecznym, bagnistym terenie, zwłaszcza po wczorajszym deszczu. Tak czy inaczej myślę, że mamy dość chodzenia na dziś.

Kiedy wracamy, Piper doskakuje do naszych plecaków. Wypróżnia je i wykrzykuje nad tym, co przynieśliśmy, a co zostawiliśmy. Potem wzdycha i osuwa się na frontowy stopień. Zachęca mnie gestem, więc siadam obok niej, a Zak opiera się o dom z drugiej strony.

– Quinn, co tutaj można r o b i ć?

– Niewiele.

– No to jak wypełniałaś sobie dni?

– Wychodziłam do pracy o siódmej rano, godzinę szłam, sześć godzin sprzątałam, po czym wracałam. Jakoś pomogło mi to zwalczyć nudę.

Zak ma przerażoną minę.

Piper niecierpliwie potrząsa głową.

– Nie, mam na myśli, co robiłaś tu i tam bez telewizji, Internetu i niczego?

– Zastanówmy się – mówię, krzyżując ramiona. – Gotowałam, sprzątałam. Szyłam. Dbałam o ogródek. Spałam. I tak w kółko.

– Nic dziwnego, że tak ci się spodobał Winchester.

– Tak, to prawda. Ale to ty chciałaś tu przyjechać, więc co byś chciała robić?

– A co tutaj robią turyści? Tacy jak ci, którzy zatrzymują się w tym hotelu, gdzie pracowałaś.

– Głównie jedzą i piją, i narzekają na pogodę. Podziwiają widoki, spacerują po wrzosowiskach, gubią się i musi ich szukać Służba Poszukiwawczo-Ratunkowa Dartmoor.

– Wiem, chodźmy na spacer!

– Myśmy już byli – droczy się z nią Zak. – Zdaje się, że nie miałaś ochoty. Ale jeśli naprawdę chcesz się ruszyć, jest ten zagajnik, który widzieliśmy z góry. Quinn, mówiłaś, że jak to daleko?

– Godzina szybkiego marszu. Ale to nuda, z przeskakiwaniem przez bagna, żeby zobaczyć parę drzew. – Odwracam się, próbując ukryć napięcie, które pojawia mi się na twarzy i brzmi w wypowiedzianych słowach. Na próżno.

– Quinn nie chce tam iść, co we mnie natychmiast wzbudza ciekawość – mówi Piper.

– To okropne, ponure miejsce, pełne węży. Część trasy biegnie w grząskim terenie i po wczorajszym deszczu możesz skończyć po szyję w błocie. Wciąż chcesz iść?

– Brzmi idealnie. Urządzmy piknik! – woła Piper. – Nie musisz iść; tylko pokaż nam drogę.

Wzdycham.

– Ścieżka rozwidła się i pierwsza część nie jest oczywista. Pójdę, żebyście się nie zgubili. Ness nie może iść, mogłaby utknąć w bagnie.

Piper zrywa się, żeby spakować prowiant, odciąga z sobą Zaka. Przyglądam się niebu – jest dziś czyste. Nic nie zapowiada pogorszenia pogody. Ale choć aura może się szybko zmienić na wrzosowisku, brzuch mi się skręca nie z tego powodu. Chodzi o coś innego. To jakaś przeczuwana obawa przed pójściem do lasu, mająca raczej związek z Piper niż z babcinymi ostrzeżeniami czy z moim pragnieniem, żeby się trzymać od tego miejsca z daleka.

Postanawiam, że się wymówię, udam chorobę, będę się spierać.

Lecz gdy się pojawiają chwilę później z lanczem w plecaku Zaka, Piper jest taka radosna, tak podekscytowana. Zak idzie z nami. Słońce świeci i moje postanowienie topnieje pod wpływem uśmiechu siostry.

Jestem pewna, że te złe przeczucia wyobraziłam sobie na podstawie mrocznych babcinych aluzji i ostrzeżeń dotyczących tego zakątka. Kto by się

przejmował takimi zakazami? Gdybym słuchała wszystkiego, co mówiła, nigdy bym się stąd nie ruszyła, nigdy nie poznałabym własnej siostry czy Zaka.

Mimo że babci tu nie ma, jest tak, jakby wciąż kontrolowała moje myśli i decyzje. Pora z tym skończyć i raz na zawsze wyrwać swoje życie z jej mocnego uścisku.

Wyruszamy. Ness zostaje przywiązana na smyczy w domu i już marudzi za nami.

– Widzicie tę plamę jasnej zieleni? – mówię.

– Co z nią? – pyta Piper.

– Nie zbliżajcie się. To bagno.

Chwytam jeden z patyków, które przyniosłam, podchodzę bliżej, trzymając stopy na solidnej skale, i wpycham kij w jasną zielen. Schodzi niżej i niżej. Demonstracja okazuje się jeszcze bardziej pogładowa, kiedy próbuję go wyjąć. Szarpnię, ale rozlega się cichy odgłos siorbnięcia i kij pogrąża się bardziej. Puszczam go, a on powoli znika.

– Nie podchodźcie do niczego, co wygląda podobnie – ostrzegam. – Rozumiecie?

– A co się dzieje, jeśli się w tym utknie? – pyta Piper.

– Im więcej się miotasz, tym mocniej cię wciąga i bardziej się pogrążasz. Wszystko zależy od głębokości grzędawiska. Możesz utonąć, jeśli jest aż tak głęboko. Najprawdopodobniej to się nie zdarzy, ale jeżeli nikt cię nie znajdzie i nie wyciągnie, możesz powoli umrzeć z głodu, pragnienia, wychłodzenia. Albo zjedzą cię żywcem zwierzęta, bo nie uciekniesz ani się nie obronisz.

– Suuuper – cieszy się Piper, a Zak i ja potrząsamy głowami.

– Nasza ścieżka jest kręta i często się zmienia. Te błotne dziury przemieszczają się, jak gdyby chciały złapać nieostrożnych. Idźcie za mną i uważajcie, gdzie stawiacie stopy.

Łatwo jest dostrzec grzędawiska w słońcu, przynajmniej ja nie mam z tym problemu, ale to Dartmoor i nic nie gwarantuje, że słońce z nami zostanie. Trzymam drugi kij, na wypadek gdybym musiała wymacać drogę. Wkrótce przedostajemy się na twarde gruntu. Po chwili nasza ścieżka dołącza do głównego szlaku.

– Ładnie – mówi Zak, pokazując znak ostrzegający przed drogą, którą właśnie przebyliśmy: „Uwaga – ukryte grzędawiska”.

Podczas marszu Piper zagaduje wesoło i śmieje się, bardziej tańcząc, niż idąc. To wybiega naprzód, to znów się wraca. Zak śmieje się razem z nią. Ja idę w milczeniu. Oni są na wakacyjnym wyjeździe, prawda? Dla Piper nie jest to prawdziwe miejsce. To ciekawostka, coś, co może obejrzeć i pamiętać, kiedy wróci do domu, gdzie ma ciepło i opiekę bliskich.

Jakby wyczuła moje badawcze spojrzenie, zrównuje się ze mną i bierze mnie

za rękę. Jej skóra jest ciepła, moja – lodowata.

– Czemu się tak cieszysz? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– Jestem tu z tobą i Zakiem. Słońce świeci. Sama radość, prawda? –  
Uśmiecha się i śmieje, a na ten dźwięk niemal topnieje we mnie zimny węzeł lęku.

Zak zatrzymuje się przed nami. Wiem dlaczego. Docieramy do niego i usta  
Piper układają się w O.

Wistman's Wood zdaje się wyrastać z wrzosowiska niczym nieoczekiwane,  
widmowe zjawisko – poskręcane, skarłate dęby wyglądają jak dusze złapane  
w ucieczce, zamarłe ze strachu na wieczność.

– Przepięknie – mruczy Piper.

W pewnym sensie tak jest. Rozumiem, co siostra ma na myśli i dlaczego  
ludzie przychodzą tu, żeby osobiście tego doświadczyć.

Lecz w głębi tego lasu kłębi się coś złego.





# P I P E R



Biorę Quinn za rękę, kiedy zbliżamy się do drzew. Jest w nich coś, co mnie przyciąga; magnes działający nagłaco na moją stal.

Wszyscy milczymy, jakby tak należało się zachowywać w tym miejscu.

Wchodzimy pod pierwsze drzewa. Są powykręcane i zniekształcone, a pod nimi piętrzą się jakby bezładnie rzucone wielkie głazy pokryte zielonym mchem. Trudno tu stawiać kroki, muszę nawet puścić rękę siostry, żeby utrzymać

równowagę.

Światło jest przygaszone i to nie tylko dlatego, że drzewa na swój sposób przesłaniają słońce – ich korony przepuszczają wystarczająco dużo promieni – chodzi raczej o jakość światła. Wydaje się jakoś rozcieńczone. Staję przed dziwnie ukształtowanym drzewem. Kilka konarów wysuwa przed siebie, jak kończyny. Pień wygina się ku nim, jakby zamarł w biegu.

Zapuszczam się głębiej, nie podążając w żadnym kierunku ani według żadnego wzoru, prowadzą mnie same oczy i stopy. Zak idzie za mną jak cień, Quinn trzyma się nieco z tyłu.

Zatrzymuję się obok jednego z poskręcanych, skarłowaciałych drzew; czuję, że dziwnie mnie przyciąga, i kładę dłoń na jego korze.

*Głód; straszliwy, rozpaczliwy głód.*

*Biegiem przez ciemność.*

*Woń ofiary.*

W mój umysł wdzierają się sceny. Wrywa mi się stłumiony okrzyk, cofam rękę. Waham się i z powrotem przykładam dłoń do pnia.

*Czerwona, czerwona krew; gorąca, pyszna. Chcę, muszę więcej.*

*Zawsze więcej.*

*Rozpacz.*

– Piper? Piper? – zagaduje Zak. Kładzie mi rękę na ramieniu, aż podskakuję. To zrywa moje połączenie z drzewem.

– Co?

– Quinn uważa, że powinniśmy iść.

Siostra podchodzi teraz do nas i z kolei ja patrzę na nią. Oczy ma utkwione w koronach drzew nad nami.

Otoczają nas białe palce mgły, zimne i penetrujące. Początkowo mgielka jest rzadka i koronkowa, snuje się wolno wśród drzew; potem szybko gęstnieje i ledwie widzę poza Quinn, a to tylko metr dalej. Zak odnajduje moją rękę, drugą wyciąga do Quinn i przysuwa nas obie do siebie.

– Nie mogę uwierzyć, jak szybko zmienia się pogoda w Dartmoor – mówi. Jego głos jest cichy, stłumiony mgłą, która wisi wokół nas mokra i ciężka.

– Czy powinniśmy zatrzymać się na jakiś czas? – pytam. – Trudno będzie zobaczyć, dokąd idziemy.

Bezwiednie opieram się o drzewo i mój umysł wypełnia się straszliwym głodem i pragnieniem krwi. Biorę rękę Quinn i przyciskam ją do pnia. Jej twarz jest blisko mojej. Siostra wytrzeszcza oczy i wyszarpuje rękę.

Oto kolejna rzecz wspólna dla nas, bliźniaczek.

– Co to za miejsce? – chcę wiedzieć.

– Z tym laskiem wiąże się wiele legend, jedne prawdziwsze od drugich.

– Opowiedz.

– Tutaj nie można o tym mówić. Musimy się stąd wydostać, ale już.

Jej głos jest jednak słaby i odpływa. Ja z ręką na korze wciąż jestem tam – *rozkoszuję się strachem, podążam szlakiem krwi i...*

Quinn chwyta mnie za ramię i odciąga od drzewa. Wracam do tu i teraz – do zagajnika we mgle.

Ostrożnie, wolno wyprowadza nas spomiędzy drzew, znajdując ścieżkę, której ja nie widzę. Kiedy idziemy, wspinając się wyżej, mgła stopniowo rzednie, kawałek po kawałku, aż docieramy na skraj lasu – tam gdzie weszliśmy do niego, gdzie drzewo wydaje się zastygłe w ucieczce.

– Bez ciebie bylibyśmy zgubieni – odzywa się Zak do Quinn i ma rację, choć nawet nie wie, ile to znaczy w moim przypadku. Gdyby mnie nie zabrali od tych drzew, wciąż bym tam tkwiła, zatracona w połączeniu z trawiącym je głodem.

Czy oderwałabym się sama? To było przerażające i brutalne, owszem, ale jakoś...

Chcę tam wrócić.

Wspinamy się po nierównym stoku i wychodzimy ponad las. Słońce znów świeci nam w twarz; a zagajnik pod nami wciąż spowija mgła.

– To idealne miejsce na piknik – oświadczam i Zak zaczyna wyjmować koc.

– Nie moglibyśmy wyjść trochę wyżej? – pyta Quinn, nie odrywając oczu od lasu.

– Umieram z głodu – upieram się, bo chcę mieć drzewa w zasięgu wzroku. – Poza tym tu jesteśmy osłonięci od wiatru.

Rozpościeram koc na paprociach, Zak wyjmuje z plecaka kanapki. Siadamy i zaczynamy jeść.

– Dobra, Quinn, już tam nie jesteśmy! Opowiedz te legendy o lasu – mówię.

Wzrusza ramionami.

– Są najróżniejsze opowieści o tym, że Wistman's Wood jest nawiedzony. Że utknęły w nim dusze. – Waha się. – I że wiele lat temu było to miejsce próby. Babcia mówiła, że kobiety uznane za czarownice zamykano w pułapce z gładów, za ciężkimi kamiennymi płytami, żeby nie mogły uciec. Umierały powoli z zimna, pragnienia, głodu. Drzewa wchłaniały ich dusze.

– Urocza procedura – zauważa Zak. – A gdzie tu próba?

– Jeśli któraś naprawdę była czarownicą, korzystała z magii, żeby przesunąć płytę i uciec. Łapano ją potem i palono na stosie.

– Niewielki wybór.

– Nie. – Quinn wzrusza ramionami. – Jeśli się wierzy w takie rzeczy.

Sposób, w jaki to mówi, zdradza, że ona wierzy.

– Daj spokój. Chodźmy.

– To nie wszystko, prawda?

Quinn zaczyna zbierać rzeczy po pikniku.

– No, są jeszcze legendy o Dzikim Łowie. Że Ogary Czarownic mieszkają w tym lesie. Nocą tropią na wrzosowiskach nieostrożnych, rozdierają ich na strzępy i w ten sposób na zawsze wciągają do łowów.

Przebiega mnie dreszcz. Moja wizja – jeśli to można tak nazwać – z drzew. Rozpacz, nieposkromiony głód. Krew.

I moje sny o bieganiu nocą po wrzosowisku, ale nigdy w roli ściganej, jak w snach Quinn. To nie dla mnie.

D z i k i Ł ó w.

Tej nocy leżę rozbudzona, zapatrzona w sufit. Quinn śpi, Ness też, ale oczy Kota są szeroko otwarte i odbijają czerwień ognia. W głowie mi wiruje. Obrazy, dźwięki, uczucia tworzą w środku przemieszane wrażenia, jakbym patrzyła w kalejdoskop lub raczej jakbym sama w nim była i wyglądała z niego na zewnątrz.

Drzewa... głód... krew. Strach... odraza... krew. Zawsze więcej krwi. Wszystko to wiruje mi w głowie, aż czuję, że spadam w dół, w dół, w dół...

*Jest zimno, mimo że ogień strzela coraz większy. Jest ciemno, ale czerwone oczy widzą.*

*Jesteśmy w pułapce.*

*Zamarłe.*

*Czekamy.*

*Głodne, tak rozpaczliwie głodne.*

*Wkrótce będziemy wolne.*



Następnego dnia rano Zak i ja wspinamy się po zboczu nad domem. Idę szybko, tak szybko, że przez swój brak ostrożności tracę równowagę na luźnych kamieniach. Zak wyciąga pomocną dłoń, ale radzę sobie sama i jego ręka opada z powrotem.

Na szczycie nie zatrzymuję się, mijając Wisht Tor.

– Czekaj chwilę – mówi Zak, staję więc i odwracam się.

Zak opiera się plecami o skałkę, wrzosowiska rozpościerają się wokół nas, ale on nie podziwia widoku.

– Co jest? Nie nadążasz?

Potrząsa głową, na jego ustach pojawia się półuśmiezek.

– Porozmawiaj ze mną, Quinn.

– O czym?

– O tym miejscu. O swojej babci. O tym, co dla ciebie znaczą. Wydajesz się tu inną osobą.

Jego oczy są pełne skupienia i zaciekawienia, ale ciepłe – jakby nie popychał go głód wiedzy, jak Piper, tylko chęć wsparcia w potrzebie p r z y j a c i ó ł k i. A to sięga w głąb, do bólu, który w sobie noszę; do pragnienia, aby mieć kogoś, kto wie o mnie wszystko, kogoś, komu mogę powiedzieć, co zechcę.

Ale nie byle komu. Nie byle przyjacielowi, nie zwyczajnemu komuś tam, tylko właśnie t e m u – temu, kto ma te oczy i usta, tę ciepłą skórę, tę troskliwość, inteligencję i poczucie humoru, wszystko złożone w jeden zgrabny pakiet o postaci Zaka, który teraz stoi tak blisko, że mogłabym wysunąć rękę i dotknąć go. Wysunąć rękę i przyciągnąć go bliżej.

Lecz to się nigdy nie stanie.

– Niedługo dowiesz się o mojej babci aż nadto – mówię i ruszam dalej.

Reszta drogi do samochodu upływa nam w milczeniu, ale moje myśli pędzą, sprzecząc się z sobą.

D l a c z e g o to robimy? Jak mojej siostrze udaje się mnie przekonać, żebym robiła dokładnie to, czego ona chce? Na przykład ta wczorajsza wycieczka do Wistman's Wood... Mimo mojego strachu, mimo dziwnego przeczucia, że Piper nie powinna tam iść. Mimo ostrzeżeń babci, które zlekceważyłam, wmawiając sobie, że to nic takiego.

A Piper wzięła mnie za rękę i przyłożyła ją do szorstkiej kory drzewa, żebym poczuła udrekę, głód. Potrząsam głową, nie chcąc myśleć o tym, co to musi oznaczać. A sen, który miałam potem w nocy? Przebiega mnie dreszcz.

I oto znów robię dokładnie to, czego ona chce, wbrew własnemu osądowi.

Jest w niej coś, co rozprasza obawy, co każe mi wierzyć, że wszystko będzie w porządku. Jej uśmiech działa jak magia, może zwyczajna, ale jednak magia. I sprawia, że chcę tego, czego chce Piper.

Zanim tu przyjechaliśmy, Piper mówiła, że chce tylko zobaczyć dom i odwiedzić babcię w szpitalu. Wczoraj wieczorem to się zmieniło. Jeśli pojedziemy odwiedzić babcię, powiedziała, szokujący widok nas obu razem to może być dla niej zbyt wiele. Nie możemy ryzykować wywołania kolejnego udaru.

Spirałam się. Przekonywałam, że kiedy dzwoniłam do szpitala, dowiedziałam się, że jest silna i może wrócić do domu, jeśli będzie miała opiekę.

Powiedziałam nawet, że jeśli zdaniem Piper nie powinnyśmy iść do szpitala razem, może pojechać tam z Zakiem i udawać mnie, jak ja robiłam przed naszym tatą w Winchesterze. Zatrzymałam dla siebie, że nie ma szans, żeby to się udało z babcią. Zaraz by się połapała.

Za późno zauważyłam swój błąd. Piper uczepiła się tego, że babcia może wrócić do domu. Powiedziała, że powinnyśmy sprowadzić ją tutaj i łagodnie, powoli dać jej do zrozumienia, że jesteśmy we dwie.

Wczoraj wieczorem przekonała mnie, że wszystko będzie w porządku. Że babcia jest po prostu chorą staruszką, która powinna wrócić do domu pod naszą opiekę – swojej rodziny.

Teraz Zak i ja jedziemy po babcię do szpitala. Bez Piper.

Ale gdy nie ma w pobliżu siostry, wracają strach i rozsądek. Choćbym nie wiem jak chciała, nigdy nie mogłam wyjechać, gdy babcia tu była. Nigdy nie mogłam się jej przeciwstawić. A jeśli teraz będzie tak samo?

Piper szepcze mi w głowie, jakby była tuż obok mnie: „Wszystko będzie w porządku. Przy mnie będzie inaczej”. I trzymam się tego wewnętrznie.

– Quinn, prawda? Tak się cieszę, że cię widzę. Ale znam kogoś, kto się ucieszy jeszcze bardziej. – Pielęgniarka jest bardzo zadowolona z mojego przyjazdu, ale coś czai się za jej uśmiechem. Zerka na Zaka. – Kto to jest?

– Mój przyjaciel Zak. Przywiózł mnie tutaj. Jak się czuje babcia?

– Znacznie lepiej. Wciąż ma problemy z mową i trudno jej chodzić, ale pali się, żeby wyjść do domu. Wiesz, próbowaliśmy się z tobą skontaktować. – Spojrzenie pełne dezaprobaty. – Mieliśmy tylko numer do jakiegoś hotelu, w którym pracujesz, ale tam nie wiedzieli, gdzie jesteś. Chodź, zaprowadzę cię do niej.

Rusza korytarzem przed siebie.

– Chcesz iść sama? – pyta Zak.

Zaprzeczam ruchem głowy i bez zastanowienia biorę go za rękę. Potem dociera do mnie, co zrobiłam, i próbuję uwolnić dłoń, ale on trzyma mnie mocno.

– Jest okej – mówi.

Pielęgniarka zatrzymuje się przy drzwiach sali, daje nam znak ręką i szybko się oddala. Miała to wymalowane w oczach, nie chciała wejść. Czy to babcia pali się, żeby iść do domu, czy oni nie mogą się doczekać, kiedy ją pożegnają?

Otwieram drzwi. Babcia siedzi na łóżku wyprostowana jak struna, oparta o spiętrzone poduszki. Białe włosy ma skręcone w warkocz, a na szpitalną koszulę narzucony własny szal. Odwraca głowę, patrzy na mnie, potem na Zaka, na nasze złączone ręce. Oczy jej się rozszerzają. Wyciąga rękę. Czy ta ręka drży?

Puszczam dłoń Zaka i zmuszam się, żeby przejść przez salkę do łóżka.

– R-r-ręce – mówi babcia. Wysięk wywołuje na jej twarzy irytację.

– Ręce? – powtarzam i wyciągam swoją.

Chwyta mocno moją prawą dłoń i wpatruje się w bransoletę Isobel. Czy to ona przyciągnęła jej wzrok, a nie to, że trzymam za rękę Zaka? Czy w oczach babci błyszczą łzy? Nie. To niemożliwe. A może?

– Czy to w porządku, że mam bransoletę Isobel? – pytam, nagle bojąc się, że każe mi ją zdjąć, że będzie ją chciała dla siebie, jako pamiątkę po córce.

Lecz ona kiwa głową i zamyka moją lewą dłoń na prawej, tej z bransoletą.

– Trzymaj – mówi wyraźnie. – Z-z... – Marszczy brwi. – Zawsze. – Uśmiecha się. Oczy błyszczą jej jasno.

A we mnie coś porusza strach, jakaś inna emocja, i teraz oczy mnie pieką. Mrugam mocno. Babcia chce, żebym zatrzymała bransoletę?

Babcia obraca głowę, wbija wzrok w Zaka i daje mu znak ręką, by podszedł.

Zak zbliża się, a ona wskazuje mu krzesło po drugiej stronie swojego łóżka. Zak siada.

– Babciu, to mój przyjaciel Zak.

Znowu wyciąga rękę, Zak jej podaje swoją – normalnym, naturalnym gestem, tyle że ona nie jest przecież normalną, naturalną kobietą. Przez chwilę trzyma jego dłoń, po czym odwraca ją i wpatruje się w skupieniu w jej wnętrze. Zak patrzy na mnie ze zdziwieniem w oczach, ale nie zabiera ręki.

Babcia puszcza ją, po czym dotyka jego klatki piersiowej po lewej stronie, tam gdzie bije serce.

Uśmiecha się i wtedy rozluźnia się jeden z węzłów, które mam zaciśnięte w środku – polubiła go. Nie byłam pewna, co byśmy zrobili, gdyby orzekła, że Zak nie może z nami wracać do domu.

– Z a k i – mówi babcia. – Czysty. – Klepie go w klatkę piersiową koło serca. Tym razem jej słowa brzmią wyraźnie.

Uśmiech odpywa z twarzy Zaka, jego oczy wypełniają się bólem i zdumieniem. Chłopak potrząsa głową.

– Skąd pani wie?

Babcia znów się uśmiecha, ale nic już nie mówi.

Po krótkim czasie wraca pielęgniarka z dokumentami – najwyraźniej czekały przygotowane na wypis babci. Trudno uwierzyć, że tak po prostu mi ją przekażą, ale babcia najwyraźniej tego chce. Jej życzenia sprawiają, że wszystko jest możliwe. Zaraz zjawia się lekarz, żeby potwierdzić wypis, a kiedy rozmawia z babcią, Zak odciąga mnie na bok.

– Skąd ona wie, że mam na imię Zaki?

– Masz na imię Zaki, nie Zak?

Przytakuje.

– Tylko mama tak mnie nazywała. – Jest wstrząśnięty. – To po arabsku „czyste serce”. Czy wasza babcia zna arabski?

Potrząsam głową.



– Musi znać. Domyśliła się, kim jestem z pochodzenia, więc Zak to Zaki. – Zak szuka logicznego wyjaśnienia dla czegoś, co jest nielogiczne, a ja czuję pokusę, by go w tym utwierdzić. Ale nie. Powinien wiedzieć.

– Sam pomyśl. Całe życie spędziła w odizolowanym od świata domu w Dartmoor. Jak miałyby się tam nauczyć arabskiego?

– Więc jak to inaczej wyjaśnisz?

– Ona wie różne rzeczy o ludziach. Przychodzą do niej, by się czegoś o sobie dowiedzieć, o tym, co się wydarzyło, co się wydarzy; żeby sobie zażyczyć zmiany tych rzeczy.

– Mówisz, że jest wróżbitką?

– Jest mądrą kobietą, uzdrowicielką, widzącą.

Zanim Zak zdąży zapytać, czy to oznacza to, co myśli, wraca pielęgniarka.

– A więc, Quinn, twoja babcia może chodzić tylko na bardzo krótkich odległościach, załatwiłam więc wyjątkowo wypożyczenie szpitalnego fotela na kółkach. Nie mów nikomu. – Mruga porozumiewawczo, zdenerwowana i chętna, żeby się nas pozbyć jak najszybciej.

Dziękujemy jej. Sanitariusz pomaga babci przesiąść się na wózek inwalidzki i zaraz wieziemy ją korytarzem, na zewnątrz i rampą w dół. Będziemy musieli transportować ją do domu dłuższą drogą, a nawet to będzie trudne. Mam nadzieję, że pogoda wytrzyma.

Zak pomaga babci usadowić się z przodu samochodu, na miejscu pasażera, a następnie sanitariusz pokazuje nam, jak się składa wózek. Po złożeniu akurat mieści się w bagażniku.

– Jak my ją dostarczymy do domu? – pyta Zak miękko, najwyraźniej myśląc o tym samym co ja. – Może powinniśmy pojechać do hotelu?

Babcia ma świetny słuch.

– Nie – ucina. Tym razem jej głos brzmi mocno i wyraźnie.

– To jedno słowo dopracowała do perfekcji – mruczy sanitariusz na odchodnym.

Babcia odwraca się na siedzeniu, rzuca mu mroczne spojrzenie i mężczyzna potyka się. Uderza głową o barierkę, po czym chwiejnie wchodzi przez drzwi.

– Dostaniemy się do domu – mówię. – Dłuższą drogą.



# **P I P E R**



Wyglądam przez okno w pokoju babci. Przeszukałam dom jeszcze raz, pewna, że nic nie znajdę, ale byłam niespokojna i chciałam się czymś zająć. Tę sypialnię zostawiłam sobie na ostatek. Kiedy skończyłam, odsunęłam ciężki kilim, podciągnęłam się na parapet i usiadłam, by popatrzeć. Próbowałam przywabić Kota, żeby mi dotrzymał towarzystwa, lecz nie był zainteresowany i zniknął gdzieś na dole. Nawet Ness nie wejdzie do tego pokoju – żałośnie zwinęła się w kłębek

w korytarzu przed otwartymi drzwiami.

Jest późne popołudnie, słońce wisi nisko na październikowym niebie. Czy coś się stało, jest jakiś powód, dla którego babcia nie może wrócić do domu? Czy Quinn się rozmyśliła i jednak jej nie sprowadzi?

Ness szczerka. Słyszę, tupot jej łapek, gdy pędzi po schodach w dół do frontowego pokoju. Czy system wczesnego ostrzegania o Zaku tutaj też działa?

Znowu wpatruję się w zbocze, po którym przyszliśmy do domu babci. Nic. Lecz nagle daleko po prawej coś błyska w słońcu. Mrużę oczy, próbując to dostrzec.

Jakaś wysoka postać. Coś pcha przed sobą? Mija czas, postać jest coraz bliżej, niżej, i widzę, że to Zak, a przed nim przygarbiona, drobna postać na wózku inwalidzkim. Obok idzie Quinn, niosąc jakieś torby. A, oczywiście: babcia jest na wózku, więc pewnie poszli tą dłuższą drogą, o której wspominała Quinn.

Patrzę jeszcze przez chwilę, po czym schodzę z parapetu. Nie byłoby dobrze, gdyby mnie ktoś spostrzegł. Przemykam po schodach na dół i przez kuchnię na tył, jak było postanowione.

Uśmiech igra na moich ustach. Tak mało spałam, odkąd tu przyjechaliśmy, że powinnam być wyczerpana, ale przeciwnie – czuję się nakręcona. Śmieję się radośnie i o mało nie płam po martwych grządkach warzywnych pod czujnym okiem zdumionego Kota, który siedzi wysoko nade mną na dachu domu.

Wszystko toczy się dokładnie po mojej myśli; od początku wiedziałam, że tak będzie.



Q

U

I

N

N



Zak przestaje popychać wózek przy furtce. Nie ma szans, żeby fotel na kółkach przejechał po nierównym terenie wokół ruiny przed naszym domem. Babci będzie też trudno tędy przejść, nawet z pomocą.

– Może panią przeniosę? – proponuje Zak.

– Nie – odpowiada ostro.

W drodze ze szpitala zauważyliśmy, że sanitariusz miał rację: „nie” to

najlepiej wyćwiczone słowo babci.

Zak podtrzymuje więc wózek, podczas gdy ja pomagam jej się podnieść przed trudnym odcinkiem ścieżki na podwórku. Twarz babci jest ściągnięta, wyczerpana, lecz oczy jej błyszczą.

Babcia bierze mnie pod ramię i opiera się na mnie ciężko, kiedy wkraczamy na jej włości. Zak idzie za nami, niosąc wózek. Babcia przygląda się ruinom pogorzelniska, jakby w obawie, że coś się zmieniło. Każdy zwalony kamień dostaje od niej osobne spojrzenie czy dotyk, kiedy tak idzie wolno wokół zrujnowanego domu przodków; jej twarz przy każdym takim kontakcie ściąga się jeszcze bardziej. Co babcia czuje? To miejsce jest dla mnie zakazane, podobnie jak wiele innych. Od czasu tamtej gorączki i snów, które miałam wiele lat temu, cieszę się, że mogę unikać tego skrawka ziemi.

Zza drzwi dobiega podekscytowane szczekanie.

– To Ness – wyjaśniam. – Szczeniak Zaka, tak jak ci mówiłam. Zak?

Chłopak stawia wózek, idzie, żeby otworzyć drzwi, po czym łapie Ness za obrozę, zanim suczka zdąży nas obskoczyć.

Babcia rzuca jej baczne spojrzenie i zupełnie przestaje zwracać na nią uwagę.

Denerwuję się, gdy przekraczamy próg domu. Czy Piper zrobiła tak, jak zapowiedziała – wypatrywała nas, po czym schowała się przed babcią? Strzelam oczami na prawo i lewo, ale nigdzie nie widzę ani śladu siostry. Bądź co bądź, to jej plan; nie ma powodów, żeby go zmieniła.

Bystre oczy babci chcą zobaczyć wszystko – muszę jej pomóc zajrzeć do każdego pomieszczenia na dole, jednego po drugim. Jej wzrok zawisa na chwilę na drzwiach zamkniętego pokoju do czytania, ale babcia mija je i rusza schodami na górę. Czy widzi ślady stóp Piper, czy czuje, że ktoś inny oddychał powietrzem jej domu?

W sypialni pomagam się babci położyć, poprawiam jej poduszki.

Chwyta mnie za rękę, siadam więc obok niej na łóżku. Próbuje coś powiedzieć – pewnie ma dużo pytań o to, gdzie się podziewałam, skąd mam bransoletę Isobel, o Zaka.

Z trudem przełyka ślinę, próbuje znowu.

– P-prz-aszam. – Potrząsa głową rozdrażniona, gdy jej nie rozumiem, aż czuję się w obowiązku coś powiedzieć.

– W porządku. Prześpij się trochę. Założę się, że jutro obudzisz się w znacznie lepszym stanie i łatwiej będzie ci mówić.

Jej oczy są pełne ciepła. Dotyka dłońią mojego policzka i znów próbuje. Tym razem udaje mi się wyłowić słowo: „Przepraszam”. Uderza się w pierś.

– Błąd. Przepraszam – powtarza.

Jestem zakłopotana i trochę wystraszona. Babcia nigdy za nic nie

przepraszała, nigdy nawet nie uważała, że popełniła błąd. Chcę ją zapytać, co ma na myśli, lecz oczy się jej zamykają.

Wkrótce oddech jej się wyrównuje, a uścisk dłoni słabnie. Ostrożnie wysuwam rękę.

Patrzę, jak babcia śpi. Taka wątła, drobniutka. Czy tej kobiety bałam się przez całe życie? Coś się zmieniło i przesunęło między nami, i nie dotyczy to tylko jej. Poruszyło się również we mnie.

Czy to wpływ Piper, czy raczej chodzi o to, że spędziłam kilka dni z daleka od babci? Zniknął ciężar pilnujących mnie oczu, który czułam od tak dawna w tym miejscu. Wewnętrzny przymus, by robić to, czego zażyczy sobie babcia, rozwiął się w tajemniczy sposób, a to daje mi wewnętrzne poczucie lekkości, swobody, jakbym nawet mogła się wynieść, gdybym chciała.

Ale powiedziała, że popełniła błąd. Chcę nią potrząsnąć, obudzić ją, dowiedzieć się, w czym się pomyliła, dlaczego. W tym, że trzymała mnie tu w izolacji? Że ukrywała mnie przed moją siostrą, rodzicami?

Przede wszystkim chcę się dowiedzieć d l a c z e g o. Dlaczego babcia i Isobel nigdy nam nie powiedziały jednej o drugiej. Jak mogły nam to zrobić? Tego pytania jednak nie mogę zadać; przynajmniej jeszcze nie teraz – dopóki Piper nie przeprowadzi swojego planu podawania się za mnie przed babcią. Dopóki ten plan nie zawiedzie – a że zawiedzie, nie mam wątpliwości – nie mogę przyznać, że wiem o swojej bliźniaczce.

Patrzę, jak babcia śpi. Nie budzę jej tylko dlatego, że sama tak postanowiłam.



# P I P E R



Biorę tacę i idę po schodach na górę pełna mieszanych uczuć: nerwowej energii, podekscytowania i czegoś jeszcze – czego nie chciałabym nazwać ani się do tego przed sobą przyznać. *S t r a c h u*. To wina Quinn, to ona zaraziła mnie swoim strachem, swym niewypowiedzianym, lecz oczywistym przekonaniem, że babcia nie da się nabrać.

U góry schodów niezgrabnie przesuwam tacę i opieram ją sobie o biodro –

ostrożnie, żeby nie wylać owsianki. Unoszę rękę i delikatnie pukam.

Przekręcam klamkę.

Otwieram drzwi.

Wchodzę.

Leży na plecach z zamkniętymi oczami. Przyglądam się jej. Jest niska, drobna, ledwie ją widać spod kołdry, która okrywa ją po samą brodę, tak że nie widzę szyi; nie widzę, czy wisi na niej klucz od zamkniętego pokoju. Staruszka ma białe włosy i tak bladą skórę, że przyglądam się bliżej, by się upewnić, że wciąż oddycha.

Quinn powiedziała, żeby – jeżeli babcia będzie spała – zostawić tacę na toaletce obok łóżka. Ale Quinn tutaj nie ma.

Staram się wyglądać i poruszać jak ona. Obserwowałam ją. Uśmiecha się mniej niż ja, rzadko wchodzi w kontakt wzrokowy. Jeżeli już to robi, to dlatego, że chce coś podkreślić albo rzucić wyzwanie – zawsze musi być powód. Chodzi też trochę inaczej: nie porusza tak swobodnie ramionami jak ja, ma mniej sprężyste kroki. Jest bardziej zwarta i powiązana z ziemią, marnuje mniej energii – jakby energia była czymś, co powinna oszczędzać.

– Dzień dobry, babciu. Przyniosłam ci śniadanie – mówię, podchodząc do niej.

Porusza się, uchyla odrobinę powieki, potem nagle całkiem otwiera oczy. Wpatruje się we mnie. Oczy ma zdumiewające, przenikliwe, głęboko niebieskie. Spuszczam wzrok, zbliżam się i stawiam tacę obok niej, starając się poruszać jak Quinn.

Prostuję się, podnoszę wzrok. Babcia siedzi wyprostowana i wciąż na mnie patrzy.

– Mogę? – Wskazuję poduszki, a nie słysząc odpowiedzi, pochylam się za nią, żeby je poprawić.

W pół ruchu chwyta mnie za rękę. Ma zaskakująco silny uścisk. Obraca moją dłoń, przygląda się jej, potem puszcza.

– Dlaczego tu jesteś? – pyta.

Po tym, co słyszałam od Zaka, jestem zdziwiona jej wyraźną wymową. Wskazuję tacę.

– Przyniosłam ci śniadanie.

Unosi brew.

– Dlaczego tu jesteś, P i p e r?

Odwracam się do niej tyłem, by pomyśleć. Zgaduje czy ma pewność? Ale plan zakładający, że zdobędę jej zaufanie jako Quinn i dostanę klucz od pokoju do czytania, to tylko plan A. Będą jeszcze inne sposoby.

– Skąd wiesz? – pytam w końcu.

– W i e d z i e ć to moje zajęcie. I znać się na kłamstwach; widzę przez nie



na wylot. Jeszcze raz: dlaczego tu jesteś?

Klękam obok jej łóżka.

– Chciałam się z tobą zobaczyć, poznać cię. Poznać rodzinę, o której mówiła mi matka.

– Jestem zaskoczona, że mówiła ci o takich rzeczach. Co dokładnie powiedziała?

Naprawdę potrafi przejrzeć kłamstwa? Zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Powiedziała, że wołała zostawić ciebie i swoje dziedzictwo. Zabrała mnie z sobą, ale to nie był mój wybór.

– A ty, Piper, co wiesz o tym dziedzictwie? Masz na myśli ten dom? – Pokazuje ręką otoczenie. – Nie chcesz tutaj zostać – dodaje, wypowiadając słowa powoli, jakby je wyciągała.

I nie chcę. Nagle wołałabym się znaleźć gdziekolwiek indziej na świecie. Wypełnia mnie nieprzeparte pragnienie, by wstać, wyjść z tego pokoju i domu; już jestem na nogach, gotowa do biegu. Potrząsam głową i ryzykuję kłamstwo.

– Chcę zostać. – I gdy to wypowiadam, pragnienie mnie opuszcza.

Babcia unosi brew.

– Widzę, że o swoim dziedzictwie wiesz zarówno więcej, jak i mniej, niż sądzisz. Ale czy wiesz, ile cię kosztowało to, że tu przybyłaś? Co zrobiłaś, żeby znaleźć to miejsce? – Jej głos jest zimny. – To, czego szukasz, będzie cię kosztowało znacznie więcej.

– Musisz mi powiedzieć. – Wkładam w swoje słowa całą słodycz i moc przekonywania, jaką mam. – Jesteś moją babcią. Musisz mi pomóc.

Uśmiecha się, ale jej uśmiech jest słaby i drwiący.

– A jednak mam dwie wnuczki. Biedna Isobel: przeklęta raz, przeklęta po dwakroć. W tym leży problem. Quinn! – woła podniesionym głosem. – Quinn! Chodź tutaj.

Lekkie kroki na schodach, tak natychmiastowe, że musiała czekać na to wołanie.



– Chodź tutaj, Quinn – mówi babcia. – Stań obok siostry.

Twarz ma nieprzeniknioną, moim żołądkiem szarpie przerażenie. Czy jest zła, że Piper tu przyjechała, że pozwoliłam jej udawać mnie? Idę przez pokój i staję obok Piper przy łóżku babci.

Zerkam na siostrę. Sposób, w jaki stoi, w jaki przechyla głowę – uświadamiam sobie, że teraz mogę wiele odczytać w jej pozie. Na coś się

rozzłościła, ale stara się zatrzymać to w sobie. Nieczęsto do tej pory ćwiczyła tę umiejętność.

Babcia przygląda się nam przez dłuższą chwilę. Wreszcie potrząsa głową.

– Takie podobne, ale czy inne w środku? Kiedy się urodziłyście, odczytałam was wyraźnie. Wasze ścieżki były oczywiste i powiązane ze sobą. Podjęto działania, żeby zerwać ten związek, ale ewidentnie nie zadziałały. Teraz już nie widzę.

– Babciu! – wołam zaskoczona. – Mówisz dziś o wiele lepiej, tak jak ci powiedziałam.

– Właśnie. Dziękuję ci, Quinn, choć martwię się tym, co to oznacza. Tak jak z wami dwiema: w połowie coś dobrego, w połowie złego.

Uśmiecha się smutno i potrząsa głową, a ja sztywnieję zszokowana, że tak po prostu powiedziała mojej siostrze prawdę: że jedna z nas jest dobra, druga zła. I trudno dociec, która jest jaka. Ja byłam trzymana w ukryciu, zbyt niebezpieczna, żeby mnie wypuścić, jak zawsze powtarzała mi Isobel.

Lecz Piper się na tym nie skupia.

– Co rozumiesz przez nasze ścieżki? – pyta. – Jakie podjęto działania? Masz na myśli, że nas rozdzielono?

– A jakie działania podejmie teraz każda z was? – odpowiada pytaniem babcia i znów kręci głową. – Czas pokaże. Ja na ten temat już się nie wypowiem. – Wbijają wzrok w Piper. – Ale ty nie powinnaś była nigdy tu przyjeżdżać. Jak znalazłaś to miejsce?

Spoglądam to na jedną, to na drugą. Wydaje mi się, że babcia wie coś, o czym nie mówi. Piper się nie odzywa, ale ramiona ma proste, oczy jej płoną. Jest wściekła.

– Przepraszam, babciu – wyrywam się, zanim moja siostra eksploduje. – Ja ją tutaj przywiozłam.

– O? Spodziewam się, że to nie twoja wina. Ale będzie z tego zła krew, już się burzy w was obu.

Marszczę brwi skonsternowana. Zła krew burzy się w n a s o b u?

– Co masz na myśli? – pyta Piper, nie potrafiąc już ustać cicho. – Nasza krew jest twoja.

– I waszego ojca.

Piper potrząsa głową.

– Tato jest bez skazy, nie splamiłby się niczym.

Babcia patrzy na nią bez słowa, ale jest coś innego t a m – w jej oczach. Piper mówiła, że Isobel pojawiła się przed drzwiami taty z nią na ręku i powiedziała mu, że to jego dziecko. Orzekłam, że pewnie mówiła prawdę: przez lata ostrzegała mnie, jak niebezpiecznie jest kłamać, więc jak mogłaby sama oszukiwać?

A może się myliłam?

Stoję tam z rękami złączonymi przed sobą, jedną bezwiednie gładzę wisiołek na bransolecie. Wpatruję się w babcię. Teraz jakoś dostrzegam prawdę – ujawnione kłamstwo – w jej oczach.

– On nie jest naszym ojcem, prawda? – pytam.

Babcia nie odpowiada. Przez powierzchwnię mojej pamięci przemykają na wpół zapomniane uwagi i domysły. Tak mi się wydawało, że negatywna opinia babci o moim ojcu nie pasuje do taty Piper. Miałam rację – nie dotyczyła go, ponieważ to nie jest nasz tato.

Czuję, jakbym straciła coś, czego nigdy nie miałam.

A co z Piper? Dla niej to musi być znacznie większy szok. Odwracam się do niej, ale jej twarz zamieniła się w maskę, nic nie zdradza.

Tego wieczoru nagarniam węгля do ognia, podczas gdy Piper rozkłada dla nas posłania bliżej ciepła. Węgiel się kończy; muszę się jutro wybrać po zapas.

Piper się mości, ja kładę się obok niej, wtulona w koc. Kot przylepia się do jej pleców, koło mnie leży Ness.

– Biedny Zak. Musi być samotny – mówi Piper. – Ciekawe, czy przekradnie się, żeby nas odwiedzić.

– Raczej nie. Chyba zrozumiał, że kiedy babcia coś każe, trzeba być posłusznym.

Gdy babcia zasugerowała, że chłopak nie może spać w tym samym pokoju co Piper i ja, Zak bez słowa przeniósł się do mojej sypialni na górze.

– Za kogo się ta kobieta uważa, że nas przestawia jak w jakimś gabinecie osobliwości i sprawdza, jak się zachowamy? Mam ochotę powiedzieć jej, co myślę o niej i o mamie, że przez wszystkie te lata trzymały nas rozdzielone, podczas gdy powinnyśmy zawsze być razem.

Czuję ciepło w środku. Mimo wypełniającej mnie ciemności Piper wciąż chce być ze mną – ze swoją siostrą.

– Znam babcię dobrze, więc lepiej zatrzymaj to dla siebie.

– Cóż. Kiedy jestem wściekła, samo ze mnie wychodzi. W taki czy inny sposób. Ale to może poczekać.

Waham się, jednak jest coś, o co ją muszę zapytać.

– Piper, co rozumiałaś z reakcji babci, kiedy ją zapytałam, czy tato nie jest naprawdę naszym ojcem?

Bierze mnie za rękę i obraca się do mnie. Jej twarz, taka znajoma jak moja, jest rozświetlona blaskiem ognia, a mrugające światło kładzie na niej cienie.

– Nie ma to dla mnie znaczenia, on zawsze będzie moim tatą. Kiedy mi opowiedział historię o tym, jak mama zjawiała się ze mną, domyśliłam się, że może nie jest naszym biologicznym ojcem. A jak z tobą? W porządku?

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego miałoby mnie to trapić. Ledwie go znam.

Jeszcze tydzień temu w ogóle nie wiedziałam o jego istnieniu.

Piper chłonie to z oczami pełnymi zamyślenia.

– Może tobie jest trudniej, bo w ogóle nie miałaś żadnego ojca, na chwilę go dostałaś, a potem znowu ci go odebrano.

– Taak... Chyba tak.

– Wciąż masz mnie. – Jej oczy odbijają światło jak kocie ślepie. – Zawsze będziesz mnie miała. – Chwyta mnie mocniej ręką.

A ja obawiam się, że zada dalsze pytania o to, co mówiła babcia – o dobro i zło. O złą krew. Że nie zrobiła tego dotąd, bo się domyśliła, dlaczego nas rozdzielono.

Piper nic już jednak nie mówi. Zamyka oczy, jej oddech wyrównuje się.

Ja z kolei nie umiem tak łatwo uciec w sen.

*Przybądźcie, żeby biegać i polować razem!*

*Słowa wezwania są we mnie, są częścią mnie, wydobywają się z moich ust, które na próżno usiłują je powstrzymać. Są w moim gardle, w moich uszach, rozbrzmiewają echem wszędzie dookoła, aż drzewa w zagajniku wibrują ich mocą.*

*Drzewa skrzypią, chylą się i łamią.*

*Wyzwalamy się!*

*Biegniemy.*

*Przednie łapy, tylne łapy; przednie, tylne; pędzimy przez wrzosowiska, przelatujemy nad piargami, paprociami, skałami. Biegną ze mną, w rozpaczliwej radości i głodzie, z wywieszonymi jęzorami, bok w bok.*

*Ogary Czarownic, śmierci i koszmaru.*

*Czuję przerażenie, będąc tak blisko nich, ale okazuje się, że jest jeszcze gorzej. Gdy spojrzę w dół podczas biegu, widzę ogromne czarne łapy i wielkie pazury.*

*Jestem jednym z nich.*

*W środku krzyczę NIE, NIE, NIE, ale nie umiem się wyrwać.*

*Rozbiegamy się w wachlarz, tworząc krąg.*

*Zamykamy w nim bezmyślne ofiary.*

*Zacieśniamy krąg. Beczą, biegają w popłochu, jedna wpada prosto na moje czekające zęby.*

*Pierwszy słodki smak gorącej krwi ściekającej mi po gardle doprowadza moje zmysły do szalu. Napętnia mnie jeszcze większą żądzą.*

Siadam gwałtownie na posłaniu, serce mi wali jak oszalałe. Stopniowo wraca świadomość własnego ciała, koców, pod którymi leżę – zwyczajnych znajomych rzeczy z tego pokoju.

Co za koszmar. Był taki realny, jakbym tam była, jakby to się działo naprawdę.

A co najgorsze, mord bardzo mi się podobał – krew, gorąca i słodka.

Żołądek mi się wywraca. Próbuję wypchnąć z pamięci ten smak i skupić się na oddychaniu, żeby uniknąć wymiotów.

Czy to w ogóle był sen? Bardziej przypominał te chwile, kiedy mdlałam w dzieciństwie. Tamte omdlenia tak zaalarmowały Isobel i babcię. A także ten moment, gdy opuściłam własne ciało, żeby je podsłuchiwać. Ostatnio czułam się podobnie, kiedy zemdlałam, będąc z Zakiem w Winchesterze; jakbym podróżowała w czasie do tamtych chwil, gdy wielki pies przygniatał mi piersi.

Potrząsam głową. Dzisiejszy s e n odczułam tak, jak wszystkie tamte wizje. Co mógł oznaczać?

Rozglądam się wokół siebie. Jeśli nie liczyć Ness, jestem sama.

Gdzie się podziała Piper?



# P I P E R



Słońce jest tuż-tuż; zaraz wdrapie się ponad wzgórze i zabierze noc.

Nie jest mi zimno, choć powinno – w moich żyłach pędzi gorąca krew. Pędzi, jak ja pędziłam przez wrzosowiska w tym szalonym śnie, który miałam w nocy, całą drogę do Wistman’s Wood. Moje dłonie, przyłożone do ciemnych drzew, przywołały psy uwięzione w głębi.

Byłam wściekła, tak wściekła wczoraj na babcię, gdy powiedziała, że nie

powinnam tu nigdy przyjeżdżać. Przecież to mój d o m. Zamknęłam oczy, wyrównałam oddech, ale w środku się gotowałam, nie byłam w stanie zasnąć. Gdy w końcu przyszedł sen, wyobraziłam sobie, że rozrywam gardło babci.

Kiedy się obudziłam, byłam na zewnątrz, za furtką. Odkąd to lunatykuję? Bose stopy miałam uwalane w błocie, obolałe; na nogach zadrapania. Weszłam z powrotem na podwórko, obok ruin i usiadłam na stopniu drzwi frontowych, mając tylko Kota do towarzystwa.

Nie zmarznięta, nie zmęczona, chociaż powinnam być. Moja dusza śpiewa ze wschodem słońca.

Wciąż jest bardzo wcześnie. Powinnam wejść, doprowadzić się do porządku, udawać, że całą noc spałam, żeby się nikt nie martwił...

Nie zadawał pytań.

– Chodź, Kocie – mówię. – Spróbujmy uciąć sobie jeszcze drzemkę.

Później, po śniadaniu, biorę Zaka za rękę i wyciągam go na zewnątrz.

– Nareszcie sami. – Zamyka mnie w ramionach. – Wasza babcia musi być w zмовie z waszym tatą.

– Ha. Akurat! Jeżeli o to chodzi, jestem zupełnie pewna, że on nie jest moim tatą.

– C o?

I opowiadam mu, co babcia powiedziała i czego nie powiedziała.

– Myślisz, że to prawda?

– Prawdopodobnie. Trochę się tego domyślałam. To znaczy mama była śliczna i ze dwadzieścia lat młodsza od niego. I tak po prostu zjawiała się ze mną i powiedziała, że to jego dziecko? Zastanawiam się, czy nawet on w to wierzy. Tak czy inaczej, nie zauważyłam, żeby mu przeszkadzało, dopóki z nim była. Ale możliwe, że dlatego nie chciał, żebym tu przyjeżdżała. Może nie chciał, żebym się dowiedziała.

– Wciąż jest twoim tatą. Człowiekiem, który cię wychował.

– I zawsze nim będzie. Ale to nie wszystko, co odkryłam.

– Co może być jeszcze?

– Babcia wygadywała dziwaczne rzeczy. Z grubsza zdaje się, chodzi o to, że kiedy Quinn i ja urodziłyśmy się, zobaczyła, że obie jesteśmy w połowie dobre i w połowie złe. Dlatego nas rozdzielono. Ona chyba myśli, że kiedy jesteśmy razem, staje się to niebezpieczne. – Nie mówię mu, że mniej więcej to samo usłyszałam kiedyś od mamy.

Zak potrząsa głową.

– To obłąd.

– No, z Quinn jest coś niezupełnie jak trzeba. Zawsze tak było, ale wygląda na to, że... nie wiem, tu robi się d z i w a c z n i e j s z a.

– Ma dużo rzeczy na głowie.



– Przypuszczam.

– Piper, to bzdura. Nie pozwól, żeby przesady waszej babci wprowadzały jakieś wariactwo. Poza tym jestem tutaj, nie musisz się niczego obawiać. Ale jeśli cię to uszczęśliwi, zobaczę, może uda mi się sprawić, że Quinn się trochę otworzy.

Otaczają mnie jego ciepłe solidne ramiona.

Za nami rozlega się chrząknięcie. Odwracamy się. W drzwiach stoi Quinn z dziwnym wyrazem twarzy. Ile zdążyła usłyszeć?

– Ktoś chce mi pomóc przynieść węgiel? – pyta.



Q

U

I

N

N



- Quinn, porozmawiaj ze mną – mówi Zak.
- O czym?
- Nie wiem. O pogodzie, o tym, kim może być wasz ojciec, jak babcia wystraszyła Piper. O czymkolwiek.
- Dobrze. Mamy słoneczny dzień, ale z północnym wiatrem wiejącym z prędkością, powiedziałam, dziesięciu węzłów. Przypuszczalnie około ośmiu

stopni.

Zak śmieje się. Jego kolej na pchanie pustych taczek ścieżką.

– Coś jeszcze?

Wzruszam ramionami.

– Babcia dała chyba do zrozumienia, że naszym ojcem nie jest ten, o którym myślałyśmy. Ale skoro o tym wiesz, pewnie Piper już ci mówiła, więc po co mnie pytasz? A jeśli babcia nastraszyła Piper, cóż... Właśnie zazwyczaj to robi: napędza ludziom stracha. Z tobą było tak samo, kiedy ci powiedziała twoje imię, prawda? – Okrążamy zwałowisko skał. – Tutaj – mówię.

Zak rozgląda się, jakby się spodziewał sklepu z węglem.

– Węgiel? Tutaj?

– Tak. Tutaj.

Znajduję miejsce pod badyłami i ziemią i podnoszę pokrywę. Zak zagląda do środka.

– No nie, czemu macie zasobnik z węglem wkopany na pełnym pustkowiu?

Zaczynam nakładać węgiel na taczki.

– No, właściwie to nie jest pełne pustkowie. Jesteśmy niedaleko od polnej drogi. – Pokazuję ręką przeciwny kierunek do tego, z którego przyszliśmy.

– A skąd bierze się tutaj węgiel?

– No przecież ktoś go nam przywozi, nie?

– O. Rzeczywiście. Ale czemu to robi?

– Jest winien babci przysługę.

– I tak na zawsze?

– Tak to jest, gdy się babci coś zawdzięcza.

Ruszamy w drogę powrotną. Zak upiera się, że będzie pchał pełne taczki.

– Zazwyczaj robisz to sama?

– Oczywiście. Jestem silniejsza, niż wyglądam.

– Rozumiem. Ale gdybyś chciała pogadać, Quinn, jestem tutaj.

– I zaraz polecisz opowiedzieć o tym Piper.

– Nie zrobiłbym tego.

– Jasne.

Idziemy dalej w milczeniu. Wracamy inną ścieżką niż ta, którą przyszliśmy z pustymi taczkami, nieco dłuższą, ale łatwiejszą do pokonania z obciążeniem. Skoro Zak mi pomaga, naładowałam więcej niż zwykle, ale i tak nalegam na równe zmiany w pchaniu.

Skręcamy i zwalniam. C o ś jest w tym miejscu. Tylko co? Chodziłam tędy wiele, wiele razy, jednak nie to mnie teraz dręczy. Coś innego. Zak odwraca się do mnie.

– Zmęczona? Daj, teraz ja popcham.

Potrząsam głową, marszczę czoło. Stawiam taczki. Idę wąską ścieżynką, która między skałami odbija w bok. Zak rusza za mną.

– Quinn? Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam. Krew mi przyspiesza, jakbym biegła. Znów jestem w swoim śnie czy wizji, czy co to było, to z ostatniej nocy – biegnę przez wrzosowiska. Ścigam; otaczam; zaganiam do obniżenia terenu i...

T a m.

Tam jest to miejsce.

Ziemia splamiona krwią. Trzy owce lub raczej to, co z nich zostało. Rozszarpane gardła, rozwleczone wnętrzości. W krwi widać ślady: odcisk ludzkiej pięty i czterech łap, jakby psich, ale o długich pazurach, a cały trop jest o wiele za duży jak na normalnego, nawet sporego psa.

*Gorąca, pyszna krew.*

Jestem rozdarta pomiędzy tu i teraz a wtedy. Żołądek mi się podnosi, z trudem wstrzymuję wymioty. Czy to się naprawdę zdarzyło? Czy to byłam ja? Przecież spałam. To niemożliwe.

Jednak ponura scena o czymś świadczy.

Słyszę za sobą kroki.

– O mój Boże. – Głos Zaka.

Obracam się na pięcie.

– Co mogło zrobić coś takiego? – Oczy ma utkwione w resztkach, rękę podnosi do twarzy.

Dopiero teraz zauważam smród, muchy. W głowie widziałam, jak to się wydarzyło: ciepła, świeża krew. Nie tak jak teraz.

– Wynośmy się stąd – mówię i śpieszę do taczek, chcąc odejść stąd jak najdalej.

– Babciu? Możemy porozmawiać?

Zaprasza mnie gestem do swojej sypialni. Zamykam za sobą drzwi. Nerwowe stopy prowadzą mnie przez pokój do jej łóżka. Zaczekałam, aż Piper zaśnie, sama zbyt wystraszona, by spać. M u s z ę wiedzieć. Czy ja naprawdę to zrobiłam? Jak?

Tylko babcia będzie to wiedzieć, a w tej chwili bardziej boję się siebie niż jej.

Siadam obok niej.

– Jesteś przerażona – mówi.

– Tak. Coś się wydarzyło. To nie ma sensu, ale obawiam się, że zrobiłam coś złego.

– Opowiedz.

Opisuję swój sen z zeszłej nocy i dzisiejszą scenę z zabitymi owcami. Babcia milczy, twarz ma poważną.

– No? Początkowo myślałam, że to sen. Ale widziałam te owce, Zak też. To nie mógł być sen. Więc co to było?

Na twarzy babci maluje się głęboki smutek.

– To nie był sen. To, co opisałaś, to duchowe podróżowanie: kiedy zostawiasz ciało i przemieszczasz się w innej formie. Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że byłaś w ten sposób obecna przy tym, jak wezwano do łowów. Nie mogę stwierdzić, czy prowadziłaś, czy tylko uczestniczyłaś. Jeżeli prowadziłaś, będziesz odtąd przypisana do łowów.

Patrzę na nią ze zgrozą.

– Duchowe podróżowanie? J a? Ale ja nie potrafię robić takich rzeczy. – Zaprzeczam, mimo że w głębi duszy wiem: tamte poprzednie przypadki to też nie były sny ani wytwory wyobraźni.

– To jest w naszej krwi, Quinn, zawsze było. Jesteś moją wnuczką. I podróżowałaś już, kiedy byłaś młodsza. Powstrzymałam to u ciebie na jakiś czas różnymi środkami: zaklęciami, ziołami. Pamiętasz?

To znaczy... nie. To nie może być prawdą. Jestem... taka jak babcia? Jestem wiedźmą? Potrząsam głową, próbując zaprzeczyć wszystkiemu, co mi się przypominało, odkąd tu wróciłam.

– To prawda. A teraz łów został zwołany po raz pierwszy od wielu lat. Opierałam się temu przez całe życie. Nikt nie jest bezpieczny na wrzosowiskach.

Krew mi się ścina w żyłach.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że jeśli prowadziłam, jestem odtąd przypisana do łowów?

– Że jesteś ich częścią, skazana na to, żeby się przyłączać, za każdym razem od nowa, czy to podróżując, czy poprzez śmierć. Próbowałam, Quinn. – Jej dłoń dotyka mojego policzka, potem opada. – Oślaniałam cię przed twoimi mocami i powstrzymywałam u ciebie podróżowanie poza ciałem. Stosowałam wszelkie zaklęcia i uroki, jakie mogłam znaleźć. Trudno było zawsze wyprzedzać cię o krok. Ale noszenie bransolety Isobel blokuje zaklęcia, zniszczyło więc ochronną tarczę, którą cię otoczyłam. Wciąż jednak miałam nadzieję, że strach przed psami będzie cię trzymał z daleka od Ogarów Czarownic.

Wpatruję się w nią zszokowana. To dlatego sprawiła, żebym się bała psów, kiedy byłam mała. Dotykam bransolety na nadgarstku.

– Czy powinnam ją zdjąć?

– Nie! Nigdy jej nie zdejmuj. Tarcza jest zniszczona, a mnie brakuje teraz siły, by ją odbudować. Bez bransolety będziesz wystawiona na większe ryzyko.

– A co z wisiorkiem? – pytam i dotykam go: po jednej stronie gładki kamień, po drugiej znaki, które nie każdy widzi. – Czy to naprawdę wisiorzek mocy? Czy jest częścią tego, co robi bransoleta, czy czymś innym?

Oczy babci rozszerzają się na słowa „wisiorzek mocy” – tak go określiła

Wendy. Kiwa głową.

– Tym właśnie jest. Ale nie mogę powiedzieć na pewno, co dla ciebie zrobi: to zależy od noszącej go osoby. Pomoże ci w tym, co dla ciebie najważniejsze. Sama będziesz musiała do tego dojść.

– Co mogę zrobić, żeby uporządkować sprawy?

– Quinn, mówiłam ci przez całe życie, że musisz się strzec ciemności. Nie pozwól, by tobą zawładnęła. Jeśli to się stanie, nie będę mogła nic zrobić, żeby cię uratować.

– Jak mogę to powstrzymać? – pytam szeptem.

– Tylko ty możesz sobie odpowiedzieć. – Potrząsa głową. – Ja zrobiłam wszystko, co mogłam.

– To dlatego już na samym początku oddzieliłyście mnie od Piper i trzymałyście tutaj, tak?

– Tak. – Jedno słowo, które potwierdza wszystkie moje obawy. – Quinn, kiedy się urodziłaś, ujrzałam twoją ścieżkę. Że zniszczysz swoją rodzinę i ukradniesz siostrze życie. Matka i ja rozdzieliliśmy cię z Piper, próbując przełamać łączący was związek, związek, który prowadzi na tę ścieżkę. Ale odnajdując siostrę, zrobiłaś pierwsze kroki do zniszczenia rodziny. A ja przez całe twoje życie usiłowałam do tego nie dopuścić. – Potrząsa głową. – Nie zawieźdź mnie. Teraz już idź.

Jej oczy są łagodne i pełne współczucia, ale twarz – odpychająca. Jakby nie mogła już dłużej znieść mojego widoku.

Tak samo zawsze patrzyła na mnie Isobel.

Wstaję z drżącymi kolanami i idę do drzwi.

Na dole wślizguję się pod przykrycie obok Piper. Patrzę, jak jej pierś łagodnie wznosi się i opada. Może wyglądamy tak samo, ale jakoś ona ma iskrę, której mnie brakuje, a która nadaje jej piękno. Nawet we śnie jest taka żywa. **M o j a s i o s t r a**. Nigdy nie sądziłam, że będę miała kogoś takiego.

Czy naprawdę kiedy jesteśmy razem, może to być tak bardzo niebezpieczne? Wyciągam rękę, gładzę ją po włosach. Mamrocze przez sen, przysuwa się do mnie. Drzę, głodna ciepła i życia.

Miłości.

Podnoszę rękę, przyglądam się jej w blasku ognia. Wisiołek u bransolety pobłyskuje. Co jest dla mnie najważniejsze? Nie wiem. Może wolność. Albo żeby mnie kochano za to, kim jestem.

Albo żebym się chociaż dowiedziała, **k i m** jestem lub co powinnam zrobić.

Wzdycham.

Moje palce gładzą wisiołek i zamykają się na nim. I nagle wiem: **p r a w d a**. Oto co jest dla mnie najważniejsze. Prawda oraz półprawdy;

te, które ukrywają się za kłamstwami, o których ujawnienie muszę walczyć.

Choć moja prawda jest w tej chwili prosta: chcę opuścić to miejsce. Muszę się stąd wynieść, sama, dla dobra nas wszystkich. Mój umysł wypełniają Winchester, tato i tamten uroczy dom. Ale jeśli on nie jest moim ojcem, to nie mam dokąd pójść.



# P I P E R



Babcia wyjmuję klucz spod ubrań i otwiera jedyne zamknięte drzwi w tym domu: te od pokoju do czytania.

– Wejdźcie, obie – zachęca.

Quinn jest blada, ma ciemne sińce pod oczami. Przepuszczam ją przodem, żeby mnie osłaniała. Wchodzi powoli. Odwracam się, kaszlę przy drzwiach, po czym idę za nią.



Stoję tutaj, próbując ogarnąć wszystko za jednym zamachem. Mały pokój czy raczej sprawia takie wrażenie przez to, że jest tak wypełniony? Krzesła, stół. Wszędzie półki, wypakowane książkami, ozdobami. Na ścianach wiszą kryształki i rysunki.

Choć są tu książki, domyślam się, że „pokój do czytania” to nie to samo co czytelnia.

– Siadajcie – mówi babcia.

Przed stołem stoją dwa krzesła, za nim jedno. Tam sadowi się babcia.

Zajmuję miejsce przed stołem, obok mnie wolno siada Quinn, jakby niechętnie przebywała w tym pokoju. Patrzę na nią, lecz ma spuszczonego wzrok.

– Quinn, Piper – odzywa się babcia i oczy Quinn wędrują na nią, podobnie jak moje. – Myślałam trochę o tej sytuacji. Postanowiłam, że jeśli znajdziecie właściwe pytania, żeby mi je zadać, odpowiem na nie w nadziei, że pomogą wam odnaleźć waszą drogę. Ale to kosztuje.

– Jaka jest cena? – pyta cicho Quinn.

– Prawda. W tym pokoju można powiedzieć tylko prawdę.

– Mam pytanie – mówi Quinn.

Jej głos jest mocniejszy. Obie na nią patrzymy.

– Śmiało – zachęca babcia.

– Kto jest naszym ojcem?

Babcia spogląda na nią i wzdycha.

– Nie ten człowiek, o którym myślałyście, że to wasz tato. – Przez jej twarz przemija niesmak.

– Nie jest to zbyt pomocna odpowiedź – zauważa Quinn.

– Prawda. Mój pokój, moje zasady.

– Moja kolej – zgłaszam się. – Mama mówiła, że jest jakieś dziedzictwo.

– Mów prawdę – napomina babcia, unosząc brew.

– To jest prawda! No, tato mówił, że mama tak powiedziała. Że jest dziedzictwo, które może otrzymać tylko Blackwood. Co to takiego?

– W samo sedno. – Babcia uśmiecha się słabo. – Tak jest. Dziedziczy się je tylko bezpośrednio według krwi i kobiety z naszej rodziny nie zmieniają nazwiska Blackwood. Skoro Isobel nie żyje, dziedzictwo przejdzie na jedną z was, gdy ja umrę. Dziedziczyć może tylko jedna z was. Nie wyobrażacie sobie, jak wysoka jest cena. A może jednak macie pojęcie? – Wpatruje się we mnie. – Pomyśl o tym.

– Co to może być? – pytam Quinn.

– Co?

– To dziedzictwo.

Czy naprawdę może jej aż tak nie zależeć?

– Nie obchodzi mnie.

– Serio?

– Naprawdę! Chcę opuścić to miejsce. Możesz sobie zatrzymać, cokolwiek to jest.

– Mówisz poważnie? Pomożesz mi to znaleźć?

– Tak.

Zarzucam jej rękę na szyję. Jej ramiona są początkowo sztywne, ale się poddają. Opiera się o mnie w uścisku.

– O co chodzi z tym, żeby nie zmieniać nazwiska Blackwood?

Quinn wzrusza ramionami.

– Słyszałam, jak kiedyś babcia mówiła, że nazwiska mają moc, że część mocy jest związana z naszym nazwiskiem. Nie wiem, o co chodzi.

– Co mogę zrobić dla ciebie w zamian? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Musi być coś, czego chcesz... Czekać, mam!

Quinn odsuwa się, patrzy mi w oczy.

– Co?

– Nasz ojciec. Chcesz się dowiedzieć, kto jest naszym biologicznym ojcem. Jeśli pomożesz mi znaleźć moje dziedzictwo, ja pomogę ci znaleźć jego. – Wyciągam rękę. – Stoi?

Quinn zatrzymuje się, jakby trawiła to, co powiedziałam, i słowa, których użyłam: m o j e dziedzictwo.

Potem wzrusza ramionami.

– Dobra, stoi.

Wyciąga swoją zimną rękę do uścisku.



Q

U

I

N

N



Bransoleta Isobel wywołuje swędzenie na nadgarstku, gdy Piper ciągnie mnie w stronę babcinego pokoju do czytania. Tak niezręcznie się czułam ostatnio, kiedy babcia otworzyła drzwi i zawołała nas do środka. To było nic w porównaniu z tym, jak czuję się teraz.

– Chodź – ponagla niecierpliwie Piper. – Zostawiła drzwi niezamknięte, prawda? To prawie jak wypisane zaproszenie. Musimy przeszukać ten pokój. Ona

śpi, a Zak jeszcze długo nie wróci.

Zgłosił się na ochotnika, że pójdzie do samochodu i zrobi zakupy, gdy babci zachciało się dziś rano ciasta cytrynowego, a wiedziała, że nie mamy jajek ani cytryn. Jestem pewna, że wymyśliła tę zachciankę, żeby mieć nas dwie przez całe rano.

Zatrzymuję się w progu. Kiedy ostatnim razem weszłam tutaj bez zaproszenia, zamknięto mnie samą w ciemności na dwa dni.

Ale teraz jestem pewna, że Piper ma rację. Babcia zabrała nas tu dzisiaj rano, a potem zostawiła drzwi niezamknięte? Nie mogę uwierzyć, że to przypadek; musiała to zrobić celowo. W końcu wchodzę za siostrą.

– Czego szukamy? – pytam.

– Miałam nadzieję, że wiesz. W takim razie sprawdzmy po prostu wszystko.

Piper zaczyna z jednej strony pokoju, a ja z drugiej. Chaotycznie przeglądam zawartość półek i szuflad: rysunki z dziwnymi symbolami; kryształowe rytne wzory; amulety z suszonych ziół i traw, które babcia kazała mi zbierać.

Ostatnio byłam tu jako dziecko – ledwie miałam czas obejrzeć wtedy lśniące kryształowe i zaraz babcia przyłapała mnie z książką, którą właśnie zdjęłam z półki. Bransoleta znów wywołuje swędzenie, drapię się po nadgarstku. Tamta książka miała na okładce ten sam symbol co wisiołek przy bransolecie. Babcia, widząc tę książkę w moich rękach, zareagowała tak mocno, chociaż ją zapewniałam, że nawet nie zajrzałam do środka.

Teraz już bardziej celowo przypatruję się półkom, szukając w pamięci szczegółów. Księga miała ciemnoczerwoną okładkę ze starej wyswiechtanej skóry; oprawa była ręcznie szyta. Nie ma jej tutaj.

Wzdycham i siadam na krześle babci, bawiąc się bransoletą Isobel. Moje palce gładzą powierzchnię wisiora i jego okolicę. Czego właściwie szukamy? Dwóch rzeczy: informacji o naszym ojcu i czegoś, co Piper chce odziedziczyć. Kiedy znajdziemy te dwie rzeczy, będę mogła wynieść się stąd i nigdy nie wrócić.

Biorąc pod uwagę to, co się dzieje, dlaczego tak rozpaczliwie chcę się czegoś dowiedzieć o swoim ojcu? Twarz babci mówiła wszystko: nie ma o nim dobrego mniemania. Lecz nawet gdyby miał być pełnym ludzkim wybrakiem, odczuwam niemal wewnętrzny przymus, by go odnaleźć. Czy to dlatego, że czuję się oszukana po tym, jak myślałam, że poznałam prawdziwego tatę w Winchesterze?

Odchylam się w tył na babcinym krześle. Stąd wszystko wygląda inaczej. Mój wzrok błądzi po pokoju, podczas gdy Piper przetrząsa półki. Przekręcam się, by spojrzeć za siebie. Jest tu prastara, zakurzona skrzynka, której nie widać z pozostałych krzeseł, ukryta wśród półek w kącie. Odwracam się i wychylam po nią, po czym stawiam ją na stole.

– Co tam masz? – Piper staje tuż obok mnie.

– Nie wiem. Jakąś skrzyneczkę. Przedtem jej nie widziałam.

Wieczko mocno przylega od góry i muszę nim trochę poruszać, żeby zeszło. W środku widać rysunki twarzy, wycinki z gazet, zdjęcia, kartki z notatkami. Niektóre kawałki papieru są tak stare, że sprawiają wrażenie, jakby się miały rozpaść w palcach na proch. Zaczynam przeglądać zawartość – ostrożnie, by nie zaburzyć porządku, ale wygląda na to, że i tak wszystko jest przemieszane przypadkowo.

– Czy to rodzinne pamiątki? – pyta Piper.

Potrząsam głową.

– Nie sędzę. Nie ma tu żadnej wzmianki o Blackwoodach. Są o innej rodzinie. Nazwisko: Hamley. – Przyglądam się gazetowym wycinkom. – O bardzo nieszczęśliwej rodzinie, sądząc po wydarzeniach. Wciąż ich spotyka coś złego, od kilkudziesięciu lat. Wypadki na polowaniach, katastrofy, morderstwa, bankructwo. Co tylko zechcesz. To jakby klątwa. – Dostaję gęsiej skórki na rękach.

Zaczynam oglądać rysunki i fotografie, a Piper zerka mi przez ramię.

– Dziwne – mówi.

– Co?

– Wygląda, jakby te wszystkie zdjęcia były kiepsko wywołane. Wszyscy mają jakiś cień na twarzach.

Wpatruję się znowu w fotki, ale nie widzę tego co Piper. Wzruszam ramionami.

Z tyłu zanotowano inicjały i daty. Niektóre bardzo dawne, część już z tego wieku. Sprawdzam kilka z nich. Chciałabym po prostu znaleźć c o ś, czego mi trzeba! Kilka luźnych zdjęć wypada ze stosiku, który trzymam w ręce.

Oglądam je uważnie. Rudowłosy chłopak. Na wrzosowisku w słoneczny dzień. Letni dzień, sądząc po tym, jak jest ubrany. Uśmiecha się ciepło, serdecznie, jakby naprawdę lubił osobę trzymającą aparat. Włos mi się jeży na karku. Na odwrocie obu fotografii napisano „W.H.” i datę – około czterdziestu lat temu – z myślnikiem, po którym nie postawiono daty zamykającej. A więc to data urodzenia? Jeśli tak, był tylko o kilka lat starszy od Isobel. A po dacie dodano „zaginiony” – charakterem pisma babci.

– Co o tym myślisz? – pytam Piper.

Podchodzi, bierze zdjęcia i przypatruje się im.

– Ma rude włosy, jak nasze. I te kości policzkowe... Myślisz, że to może być...?

– Wasz ojciec? – W wejściu stoi babcia. Jej twarz jest lodowato biała, oczy błyskają furią. – Tak. To on.



# P I P E R



– Jak się tutaj dostałyście? – pyta oskarżycielsko babcia. Na jej twarzy maluje się taka wściekłość i nienawiść, że odruchowo cofam się o krok.

– Nie było zamknięte – mówię.

– Nieprawda.

Twarz Quinn blednie. Siostra patrzy na mnie.

– Piper? – mówi niepewnie.

– Nie było zamknięte – upieram się. – Pomyślałyśmy, że zostawiłaś dla nas otwarte. Jak inaczej miałybyśmy wejść?

Babcia odwraca się, sprawdza zamek.

– Ktoś przy nim majstrował. Bardzo imponujące, Piper. Jak ci się to udało, kiedy obie byłyśmy z tobą w tym pokoju? – Potrząsa głową z niechętnym podziwem w oczach. – A teraz wynoście się obie. I nie wchodźcie tu nigdy więcej bez zaproszenia.

Quinn posłusznie wybiega, ja wychodzę wolniej.

– Jeszcze coś, dziewczęta... – Odwracamy się. Babcia wyciąga rękę, wskazując zdjęcia, które wciąż trzymam w dłoni. – Bardzo pożałujecie, jeżeli go znajdziecie. Zostawcie przeszłość tam, gdzie jest.

Podaję jej fotki, a ona je bierze, po czym zatrząskuje drzwiami pokoju do czytania.

Quinn idzie za mną do frontowego pokoju. Patrzy na mnie dziwnie.

– Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że drzwi są niezamknięte.

– Nie skłamałam. Nie były zamknięte.

Potrząsa niecierpliwie głową.

– Ale j a k to się stało?

– Rzuciłam na nie zakłęcie – mówię i w spojrzeniu mojej siostry pojawia się szok. Przewracam oczami. – Nie, Quinn, kiedy wchodziłyśmy rano, włożyłam do mechanizmu trochę gumy. Pamiętasz, przepuściłam cię przodem, żebyś mnie osłoniła. To stary, prosty zamek. Wystarczyło, żeby się zaciął i zapadka nie weszła na miejsce przy przekręcaniu klucza.

– Jesteś szalona.

– Przynajmniej mamy ślad prowadzący do naszego ojca. Nie tego chciałaś?

– Nie zajdziemy daleko bez zdjęcia.

Uśmiecham się, sięgam do kieszeni i wyciągam drugą fotkę.

– Tę schowałam wcześniej.

Quinn wreszcie poddaje się zmęczeniu po nieprzespanej nocy i zwija się w kłębek na sofie, żeby się zdrzemnąć. Ja wyślizguję się na wrzosowiska z Ness. Jest dopiero wczesne popołudnie, ale tyle dziś było wydarzeń, że sprawia to wrażenie, jakby dzień miał za dużo godzin, jakby się rozciągały i stawały dłuższe po to, żeby pomieścić wszystkie myśli, uczucia i zdarzenia.

Wspinam się na wzgórze, przez które tu dotarliśmy, i zatrzymuję się przy Wisht Tor na szczycie. Całe to gadanie o ojcach przypomniło mi, że jeśli wkrótce nie zadzwonię do domu, tato pewnie się tutaj zjawi i wszystko zepsuje. Stoję teraz na jednym z najwyższych okolicznych wzniesień, może znajdę zasięg? Wyjmuję telefon. Jedna kreska, i to zanikająca. Obchodzę skałki dookoła, żeby znaleźć miejsce z najbardziej stabilnym zasięgiem. Pojawia się szereg nieodebranych połączeń i wiadomości – większość od taty.

Oddzwaniam; odbiera po dwóch sygnałach.

– Halo, Piper?

– Cześć, tato.

– Czy wszystko w porządku? Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Jest okej. Bardzo słaby tu zasięg; musiałam wejść na skały, żeby coś złapać.

Chichocze, jakby myśl o mnie wspinającej się na skały była śmieszna. No, chyba jest. Uśmiecham się, on gawędzi, zadaje mi pytania, a ja staram się zachować swobodny ton rozmowy. To nie jego wina. Czy wątpił w twierdzenia mamy, czy nie, zawsze traktował mnie jak własną córkę, zawsze się o mnie troszczył. Kim tak naprawdę był dla mamy? Ucieczką?

W końcu przerywam:

– Tato, bateria mi się wyczerpuje. Nie ma jej tu gdzie podładować, więc się nie wystraszy, jeżeli nie będę odbierał telefonów, dobrze?

– Nie zapomnij: w poniedziałek wracasz do szkoły.

– Postaram się. Ale obiecuję, że się nie będziesz martwić, jeśli się spóźnimy. Dobrze?

– Po prostu wróć do poniedziałku.

Żegnamy się i wsuwam telefon z powrotem do kieszeni. Tym razem naprawdę powinnam była pomyśleć o zabraniu ładowarki.

Schodzę trudną, stromą trasą po drugiej stronie wzgórza. Oddalam się od domu, szukając oczyma ścieżki, którą Zak będzie wracał z samochodu. Niełatwo mi się idzie, nie mam w tym takiej wprawy jak Quinn czy Zak. Ness wybiega naprzód i wraca, i znów pędzi do przodu. Uwielbia tutejsze przestrzenie, s w o b o d ę b i e g a n i a bez smyczy. Wiem, jak się czuje. Jest w tej okolicy coś, co przemawia do moich ukrytych pragnień – to miejsce, do którego zawsze tęskniłam, nie wiedząc, gdzie ono jest.

Jeśli – to znaczy kiedy – wrócimy do Winchesteru, będzie mi tam ciasno. W ograniczeniu, wśród cywilizacji.

W pewnej odległości pojawia się Zak. Macham do niego i śpieszę mu naprzeciw, zanim zacznie się wspinać z plecakiem i torbami w rękach.

– Hej, tam! – woła. – Piper?

Przewracam oczami.

– Tak, to ja.

– Przepraszam. Tak myślałem, o ile nie zamieniłyście się zupełnie ubraniami, odkąd wyszedłem dziś rano. No i dziwię się, widząc, że spacerujesz sama. Wyszłaś mi na spotkanie?

– Mniej więcej. Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybyśmy wrócili teraz do samochodu? Chciałabym coś zrobić.

– Znam to twoje spojrzenie i już się denerwuję – odpowiada z szerokim



uśmiechem. – Chodźmy więc. Przynajmniej złapałaś mnie, zanim zacząłem się ostro wspinać z tym całym kramem.

Po drodze wyjaśniam, że babcia potwierdziła, że naszym tatą nie jest ten, o kim myślałyśmy, i że mam zdjęcie prawdziwego ojca. Docieramy do samochodu, Zak ładuje zakupy i plecak do bagażnika.

Wymiję fotografię. Zak bierze ją i uważnie ogląda. Gwiżdże cicho.

– W porządku. Może nawet dostrzegam rodzinne podobieństwo. Co teraz?

Uśmiecham się.

– Musimy znaleźć jakichś miejscowych i popytać o człowieka ze zdjęcia. Dlatego pojedziemy do hotelu na drinka.

– Podoba mi się twój sposób rozumowania. Ale Quinn pracowała w tym hotelu. Wezmą cię za nią, nie sądzisz?

Wzruszam ramionami.

– Ona często podawała się za mnie w Winchesterze. Teraz moja kolej, żeby przez chwilę być nią.

– Czy pomyślałaś o tym, jak twój tato... wiesz, ten, który cię wychował i kochał przez całe życie... jak on to zniesie, jeśli znajdziesz tamtego drugiego?

– Nie byłby szczęśliwy, gdyby o tym wiedział. Niedawno do niego dzwoniłam, po drodze. Na szczycie, koło Wisht Tor, jest trochę zasięgu.

– Co słychać w domu?

– Tato tęskni za mną, rzecz jasna. Ale ma się dobrze. A ty nie musisz się o niego martwić. Nie zamierzam mówić mu o tych rzeczach.

– Buziak na szczęście?

Przyciąga mnie blisko do siebie. Uczucie jest prawie takie samo, jak dawniej, zanim pojawiła się Quinn. Jednak nic już nigdy nie będzie takie samo, odkąd wtargnęła w moje życie, prawda? Wszystko się zmieniło, na zawsze.

Więc to jest hotel Dwa Mosty.

Wygląda jak zbieranina dobudówek z dachami na nierównej wysokości i oknami nie w jednej linii – przypadkowa mieszanina typowa dla starych wiejskich gospód, ale przyjemna dla oka. Wiem ze strony internetowej, na którą zajrzałam jeszcze w Winchesterze, że hotel ma ponad dwieście lat, na początku był zajazdem dla dylizansów. Wiele razy zmieniał nazwy i właścicieli. W jakiś sposób jest upiękkszowaną wersją tego, czego się spodziewałam. Podobnie jego otoczenie. Jest urocze jak na tę porę roku, z rozstawionymi tu i ówdzie ławkami, a nawet z altaną ogrodową.

Zielone trawiaste stoki obniżają się dookoła, a koło hotelu maszeruje mały oddział białych gęsi. Ptaki zauważają nas i zaczynają głośno gęgać, jakby się naradzały: uciec czy zaatakować?

Ness warczy, więc Zak bierze ją na ręce.

– Zaufaj mi – mówi. – Wcale nie chcesz mieć z nimi do czynienia.

Idziemy przez trawnik, a ja skupiam się na tym, żeby się poruszać jak Quinn, podczas gdy moje oczy chłoną to miejsce. Tu wiele lat temu pracowała moja mama; tutaj poznała człowieka, który mnie wychował. Tu do niedawna pracowała również Quinn.

Wchodzimy drzwiami od frontu. W środku jest ciepło w porównaniu z chłodem na zewnątrz. Zak stawia Ness na podłodze. Za biurkiem z telefonem siedzi jakaś kobieta; obsługuje klienta. Podnosi wzrok i na mój widok macha ręką z podekscytowaniem.

– Rozejrzemy się? – zagaduję do Zaka przyciszonym głosem.

Przestrzeń publiczna składa się z połączonych ze sobą zakamarków, jest pełna niedopasowanych mebli – okazałych, ale mających już świetność za sobą. Na ścianach wisi dziwna mieszanina obrazów. Zegary wszelkich rozmiarów i kształtów zatrzymały się na różnych godzinach i żaden nie pokazuje właściwego czasu. Są tu także kominki, regały z książkami, przytulne kąciaki. Wszystko prezentuje się wystawnie, na wysoki połysk, a jednocześnie widać, że jest stare i wysłużone.

Moją uwagę przyciąga wiszący w kącie obraz. Z płótna spoglądają ogromne czarne psy. Mają czerwone oczy i długie ostre pazury. Ogary Czarownic? Dokoła rozmieszczono oprawione w ramki historie i raporty: „Nocą rozlega się wycie, śmierć w wyniku zawału”, „Widziano ogary, trzy osoby zagięły”, „Znaleziono ciała rozszarpane na strzępy”. Nic świeżego.

– Quinn! Tu jesteś. Tak dobrze cię widzieć.

Odwracam się i widzę, że pędzi do nas kobieta zza biurka. Wyciąga rękę, ściska mnie. Oczy jej się rozszerzają, gdy widzi, co mam na sobie, że jestem z Zakiem, z Ness.

– Cześć – mówię. – To jest Zak.

– Wracasz do nas? Jak się czuje babcia? O, przepraszam, gdzie moje maniery. Siadajcie. Przyniosę herbatę, potem pogadamy.

Prowadzi nas do sofy koło ognia i znika. Siedzimy, a ja się zastanawiam: czy sprzątaczką zazwyczaj dostaje herbatę na miejscu koło kominka? Ta kobieta tak się ucieszyła na mój widok, i to nie w sposób, który by sugerował, że brakuje im rąk do pracy. Musi naprawdę lubić Quinn.

Podchodzi do nas kolejna kobieta.

– Karen mi powiedziała, że tu jesteś, Quinn. Jak dobrze cię widzieć. Mam dla ciebie jeszcze dwie książki.

Podaje mi je, a ja biorę, dziękuję i przyglądam się trzymanym powieściom, co ma wyjaśniać, dlaczego nie przedstawiam Zaka. Tomiki są stare i podniszczone: jeden to detektywistyczna powieść autora, o którym nie słyszałam, a drugi – *Emma*, przy której w zeszłym roku zasypiałam na angielskim.

Zak przejmuje inicjatywę.

– Cześć, jestem Zak. – Wyciąga rękę do uścisku.

– Lyndsay. – Kobieta przedstawia się z uśmiechem. – Miło poznać przyjaciela Quinn.

Podnoszę wzrok i widzę, że oczy jej płoną z ciekawości. Ness szczeka.

Kobieta zza biurka – Karen? – wraca z herbatą i miską wody dla suczki. Posyłam Zakowi przepaszające spojrzenie. Niezupełnie tak wyobrażaliśmy sobie drinka w hotelowym barze.

Lyndsay idzie do gości, a Karen siada z nami.

– Opowiadaj – zachęca. – Jak tam babcia?

Sposób, w jaki to mówi, wahanie w jej głosie świadczą o tym, że tak jak wiele innych osób boi się naszej babci.

– Znacznie lepiej. Puścili ją ze szpitala do domu. Nie mogę wrócić do pracy, bo muszę się nią teraz opiekować.

Karen patrzy na Zaka.

– A ty? Skąd wyskoczyłeś?

Zak spogląda na mnie, niepewny, co powiedzieć. Wybieram niejasne tłumaczenie:

– O, poznaliśmy się, gdy babcia była w szpitalu. Przyjechał na chwilę w odwiedziny.

– Zwiedzaliście Dartmoor?

Karen papie o wrzosowiskach, spacerach i jakimś targu rzemiosła, który ma się odbyć w najbliższy weekend, a ja tymczasem dotykam zdjęcia w kieszeni i próbuję wymyślić, jak zadać jej pytanie, żeby nie zabrzmiało zbyt dziwnie. Przerzywa, by nabrać powietrza, i wtedy się wtrącam:

– Karen, zastanawiam się, czy mogłabyś mi w czymś pomóc.

– Oczywiście. W czym?

– Babię trochę zawodzi pamięć po udarze. Oglądałam z nią ostatnio zdjęcia, żeby jej przypomnieć ludzi.

– Ojej. – Zakłopotanie w jej oczach ustępuje miejsca współczuciu.

– I znalazłyśmy fotkę kogoś, kogo nie znam, a ona nie może sobie przypomnieć, kto to jest. Denerwuje się, że go nie pamięta. Zastanawiam się, może ty wiesz, co to za jeden? – Wyciągam zdjęcie. – Z tyłu jest napisane „W.H.”.

Karen bierze portret, przygląda mu się i marszczy brwi. W końcu potrząsa głową.

– Nie, przykro mi. Powinnaś przyjść wieczorem, popytała bywalców baru. Oni mogą wiedzieć.



Q

U

I

N

N



Kiedy się budzę, jestem sama. Sprawdzam dom. Babcia śpi w swoim pokoju, nie ma ani śladu Piper i Zaka. Wychodzę na zewnątrz. Słońce podpowiada, że jest późne popołudnie.

Wołam Ness, ale nie przybiega. Czy Zak wrócił i zabrał Ness na spacer razem z Piper? Próbuję się tym nie przejmować.

Bransoleta wywołuje swędzenie, tak jak wtedy w pokoju babci, kiedy

szukałam jej książki, tej z symbolami na okładce. Nie było jej tam. Czy ta brakująca książka jest dziedzictwem, którego Piper najwyraźniej tak rozpaczliwie pragnie?

Powinłam ją znaleźć, dać Piper i opuścić to miejsce, zostawić siostrę. Ta myśl szarpie mnie gdzieś w głębi. Każda z nas jest częścią tej drugiej. Zawsze byłyśmy z sobą powiązane; nie wiedziałyśmy o tym, ale byłyśmy. Moje lustrzane odbicie. Jeśli ją zostawię, to jakbym straciła odbicie.

Ale z jakiegoś powodu byłyśmy rozdzielone. To przeze mnie, mam co do tego pewność: jestem niebezpieczna, jak mi zawsze powtarzała Isobel. Wszystko, co babcia mówiła o moim duchowym podróżowaniu z łowami, tylko to potwierdza. Powinłam zostawić Piper, póki nie jest za późno.

Siadam na frontowym stopniu oparta o drzwi, by czekać na ich powrót. Myśl o opuszczeniu domu sprawia, że chcę zobaczyć Piper, t e r a z, j u ż, bardzo. Swoją siostrę; taką do mnie podobną i jednocześnie tak różną. Wyobrażam sobie jej uśmiech, tę iskrę, i wtem...

Wszystko się zmienia. Żołądek mi się wywraca ze strachu. Nie jestem już przy domu babci. Unoszę się nad wrzosowiskiem. Ziemia pędzi pode mną w tył; boję się, że spadnę.

Zatrzymuję się nagle. Słyszę głosy?

Skupiam się na tym, co w dole, i opadam niżej. To Piper i Zak. I Ness. Idą z hotelu do samochodu. Otwierają bagażnik, w środku leżą zakupy. Te, po które pojechał Zak, nie Piper. Co oni kombinują?

Mniejsza z tym, gdzie byli; ważne, g d z i e j a j e s t e m.

Bo nie w swoim ciele. Wpadam w panikę – a co, jeżeli nie wrócę?

Jak się tu dostałam? Chciałam zobaczyć Piper i zobaczyłam. Teraz koncentruję się na swoim ciele siedzącym przed drzwiami domu babci: życzę sobie powrotu do ciała, i t o j u ż.

Strach ciągnie mnie z powrotem tak szybko, że wrzosowisko zamazuje się pode mną. Pojawia się dom babci i moje ciało na stopniu. Wpadam na nie ciężko, mocno. Tak ciężko, jakbym została potrącona przez ciężarówkę. Łapczywie wciągam powietrze do płuc, w oczach mam łzy. Podnoszę rękę do oczu. Moja dłoń. Moja twarz. Moje ciało. Wszystko z powrotem na miejscu, tak jak powinno być.

Zrobiłam to. Chciałam zobaczyć Piper i... udało mi się.

To szaleństwo.

Staję na nogi i zaczynam chodzić wokół ruin przed domem. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pragnę się poruszać, czuć, oddychać; znów mieć połączenie ze swoim ciałem. W końcu się zatrzymuję i opieram o kamienne ogrodzenie pod drzewem przy furtce. Bez celu gmeram ręką koło korzeni drzewa. Coś kłuje, cofam więc dłoń. Na palcu pojawiła się kropla krwi.

Odsuwam martwe liście na bok i widzę poskręcaną wokół korzenia drzewa ciernistą zieloną roślinę – zieloną nawet w październiku. Z czerwonymi owocami.

Taką jak tamta, która rosła w ogrodzie babci. Z której wzięłam owoce, żeby zabarwić na czerwono oczy z ziemi i stworzyć potwora. Po tamtym zdarzeniu pnącze zniknęło z ogrodu, ale babcia musiała je przesadzić tutaj, ukryć wśród korzeni i liści.

Wpatruję się w owoce, ożywa wspomnienie: to nie był sen. Tak jak nie było snem podróżowanie bez ciała. To się działo naprawdę.

C z y m j a j e s t e m?

A co z łowami, z krwią? Babcia wprawdzie powiedziała, że też są realne, ale wiara w to wydaje mi się wariactwem. A jednak.

Panika skręca mi wnętrzności. Biegnę z powrotem do domu, muszę się stąd wydostać, muszę to zrobić jak najszybciej, bo inaczej... inaczej... nie wiem co, ale będzie źle.

Ja już jestem zła.

Muszę znaleźć tę książkę dla Piper, by móc się wynieść. Albo przynajmniej spróbować ją znaleźć. Jeżeli spróbuję i nie uda mi się, to wystarczy.

Drzwi do sypialni babci są wciąż zamknięte. Babcia pewnie śpi. Piper i Zak wkrótce wrócą. Przetrzęsam resztę domu – kuchnię, frontowy pokój, zapasowe pomieszczenie na górze. Szukam tej książki na poważnie. Zaglądam nawet do swojego pokoju – tego, w którym teraz nocuje Zak. Zburzone koce znaczą miejsce, gdzie leżał. Mam ochotę położyć się w tym samym miejscu, ukryć i tak czekać.

Nie znajduję książki, ale skądś wiedziałam, że się na nią nie natknę.

Przynajmniej spróbowałam.

– Quinn? – Głos Piper biegnie z dołu po schodach.

Śpieszę na dół. Są w kuchni. Zak rozpakowuje zapasy, które kupił – cytryny i inne.

– Gdzie babcia? – pyta Piper.

– Spała, kiedy ostatnio sprawdzałam. – Znowu patrzę na Piper. Gdzie byli? Moją siostrę roznosi z emocji, uśmiecha się od ucha do ucha. – Co zrobiłaś?

– Cóż. Z Zakiem i Ness złożyliśmy wizytę w hotelu Dwa Mosty. Rzecz jasna, pomyśleli, że ja to ty. Myślę, że sprawiłam się całkiem dobrze.

– C o t a k i e g o? – Jestem zszokowana. – Dlaczego?

Wyciąga z kieszeni zdjęcie.

– Chciałam sprawdzić, czy może ktoś wie, kto to jest.

Puls mi przyśpiesza.

– No i? Ktoś go zna?

– Nie. Ale niejaka Karen zasugerowała, żebyśmy przyszli wieczorem i popytali w barze. Chcesz iść czy mam cię wyręczyć?

– Ja... nie wiem – odpowiadam.

Piper wyciąga rękę i przytula mnie. Jest w radosnym, podekscytowanym nastroju, taka zadowolona, że to dla mnie zrobiła. Jeśli babcia się dowie, wścieknie

się. Mimo to znów łapie mnie to nieodparte pragnienie. Wpatruję się w fotkę.

– Chcę go odnaleźć – mówię.

– Wiem – przytakuje, ale widzę, że chęć znalezienia ojca nie jest w niej tak silna jak we mnie. Czy to dlatego, że ona ma tatę, że zawsze go miała?

Ale powiedziała, że go odnajdzie, że zrobi to dla mnie.

Wszystko we mnie woła, by opuścić to miejsce, i to zaraz, już. Ale muszę też znaleźć naszego ojca.

– Ciii. – Zak pokazuje na drzwi. Z korytarza dobiega odgłos zbliżających się kroków.

Piper wsuwa sobie zdjęcie do kieszeni.

Drzwi się otwierają. Wchodzi babcia.



# P I P E R



Quinn wręcza mi mały metalowy wihajster i cytrynę. Przyglądam się przez chwilę temu metalowemu czemuś, ale nie jestem od tego mądrzejsza. Ten przedmiot wygląda zbyt nowocześnie jak na kuchnię pełną eksponatów muzealnych.

– Co to jest? – pytam.

– Żartujesz? – odpowiada Quinn. – Skrobaczka do cytryny. Daj, pokażę ci.



Przeciąga tym czymś po cytrynie nad miską i oddziela od owocu paseczki żółtej skórki. Próbuje, ale skrobaczka za lekko muska skórkę. Potem przyciskam za mocno i narzędzie zagłębia się w owoc. Babcia patrzy na to, kręcąc głową.

– Zrób to równym, pewnym ruchem. Przeciągnij, nie naciskając – mówi.

Próbuję jeszcze raz i teraz wywieram właściwy nacisk. Żółte skrawki wpadają do miski.

Ness leży zwinięta w kłębek przed kuchennym paleniskiem. Zak ubija masło z cukrem, który Quinn starannie odmierzyła za pomocą metalowych kubków, zamiast odważyć na wadze. Babcia nadzoruje wszystko z krzesła, żeby mieć pewność, że robimy to właściwie – seniorka rodu i jej klan złożony z identycznych wnuczek, suczki i chłopca. Jakby to było, gdybyśmy obie, Quinn i ja, dorastały w tym miejscu razem, z babcią i mamą?

Zdaje się, że babci wreszcie minęła złość o to, że rano majstrowałam przy drzwiach – lecz to się szybko zmieni, jeżeli się dowie o drugim zdjęciu i mojej wycieczce z Zakiem do hotelu.

Babcia zerka do miski Zaka.

– Tak, gotowe. Teraz jajka.

Quinn ostrożnie wbija jajko do jego miski.

– Mieszaj wolno – komenderuje babcia i Zak miesza, podczas gdy Quinn dodaje kolejne jajko i jeszcze jedno. Potem mąka i skórka z cytryny; patrzę ponad ramieniem Zaka, jak wszystko staje się ciastem.

– Nigdy do tej pory nie piekłaś ciasta? – pyta Quinn.

– Jasne, że nie. Ciasto przyjeżdża w pudełku z cukierni.

– Tak uważała Isobel? – Babcia potrząsa głową i na jej twarzy maluje się smutek.

– Czy mama robiła tu z tobą wypieki? – pytam.

– Oczywiście.

– W domu nigdy nie piekła.

Teraz, gdy o tym pomyślę, mama nigdy nie czuła się dobrze w naszej dużej, jasnej, nowoczesnej kuchni.

Surowe ciasto zostaje przelane do wysmarowanej tłuszczem formy. Quinn ogłasza, że piekarnik – jeśli można to pudło ustawione nad ogniem nazwać piekarnikiem – jest odpowiednio nagrany, i wkłada ciasto do środka.

– Teraz czekamy – oznajmia babcia.

Zak idzie do pokoju, żeby rozpalic ogień na noc, a my siadamy wokół stołu. Quinn stawia czajnik nad ogniem i wyjmuje kubki. W małej kuchni jest przytulnie przy buzującym ogniu, wyczuwa się atmosferę szczęśliwej rodziny, która ma okazję, żeby upiec razem ciasto i cieszyć się z tego. A ja próbuję sobie wyobrazić matkę, jaką znałam – elegancką, opanowaną osobę z idealnie ułożoną fryzurą i w designerskich ubraniach – w tym miejscu, lecz nie umiem.

– Jaka była nasza mama w młodości? – pytam.

Babcia miesza cukier w herbacie, którą podała jej Quinn.

– A, Isobel. Była pogodnym dzieckiem, stale skłonnym do psot. Zawsze próbowała się od wszystkiego wymigać. Byłam dla niej zbyt pobłażliwa.

– A kiedy była w naszym wieku? – zagaduje Quinn.

Babcia długo nie odpowiada, aż myślę już, że tego nie zrobi. W końcu potrząsa głową.

– Buntowała się. Nie widziała w niczym sensu. To ją wpędziło w kłopoty.

– W kłopoty, czyli w nas? – pytam.

– Tak. Nie powinnaś była tutaj przyjeżdżać, Piper.

Dla mnie ciepło wymyka się z kuchni i nie wraca, nawet gdy bucha gorąco przy odwracaniu formy z ciastem. Quinn zamyka piekarnik, prostuje się i patrzy na mnie.

– Chciałam tylko odnaleźć Quinn. Być z moją siostrą i z rodziną – mówię. – Co w tym złego?

Quinn marszczy czoło.

– Ale to ja znalazłam ciebie. W hotelu zobaczyłam w gazecie ten artykuł o śmierci Isobel, pojechałam tam i znalazłam cię. A ty powiedziałaś, że nie wiedziałaś o moim istnieniu, dopóki nie zjawiłam się na pogrzebie matki. Więc co masz na myśli, mówiąc, że chciałaś odnaleźć m n i e?

– Piper wiedziała o tobie od Isobel – wtrąca babcia. – Isobel nie powinna była jej mówić, ale to zrobiła.

Kręcę głową.

– Nie, nie, to nieprawda. Ja...

– Przestań, Piper – wtrąca Quinn. – Przestań mnie okłamywać. Kiedy mnie po raz pierwszy zobaczyłaś, pomyślałam, że musiałaś o mnie wiedzieć, bo nie wyglądałaś na zbytnio zdziwioną. Ale gdy zapytałam, powiedziałaś, że o mnie nie wiedziałaś, a ja ci uwierzyłam. Czemu mnie okłamałaś, Piper?

Biorę ją za rękę. Dlaczego mi nie wierzy? Moje słowa nie działają.

– B ł a g a ł a m mamę, żeby mnie do ciebie zabrała. Ale nie chciała.

Quinn wyswobadza rękę.

– Piper, widzisz, ile szkód powodują kłamstwa? – Na twarzy babci maluje się śmiertelna powaga. – Kłamstwo jest niebezpieczne. Zwłaszcza dla kobiet z naszej rodziny. Czy Isobel cię tego nie nauczyła?

Szepty z przeszłości podpowiadają, że próbowała. Ale ja nigdy nie słuchałam, prawda?

Quinn wychodzi z kuchni, a ja po chwili idę za nią. Stoi przy ogniu we frontowym pokoju.

– Zostaw nas na chwilę, dobrze? – proszę Zaka.

Czekam, aż zamkną się za nim drzwi.

- Okłamałaś mnie, Piper – mówi Quinn. – Czemu?
- Z miłości. Żeby cię znaleźć, siostrę, którą chciałam poznać i pokochać.
- Nie rozumiem. Jak kłamstwo miałoby ci w tym pomóc? Już z tobą byłam.

Powiedz mi prawdę.

Boję się tego, co Quinn ma w spojrzeniu – urazy, rozczarowania i tego, do czego mogą prowadzić.

– Przepraszam, myślałam, że to nic nie zaszkodzi. Zrobiłam to, bo nie chciałam cię denerwować. – „Chciałam, żebyś mnie polubiła. Proszę, polub mnie”.

– Czy zrobiłaś coś jeszcze? Czy jest więcej kłamstw?

Moje dłonie zaciskają się w pięści. Czy Quinn nie widzi, że to, co zrobiłam, zrobiłam dla nas? Żeby nas złączyć, właśnie tu, tak jak powinno być.

A l e c o j e s z c z e z r o b i ł a m ?

Pełna niepokoju odsuwam od siebie to pytanie. Nie odpowiadam siostrze; nie odpowiadam sobie.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Zak i ja idziemy po ciemku do hotelu. On ma latarkę; ja nie potrzebuję światła, i tak prowadzę. Księżyc i gwiazdy świecą dzisiaj jasno, a ja bardzo dobrze znam ścieżkę.

– Wszystko w porządku, Quinn? – pyta Zak.

Wzruszam ramionami.

– Piper znów naciągnęła prawdę. I tyle.

– A, rozumiem. Chcesz o tym pogadać?

Zatrzymuję się i obracam do niego. Tak, chcę pogadać, ale nie powinnam. Pomijając już fakt, że uciekłby na kilometr, gdybym mu wszystko powiedziała – czy nie przyrzekłam sobie, że zachowam dystans między sobą a Zakiem, że będę trzymać na wodzy uczucia? Z powodu Piper i tego, że mi wybaczyła. Lecz moja pewność co do tego słabnie.

Blask księżyca i Zak dobrze do siebie pasują i moja ręka wyciąga się, by dotknąć jego policzka, wsunąć palce w jego czarne włosy i przyciągnąć go bliżej. Żeby go pocałować, jak za pierwszym, ostatnim i zarazem jedynym razem. Ale to nie takie proste, prawda? Nie chodzi o zwykły pociąg, jaki do niego czuję, choć się do tego przyznaję. Chodzi o coś więcej. A on czeka, aby usłyszeć, co mam do powiedzenia, jego czarne oczy wpatrują się w moje z zainteresowaniem i troską dla p r z y j a c i ó ł k i. Może jest mi teraz bliski, ale przecież nie wie, co mam w środku, równie dobrze mogłabym być duchem Katy, zagubionym i zimnym na wrzosowisku.

I nie jest moim Heathcliffem – nie chce m n i e. Wzdycham.

– Quinn? – zagaduje Zak.

– Nie wydaje mi się. Ale dzięki.

Odwracam się i ruszam dalej ścieżką. Idziemy w milczeniu. Słyszę za sobą jego kroki – stawia ich mniej niż ja, ponieważ ma dłuższe nogi. Słyszę jego oddech. Jego serce bijące „s-stuk, s-stuk” dla Piper – zawsze dla Piper.

Piper i jej kłamstwa. Okłamała mnie co do tego, że pokój babci jest niezamknięty. Okłamała mnie w Winchesterze, kiedy powiedziała, że o mnie nie wiedziała. Przynajmniej dzisiaj w końcu powiedziała prawdę, ale tylko dlatego, że babcia ją przymusiła.

Babcia mówiła, że kłamstwo jest niebezpieczne, zwłaszcza dla kobiet z naszej rodziny. Czemu? Czy to jeszcze jedno, co nas odróżnia od innych, czy raczej chodzi o treść naszych kłamstw?

Przez całe życie babcia w kółko wpajała mi niechęć do kłamstwa. I strach przed ciemnością, którą kłamstwo miałyby ze mnie wywlec. Ale Piper kłamie przez cały czas. A ja myślałam, że to ja powinnam zostawić ją dla jej bezpieczeństwa.

Piper mówi, że jesteśmy rodziną, że chce mnie w swoim życiu. Chce również swego życia w Winchesterze i swojego taty, który nie jest jej tatą; chce Zaka. Chce także tego miejsca – chce odziedziczyć, cokolwiek tu jest do odziedziczenia. Chce tego wszystkiego – Piper, która zawsze miała wszystko, czego tylko zapragnęła.

Dlaczego miałyby mieć wszystko, a mnie zostawić z niczym?

To dziwne wrażenie znaleźć się tu wieczorem. W barze jest ciepło; zbyt ciepło z ogniem płonącym na kominku i ciałami rozgrzanyymi alkoholem.

Łatwo odróżnić miejscowych od przyjezdnych. Ci ostatni tworzą pary lub grupki usadowione na sofach i krzesłach. Miejscowi – głównie farmerzy – stoją przy barze, rozmawiają o zbiorach i owcach, wymachują rękami i śmieją się z jakiegoś incydentu z traktorem, turystą i mijanką. Kilku starszych dostrzega mnie i zniża głos, żebym ich nie słyszała. O czym mówią?

Nie czuję się tutaj swobodnie, w tej części hotelu. Zak, jakby to wiedział, bierze mnie za rękę. Jego palce są ciepłe, ściskają lekko moją dłoń i nie wypuszczają. Zak ciągnie mnie w stronę baru i zamawia dla nas napoje u kogoś, kogo nie znam. Albo jest to ktoś nowy, albo pracuje tylko wieczorami.

Stoję, czując się niezręcznie. Jak mogę tak po prostu podejść do tych nieznajomych i zagadnąć ich o fotografię, którą mam w kieszeni?

Wtem podchodzą do nas tamci dwaj, o których myślałam, że rozmawiają o mnie.

– Czy ty nie jesteś Quinn, córką Isobel Blackwood?

– Ja... tak, jestem jej córką – odpowiadam.

– Masz jaśniejsze włosy, ale wyglądasz kropka w kropkę jak ona, kiedy tu pracowała w barze. Wyniosła się lata temu, no nie? Jak się miewa?

Patrzę na Zaka, niepewna, co powiedzieć.

– Niestety, Isobel niedawno zmarła – wyjaśnia Zak.

– Ach. Przykro to słyszeć – mówi jeden z nich i zamawia kolejkę dla swoich przyjaciół i dla nas.

Wznoszą kieliszki i kufle.

– Za Isobel! – wołają i stukają się szklami.

Starsi zaczynają o niej rozmawiać, wspominają pełną życia dziewczynę, która flirtowała z nimi zza baru, a ja myślę – czy mówią o tej zimnej matce, którą ledwie znałam? Trudno mi uwierzyć.

Nagle spływa na mnie natchnienie.

– Zanim zmarła, napisała list do przyjaciela, którego kiedyś miała w tych stronach – zagaduję. – Ale nie wiem, jak zaadresować. Mam tylko jego zdjęcie, o. – Wyjmuję fotkę. – Znacie go może?

Kilku z nich patrzy, a jeśli jego rude włosy, takie jak moje, wzbudziły w nich jakieś podejrzenia, zatrzymują je dla siebie.

– To chłopak od Hamleyów, no nie? – mówi jeden z pełną niechęci miną. – Wynieśli się już dawno. Nie wiem, gdzie ich poniosło.

Inny przysłuchuje się temu.

– A nie wyprowadzili się do Exeteru po tym, jak stracili farmę? – Idzie zapytać kogoś innego, kto wyjmuje telefon i dokądś dzwoni.

Podchodzi do nas.

– Mój kuzyn uważa, że jego przyjaciel ma numer. Oddzwoni, jeżeli coś...

Odzywa się jego komórka. Mężczyzna pokazuje na migi, że potrzebny mu

długopis i papier, zapisuje coś, po czym wręcza mi karteczkę.

– Proszę. Nie znam adresu, ale to jego imię i nazwisko: Will Hamley. I jego numer. Zadzwoń do niego, jeśli chcesz, ale uważaj. Z Hamleyami nic, tylko kłopoty.

Tak łatwo poszło. Wystarczyło skłamać o liście. Babcia powiedziała, że kłamstwo jest niebezpieczne, ale nic się nie stało – nie uderzył piorun, bramy piekielne nie otworzyły się u moich stóp.

Piper pokazała mi, że kłamanie jest łatwe. I dzięki temu człowiek dostaje to, czego chce.

Wyruszamy w długą drogę powrotną w ciemności. Ściskam kartkę w dłoni; w brzuchu mi się kotłuje. Czy powinniśmy zadzwonić do tego Willa Hamleya? Nagle nie jestem pewna. Babcia ostrzegła. No i „nic, tylko kłopoty”, tak powiedzieli ci w barze. Ale to mój ojciec.

Daję kartkę Zakowi.

– Czy możesz to dla mnie przechować? Nie jestem pewna, co chcę z tym zrobić.

Zak kiwa głową i chowa karteczkę w portfelu.

Gdy w końcu docieramy do furtki, zatrzymuję się i odwracam, żeby popatrzeć na zbrocze w świetle księżyca. Wisht Tor wznosi się ponad nami.

A obok skał jakiś ruch, czyjś zarys.

Lisica.

*Rozbrzmiewa wołanie: na łów!*

*Nie... nie... Tylko nie to znowu.*

*Ale nie ma sposobu, by zatrzymać łowy. Ogary Czarownic są już spuszczone i zostają porwana jako jeden z nich. Biegniemy swobodnie przez wrzosowiska.*

*Boję się tego, co nastąpi.*

*Jestem też niezmiernie rozradowana: pędzę przez ciemne przestrzenie. Niesyta po ostatnim mordzie; nigdy nienasycona. Prowadzi nas rozpaczliwy głód.*

*Ałłuuuuuu! Wyjemy jednym głosem, kiedy złapiemy z wiatrem słodką woń ofiary.*

*Ta ofiara nie ucieka ani nie beczy ze strachu, kiedy ją okrążamy i zamykamy w pułapce. Śpi opatulona w namiocie.*

*Najpierw rozrywamy więc namiot.*

*Ofiary właściwie są dwie – mężczyzna i kobieta – budzą się i krzyczą, wołają do swojego boga o ratunek.*

*Ale bogowie nie mają tu władzy.*

*Czują odrazę, przerażenie...*

*I podniecenie. Ślepią ogarów naprzeciwko mnie – straszliwe, nabiegłe czerwienią – odzwierciedlają moje oczy.*

*Rozdzieramy im gardła i uciszamy krzyki.*

*Piękna, radośnie bulgocąca krew tryska w rytmie – s-stuk, s-stuk – coraz wolniej, w miarę jak ich serca przestają bić.  
Uczujemy.*





# P I P E R



- Nie jestem pewien – mówi Zak.
- Daj spokój, Zak. Wiesz, że znalezienie naszego biologicznego ojca jest dla niej bardzo ważne. Quinn po prostu się boi.
- Mimo to uważam, że powinniśmy ją najpierw zapytać i upewnić się, że nie ma nic przeciwko temu, a dopiero potem do niego dzwonić.
- Cóż, jest ojcem nie tylko Quinn, ale też m o i m. A ja chcę zadzwonić.

Zak rozważa, co powiedziałam, w końcu kiwa głową. Wyciąga kartkę z nazwiskiem i numerem.

– No to dzwoń – mówi.

Chodzę dookoła, próbując znaleźć na wzgórzu miejsce z najlepszym zasięgiem. Ale bez względu na to, gdzie stanę, zasięg jest słaby, podobnie jak bateria w komórce. Telefon, jakby mi chciał zrobić na złość, wybiera akurat ten moment, żeby się rozładować.

– Komórka mi padła. Niech to...! Jak one tu mogą żyć bez telefonów i ładowarek? Powinnam była naładować, kiedy byliśmy w hotelu.

Zak śmieje się i wyciąga swój telefon.

– Spróbuj z mojego.

Zasięg w jego komórce jest równie słaby, ale baterię ma w ciut lepszym stanie. Wybieram numer.

Jeden... dwa... trzy sygnały.

– Halo? – odzywa się męski głos,

– Halo, czy to Will Hamley?

– A kto chce wiedzieć? – Słysząc w tym podejrzliwość.

– Jestem Quinn Blackwood. – Zak robi do mnie miny, ale się odsuwam. – Moją matką była Isobel Blackwood.

– O, wow. Dawne dzieje. Co u Izzy?

I z z y?

– Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale niedawno zmarła.

Długa przerwa.

– O, rozumiem. Przykro mi. – W jego głosie brzmi smutek. – Ale dlaczego do mnie dzwonisz?

– Naprawdę wolałabym się z panem zobaczyć. Możemy się spotkać?

– Powiedz mi teraz. O co chodzi?

– Myślę, że... no, jestem całkiem pewna... że jestem pańską córką.

Cisza ciągnie się tak długo, że boję się przerwania połączenia.

– Halo? – odzywam się w końcu.

– Jestem, jestem.

– Więc czy możemy się spotkać?

– Nie wiem. Nie mam pieniędzy, jeśli o to ci chodzi.

– Nie. Mam mnóstwo własnych.

Przetrawia to.

– Gdzie jesteś? Wciąż na wrzosowiskach?

– Tak. Czy możemy się spotkać w hotelu Dwa Mosty?

– Chyba tak. Jeżeli ty stawiasz.

– Świetnie.

– Kiedy?

– Może jutro po południu? O drugiej.

Kolejna przerwa.

– Taaa, dobrze, i tak nie mam nic lepszego do roboty. Zobaczą, co da się zrobić.

– Niech pan obieca, że pan będzie.

– Jeżeli to coś warte, taaa: obiecuję. Będę.

Potem telefon klika – bateria rozładowana. Połączenie przerwane.

Oddaję komórkę Zakowi i uśmiecham się.

– Załatwione – mówię.

Zak unosi brew.

– Naprawdę mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Nie martw się. Będzie świetnie.

Wracamy do domu. Quinn była na mnie zła, a poprzedniego wieczoru ja byłam zła na nią. Jak może nie widzieć, że siedzimy w tym razem?

Miałam kolejną prawie bezsenną noc. Tak niewiele spałam, odkąd przyjechaliśmy do Dartmoor – aż dziwne, że nie jestem jeszcze wyczerpana. Ale zamiast zmęczenia czuję radość. Umysł jakby mi się wyostrzył; kolory, zapachy i wrażenia dotykowe stały się tak wyraźne, że prawie bolesne. Wszystko jest podkreślone o kilka kresek.

Gdy w końcu odpływam, przybywa kolejny z tych szalonych snów, w których wzywam na łowy i biegnę przez ciemne wrzosowiska. Mord; uczta. Jeżeli zamknę oczy, znów tam będę: siła, krew. Na wpół się wzdrygam, na wpół drzę; na samą myśl o tym ciarki przechodzą mi po języku i gardle.

A gdy się budzę i znowu wychodzę, by patrzeć na wschód słońca, dociera do mnie, co powinnam zrobić.

Quinn wątpi we mnie teraz, ponieważ babcia wykazała moje kłamstwa. Muszę udowodnić Quinn, że jestem po jej stronie, muszę jej dać coś, czego chce. W każdym razie coś, o czym m y ś l i, że tego chce.

Potem ona będzie m u s i a ł a dać mi to, czego ja chcę – będzie musiała dotrzymać obietnicy i pomóc mi znaleźć moje dziedzictwo.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



*Bieg przez wrzosowiska... smak krwi.*

Potrząsam głową, próbując odgonić wspomnienie i walczyć z nudnościami. Tamci ludzie w namiocie. Mężczyzna i kobieta obozujący na pustkowiu. Wciąż słyszę ich krzyki; wciąż czuję ich przerażenie, a także ich krew.

Oszaleję.

Otwierają się frontowe drzwi; rozlegają się kroki, głosy. Zak i Piper wrócili

ze spaceru.

Wbiega Ness, wskakuje na sofę obok mnie i liże mnie po twarzy.

– Wyglądasz, jakbyś się nie ruszała przez cały poranek – mówi Zak. – Czy...  
Przerywa mu dobiegający z góry przenikliwy krzyk.

– Babcia? – Zrywam się na równe nogi i pędzę po schodach, a Zak i Piper tuż za mną.

Babcia osunęła się na podłogę obok łóżka, leży z poszarzałą twarzą. Próbuję jej pomóc, ale odtrąca moją dłoń pacnięciem.

– Widzę – mówi, jednak nie patrzy na nas. – Zak! – Wyciąga do niego rękę. On klęka przy niej, a ona mocno chwyta jego dłoń. – Posłuchaj mnie, Zak.

– Słucham – zapewnia chłopak.

– Uciekaj. Z tego pokoju, z tego domu, z wrzosowisk. Wsiadaj do samochodu, odjedź jak najdalej i nigdy nie wracaj. Dla nas jest za późno, ale ty możesz uciec przed ogniem.

– Przed ogniem? Jakim ogniem? – Podnosi wzrok, wzrusza ramionami i pyta nas bezgłośnie: – Czy wezwać karetkę?

Potrząsam głową.

– Przez wszystkie te lata próbowałam powstrzymać pożar – mówi babcia. – Powinnam była wiedzieć, że to się nie uda. To, co zaczęło się w ogniu, musi się w nim dokończyć. Uciekaj, Zak. Póki nie jest za późno. Już! – Popędza go, poruszona.

– Idź na dół – przekazuję mu samym ruchem warg i Zak wymyka się z pokoju.

– Już poszedł, babciu – mówię.

Piper i ja pomagamy jej wrócić do łóżka. Jest zimna, cała drży,

– Obie to wiecie, tutaj – odzywa się do nas babcia, uderzając się w pierś. – Nawet jeśli nie wiecie tutaj. – Stuka się w głowę.

– Co wiemy? – pyta Piper.

– Gdzie to się wszystko zaczęło i gdzie musi skończyć. W ogniu.

Babcia osuwa się na łóżku, powieki się jej zamykają. Po krótkiej chwili zasypia.

Wychodzimy na palcach z sypialni, zamykamy drzwi.

– No, to był poważny napad szaleństwa – stwierdza Piper, lecz widzę, że jest wstrząśnięta.

– Babcia czasami miewa wizje. Nie powinno się ich lekceważyć.

– To, co mówiła o ogniu... – zaczyna Piper z wahaniem, ale nie kończy zdania.

Kiwam głową.

– Pamiętasz pożar, prawda? Obie miałyśmy tę gorączkę w wieku trzynastu lat. Nie wydaje mi się, żeby to był sen albo majaki. Myślę, że podróżowałyśmy

duchowo w przeszłość – mówię.

Napływa prawda i stapia to, co się wydarzyło ostatnio, z tamtymi dawnymi sprawami – to były doświadczenia tego samego rodzaju. I t a k b a r d z o chcę zapytać Piper, czy jej też śniły się łowy – owce, turyści w namiocie... krew. Ale nie umiem się do tego zmusić. Jeśli to dzieje się tylko u mnie, Piper zyska potwierdzenie tego, co zawsze wiedziałam: że jestem tą złą. Nie chcę, żeby tak się stało.

Wpatrujemy się w siebie na schodach. Wydaje mi się, że widzę w jej oczach echo tego dawnego snu, który nie był snem: dom, pożar. Wściekłość nie tylko nieposkromiona, lecz dodatkowo wzmocniona.

– To się zdarzyło naprawdę? – szepcze Piper z szeroko otwartymi oczyma.

– Tak, i to tuż obok. Pogorzelnikiem są te ruiny przed naszym domem. To miejsce dla nas zakazane.

Nasza trójka jest tego wieczoru przygaszona. Zak denerwuje się, że jeśli babcia się zorientuje, że nie wyjechał, znowu dostanie ataku. Nie wierzy jednak w jej ostrzeżenia.

A powinien. Powinien wyjechać. Wszyscy powinniśmy opuścić to miejsce. Ale ja bez względu na to, dokąd pójdę, zabiorę w sobie ciemność. Nawet jeśli się stąd wyniosę, nocą odnajdą mnie łowy.

Przemykam się na górę po rzeczy Zaka; lepiej, żeby dzisiaj w nocy spał z nami na dole.

We troje układamy się do snu.

Czuję ruch i otwieram oczy. Piper siedzi na posłaniu.

– O mój Boże, Quinn. Mimo tego wszystkiego, co się dzisiaj działo, nie mogę uwierzyć, że ci zapomniałam powiedzieć.

– O czym mi zapomniałaś powiedzieć?

– O naszym biologicznym ojcu. Zadzwoiłam do niego i jutro po południu przyjedzie do Dwóch Mostów, żeby się spotkać z córką, o której dotąd nie wiedział. Pójdiesz na to spotkanie czy ja mam iść?



# P I P E R



Wymykam się w nocy, kiedy Zak i Quinn śpią. Nic mnie nie może powstrzymać; słowo „zakazane” nie ma znaczenia, nie dla mnie.

Odkąd tu przyjechaliśmy, omijałam ruiny, nie myśląc o tym wiele, obchodziłam je jak wszyscy pozostali. To znaczy łatwiej byłoby przejść przez nie na wprost, ale unikałam dotykania tych kamieni, nie zastanawiając się zbytnio, dlaczego to robię.

Na ziemi pozostał zarys niedużego domu; budynek, w którym teraz mieszkamy, to stodoła, która za nim stała. Zaniebane przybudówki i zachowane tu i tam pozostałości ogrodzeń świadczą o tym, że kiedyś było tu gospodarstwo – małe, ale jednak.

Quinn nazwała tę ruinę „pogorzeliem”.

Po raz pierwszy miałam sen – a przynajmniej myślałam, że to sen lub gorączkowe majaki – w wieku trzynastu lat. Byłam chora, bardzo chora, ale pamiętam, że Isobel nie posłała po lekarza. Niedawno zastanawiałam się, czy dlatego, że wiedziała, co jest ze mną nie tak i że lekarz by mi nie pomógł. Że to minie. Powiedziała, że ona i jej matka doświadczyły tego samego w tym wieku.

Quinn miała ten sam sen.

Usiłuję przypomnieć sobie jego szczegóły, ale – co dziwne – wizja wryła się w moją pamięć na wieki, a jednocześnie została zapomniana. Prawie tak, jakbym ją próbowała wymazać, lecz zdołała się pozbyć tylko niektórych krawędzi.

I mniej więcej wtedy zaczęłam rozumieć, jak inne jesteśmy, mama i ja, od wszystkich otaczających nas ludzi: wiemy rzeczy, o których inni nie mają pojęcia, że możemy je wiedzieć; bez trudu potrafimy sprawić, że wszyscy godzą się na to, czego chcemy. Właściwie dopiero kiedy ta moja zdolność nie podziałała na mamę, uświadomiłam sobie, że jestem inna – że moje interakcje z pozostałymi ludźmi są odmienne.

Zapragnęłam wiedzieć więcej. Rozpaczliwie chciałam zrozumieć, jak i dlaczego możemy robić te rzeczy, i dowiedzieć się, co jeszcze potrafię. Miałam głębokie wewnętrzne przekonanie, że to dopiero początek; że może być więcej, znacznie więcej. Potem przestało mi się układać z mamą. Patrzyła na mnie dziwnie, cały czas pilnowała.

Dlaczego ten skrawek ziemi jest dla nas zakazany?

Czuję wewnętrzny niepokój, lęk.

Stawiam krok naprzód, przekraczam resztki ściany. Wyciągam obie ręce i chwytam kamienne pozostałości ścian, po czym padam na ziemię.

Biegnę przez wrzosowiska zaplątana w spódnicę, potykam się w pośpiechu, podrapana na piargach, pocięta, skrwawiona. W półmroku słychać przenikliwe wycie; ogary są blisko. Polują na mnie jak na zwierzę; zaganiają do miejsca, gdzie mogą mnie dopaść – do domu. Ale skoro chcą mnie zagnać do domu, to znaczy, że nie mam azylu.

Bez tchu, zasapana, rygluję za sobą drzwi i biorę księgę z kryjówki. Gładzę wyświechtaną okładkę, czerwoną jak krew, symbol kobiet z naszego rodu. Źródło naszej nieznaczonej władzy – przekręcanie słów, kształtowanie przekonań.

Biorę nóż i zanurzam pióro w najszczerzejszym atramencie – we własnej krwi. Ręce mi drżą, wzrok się ćmi. Słowa muszą być właściwe. Zmuszam się do pewnego uchwycenia pióra i zaczynam.



Jeżeli mnie zniszczysz, powrócę silniejsza i zniszczę ciebie. Moja córka i córka mojej córki, i tak dalej, coraz silniejsze z pokolenia na pokolenie, urosną w siłę, pełne urazy. Ty i twoi potomkowie będziecie naznaczeni cieniem. My, kobiety z czarnego lasu, będziemy na was polować po wsze czasy, aż nie pozostanie żaden Hamley, będziemy was ścigać na łowach po wieczność.

W powietrzu płynie strzęp dymu, który nie pochodzi z mojego wystygłego paleniska. Ośmielam się wyrzeć przez małe okienko – palą się drzewa. Kaszlę. Wkrótce zajmie się torf z moich ścian. Wnętrznosci ściska mi i wykręca strach, ale o wiele bardziej gniew. Czy ten drań Hamley odważy się wziąć siłą to, czego nie mógł kupić?

Nawet teraz mogłabym uciec z płomieni. Oni chcą tylko zniszczyć farmę. Pozwolą mi przejść; jego tchórzliwi słudzy nie ośmielą się nic mi zrobić ze strachu przed moim okiem.

Ale zakończenie tego starego życia będzie moim ostatnim kłamstwem – moimi ostatnimi słowami spisanymi krwią w Księdze Kłamstw, najpotężniejszymi ze wszystkich. Moja śmierć przemieni te kłamstwa w klątwę. Hamleyowie zostaną zniszczeni i uwięzieni w łowach w lasku – w tym samym miejscu, gdzie moje poprzedniczki były wystawiane na próbę. To pasuje. A łowy rozpoczną się na wrzosowiskach, kiedy do nich wezwiemy.

Zdejmuję bransoletę i chowam ją razem z książką w sekretnej kryjówce; układam z powrotem kamienie, żeby zabezpieczyć schowek przed ogniem. Moja córka będzie wiedziała, gdzie je znaleźć.

Płomienie rosną.

Mój ból rośnie.

Płonę...

Jakiś czas później dochodzę do siebie, skulona na ziemi. Twarz mam zalaną łzami, ciało skręcone bólem i strachem.

I g n i e w e m.

Była sama, samotna stara kobieta. Ale nie bezbronna, o nie. Była mądrą kobietą, czarodziejką, strażniczką księgi.

Od dawna wiedziałam, że moc kształtowania przekonań mam we krwi; kiedy przekreślę prawdę, ludzie mi wierzą. Ale Księga Kłamstw daje z n a c z n i e więcej; zapisane w niej kłamstwa stają się prawdą dla wszystkich.

M u s z ę d o s t a ć t ę k s i ą ż k ę.

Jeśli ją będę miała, wszelkie kłamstwo, które w niej zapiszę, stanie się prawdą. T o j e s t m o j e d z i e d z i c t w o.

Zapisała w tej księdze klątwę rzuconą na Hamleyów. Wraz z jej śmiercią klątwa stała się prawdą, tak jak przewidziała. Od tamtej pory klątwa prześladowała Hamleyów w każdym pokoleniu. Ta skrzynka, którą Quinn znalazła w babci

pokoju do czytania, zawierała notatki, rysunki i zdjęcia pokazujące, co działo się z nimi na przestrzeni lat, pokolenie po pokoleniu. W miarę jak my rosłyśmy w siłę – każde pokolenie silniejsze od poprzedniego – ich cierpienia potęgowały się. I tak musi zostać: jedno powiązane z drugim, splecione na zawsze.

B ę d z i e trwało.

Mój ród to kobiety z czarnego lasu: teraz rozumiem, z jakiego powodu mama nie zmieniła nazwiska. Jak mogłaby, skoro określa ono wszystko, kim jesteśmy?

Teraz znam też naszego wroga. Na zdjęciach w skrzyneczce babci wszyscy Hamleyowie byli naznaczeni cieniem. Zauważyłam to, chociaż nie wiedziałam, co oznacza.

A teraz w końcu zrozumiałam także, co jest uwięzione w czarnych drzewach w Wistman's Wood – dlaczego ogary zostały spuszczone, kiedy wróciłam tam nocą, gdy znowu poczułam w drzewach głód i wywołałam je.

To nie był sen. Kiedy Quinn powiedziała wcześniej, że przez wszystkie te lata podróżujemy duchowo, rozumiałam wewnątrz. Nagle jakby kawałki układanki wskoczyły na miejsce i ukryty dotąd wzór okazał się oczywisty.

Sny, które nie były snami: to j a wezwałam łów. Ja, nie Quinn. Ja mu przewodziłam.

Ja... ja... naprawdę zrobiłam to wszystko?

Teraz drzę. S t r a c h tamtych turystów, kiedy rozdarliśmy ich namiot; ich krzyki rozbrzmiewają echem w moich uszach. Ich krew: napawali się ich krwią. I wszystko przeze mnie.

C z y m j e s t e m?

Jestem wystraszona, przerażona; gdzieś w głębi narasta we mnie krzyk. Ogarnia mnie panika. Wracam; przypominam sobie. Inne przypadki, inną krew...

Uspokój się. Wszystko, co zrobiłaś, przywiodło cię do tego momentu.

Oddycham: wdech, wydech; wdech, wydech. Te rzeczy musiały się zdarzyć. Pokazują, że to j a jestem najmocniejsza w naszym pokoleniu. Tego nie mogę się wyprzeć.

Wszystko, co zrobiłam, żeby tu dotrzeć, prowadziło do tego momentu prawdy.

Ta książka musi być moja.

Mogę jej użyć, żeby naprawić sytuację, prawda? Mogę wyprostować sprawy i zapomnieć, co było przedtem.

Mój piękny Zak. Mówię mu, że mnie kocha, a on mi wierzy. Oczywiście, że wierzy, nie ma innego wyboru. Ale to nie to samo, jakby mnie naprawdę kochał, prawda? Gdyby tak było, nigdy by się nie całował z Quinn.

Gdybym miała tę księgę, zapisane w niej kłamstwa stałyby się prawdą. A pierwsze kłamstwa, które bym w niej zapiała, to: Zak kocha mnie z całego serca i z całej duszy. Quinn kocha mnie jako siostrę. Quinn nie kocha Zaka.

Potem moglibyśmy być wszyscy razem szczęśliwi. Razem, zawsze.

Ta książka b ę d z i e moja.

Wyczuwam ruch, czyjaś obecność, i odwracam się.

Przy furtce stoi lis, ale nie taki, jakie widywałam do tej pory. Jest duży i ma wielki, zjeżony ogon, wyraźnie widoczny w świetle księżyca. Zwierzę przekrzywia łebek na bok i patrzy.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



– Naprawdę nie mogę uwierzyć, że to robimy. Dzięki, że ze mną przyszedłeś.

Zerkam z ukosa na Zaka. Siedzimy w altance przed hotelem Dwa Mosty.

– To nie jest spotkanie, na które można iść samemu. Choć naprawdę uważam, że powinna być tu także Piper. To ona się z nim umówiła.

– Cóż, ma to jednak sens, że nie powinnyśmy pokazywać się tutaj razem, by

nie wywołać wielkiej sensacji. Dla niego też bliźniaczki mogłyby być szokiem, skoro nie wspomniała mu o tym. I uznała, że to ja powinnam się z nim zobaczyć, bo właśnie ja od początku chciałam go poznać.

– Ty i Piper i tak w końcu będziecie musiały zacząć pokazywać się razem.

Wzruszam ramionami, czując się trochę niepewnie. Powtórzyłam jak papuga powody, które podała Piper, tak naprawdę nie wiem jednak, dlaczego nie powiedziała Hamleyowi, że jesteśmy dwie. Obietnica, którą na mnie wymogła, że nie ujawnimy się jako bliźniaczki, póki nie dowiedzą się o tym i babcia, i jej tato, zdaje się raczej nie dotyczyć naszego prawdziwego ojca. Potrząsam głową; to nie ma znaczenia. I tak planuję wyjazd – spotkam się z moim ojcem, potem znajdę księgę, dam ją siostrze i wyjadę. Sama.

Jeżeli nikt nie będzie wiedział o bliźniaczkach, nikt też nie zauważy, że mnie nie ma. Po plecach przebiega mi dreszcz; otrząsam się z niego. Mogę pojechać dokądś, gdzie nikt mnie nie zna, i spróbować zacząć życie od nowa – spróbować chwycić się wątpliej nadziei, że jeśli zostawię za sobą wrzosowiska, łów przyśnie na nowo.

Co prawda nie ma z nami mojej siostry, ale to z jej powodu zdecydowaliśmy, że altanka będzie dobrym miejscem na spotkanie. Piper patrzy. Zostawiliśmy ją i Ness w bezpiecznej, sporej odległości, z lornetką Zaka w ręce.

– Gotowa? – pyta Zak.

– Tak. Bardziej gotowa już nie będę.

Zak gestem otuchy kładzie mi na chwilę rękę na dłoni, po czym wstaje i idzie przez trawnik, mija pasące się gęsi i wchodzi przez drzwi.

Nie wraca przez jakiś czas. Może Will Hamley się nie pojawił? Zimno mi, oplatam sobie rękami ramiona. Już myślę, żeby się poddać i dołączyć do Zaka przy ogniu, gdy drzwi się otwierają. Wychodzi Zak, a za nim jakiś mężczyzna.

Włosy ma rude, przynajmniej to, co z nich zostało. Dostrzega mnie w altanie, mówi coś do Zaka i ruszają w moją stronę. Każdy z nich trzyma kufel piwa. Czy to dlatego tak długo ich nie było?

Will idzie trochę chwiejnym krokiem.

Gdy są już niedaleko, wstaje. Will podchodzi do mnie. Zak trzyma się z tyłu, ale – tak jak prosiłam – na tyle blisko, żeby słyszeć i przyjść mi z pomocą, w razie gdybym nie wiedziała, co mówić.

– O mój Boże – odzywa się Will. – Jesteś taka podobna do mojej kochanej Izzy. Ale z moimi włosami. – Uśmiecha się cierpko. – Przepraszam za to.

Nic nie odpowiadam. Nie wiem, jak zareagować.

– Quinn, tak?

Kiwam głową.

– Dziwaczne imię. Nie wiń mnie za nie.

– Nie. – W końcu wraca mi głos. – Pan to Will Hamley, prawda?

- Winny zarzucanych mu czynów.
- Wiedział pan o mnie? To znaczy wiedział pan, że...
- Że Izzy jest w ciąży? Nie. – Wzdycha. – Jej matka mnie nienawidziła.

Nigdy nie wiedziałem czemu. Izzy się to jednak podobało. Lubiła wymykać się i spotykać ze mną na wrzosowisku. Ale jednego dnia umówiliśmy się na spotkanie, a ona się nie zjawiała. Widziałem ją w hotelu, jednak nie zwróciła na mnie uwagi. Oczekałem, aż skończy zmianę, i poszedłem za nią, żeby ze mną pogadała. Nigdy nie zapomnę tej nocy. Dzika wichura, lało jak z cebra. Przeszyła mnie wzrokiem i powiedziała, że to koniec. Pomyślałem, że płacze. Może to był deszcz na jej policzkach. Powiedziała, że nigdy nie chce mnie więcej widzieć, że powinienem się wynieść i nigdy nie wracać. Wyglądało to prawie tak, jakby się czegoś bała. Nie przyznałaby się do tego, ale zawsze myślałem, że jej matka maczała w tym palce.

Patrzę na niego, na smutek w jego oczach. Isobel, jego Izzy: ta, która zawsze nie cierpiała deszczu. Czy to dlatego?

Will spuszcza wzrok, skupia go na moim nadgarstku.

- Czy to bransoleta Izzy?

Bezwiednie podnoszę rękę, żeby się mógł przyjrzeć, potem opuszczam ją znowu.

- Już wtedy ją nosiła?

– Zawsze. Nigdy nie zdejmowała. Mówiła, że to ważne, że potrzebuje jej dla bezpieczeństwa. – Wzrusza ramionami. – Czasem mówiła zwariowane rzeczy, ale kiedy coś powiedziała, jakoś tak zawsze jej wierzyłem. A jak wam się układało przez wszystkie te lata? Było w porządku?

I z jakiegoś powodu kłamię. Mówię mu, że miałam wspaniałe dzieciństwo z jego I z z y, że było cudownie. Kłamanie okazuje się łatwe i szybko wchodzi w nawyk.

- A co u pana? – pytam.

– Zrobiłem, czego chciała Izzy. Jak zawsze. Odszedłem. Przykro mi. Gdybym wiedział... cóż. Może sprawy potoczyłyby się inaczej. – Wzrusza ramionami. – A może nie. – Rozgląda się dookoła i wzdryga, po czym pociąga długi łyk piwa. – Na wrzosowiskach jest coś, co dziwnie na mnie działa.

– To nie jest bezpieczne miejsce. Powinien pan wyjechać, wynieść się jak najdalej.

Brzuch mi się skręca. Te słowa pochodzą z przepelniającej mnie pewności, tak mocnej, że muszę się powstrzymać, by nie złapać Willa za rękę i nie odciągnąć stąd. W moim umyśle pojawia się jakiś przeblysłk z nocy. Odpycham go i skupiam się na tu i teraz.

– To brzmi bardzo podobnie jak tamto, co Izzy powiedziała mi lata temu. Rozumiem aluzję. – Dopija zawartość kufla. – Dzięki za piwo – zwraca się do Zaka.

Odchodzi wolno w stronę hotelu i znika w środku.

Wracam z Zakim do domu babci, po drodze zabieramy Piper. Zak mówi mi, że Will wychylił dwa kufle, jeden po drugim, zanim wyszedł, żeby się ze mną zobaczyć. Wydawał się autentycznie wstrząśnięty tym, że Izzy nie żyje – zabawne, że myślę teraz o niej jako o I z z y. Isobel wydaje mi się obecnie bardziej realną, trójwymiarową osobą niż kiedykolwiek za życia. Rozumiem, że się buntowała, flirtowała w barze i wychodziła z Willem na złość swojej matce. Co ją zmieniło w tę zimną kobietę, którą znałam?

Pomimo tego, jak ten związek się skończył, być może coś dla niej znaczył – może wtedy z kroplami deszczu mieszały się łzy, może go naprawdę kochała. Patrząc na niego teraz, trudno uwierzyć, że to w ogóle możliwe. Ale nawet jeżeli dla niej to nie było realne, dla niego owszem, było. A ona go odprawiła i złamała mu serce. Nigdy mu o nas nie powiedziała, przez wszystkie te lata. Jak mogła?

Piper wypytuje nas po drodze o spotkanie, a ja pozwalam, żeby na jej pytania odpowiadał Zak. Wygląda na tak przygaszoną, jak ja się czuję. Nie pyta, czemu odprawiłam Willa, tak jak zrobiła I z z y kilkanaście lat temu, i cieszę się z tego. Jak mogłabym to wyjaśnić, skoro sama za bardzo nie wiem?

Chciałam poznać swojego prawdziwego ojca i oto moje pragnienie się spełniło. A potem powiedziałam, żeby sobie poszedł. Nie dlatego, że nie chcę go więcej widzieć; jakoś poczułam się do tego z m u s z o n a.

Babcia schodzi na dół na obiad i nie wydaje się zaskoczona widokiem Zaka. Nie robi na ten temat żadnych uwag. Patrzy tylko na niego smutno.



# P I P E R



*Ta noc ma cel, zamiar – zadanie do wykonania.  
Przybądźcie. Wybierzcie się dziś ze mną na łów!  
Wywołuję je z drzew i zaczynamy znowu.  
Księżyc kryje się za chmurami. Wrzosowiska są ciemne, niebezpieczne. Lecz  
nie dla nas.  
Biegniemy koło siebie bok w bok. Ta ofiara porusza się wolno i potyka*



*w ciemności. Wiatr niesie ostrą woń jej lęku, łatwo pędzi się za tym tropem.*

*Niech biegnie. Niech cierpi, jak cierpiała ona.*

*Trzymamy się nieco z boku, kierujemy go tam, gdzie chcę, żeby trafił.*

*Upada, podciąga się, znowu pada, ale tym razem już nie wstanie. Wpadł w grzęzawisko, na które go zapędziliśmy. Miota się, pogrąża coraz głębiej, tkwi w bagnie coraz mocniej.*

*Czekamy, aż chmury odpłyną. W blasku księżyca ukazuje się cień śmierci, wyraźny na jego skórze jak ropień.*

*Widzi wokół siebie nasze błyszczące oczy. Jego krzyk szybko milknie, kiedy oszalali od krwi, rozrywamy mu gardło.*

*Od gorącej, upajającej krwi.*



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Tej nocy znów biegnę z Dzikim Łowem.  
Próbuję go opuścić, wrócić do swego ciała, ale nie mogę – trzyma mnie  
w swym uścisku.  
Gdy wreszcie jest po wszystkim, wracam do siebie i płaczę.



# P I P E R



Wymykam się przez frontowe drzwi w ciemność, wreszcie rezygnując ze snu. Przepelnia mnie nerwowa energia; idę do furtki. W powietrzu czuć wilgotny ziąb zapowiadający zimę. Ostatnie liście poddały się i opadły z nagich gałęzi, żeby dołączyć do rozkładających się przyjaciół na ziemi – martwych i umierających, szeleszczących pod moimi stopami. Tak musi już być: stare umiera, aby pozwolić żyć młodemu.

Wściekłam się na to, przez co musiała przejść moja przodkini. Wściekłam się też na Willa Hamleya. Kiedy patrzyłam na niego wczoraj przez lornetkę, widziałam to nawet z takiej odległości. Był p l u g a w y. Na myśl o tym, że dotykał mojej matki, zrobiło mi się niedobrze. Jak mogła dopuścić, żeby się do niej zbliżył?

Niebo zaczyna jaśnieć. Słońce usiłuje wzejść, rzucając różowe smugi na nisko wiszące chmury. Znosi się na malowniczy wschód.

Wślizguję się do domu i budzę Zaka. Włosy ma zmierzwiłone, oczy półotwarte. Kusi mnie, żeby wsunąć się z nim pod ciepłe przykrycie, przytulić się do jego ciepłej skóry, poczuć gorącą krew, która – s-stuk, s-stuk – pędzi przez jego ciało w rytm bicia serca.

*Gorąca, radosna krew. Ciemny głód w środku...*

Mocno potrząsam głową, biorę go za rękę i wyprowadzam na zewnątrz.

Stoimy w milczeniu w półmroku, objęci ramionami, i patrzymy. Niebo wkrótce zaciąga się na pomarańczowo i różowo, poznaczone smugami chmur: białymi, szarymi i błękitnymi.

– W porządku, Piper – mruczy mi Zak do ucha. – Zdaje się, że to było warte wstawania i zamarzania prawie na śmierć. A teraz może się napijemy herbaty?

– Mięczak z ciebie. Wcale nie jest tak zimno. Ale jeśli nalegasz...

Idziemy do drzwi, zatrzymujemy się na stopniu i spoglądamy za siebie w niebo.

– Zaczekaj chwilę – mówi Zak. – Chyba mamy towarzystwo. – Oslania oczy dłonią i wpatruje się we wzgórze. – Tak. Jedna osoba... zdaje się, że kobieta... idzie tu do nas.

Znajduję miejsce, na które patrzy: samotna postać zstępuje zboczem z góry.

– Interesujące. Ciekawe, kto to może być. Zostań tutaj i pilnuj. Obudzę Quinn. Jeżeli ktoś przyjdzie, jedna z nas musi się ukryć.

Quinn wciąż leży pod przykryciem, ale kiedy do niej podchodzę, oczy ma otwarte i wpatrzone w sufit.

– Quinn? – Nie porusza się. – Quinn? – powtarzam.

Wolno odwraca do mnie głowę. Oczy ma zaczerwienione.

– Co?

– Ktoś schodzi ze wzgórza. Wygląda na to, że idzie tu do nas.

Nie odpowiada.

– Wiesz, kto to może być?

Wzdycha.

– Oczywiście. Powinam była sobie uświadomić, że znowu się zacznie, skoro babcia z powrotem jest w domu.

– No, kto to jest i co powinniśmy zrobić? Chcesz się schować czy ja powinienam?

Wzrusza ramionami.

– Schowaj się, jeśli chcesz. Możesz spokojnie zostać w tym pokoju. Nigdy tu nie zachodzą. Ale musimy zapytać babcię, czy chce przyjąć gościa.

– Ja to zrobię. A ty ogarnij się czy coś.

Pędzę po schodach na górę, pukam do drzwi babci, potem otwieram je i zaglądam. Jest na nogach, ubrana, upina sobie białe włosy. Mówi, nie odwracając się do mnie:

– Tak, wiem, kto się zbliża. Zaraz do niej zejść.

Zostaję we frontowym pokoju, tak jak sugerowała Quinn, i nasłuchuję. Drzwi się otwierają, wchodzi Zak z tym kimś. Quinn wita się, dziękuje i mówi, że „ona zaraz przyjdzie”.

Rozlegają się kroki na schodach, potem pomruk głosów. Otwierają się jakieś drzwi, zamykają i już ich więcej nie słyszę.

Wchodzą do mnie Quinn i Zak, zamykają drzwi. Siostra ma w rękach torbę.

– Co to jest? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Zapłata. – Zagląda do środka. – Zobaczmy: pieniądze. Herbata, świeży chleb. Jajka.

– Zapłata za co? – pyta Zak.

– Za to, czego ta kobieta chce: powodzenia, spełnienia jakiegoś życzenia...? – Wzrusza ramionami. – To stała klientka. Pewnie się dowiedziała, że babcia wróciła, po tym jak poszliście do hotelu i powiedzieliście o tym Karen i Lyndsay.

– Ile im to zajmie? – pytam.

Quinn znów wzrusza ramionami.

– Zazwyczaj trwa jakąś godzinę. Może trochę więcej, bo miała dłuższą przerwę.

Klaszczę w dłonie.

– Mam ochotę na jajecznicę na śniadanie. Zak, czy mógłbyś rozpalić ogień w kuchni?

Quinn wręcza mu jajka. Gdy Zaka już nie ma, uśmiecham się do siostry.

– Godzinę? To daje nam trochę czasu.

– Na co?

– Na przeszukanie babcinej sypialni, oczywiście. Obiecałaś pomóc mi znaleźć moje dziedzictwo. Chodźmy na górę, dopóki babcia jest zajęta. No już.

Wyglądam na korytarz. Drzwi od pokoju do czytania są bezpiecznie zamknięte. Daję znak Quinn, żeby szła za mną na górę.

Wchodzę do babcinej sypialni, ale Quinn zatrzymuje się w drzwiach.

– Nie stój tak, pomóż mi.

Przetrzęsałam już wcześniej ten pokój, lecz wtedy nie wiedziałam, czego

szukam. Teraz wiem – Księgi Kłamstw.

Zaczynam otwierać szuflady, gmerać w nich i wymacywać dno od spodu, na wypadek gdyby książka była przyklejona do drewna od dołu. Quinn wchodzi powoli do pokoju i staje obok. Czy wie?

– Pomogłoby, gdybyśmy wiedziały, czego szukamy – zagaduję, patrząc na nią z bliska. Czy coś przede mną ukrywa? – Wiesz, co to jest?

Wzdycha.

– To może być książka.

Na dole otwierają się drzwi.

Ktoś wchodzi po schodach na piętro, wolno i ostrożnie: to babcia. Krzyżujemy spojrzenia.

– Nie trwało nawet w przybliżeniu godziny – mówię.

– Łóżko – szepcze Quinn. – Zmieniamy pościel.

Jednym zamaszystym ruchem zrzuca pościel i zaraz wyjmuje z szuflady świeżą. Rzucam się jej na pomoc, gdy otwierają się drzwi.

Staje w nich babcia i patrzy, co robimy. Quinn oblewa się rumieńcem.

– Pomyślałam, że zajmie ci to dłużej – wyjaśnia. – Sprzątam ci tu trochę.

Babcia wygląda jak chmura gradowa.

– Słyszałam różne rzeczy. Rzeczy, które mnie bardzo zaniepokoiły.

– O? Co takiego? – pytam.

– Zdaje się, że po raz pierwszy od wielu lat wrócił z wizytą pewien dawny mieszkaniec tych stron. Był wczoraj w Dwóch Mostach. Pewnie nic o tym nie wiecie?

– Oczywiście, że nie. Kto to był? – odzywam się szybko, żeby wyprzedzić siostrę. Nigdy nie wiadomo, co mogłaby powiedzieć.

– Myślę, że wiecie – mówi babcia.

– Nasz ojciec – odpowiada miękko Quinn, nie zważając na moje uciszające spojrzenie.

– Tak. Ten chłopak od Hamleyów – potwierdza babcia, niemal wypluwając nazwisko. – Lecz to nie wszystko. Wieczorem wybrał się na spacer po wypiciu zbyt wielu piw. Jego samochód wciąż stoi przy hotelu, ale nikt nie wie, co się stało z nim samym. Zorganizowano poszukiwania. Co znajdą?

Twarz Quinn jest blada, pełna bólu.

– Pewnie gdzieś sobie przysnął – rzucam i wzruszam ramionami. Staram się, żeby moja twarz niczego nie wyrażała, mimo że jestem wstrząśnięta. C o z n a j d a ?

– Są również doniesienia o brutalnych atakach na żywy inwentarz i o turystach, którzy obozowali na wrzosowisku i zgłoszono ich zaginięcie. Szuka ich oddział ratowniczy. Podejrzewa się, że rozpętano łowy. – Babcia wyciąga rękę. – Podejdźcie – rozkazuje.

Quinn zbliża się do niej wolno, ja chcę zignorować polecenie, ale znów jakiś wewnętrzny przymus każe mi jej posłuchać, a im bardziej mu się opieram, tym jest silniejszy. Wzruszam ramionami. Co to ma znaczyć? Poddaję się i staję obok siostry. Babcia bierze jej lewą rękę, moją prawą i trzyma je w swoich dłoniach. Palce ma twarde, kościste. Oczy surowo spoglądają najpierw w moje, a potem w oczy Quinn.

Babcia puszcza nasze ręce i zapada się w sobie.

– Proszę, dla swojego własnego dobra posłuchajcie. Nie dopuszczajcie już więcej do siebie ciemności. Jej moc rośnie. Jeżeli nie zdołacie jej okiełznać, zawładnie wami.

Później niebo ciemnieje i wiatr się wzmaga. Dartmoor jest jak burzowa stolica świata. Zak i ja idziemy rozprostować nogi na zewnątrz i sprawdzić pogodę.

Chwytam go mocno za rękę. Bez względu na to, jak prawdziwe łowy wydawały się tym razem, wystraszyło mnie usłyszane od babci potwierdzenie, że Hamley zaginął i tamci turyści też.

Ten łów odbywa się naprawdę. Ci ludzie rzeczywiście zginęli.

C z y m j e s t e m? Panika skręca mi wnętrzości; moje serce przyśpiesza ze strachu, odrazy i...

Jesteś silna. Silna i pełna mocy. Przyjmij to, czym jesteś, i korzystaj z tego; bądź teraz silna. Chroń siebie.

Panika ustępuje. Serce zwalnia.

Czymkolwiek jestem, nikt się nie musi dowiedzieć. Winę można zrzucić na kogoś innego.

– Piper, coś nie tak?

– Zak, boję się.

Obejmuje mnie za ramiona.

– Nie martw się, Piper. Ochronię cię przed wszystkim, czym Matka Natura w nas rzuci.

– Nie boję się pogody, matolku.

– Nie? No to czego?

– Babcia mnie nastraszyła. Powiedziała nam, że Will Hamley nie wrócił do hotelu. – Zdaję mu relację z tego, co usłyszałyśmy. – I wciąż daje nam te straszliwe ostrzeżenia, żebyśmy nie dopuszczały do siebie ciemności. Bo jeśli to zrobimy, ta ciemność nami zawładnie. – Udaję, że mam dreszcze.

– To tylko przesady i dziwactwa. Nie pozwól, żeby cię denerwowała.

– Chodzi nie tylko o to. O Quinn też. Wygląda, jakby nie sypiała po nocach, i tak dziwnie patrzy. Unika kontaktu wzrokowego ze mną czy z babcią. Jakby coś ukrywała.

Zak marszczy brwi, potrząsa głową.

– Ty coś wiesz. O co chodzi? Musisz mi powiedzieć.

– Coś dziwnego zdarzyło się, kiedy poszedłem z Quinn po węgiel. Wracaliśmy, gdy nagle się zatrzymała. Zostawiła taczkę i zeszła ze ścieżki. Poszedłem za nią i... – waha się.

– I co?

– Były te owce. Martwe, w strasznym stanie. Wyglądało na to, że napadły je jakieś dzikie zwierzęta. Choć nie wiem, co mogłoby być na tyle duże, żeby tak potraktować owce.

– A ona poszła prosto do nich?

– Tak.

Wzdrygam się, prawdziwy szok wstrząsa mną do szpiku kości.

– Skąd wiedziała, że tam są? – mówię, nie zdając sobie sprawy, że myślę na głos. To były moje łowy, skąd Quinn wiedziała, dokąd iść? Czy była świadkiem polowania? Zapewne. Jak albo dlaczego dołączyła, nie wiem. Czy to z powodu łączącej nas więzi, o której mówiła babcia?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Zak. – Może znalazła je przez przypadek. To wariactwo myśleć, że miała z tym coś wspólnego. Z tym albo z zaginięciem Hamleya. Zupełne wariactwo.

– Taaak... Ale czasami zdarzają się i wariactwa. – Sama wiem o tym najlepiej.

Jego ramiona ściskają mnie mocno.

– Dlaczego stąd nie wyjedziemy? Zrobiłaś, co chciałaś: zobaczyłaś miejsce, gdzie mieszkały wasza mama i Quinn, poznałaś babcię. Wracajmy do domu.

– Jeszcze nie. – M o j e d z i e d z i c t w o korci mnie od środka; muszę je odnaleźć. Ale czy nawet potem zechcę kiedykolwiek wrócić? Myślę o tacie i nagle dopada mnie tęsknota za domem: za nim, za przyjaciółmi, za normalnym życiem. A przynajmniej za udawaniem, że jestem normalna, taka jak wszyscy. Czuję, że w oczach pieką mnie łzy.

To jest teraz twój dom.

Tak. Mrugam, żeby odgonić łzy. To jest teraz mój dom. Mój dom; moje dziedzictwo. Ale co z Quinn?

– Zak, obiecaj mi coś. Obserwuj Quinn, miej na nią oko. Dopilnuj, żeby z nią było w porządku, żeby nie wpakowała się w coś dziwnego. Zrobisz to dla mnie?

– Czy lepiej się wtedy poczujesz?

Kiwam głową. Skoro Quinn śledziła mnie podczas łowów i nikomu o tym nie wspomniała, zapewne coś knuje. Czy chce dostać w ręce Księżę Kłamstw? Nie znajdzie jej sama, jeżeli któraś z nas wciąż będzie przy niej.

Zak pochyla się i całuje mnie w czoło.

– Więc oczywiście będę jej pilnował.





Q

U

I

N

N



Wreszcie przychodzi moja szansa. Babcia jest wciąż na górze, gdzie była przez cały dzień. Zak i Piper wyszli na spacer.

Wymykam się z domu i nie zatrzymuję, nawet żeby wziąć okrycie, mimo że najwyraźniej zanoszą się na burzę. Zaraz zapewne wrócą; nie chcę, żeby mnie zauważyli i zatrzymali.

Muszę to zrobić. **M u s z ę w i e d z i e ć.**

Chora pewność w moich wnętrznościach już wie. Potrząsam głową, odpycham ją od siebie.

Wyruszą ścieżką, którą szliśmy do Wistman's Wood. Wiatr wzmaga się coraz bardziej, podnosząc dokoła słabe odgłosy, jakby całe wrzosowisko ruszało w pogoń. Przyśpieszam kroku.

Już prawie jestem na miejscu – przy grzędawisku, które wtedy pokazałam Zakowi i Piper. Tym, w które wetknęłam patyk, żeby im pokazać niebezpieczeństwo.

Ale opuszcza mnie chęć, by iść dalej. Przystaję. Lepiej jest wiedzieć czy nie wiedzieć? Mogłabym wrócić. Jeżeli moje oczy nie potwierdzą tego, czego się boję, mogłabym udawać, że nigdy się nie zdarzyło.

Stoję tam, wiatr szarpie mi włosy, zimno przenika na wskroś przez cienki sweter. Wrzosowiska ożyły, wszystko się porusza, szeleści, przemawia do mnie oskarżycielskimi głosami.

Krok do przodu. Jeszcze jeden. Zdrętwiałam z zimna i strachu. Idę ze wzrokiem utkwionym tuż przy stopach; chcę spojrzeć w przód, ale się boję.

Wreszcie się zatrzymuję. I zmuszam do tego, by wolno podnieść oczy.

A one odmawiają zarejestrowania tego, co widzą. Wysyłają do mózgu mieszaninę szczegółów, które fruują luźno, nie łącząc się w całość.

„Spróbujmy pojedynczo”.

Kolory: zieleń grzędawiska. Rude włosy zmatowiałe od ciemnej krwi w gasnącym świetle.

Twarz rozszarpana, nie do rozpoznania, ale wiem aż za dobrze, że to on. Byłam tu.

M ó j o j c i e c.

Biegł tak szybko, jak mógł. Potknął się, upadł, wstał i znowu pobiegł, oślepiiony strachem.

K o c h a ł I z z y.

To my zatrzymałyśmy go, przywołały w to miejsce, na śmierć.

Był przerażony. Ale niedługo.

P r z y j e c h a ł, ż e b y s i ę z e m n ą z o b a c z y ć.

Ostrzegłam go; kazałam mu wyjechać.

Nie posłuchał. A teraz nie żyje. Ojciec, którego dopiero co odnalazłam, nie żyje.

Ciemność, przed którą zawsze ostrzegała babcia, dopadła mnie, prawda? Wreszcie się o mnie upomniała. Nic już nie mogę zrobić – nie mogłam zrobić nic, by to powstrzymać.

– Quinn? O mój Boże.

Odwracam się na pięcie, policzki mam mokre od łez. Przede mną stoi Zak, wytrzeszczając oczy ze zgrozy.

- Czy to... czy on...
- Tak, to nasz ojciec. I nie żyje.
- Co się stało?

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. Wiem, jak zginął, ale nie mam pojęcia, jak do tego doszło, jak się tutaj znalazłam w innej formie, jak mogłam to zrobić. Drzę cała, łzy płyną mi po policzkach.

Zak waha się, po czym robi krok w moją stronę. Kładzie mi dłoń na ramieniu, przyciąga mnie do siebie bliżej i przytula na chwilę. Wyjmuje z kieszeni telefon, spogląda na ekran.

– Nie ma zasięgu. Chodź, pójdziemy tam, skąd będzie można zawiadomić policję.

Bierze mnie za zimną rękę i zaczynamy się oddalać od tego miejsca. Zerkam za siebie. Wysoko na skałach stoi lisica i patrzy.

- Quinn, muszę cię o coś zapytać.
- Tak?
- Skąd wiedziałaś, gdzie go szukać?

Nie odpowiadam. Chwilę później pytam:

- A skąd ty wiedziałeś, gdzie mnie szukać?
- Szedłem za tobą.

Po tym, zdaje się, nie ma już więcej nic do powiedzenia.

Idziemy na Wisht Tor. Wicher jest jeszcze bardziej porywisty; niebo ciemne, lecz nie dlatego, że zaszło już słońce.

Zak wyjmuje telefon, wybiera numer. Co powie policji? Nie zależy mi na tym.

- Halo, tutaj... – urywa i klnie pod nosem.
- Co się stało?
- Bateria padła. Będziemy musieli pójść do hotelu i zadzwonić stamtąd.

Kiedy jeszcze to mówi, niebo przecina gwałtowny błysk. Rozlega się przepotężny trzask gromu – ogłuszający huk tak bliski, że rzuca nas na ziemię.

Piorun uderzył w Wisht Tor, najwyższy punkt w okolicy, od którego dzieliły nas zaledwie metry. Skały są osmalone, unosi się z nich dym. W powietrzu czuć dziwny śwąd.

- Nic ci nie jest? – pyta Zak.

Pomaga mi wstać i w tym momencie z nieba zaczynają się lać potoki wody. Zak patrzy w górę i znów przeklina.

– Zbyt niebezpiecznie iść do hotelu w taką burzę. Musimy przeczekać, aż minie. Chodź. Wracajmy do domu.



**P**

**I**

**P**

**E**

**R**



Czasami bezpośrednio popłaca.

Stawiam na tacy herbatę, kładę ciasto cytrynowe i niosę to na górę. Pukam raz i otwieram drzwi.

– Cześć, babciu. Przyniosłam ci ciasto. – Uśmiecham się, jakby nas nigdy nie wystraszyła opowieściami o ciemności i innych rzeczach. Idę z tacą przez pokój, zanim zdąży kazać mi się wynosić.

Stawiam rzeczy na stole koło łóżka. Babcia zerka, widzi dwa kubki i potrząsa głową.

– Zostaw to i wyjdź.

Znów się uśmiecham i siadam na krześle obok niej.

– Musimy we dwie porozmawiać.

Spogląda na drzwi.

– Gdzie są Quinn i Zak?

Wzruszam ramionami.

– Quinn poszła na spacer, a Zak za nią.

– W taką pogodę?

Wyjący wiatr zdaje się z gwizdem wdzierać do wnętrza przez kamienne ściany. Kilimy na ścianach ożywają i chwieją się lekko wraz z zimnym powiewem przenikającym wokół ich krawędzi do pokoju.

Nalewam herbatę, przysuwam jeden kubek dla babci, drugi biorę sama. Upijam łyk i patrzę na nią ponad brzegiem kubka.

Coś związanego z Willem Hamleyem i tym, co usłyszała, jakby spuściło z niej powietrze. Wygląda na starą, zmęczoną – zwyczajną staruszkę, nie tak przerażającą jak zazwyczaj.

– Babciu, miałam nadzieję, że możemy być ze sobą szczerze. Możesz mi powiedzieć, czym jest to dziedzictwo?

Kręci głową.

– Sama to musisz odkryć.

– Może by pomogło, gdybym ci powiedziała, co wiem.

Podnosi wzrok, patrzy mi w oczy.

– Mów.

– Wiem o pogorzeliśku.

– Ze s n ó w, które ty i Quinn miałyście wiele lat temu?

– Nie tylko. Wiesz, poszłam tam zeszłej nocy.

Znów kręci głową.

– Nie powinnaś była tego robić. Teraz to cię dopadło. Ale może i tak nie robi to różnicy. Może zawsze miało cię w posiadaniu.

– Dlaczego nigdy nie mówisz wprost? – Marszczę brwi, potrząsam głową, po czym znów się uśmiecham. – Tak czy inaczej, babciu, wiem, co się wydarzyło. To była jakaś nasza przodkini?

– Tak. Aggie z Black-Woods, Aggie z Czarnego Lasu. Ci Hamleyowie potraktowali ją jak zwierzę. – Dosłownie wypłuka ich nazwisko.

– Powiesz mi, czemu to zrobili?

– Chcieli tej ziemi, żeby móc swobodnie polować na lisy ponad trzysta lat temu. A ona nie sprzedała gruntu. Ścigali ją więc ze swoimi ogarami i spalili jej dom, a ona spłonęła w środku.

– Ale to nie jest cała historia, prawda? Była książka, w której ona zapisała coś, zanim zmarła. Żeby wyrzucić zemstę na nich i na całym ich rodzie. I to jest szczegółowo udokumentowane w tej skrzynce, którą masz w pokoju: wszystkie te ponure rzeczy, które im się przydarzały pokolenie po pokoleniu.

– Tak. Od tamtej pory wszyscy u nich za to płacą. I my też. Jedno przychodzi kosztem drugiego. Cena jest bardzo wysoka, Piper. – Potrząsa głową. – A co się przydarzyło Willowi Hamleyowi? Biedna Isobel. Wiesz, ona go kochała. Zerwała z nim, żeby go uratować.

Wzdrygam się. Jak mogła kochać tego mężczyznę, właśnie jego?

– Jak ta książka działa, babciu?

– Cokolwiek jest zapisane w Księdze Kłamstw, staje się prawdą. Zaczęło się od prostych rzeczy: powodzenia, zdrowia, miłości, ale przeszło w ciemniejsze sprawy. Napisz w księdze, że ktoś, kto żyje, jest martwy, a naprawdę umrze. Zapisz klątwę, jak Aggie, a ona się spełni. Ta książka wzmacnia każde zanotowane w niej kłamstwo znacznie bardziej, niż mogłabyś to zrobić, po prostu wypowiadając je na głos, ponieważ wtedy wierzą w nie tylko ci, którzy go słuchają. Zresztą robisz to często.

Nie zwracam uwagi na potępienie w jej oczach.

– Jak nam kiedyś powiedziałaś, tylko jedna z nas może odziedziczyć tę księgę.

– Tak. Jedna w każdym pokoleniu.

– Gdzie ona jest teraz?

Wzrusza ramionami.

– Była w domu Aggie, gdy się spalił.

– Ale to nie był jej koniec.

– Nie. Została bezpiecznie ukryta. Przyjechała jej córka i znalazła księgę. Po latach przebudowała stodołę, w której do dziś mieszkamy.

– Gdzie jest księga? – pytam ponownie.

– Nie wiem.

– Kłamiesz.

– Kłamię? – Teraz to ona się uśmiecha. – Może tak, może nie. Lecz jest coś jeszcze, co wiem ja, a ty być może nie.

– Co takiego?

– Isobel tuż przed śmiercią wysłała mi wiadomość.

Tego się nie spodziewałam.

– Tak? A o czym?

– Stwierdziła, żeśmy się pomyliły i musi się ze mną zobaczyć. Ale nie zdążyła przyjechać. Co się stało z twoją matką, Piper? Powiedz mi prawdę.

– Znasz tę historię z gazet, Quinn pokazała ci wycinek prasowy. Przez niego trafiłaś do szpitala.

– Ty mi opowiedz, chcę to usłyszeć od ciebie.

– Nie było mnie przy tym. – Sączę herbatę. – To była banda psów. Stróżujących, dużych i złych. Wyrwały się i poszwały na wolności.

Oczy babci napęniają się łzami.

– Moja Isobel... To zgroza, że tak umarła. Psy, jak ogary Hamleya tyle lat temu. Jak Ogary Czarownic wtedy i dzisiaj.

– Nie umarła wtedy, nie od razu. Żyła jeszcze, kiedy policja znalazła ją następnego ranka. Umarła później w szpitalu.

Babcia patrzy na mnie z przekrzywioną głową, jakby coś rozważała. Oczy się jej rozszerzają.

Na dole otwierają się drzwi.

– Quinn! – woła babcia głosem mocniejszym, niżbym się po niej spodziewała. Wtem zaczyna się trząść. Kolor odpływa z jej twarzy, ręce kurczowo chwytają za pierś.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Otwieram drzwi. Piper tam jest, przy łóżku babci. Odwraca się.

– Chyba ma kolejny udar czy coś.

– Babciu! – Biegnę do niej przez pokój. Leży w łóżku na plecach, z zamkniętymi oczami. – Babciu, babciu – powtarzam. Bez odpowiedzi. Biorę ją za rękę, jest wiotka. Przykładam palec do szyi, wyczuwam puls, oddech i zalewa mnie fala ulgi. – Oddycha, serce jej bije – mówię. – Co się stało?



– Nie wiem! W jednej minucie rozmawialiśmy i nagle złapała się za pierś i opadła na łóżko.

– Trzeba wezwać karetkę.

Na zewnątrz z hukiem uderza piorun, deszcz bębni w dach niemal ogłuszająco.

– Nie możesz wyjść w taką pogodę – sprzeciwia się Piper. – To zbyt niebezpieczne. Niech Zak zadzwoni.

– Telefon mu padł.

Gładzę włosy babci i biorę ją za rękę.

– Babciu, proszę, wyzdrowiej – szepczę, wstrząśnięta tym, jak bardzo mi na niej zależy.

To jak objawienie. Pomimo wszystko żywię do niej głębokie uczucia, które do tej pory były zagrzebane gdzieś tam w głębi. Czy to dlatego zadzwoniłam do szpitala z Winchesteru, żeby zapytać, czy z nią w porządku? Może gdyby nawet Piper nie chciała tutaj przyjechać, babcia i tak w końcu przyciągnęłaby mnie z powrotem.

Być może jestem w stanie przyznać to teraz, ponieważ widziałam swoje oczy odbite w oczach babci. Od tego momentu, kiedy przyjechaliśmy do niej do szpitala, a ona powiedziała, że mogę zatrzymać bransoletę Isobel; od pierwszego wieczoru, kiedy usłyszałam od niej coś, czego nigdy bym się nie spodziewała: że przeprasza. Przez tyle lat wydawała się okrutna, ale czy to nie brało się z tego, że jej na mnie zależało, że chciała mnie chronić przed ciemnością? Jakkolwiek nietrafione mogły być jej wybory, w końcu zaczynam rozumieć, co nią kierowało.

Piper schodzi na dół, żeby powiedzieć Zakowi, co się dzieje. Chwilę później babcia porusza się lekko. Otwiera oczy, toczy dzikim wzrokiem po pokoju, potem rozluźnia się.

– Quinn – mówi.

– Tak, babciu, jestem tu. Będzie dobrze, wyzdrowiejesz.

Wzrusza ramionami.

– Stara jestem, stara. Może mam już dość. – Uśmiecha się słabo, ale i ten półuśmiech błednie.

Biorę ją za rękę, a ona się krzywi, więc patrzę na jej dłoń.

– Babciu, ty krwawisz. Zraniłaś się? Pójdę po bandaż. – Zrywam się, żeby wyjść.

– To teraz nieważne, mała ranka. – Potrząsa głową. – Piper.

– Chcesz, żebym po nią poszła?

– Nie! Quinn, musisz mnie posłuchać.

– Słucham, babciu.

– Piper, psy i Isobel, od tego się wszystko zaczęło. Musisz powstrzymać ogary.

Czy babcia w swoim umyśle powędrowała do przeszłości?

– Isobel spoczywa już w spokoju, babciu.

– Nie, nie, musisz powstrzymać Ogary Czarownic. Nasza przodkini, Aggie z Black-Woods, uwięziła swych wrogów jako Ogary Czarownic. Myśleli, że ją zniszczyli, ale ona wróciła pod postacią lisicy. Poprowadziła ich do lasu, zniszczyła i uwięziła w drzewach. I tak to się ciągnie.

Na dole rozlegają się kroki.

– Słuchaj – mówi babcia surowo. – Kiedy się urodziłyście, miałam wizję, że jedna z was, Piper, będzie niebezpieczna dla nas wszystkich. Powiedziałam Isobel, że zatrzymam tę niebezpieczną i będę jej zawsze pilnować, ale podmieniłam niemowlęta bez jej wiedzy. Zamieniłam cię na nią, żebym mogła cię strzec. Nigdy nie sądziłam, że wrzosowiska przywołają Piper z tak daleka, że mieszkając daleko stąd, będzie w stanie kontrolować swą moc. Biedna Isobel. Myślałam, że bransoleta, którą ukradła mi wiele lat temu, będzie ją wystarczająco chroniła, ale się myliłam.

– Co przez to rozumiesz, że nas podmieniłaś? – Wpatruję się w babcię bardziej zszokowana tym niż czymkolwiek innym. Czy to, jak Isobel traktowała mnie przez wszystkie te lata, wynikało z pomylenia tożsamości?

– Kiedy powiedziałam Isobel, że zniszczysz swoją rodzinę i ukradniesz życie siostrze, pomyślała, że to ty jesteś tą niebezpieczną, tą, przed którą trzeba się strzec. Myliła się.

– A więc to nieprawda, że jestem tą złą połówką?

Nie odpowiada.

– Quinn, musisz być silna. Zerwij więzy z Piper, bo inaczej obie zginiecie.

Wpatruję się w nią, niezdolna wykrztusić słowa.

Na dole otwierają się drzwi.

– I Quinn, mam nadzieję, że wystarczy ci odwagi, by zrobić to, czego ja nie dopełniłam.

– Co masz na myśli?

Słysząc kroki na schodach.

– Zdejmij bransoletę i idź do ruin, wtedy zrozumiesz – szepcze pośpiesznie babcia. – Ale potem musisz założyć bransoletę z powrotem. Ochroni cię.

Widać, że mocno w to wierzy, ale bransoleta nie obroniła Isobel.



# P I P E R



Zak przebiera się w suche ubrania, kiedy schodzę na dół, właśnie wkłada bluzę przez głowę. Wyciągam ręce, kładę je na jego cieplej skórze, a jego ramiona oplatają mnie w uścisku.

– Wszystko w porządku tam, na górze?

– Z babcią niedobrze. Miała coś w rodzaju ataku, potem odpłynęła. Potrzebuje lekarza.

– O nie. Nie damy rady wezwać pomocy, póki burza nie minie.  
– Quinn mówiła, że padła ci bateria w telefonie. Próbowaliście dokądś dzwonić?

– Tak, na policję. Muszę ci coś powiedzieć. To może być szokujące. – Bierze mnie za rękę i ciągnie na sofę. Siada, a ja sadowię się obok niego.

– O co chodzi?

– Poszedłem za Quinn, tak jak prosiłaś. Pamiętasz to grzęzawisko, które nam kiedyś pokazała? Poszła tam. Ale zachowywała się dziwnie. Najpierw prawie biegła, potem, kiedy już była bardzo blisko, zatrzymała się. Stała jak posąg. W końcu zaczęła znowu iść, nie podnosząc wzroku. Krok za krokiem, naprawdę powoli.

– I?

Zak wzdryga się.

– A tam, w grzęzawisku, był Will Hamley. Wasz ojciec.

Wpatruję się w Zaka. A więc Quinn znów dołączyła do łowów. Czy mnie szpiegowała? Przypominam sobie, że nie powinnam wiedzieć, o co chodzi, robię więc więc zszokowaną minę.

– Co masz na myśli? Utknął w bagnie? W porządku z nim?

– Nie, Piper. On nie żył.

– C o?

– Wyglądał, jakby go coś zaatakowało. Tak jak te owce, o których ci mówiłem wcześniej.

– O mój Boże. A Quinn tak po prostu tam poszła, tak jak do owiec?

– Tak.

– Wiedziała, gdzie to jest. Musiała wiedzieć. Tylko skąd?

Czy śledzi mnie, dokądkolwiek się udam, nawet jako duch podczas nocnych łowów? Nie powiedziała mi, że tam była; na pewno coś knuje. Może próbuje zebrać dowody, żeby mnie zdradzić. Muszę ją powstrzymać.

– Nie wiem. – Zak wyrzuca rękę w powietrze. – Nie mogę sobie wyobrazić, że Quinn miałyby coś wspólnego z tym, co przydarzyło się Hamleyowi, ale jeśli nie miała, to skąd wiedziała, gdzie go szukać? I sposób, w jaki podchodziła na końcu.... Jakby była pewna, że przed nią jest coś okropnego, i zmuszała się do każdego kroku.

– Posłuchaj mnie, Zak. – Biorę go za rękę i patrzę mu głęboko w oczy. – Quinn jest niebezpieczna.

– Nie mogę uwierzyć, że ona...

– Jest wiedźmą. – „Tak jak ja”, dodaję w duchu. – Jak jej babcia, ale Quinn nie potrafi tego kontrolować. Nie wiem jak ani dlaczego, ale jestem pewna, że zabiła naszego ojca. A ja mogę być następna. Nigdy nie zostawiaj mnie z nią samej.

Nie wybierze się w duchową podróż, jeśli stale będzie obserwowana. Nie znam innego sposobu, żeby ją powstrzymać.

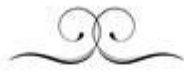
– To nie może być prawda – mówi Zak, a na jego twarzy zgroza walczy z niedowierzaniem. Nie chce uwierzyć, ale wierzy. Gdy ja coś mówię, nie ma innego wyboru.

– Babcia powiedziała nam kilka dni temu, że prawdziwym powodem, dla którego oddzielono Quinn ode mnie, była wizja babci: że jesteśmy w połowie dobre, a w połowie złe. Quinn została ukryta, bo jest niebezpieczna. Musimy jej pilnować, póki burza nie minie i nie będziemy się mogli stąd wydostać.

– A co z babcią? Czy nic jej nie grozi?

– Masz rację. Nie powinniśmy zostawiać ich obu razem. – Wstaję. – Zaczekaj tutaj. Ja będę siedziała z babcią. Miej oko na Quinn, Zak.

– Ciągle nie mogę w to uwierzyć – mówi, a jego mina zaprzecza słowom. – Ale zrobię, co każesz.



Q

U

I

N

N



Drzwi otwierają się i zagląda Piper.

– Jakież zmiany?

Babcia ma znów zamknięte oczy, oddech jej się wyrównał. W głowie mi wiruje od tego, co mi powiedziała.

– Bez zmian. Wciąż jest nieprzytomna – kłamie.

– Pozwól, że teraz ja będę przy niej czuwać. Ty musisz się przebrać z tych

mokrych ubrań.

Niechętnie zostawiam babcię, ale co ona sama powiedziała? Mam iść do ruin, wtedy zrozumie. Pogorzelnisko nie jest już dla mnie miejscem zakazanym, ale też nie takim, w które bym chciała iść. Wstaję wolno.

– W porządku. Wołaj, jeśli mnie będziesz potrzebować.

– Jasne. – Piper ma coś dziwnego w spojrzeniu. Odprowadza mnie wzrokiem, gdy idę przez pokój i wychodzę.

Powoli zstępuję po schodach, na dole czeka na mnie Zak.

– Co z nią? – pyta.

– Wciąż jest nieprzytomna – znów kłamię.

Idzie za mną do frontowego pokoju. Otwieram szafkę kredensu, gdzie mam upchnięte swoje rzeczy.

– Zamierzam. Muszę się przebrać w suche ciuchy. Możesz mi zrobić herbaty? – Udaję atak kaszlu.

– Oczywiście. Wracam za sekundę.

– I może grzanekę, dobrze? – dodaję, próbując zatrzymać go w kuchni nieco dłużej niż s e k u n d ę. Czy Piper kazała mu mieć na mnie oko? A może to sam Zak mi nie ufa? Ból skręca mi wnętrzności.

Wypada z pokoju tak szybko, że jestem tego pewna.

Nie mam czasu na zmianę ubrania. Odczekuję tylko sekundy, żeby Zak zdążył przejść do kuchni, po czym wymykam się na korytarz i ostrożnie, cichutko otwieram frontowe drzwi. Mając nadzieję, że wycie wiatru i szum deszczu zagłuszają skrzypnięcie, zamykam za sobą.

Chcę to sobie przemyśleć. Chcę rozważyć, czy pragnienie poznania prawdy wystarczy, by pchnąć mnie do tego, cokolwiek to będzie. Ale przede wszystkim boję się – nie tylko pogorzelniska. Boję się zdjąć bransoletę Isobel, choć tak naprawdę nie wiem, co się stanie, jeżeli to zrobię.

Brakuje mi jednak czasu do namysłu i na to, by się wycofać z zamierzenia. Czy chcę to zrobić, czy nie, mam pewność, że m u s z ę.

Teraz jest właściwa pora. Drzę cała, zarówno ze strachu, jak i zimna. Lodowata ulewa leje się na mnie z nieba, właściwie teraz bardziej to deszcz ze śniegiem niż sam deszcz. Robię krok do przodu. Palce mi zdrętwiały, zmagam się z zapięciem bransolety.

Zatrask odskakuje z brzękiem i bransoleta zsuwa mi się z nadgarstka. Wisi przez chwilę, dyndając na palcu. Zmuszam się, żeby ją wsunąć do kieszeni dzinsów.

I wszystko się z m i e n i a. W mojej głowie rozlega się pomruk; szepczące głosy, które nie do końca rozumiem. Coś popędza mnie naprzód.

Przekraczam resztkę dawnej ściany, za którą sterczy osmalona pozostałość komina.

– Tak – wzdycha coś w mojej głowie. – Już czas.

Przyklękam, od drzwi domu odgradzają mnie pozostałości komina. Mam nadzieję, że mnie zasłonią, gdy Zak i Piper zorientują się, że wyszłam. Deszcz jest lodowaty, ale grunt pod moimi kolanami ciepły i rozgrzewa się bardziej. Wyciągam ręce, chwytam kamienie...

I opadam na pogorzelsko.

*Przeżywam dawne zdarzenia. Pościg na wrzosowiskach.*

*Księga; zapisane w niej kłamstwa; kłamstwa, które stały się prawdą.*

*Pożar.*

*Strach i ból Aggie stają się moim udziałem.*

*I gniew.*

*Widzę i czuję każdą śmierć.*

*Najpierw umiera Aggie. A potem wraca. Jest lisicą – czarną lisicą o zjeżonym ogonie. Zwodzi swojego mordercę i jego psy, zaciąga myśliwych do Wistman's Woods. Oni padają pierwsi, zostają uwięzieni w czarnych drzewach – stają się częścią Dzikiego Łowu.*

*Potem śmierć każdego następnego Hamleya: ściganego, upolowanego. Rozdarte gardła, dusze uwięzione jako Ogary Czarownic. Skazane na to, by dołączać do łowów, ilekroć zażąda tego jakaś potomkini Aggie.*

*Babcia.*

*Albo Piper.*

*Albo ja.*

Krzyczę i krzyczę. Otwieram oczy i siłą odrywam ręce od ruin. Dłonie mam czerwone, krwistoczerwone – czy poparzyły się na kamieniach? Chwiejnie podnoszę się na nogi, wpatruję się w swoje ręce i wystawiam je na zimny deszcz.

Wszystko, co się wydarzyło, uruchomiła księga Aggie tyle już lat temu. To dlatego łów powrócił do Dartmoor. Ogary Czarownic zostały uwolnione i polują: najpierw na owce, potem na dwójkę turystów. A w końcu na naszego ojca – naszego wroga – Hamleya.

Czy sprawiła to Piper, kiedy przyłożyła moją rękę do drzewa? Czy to ja je wtedy wezwałam, czy ona?

Żołądek mi się wywraca ze zgrozy. Byłam tam. Czy to moja sprawa?

Nareszcie rozumiem, czym są kłamstwa, co czynią, dlaczego babcia mnie ostrzegęła, by nigdy nie kłamać. Mamy to we krwi – kształtujemy przekonania za pomocą słów. Jeżeli skłamię, ludzie mi uwierzą. Piper ma tak samo. Czy to dlatego Zak zawsze jej wierzy? Księga sprawia, że kłamstwa stają się prawdą, a to coś znacznie więcej, niż kazać uwierzyć osobie, która nas słucha.

W deszczu zaczyna się jakiś ruch, rozlegają się głosy. Piper i Zak idą do



mnie, nawołują.

Przez moje żyły pędzi gniew. Ból. Nienawiść tak czarna i tak głęboka, że wykręca mi duszę. Chwiejnie wychodzę z obrębu ruin.

– Quinn? Coś nie tak? – To Zak. Wyciąga do mnie rękę, ale minę ma przerażoną. Co Piper mu o mnie naopowiadała? Mówi mu kłamstwa, a on jej wierzy.

Zalewa mnie wściekłość. Piper stoi teraz obok niego. Ma na sobie odrażający znak: cień. Jest jedną z nich: w jej żyłach płynie krew Hamleyów.

Tak jak i w moich. Czy moja skóra też jest naznaczona cieniem? Obrzydzenie do samej siebie skręca mi żołądek.

Przez mój gniew przenikają wcześniejsze słowa babci. „Założ z powrotem bransoletę, Quinn. Ochroni cię”.

Waham się. Jeżeli ją założę, zablokuję zaklęcia. Nigdy dotąd nie widziałam cienia na twarzy siostry. Czy blokowała to bransoletka? Czy to oznacza, że ten cień jest czarem? Wsuwam dłoń do kieszeni i przekładam palce przez obręcz. Pałący ból w rękach natychmiast znajduje ukojenie.

Podnoszę wzrok i cień oszpecający Piper znika – pewnie jedno i drugie to zaklęcia.

Biorę do ręki wisiołek i docierają do mnie inne słowa babci: psy, Isobel, Piper. Dech mi zapiera, wypuszczam bransoletę.

– To ty zrobiłaś! – Wyciągam ręce do Piper, ale odskakuje.

Śmieje się.

– Co zrobiłam?

– Psy. Ty je napuściłaś. Zabiłaś naszą matkę!

Na jej twarzy maluje się zaprzeczenie; z głębi duszy przeziera walka, nawet strach.

– Nie zrobiłabym tego! – krzyczy Piper, ale jej kłamstwo zawisa w powietrzu ciemne i brzydkie, jak brzydki jest cień, który z powrotem wystąpił na jej skórę – paskudny, sączący zło ślad jakby pozostawiony przez pełznącego po jej twarzy oślizłego ślimaka.

Krzyczę i rzucam się na nią. Zak łapie mnie, przytrzymuje z dala od Piper.

– To szaleństwo. Uspokój się, Quinn.

Ale ja tego właśnie chciałam – żeby Zak poznał prawdę, a nie pozna jej, jeśli będzie wierzył w każde słowo mojej siostry. Rozluźniam się, przestaję się opierać, tak aby Zak mnie puścił. Jego chwyt słabnie. Przesuwam się odrobinę, żeby zasłonił mnie przed Piper.

I nakładam mu na nadgarstek bransoletę. Patrzy na nią, potem spogląda na mnie.

– Posłuchaj, Zak. Piper umie panować nad psami. Isobel została zabita przez psy. Poskładaj to i pomyśl!





# P I P E R



Zak odwraca się i wypuszcza Quinn. Wygląda na skołowanego, zdezorientowanego, jakby się właśnie obudził.

– Piper? – odzywa się do mnie. – Czy panowałaś nad psami, które zabiły waszą matkę?

Potrząsam głową.

– Jasne, że nie. Dlaczego miałabym to robić?

Moje słowa odbijają się echem w środku, ale nie ma w nich zbytnej pewności.

– Czy nawet teraz wierzysz w swoje kłamstwa? – pyta Quinn, a ja znowu potrząsam głową. Zaprzeczam temu, że kłamię, czy temu, że wierzę? – Przypomnij sobie, co zrobiłaś! – nalega Quinn.

Próbuję odepchnąć jej słowa, ale nie zostawiają mnie w spokoju. „Przypomnij sobie...”

Byłam taka zła na mamę. W końcu przyznała, że mam siostrę, bliźniaczkę, ale nie chciała mnie do niej zabrać. Wściekłam się do żywego. Byłyśmy na spacerze z Ness i odbiegłam, zostawiając ją z mamą. Poszłam tam, gdzie chodziłam, kiedy chciałam oderwać się od świata – do szkółki dla psów stróżujących. Znałam przejście na tyłach, którym można się było wśliznąć, gdy szkółka była zamknięta. Zdaje się, że z powodu tych psów nikt się tam zbyt nie przejmował zamykaniem.

Ale psy tym razem nie ukończyły moich nerwów. Było tak, jakby wchłonęły mój gniew, a potem uciekły. Nie zamknęłam zasuwki w bramie, więc wystarczyło, że ją pchnęły i już były na wolności. Wiedziałam, że to z mojej winy się wydostały, dlatego nigdy nikomu nie powiedziałam, że tam byłam.

Ale cała reszta...?

Czy moja wściekłość tak na nie wpłynęła, kazała im napaść na mamę? Czy rozszarpały ją, ponieważ w tamtym momencie gniewu chciałam, żeby to zrobiły?

Nie. Nie mamę.

– Nie! Nie zrobiłam tego. Nie mogłabym – wypieram się. Wypieram się prawdy.

– Ona kłamię, Zak – mówi Quinn. – Isobel nie chciała, żeby Piper mnie odnalazła, więc Piper ją zabiła. Cały czas mnie szukała.

– A dlaczego miałabym cię szukać? – zwracam się do siostry. I wreszcie to widzę, tak wyraźnie. Jej twarz jest naznaczona cieniem, który wyczuwałam i który od tak dawna przezierał, malując swój brzydki ślad na jej skórze. Sącząca się przez jej żyły krew Hamleyów skazuje ją na śmierć. Quinn powiedziała, że mi pomoże, że nie chce dziedzictwa. Ale to były kłamstwa, wszystko kłamstwa. Przepelnia mnie gniew.

– Wiesz dlaczego – odpowiada Quinn. – Chciałaś naszego dziedzictwa, Księgi Kłamstw, źródła mocy naszej rodziny. Potrzebowałaś mnie, żeby ją odnaleźć.

– To szaleństwo! Póki tu nie przyjechaliśmy, nie wiedziałam nawet, że ona istnieje. – Wyciągam rękę do Zaka, lecz on się odsuwa.

– O, czyżby? – rzuca Quinn. – Czy to dlatego przy pierwszej okazji zapytałaś babcię, co jest naszym dziedzictwem?

– Piper? Naprawdę to zrobiłaś? – dopytuje się Zak. – To z waszą mamą

i tamtymi psami?

Odwracam się do niego skonsternowana.

– Co w ciebie wstąpiło?

Mój wzrok skupia się na jego nadgarstku. Czy on ma bransoletę mamy? Marszczę brwi, przypominając sobie: Aggie ocaliła bransoletę i książkę. Czy to ta bransoleta? Czy ma jakąś moc? Nigdy nie byłam w stanie kontrolować mamy ani Quinn – czy to z powodu bransolety?

Ale ona nie ma jej teraz na sobie. Uśmiecham się. Wbijam wzrok w siostrę.

– Ty wiesz, gdzie jest ta księga, prawda? Powiedz mi, gdzie ona jest, Quinn. Zrób to teraz. – Nasączam swoje słowa perswazją.

Quinn marszczy brwi, jakby bolała ją głowa. Potem jej twarz się rozjaśnia.

– Nie próbuj na mnie więcej tych sztuczek.

– Nie martw się. Jeśli ta nie zadziała, mam mnóstwo innych, które możemy wypróbować. Gdzie jest księga?

– Nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym ci.

W ł a ś n i e. Potwierdza to, co podejrzewałam – chce tej księgi dla siebie. Nigdy nie chciała mi pomóc.

Skłamała. A teraz za to z a p ł a c i.

Zwołaj łów.

Przeciwko własnej siostrze? I Zakowi? Potrząsam głową. Nie, nie mogę, nie mogę, nie...

Musisz. Jesteś silniejsza, udowodnij to.

Sięgam umysłem do ukrytej w drzewie rozpaczy. C z u j ę j e: są teraz częścią mnie.

Przedtem był gniew i sny – moje nieuświadomione życzenia – to one wzywały je na polowanie. Tym razem wołam je, wiedząc, co robię. „Przybądźcie. Przybywajcie do mnie na łów”.

– Piper? – Twarz Zaka wykrzywia się z bólu. – Moja matka... Jej koń spłoszył się na widok psa, wyleciała z siodła i zabiła się. Czy to ty sprawiłaś, żeby mnie sprowadzić z powrotem do Winchesteru?

– Jasne, że nie! To był wypadek – zapewniam i tym razem wiem, że to prawda... prawie. Był tam ten mały piesek, ale faktycznie chciałam, żeby matka Zaka zrobiła sobie coś złego, bo wtedy Zak wróciłby do domu.

Oczy Zaka wpatrują się we mnie; oczy, które kocham – zrobiłabym w s z y s t k o, żeby go mieć przy sobie.

I z r o b i ł a m.

– Nie chciałam, żeby umarła! To był wypadek.

Zak potrząsa głową, cofa się oszołomiony. Ale dosięgnie go gniew.

N i e. To nie tak miało być. Nie!

– Jesteś morderczynią! – krzyczy Quinn w furii i rzuca się na mnie.

Wymachuje pięścią, ale blokuje ją ramieniem. Cofam się, udaję, że padam, i podnoszę z ruin kamień. Parzy mnie w rękę. Uśmiecham się i ciskam nim mocno w głowę siostry.

Zak wskakuje pomiędzy nas i kamień trafia w niego. Chłopak opada na kolana, krew ścieka mu po uchu.

Chcę mu zarzucić ręce na szyję, cofnąć to, ale on nie należy już do mnie. A to wszystko przez Quinn. Zalewa mnie wściekłość.

Zapłaci za to.

A Zak znów będzie mój, bez względu na to, co Quinn robi. Gdy zacznie się łów, dostanę jego krew.

Rzucam się na Quinn, ale wtem ponad nami błyska światło i obie się odwracamy.

W oknie swojej sypialni stoi babcia. Zapewne odsunęła kilim. Za nią migocze światło. Babcia wyciąga ręce, trzymając w nich Księgę Kłamstw.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Piper biegnie do domu, a ja pędzę za nią. Nie może dostać tej książki.

Drzwi są otwarte. Dym. Bucha przez nie dym. Wpadam do domu za siostrą i kaszlę. Czy migotanie światła, które było widać za babcią, to pożar? Czy w dom uderzył piorun? Ale przecież byśmy to usłyszeli; niemożliwe, żeby nikt nie zauważył.

„Co zaczęło się w ogniu, musi się w nim dokończyć” – słowa babci. To ona

wznieciła pożar?

Piper kieruje się do schodów. Ja rzucam się za nią, zwałam ją z nóg. Wyskakuję przed nią i staję na stopniu, ale ona już się podniosła, chwyta mnie za ramię, ciągnie do tyłu za włosy.

Zak przyszedł chwiejnie za nami.

– Quinn, Piper... musicie stąd wyjść. Dom się pali. Wyośmy się!

Piper jest najbliżej niego. Zak łapie ją za rękę, a ona puszcza moje włosy. Odwraca się i popycha go. Zak pada na podłogę, próbuje się podnieść, ale osuwa się z powrotem i leży nieruchomo.

Ness szczeka, biega u naszych stóp, jakby nas próbowała wygonić z domu.

– Zapomnij, Piper – mówię. – Ta księga jest moja. Nie twoja! Zawsze była moja.

– Mogłaś ją sobie wziąć przez wszystkie te lata, kiedy miałaś szansę. Teraz za późno, Quinn.

– Nie możesz dziedziczyć po naszej rodzinie, nie pozwolę ci. Zabiłaś matkę Zaka i Isobel. N a s z ą m a t k ę.

Tym razem Piper nie zaprzecza.

– I ciebie. Ty jesteś następną. Nikt nie wie o twoim istnieniu, nikogo nie obchodzisz.

I oto jest – brzydka prawda w jej oczach: prawdziwy powód, dla którego Piper dopilnowała, by nikt nie wiedział, że jesteśmy dwie. Nikt mnie nie będzie szukał, skoro nikt nie wie, że istnieję.





# P I P E R



Quinn kaszle. Dym gęstnieje, oczy mnie pieką. Próbuję wczłgać się po schodach, lecz ręce siostry mocno zaciskają się na moich kostkach.

– Zabiłaś też naszego ojca? – pyta Quinn.

– To ty go zabiłaś, prawda, Quinn? Byłaś tam. Polowałaś na niego z Ogarami Czarownic, rzuciłaś mu się do gardła. Syciłaś się jego ciepłą krwią.

– Nie! Nie zrobiłabym tego. Nie mogłabym.

– Ale podróżowałaś razem z psami i ze mną. Polowałaś. Owce, smacznici turyści w namiocie, a potem nasz drogi ojciec. Podobało ci się.

– Nie! Nie chciałam tam być. Nigdy. To ty rozbudziłaś łowy. Proszę, powiedz, że to byłaś ty.

Quinn błaga udręczonym głosem, a ja się śmieję.

– Jesteś zbyt słaba... za miękka, żeby zrobić to co należy. Oczywiście, że to byłam ja – mówię. Przyznaję się do tego. Po co zaprzeczać? To część tego, kim jestem. Wezwane przeze mnie Ogary Czarownic już się do nas zbliżają.

– Ale dlaczego zabiłaś ojca?

– Tego plugawca? Nie widziałaś cienia, który go naznaczał? Tak jak znaczy cię. Jak znaczy wszystkich Hamleyów.

Przerywam, próbując ją z siebie strząsnąć, odwracam się i widzę cień ściekający po jej skórze.

I atakuję.



**Q**

**U**

**I**

**N**

**N**



Piper wymierza mi cios pięścią. Trafia prosto w szczękę, zwijam się z bólu na podłodze. Ale zanim upadnę, widzę na niej cień, który dostrzegłam wcześniej.

Powiedziała, że jestem naznaczona? Nie! To ona ma na sobie cień, ona powinna umrzeć.

Podnoszę się chwiejnie na nogi i rzucam na nią – sięgam rękami do gardła. Moje palce zaciskają się na jej szyi, kciuki wpijają w tchawicę. Piper walczy,

chwyta mnie za rękę, lecz ja nie puszczam.

Oczy zachodzą jej mgłą.

I nagle czuję ból w kostce.

Spoglądam w dół – Ness zatopiła zęby w mojej nodze. Macham drugą stopą, usiłując ją kopnąć, a jednocześnie nie wypuścić gardła Piper. Siostra zaczyna słabnąć.

Ness: pierwszy pies, do którego zdołałam się zbliżyć; szczeniak, którego niespożyta energia i bezwarunkowa miłość dały mi tyle szczęścia – którego pokochałam. To nie moja Ness mnie gryzie; w jakiś sposób Piper musiała ją do tego skłonić. Opuszczam nogę, w ostatniej chwili powstrzymując się od kopnięcia, i puszczam Piper. Przelewam swoją miłość na Ness.

Suczka wypuszcza moją kostkę i patrzy na mnie przerażona, zupełnie skołowana.

A za nią na podłodze leży Zak.

Za moimi plecami Piper już czołga się po schodach w górę.

Kaszlę, dym wciąż gęstnieje. Niewiele widać. W głowie mi się kręci. Opadam na podłogę.

Oto jest moment.

Oto wybór.

Nienawiść zalewa mnie od wewnątrz falą, która chce mnie natychmiast posłać za siostrą – by ją powstrzymać, by mieć księgę dla siebie. By zakończyć jej życie.

Jest jednak coś jeszcze, coś silniejszego.

Zak.



# P I P E R



Kiedy Quinn przestaje mnie dusić, moje płuca pragną powietrza, bardzo pragną. Nie mogę się powstrzymać i wciągam je łapczywie, lecz kaszlę od tego.

Chcę iść za Quinn, ale księga jest ważniejsza. Ogary już nadciągają; wkrótce dopadną Quinn i Zaka.

Dym zrobił się trudny do zniesienia. Trzeba się pośpieszyć, chcę wstać i uciec, lecz zmuszam swoje ciało, by poczołgało się na górę.

Docieram na piętro.

Drzwi babci są zamknięte. Wciąż na czworakach, wyciągam rękę do klamki, otwieram.

Z pokoju buchają kłęby dymu.

Wpełzam do środka.

Po omacku znajduję ciało babci – leży na podłodze pod oknem. Chwytam ją. Ma głowę owiniętą jakąś szmatą. Może jeszcze żyje.

Zdzieram jej materiał z twarzy i wymierzam policzek.

– Gdzie księga? – próbuję wykrzyknąć, ale z gardła wydobywa mi się raczej rzeżenie.

Babcia porusza się i kaszle.

– Gdzieś, gdzie jej nigdy nie znajdziesz.

Macam wokół niej na podłodze. Trafiam rękami na coś twardego. Moje palce zaciskają się na tym. Śmieję się.

– Księga! Księga jest moja!



Czołgam się do Zaka, potrząsam nim. Bełkocze zamroczony, ale nie może się ocknąć.

– Musisz mi pomóc, Zak. Chodź.

Próbuję go wlec w stronę drzwi.

– Ness, chodź! – wołam i suczka idzie za nami.

Zak wreszcie odzyskuje przytomność, czołga się obok mnie. Wypełzamy

w noc.

Oboje kaszlemy w zimnym, świeżym powietrzu. Deszcz ustał. Czołgamy się w błocie jak najdalej od domu, do kamiennego ogrodzenia, i opieramy się o nie razem. Zak opada na moje ramię, znów nieprzytomny.

– Proszę, Zak, proszę, otwórz oczy, wróć do mnie – błagam, lecz on nawet nie drgnie.

Ness liże mnie po rękach, jakby chciała przeprosić, ale tak naprawdę nie ona mnie ugryzła, prawda? To przez ten dziwny wpływ, jaki Piper ma na wszystkie psy, nawet na Ogary Czarownic.

Ałuuu-uuuuu! Jakby w odpowiedzi na moje myśli noc wypełnia się wyciem. Wycie głodu, rozpaczy i śmierci rozbrzmiewa we mnie, wibruje w kościach, takie przerażające, że chcę krzyczeć, zwinąć się w kłębek i nakazać własnemu sercu, by przestało bić. Chcę umrzeć już teraz, żeby mnie nie dopadły. Ness skomli, drząc u mojego boku.

Jest tutaj lisica. Patrzy mi uporczywie w oczy. Napiera na mnie wściekłość, wściekłość Aggie, próbuje mną zawładnąć. Mogłabym sama kierować Ogarami Czarownic, to nie musi być Piper. Mogłabym biegać z nimi na łowy, smakować krew i przeżyć. Ilu jednak przeze mnie by zginęło?

A co z Zakiem i Ness? Nie mogę ich zostawić na pastwę psów. Oplatom Zaka ramionami.

Musi być c o ś, co mogę zrobić, żeby powstrzymać ogary, ale nie stawać na ich czele. I nagle już wiem.

Ostrożnie kładę Zaka na ziemi, po czym podnoszę się i biegnę wzdłuż muru do furtki. Macam tu grunt, aż znajduję ciernistą roślinę. Wstaję, chwytam nad głową gałązkę drzewa, przekręcam ją i ułamuję. Potem klękam na ziemi i oczyszczam ją z liści.

Wycie ogarów jest już blisko.

Jak oszalała wydrapuję na ziemi kształt i kolejny, i jeszcze jeden. Tak szybko, jak umiem.

Zgniatam czerwone owoce, kłuję się w palec cierniem, mieszam owoce z krwią i ziemią i nakładam to na oczy moich potworów.

Podobnie jak dawno temu, narysowane przeze mnie kształty migoczą, poruszają się, rosną i zaczynają powstawać z gleby.

Ałuuuuu! Ałuuuuu! Ogary Czarownic już nas otoczyły. Czuję ich głód, ale moi obrońcy są prawie gotowi. Zaraz się zerwę, pobiegnę z nimi do Zaka. Podnoszę wzrok i widzę...

Że się spóźniałam.

Psy oddzieliły mnie od Zaka. Jestem odcięta.

Ness staje pomiędzy nieprzytomnym Zakiem a zacieśniającym się kręgiem ogarów. Drży, ale dzielnie warczy. Drugi krąg psów formuje się wokół mnie, lecz



się nie zbliża – ich oczy wędrują na moje potwory.

Na potwory, które zrobiłam i które teraz otrząsają się z ziemi, już stoją – znacznie wyższe od psów, tak jak sobie życzyłam. Pazury i zęby mają długie, bo takie narysowałam. Wyglądają przerażająco nawet dla Ogarów Czarownic. Nie wystarczy ich jednak, żeby obronić nas wszystkich. Czuję się słaba, zimna, jakby życie uchodziło ze mnie już teraz.

Patrzą na mnie, a ja wydaję im polecenie:

– Brońcie Zaka i Ness!

W mgnieniu oka znajdują się przy nich, między Zakiem i Ness a psami. Ogary odsuwają się przed nimi niepewnie. Nie wiem, jak długo to potrwa.

Dłużej niż ja pożyję. Psy przysunęły się już do mnie tak blisko, że czuję śmierć w ich cuchnącym oddechu. Są potężne, czarne. Czerwone ślepia im płoną, czarne jęczory zwieszają się spomiędzy żółtych kłów.

Nad nami płomienie strzelają wyżej. Czy Piper wynurzy się z nich z księgą w rękach, triumfująca, a potem będzie chleptać moją krew razem z psami? Może moje potwory opóźnią atak ogarów na tyle, żeby Piper to zobaczyła, opamiętała się i ocaliła Zaka i Ness?

Ogary wokół mnie szykują się do ataku. Na co czekają?

Ich ślepia lśnią, w każdej parze oczu widzę uwięzioną duszę – udręczoną, schwytaną, zmuszoną do łowów.

Jedna z nich to mój ojciec.

Wiele to Hamleyowie, ale nie wszystkie – niektóre są moimi przodkiniami. Tak jak powiedziała babcia, te osoby, które wezwały łów za swojego życia, zostają w nim uwięzione po śmierci. Czy o tym wiedziały, kiedy zwoływały łowy, a dręczący głód ogarów był tak wielki, że nie potrafiły się mu oprzeć? Tak jak było z Piper. Jestem pewna, że moja siostra nie знаła konsekwencji. Czy gdyby ich była świadoma, toby się powstrzymała?

Gdybym jej nie przywiozła do Dartmoor, nie zabrała do lasu, to wszystko by się nie zdarzyło.

Zauważam jakiś ruch w górze i podnoszę wzrok.

To Piper, stoi wyprostowana w oknie i triumfującym gestem unosi nad głową księgę.

Z tyłu rozlega się łoskot, Piper ogląda się za siebie.

Zapada się dach domu. W niebo leci deszcz iskier, strzelają płomienie.

*Ból. Dym. Płomienie.*

*Śmierć jest bliska.*

*Łączące nas więzy przyciągają mojego ducha do Piper, trzymają tak mocno, jak ona trzyma w rękach płonąca księgę. W taki sam sposób łączące nas więzy przyciągały mnie do niej podczas łowów – byłam pasażerką, nie uczestniczką. Teraz to widzę wyraźniej.*

Ogień zdjął brzydki cień z nas obu. Mimo wszystkiego, co zrobiła, jest moją siostrą: drugą połówką, tworzącą ze mną całość. I boi się.

– Piper! Nie jest za późno, nie może być. Wychodź stamtąd. Wyczołgaj się przez drzwi – ponaglam ją do ucieczki.

– Nie mogę! – woła z płaczem przerażona Piper.

Jej ciało zostało przygnięcione przez walący się dach; nawet gdyby się mogła ruszyć, drogę do drzwi odcinają płonące belki.

Ogary Czarownic są teraz z nią, w ogniu. Gotowe zabrać ją, aby dołączyła do nich na zawsze.

Ponieważ jestem z nią związana, zabiorą nas obie. Ja też płaczę.

– Bliźniaczki są przekłete. Związane na zawsze. Żyjemy lub umieramy razem.

– Chyba że zerwiesz więzy.

– Nie. Nie mogę. Nie zostawię cię.

– Po wszystkim, co zrobiłam, próbowałaś mnie ocalić. A teraz nie opuścisz? – Piper jest tym zdumiona. – Dlaczego?

– Ty mnie tego nauczyłaś. Tak zachowują się siostry. Wybaczamy sobie wzajemnie bez względu na wszystko.

– Posłuchaj mnie, Quinn. – Piper słabnie, z trudem dobywa z siebie słowa. – Nie zrobiłam tego celowo. Nie chciałam, żeby mama umarła. Ani mama Zaka. To była moja wina. Sprawił to mój gniew, ale nie chciałam, żeby to się wydarzyło. I przykro mi, przepraszam.

– Wierzę ci – mówię i naprawdę wierzę: wiem, że mówi prawdę. Przynajmniej taką prawdę, jaką teraz widzi.

– Przepraszam, że walczyłam o księżę. Potrzebowałam jej. Potrzebowałam, żeby w niej napisać, że Zak mnie kocha. Że ty mnie kochasz i... – Przerywa, milczy, po chwili z trudem mówi dalej: – I że ty nie kochasz Zaka. Chciałam, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi, razem. Ale zaczęło iść źle, kiedy wezwałam łowy.

– Nie wszystko to są kłamstwa. Kocham cię, Piper. Próbowałam nie kochać, ale kocham.

Jak mogłabym nie kochać swojego cienia, swojego odbicia, obrazów, których nie chcę oglądać, ale je widzę, jedno i drugie naraz? Dobra i zła połówka – obie są częścią mnie.

I wtem, w momencie śmierci, Piper mówi swoje ostatnie kłamstwa:

– Nigdy cię nie kochałam. Nie chcę cię. Chcę, żebyś mnie opuściła, na zawsze.

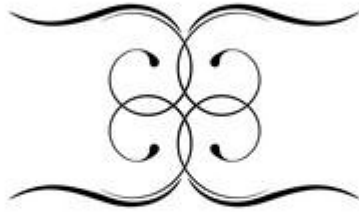
Kłamstwa, które mnie uwalniają.

Zachłystuję się zimnym powietrzem wpadającym mi prosto do płuc. Znów jestem na zewnątrz, w chłodzie nocy – nie palę się już, nie płonę.

Więź została zerwana. Wróciłam do swojego ciała. Jest całe.

A ja żyję.

Ogary Czarownic znikły i zabrały ze sobą Piper.



Wstaję i idę chwiejnie do Zaka. Ogarów nie ma: odeszły, kiedy ta, która je wezwała – Piper – umarła i dołączyła do nich.

Ale moje potwory wciąż tu są. Zwierają szyk przede mną, broniąc mi dostępu do Zaka.

Kazałam im bronić Zaka i Ness; czy uważają, że jestem niebezpieczna dla tych, których kocham? Rzucam im w oczy ziemię, żeby z powrotem obróciły się

w pył, i znikają.

Opadam obok Zaka i patrzę, jak pozostałości domu trawi pożar. I choć mogłabym nie dowierzać własnym oczom albo bać się jakiegoś złudzenia, czuję to – napływ gniewu i mocy w swych żyłach. Mówi mi on, że bez względu na to, co się stało z księgą w rękach Piper, ja ją odziedziczyłam.

Moc osadza się niewygodnie, ciąży mi na duszy. Cokolwiek sprawiało, że byliśmy tym, czym byliśmy, teraz jest moje.

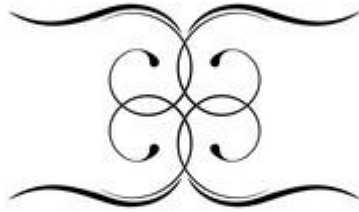
I tylko moje. Nie ma już Piper ani babci.

Zak jęczy. Tulę jego głowę w ramionach. Nie wygląda dobrze, ani trochę. Z wszystkich rzeczy, które mnie teraz przerażają, najbardziej boję się o niego.

Ale umiem kłamać. Piper tego też mnie nauczyła.

– Jutro, Zak, będzie cię jeszcze bolała głowa, nie będziesz za bardzo pamiętać, co się działo, ale wydobrzejesz.

Całuję go w czoło i wiem, że to okaże się prawdą. Nawet bez księgi moje kłamstwa są silne.



Następnego dnia wcześniej rano trzymam śpiącego Zaka za rękę i patrzę na bransoletę Isobel na jego nadgarstku. Waham się, lecz ją odpinam i z powrotem wsuwam w nią dłoń. I natychmiast ustępuje gniew, który próbował przejąć nademną kontrolę. Wciąż jest, ale poskromiony.

Piper nie miała osłony, nic jej nie chroniło. Ja najpierw miałam babcię, potem bransoletę. Babcia ze znanych jej powodów wybrała do ocalenia mnie.

Chroniła mnie w każdy dostępny sposób. Czy nienawiść do siebie, gniew o to, że jest w połowie Blackwoodówną, a w połowie Hamleyówną, skrzywiły charakter Piper i zmieniły całe jej życie? Najwyraźniej nie rozumiała tego, co robi, a przynajmniej nie pamiętała tych rzeczy przez większość czasu – okłamywała nawet samą siebie. Dopiero na samym końcu dopuściła do siebie świadomość, że powodowała ból u osób, które kochała.

Zak porusza się i jęczy. Powieki mu trzepoczą, najpierw się uchylają, a potem otwierają szeroko. Gapi się na dymiący dom.

– Piper?

Patrzę na niego lekko zaskoczona. Myśli, że jestem Piper? Jasne, że tak.

Skoro jestem nią, mogę opuścić to miejsce. Mogę wrócić do domu, do taty, który ją wychował, i wejść w jej życie.

– Tak, jestem tutaj – kłamię i wiem, że Zak mi uwierzy.

– Myślałem, że to był zły sen – mówi. Sięga ręką do głowy i krzywi się. – Ale wszystko mi się miesza. Co tu się stało?

Opowiadam mu, że uderzył piorun i dom spłonął. On próbował uratować Quinn i babcię, ale spadła na niego belka i zraniła go w głowę. Cała reszta nocy była rozgorączkowanym snem.

Kiedy tak opowiadam, pojawiają się łzy. Płaczę za babcią. Płaczę za siostrą, którą tak rozpaczliwie chciałam skłonić, żeby mnie kochała. I pokochała, ale zanim się tego dowiedziałam, już jej nie było. Płaczę za Aggie, za swoim ojcem i za wszystkimi tymi, którzy zginęli pomiędzy nią a nim i stali się Ogarami Czarownic. Piper ich wypuściła, lecz teraz są z powrotem zamknięci w drzewach, udręczeni i uwięzieni. A Piper jest uwięziona z nimi. Uwolnić się będą mogli tylko wtedy, kiedy zwołam łów – a ja tego nigdy nie zrobię. Jeśli się zatracę w ciemności, grozi mi całkowite zatracenie – jak stało się z moją siostrą.

I płacę za sobą – za Quinn. Za dziewczyną, której już nie ma.

Zak bierze mnie za rękę, uspokaja. Czy próbuje ukoić mój ból, żeby oddalić od siebie szok po tym, co się wydarzyło? Albo moje kłamstwa sprawiły, że zapomniał, albo sam nie chce uwierzyć w to, co pamięta. Pocałunkami zdejmuję łzy z moich policzków, jakby to były łzy Piper – łzy dziewczyny, o której myślał, że ją kocha. Lecz ona go oszukiwała i teraz ja robię to samo.

Idziemy do samochodu. Burza minęła; świat jest świeży, odnowiony.

Pakujemy swoje rzeczy do bagażnika. Rano ze zdziwieniem znaleźliśmy je koło ogrodzenia, przy furtce. Skąd się tam wzięły?

Przekonuję Zaka, że powinniśmy wyjechać, wrócić do domu, nie zgłaszać tego na policji. Gdyby teraz wyszło na jaw, że miałam sekretną bliźniaczkę, a ona zmarła, zniszczyłoby to życie taty. Tu na nic się już nie przydamy.

Zak wierzy mi. Zawsze przecież wierzył Piper, prawda? Z wyjątkiem tego momentu, gdy miał na nadgarstku bransoletę Isobel.

Czuję się winna, ale nie na tyle, żeby mu wyznać prawdę. Jego dziewczyna – moja siostra – zabiła jego matkę i naszą. On nie potrzebuje tej prawdy, nie chce jej znać.

A ja chcę jej życia. Najpierw babcia i Isobel trzymały mnie w ukryciu przed światem. Potem Piper dokładała starań, żeby nas nie widziano razem. Może miała swoje powody, żeby trzymać moje istnienie w tajemnicy, lecz teraz to mi właśnie pasuje.

Po powrocie do Winchesteru nie idę do domu. Nie od razu. Pierwszą noc spędzam u Zaka, niegotowa, by spojrzeć w twarz komukolwiek innemu.

Późnym wieczorem w pokoju jego matki otwieram swój plecak, wciąż nie rozumiejąc, jak to się stało, że nasze rzeczy były tam, gdzie je znaleźliśmy. W środku leżą starannie poskładane ubrania – mojej siostry, nie moje. A pośród nich?

Zimny, twardy kształt, owinięty w sweter. Odwijam go i oglądam przy oknie w świetle księżyca.

Splóviała czerwona skóra, ręcznie szyta oprawa. Symbole na okładce – takie, jak zapamiętałam, kiedy ją wzięłam do ręki w dzieciństwie, tyle lat temu; te same co na wisioru u bransolety.

Księga Kłamstw.

Poruszenie za oknem przyciąga mój wzrok do ogrodu. Wiem, co zobaczę, zanim zarejestrują to moje oczy.

Tam, przy furtce – czarna lisica ze zjeżonym ogonem.

Więc księga nie spłonęła w pożarze. Babcia zapewne trzymała w oknie jakąś inną książkę. Piper nie wiedziała, jak księga wygląda, a ja byłam zbyt daleko, żeby dostrzec podstęp.

B a b c i a – to jej dzieło. Pewnie zaplanowała to wszystko: ukryła księgę i wyniosła plecaki. Wysłała mnie do ruin, wiedząc, że poskładam kawałki w całość. Że Piper i ja będziemy ze sobą walczyć.

I podpaliła dom, i trzymała w oknie fałszywą księgę.

Ale skąd mogła wiedzieć, co się stanie? Mogliśmy wszyscy zginąć razem z nią: ja, Piper, Zak, nawet Ness.

Czy tak ufała, że zrozumie, co jest najważniejsze, czy też ryzykowała życie nas wszystkich? Poświęciła się, żeby przekazać księgę w moje ręce.

Albo może po prostu zostawiła ją dla tej, która zwycięży.

Otwieram księgę i czytam ją w nocnej ciszy. Zaczyna się od prostych rzeczy, zanotowanych starodawnym charakterem pisma i ze śmiesznymi potknięciami w pisowni. Pragnienia miłości, dobrych zbiorów, zdrowia dla dziecka...

Księga zmienia się z pierwszym pożarem – Aggie przeobraziła nas wszystkie. Owszem, stałyśmy się przez to silniejsze, ale obłożyła nas klątwą, byśmy polowały na Hamleyów przez wszystkie te lata.



A teraz, podczas drugiego pożaru znów wszystko się zmieniło za sprawą babci. Jej odręczne pismo przecina stronę mocnym akcentem, litery są brunatnoczerwone. Za tylną okładkę książki zatknięto nożyk i pióro o pociemniałej końcówce. Tamto rozcięcie, które widziałam na ręce babci – czy napisała to własną krwią?

*Ta, która na końcu będzie bezinteresowna, zwycięży i odziedziczy.*

Czy byłam bezinteresowna?

Zawróciłam, zostawiłam Piper, żeby ratować Zaka i Ness. To prawda. Jednak zrobiłam to z bardzo egoistycznych powodów – chciałam ich dla siebie.

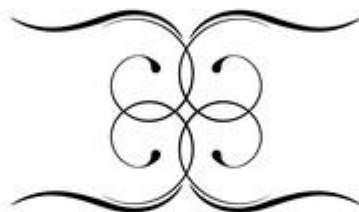
Na samym końcu próbowałam uratować Piper, ale to ona ostatecznie zerwała więź, żeby mnie ocalić. Mogła mnie zatrzymać przy sobie, żebym jej towarzyszyła, wraz z nią uwięziona w Wistman's Wood. Jako że nikt nie pozostałby z naszego rodu, żeby zwołać łów, uwięzienie byłoby na wieczność.

Mogę się kręcić w kółko, wciąż zadając sobie pytania „dlaczego”: dlaczego się uratowałam, dlaczego właśnie ja. Czy to dlatego, że byłam gotowa poświęcić się dla ratowania Zaka i Ness, czy dlatego, że nie zostawiłabym Piper?

Ostatnie słowa babci – zapisane jej własną krwią w Księdze Kłamstw – musiały stać się prawdą wraz z jej śmiercią. To jedyne, czego się mogę uczepić na końcu.

I wizja babci sprawdza się po tylu latach. Babcia widziała, że aby zdobyć tę księgę, zniszczę rodzinę i ukradnę życie siostrze. I zrobiłam to. Może nie celowo, lecz zrobiłam.

Miała rację.



PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ



Babcia powiedziała, że ma nadzieję, że znajdę w sobie odwagę, aby zrobić to, czego ona nie dopełniła.

Nie znalazłam – nie od razu.

Musiałoby się zdarzyć to. Kładę sobie rękę na brzuchu. Jeszcze za wcześnie, by poczuć ruchy dziecka, ale wyobrażam to sobie – że przez własną skórę i krew czuję bicie drugiego serca; serce, ciało i duszę, które są częścią zarówno mnie, jak

i Zaka. Nasze dziecko. Nasza córka, ponieważ wiem, że to jest dziewczynka, tak jak wiem wiele rzeczy, których nie powinnam wiedzieć.

Jak trudno było nie kłamać, skoro to ja przeżyłam. Próbowałam, ale lisica zawsze czaiła się gdzieś w tle. Lecz prawda musi zająć miejsce kłamstw, bo inaczej moje dziecko i dziecko mojego dziecka będą przeklęte, tak jak my.

Ponieważ – jakkolwiek zajęło mi trochę czasu, nim w pełni to zrozumiałam – Piper i ja byłyśmy właśnie przeklęte. Raz przez Aggie z Black-Woods, naszą przodkinię – przeklęte mocą i urazą, która szła z nią w parze. A drugi raz przez Isobel, naszą matkę.

I z z y nie rozumiała, co zrobiła. Nosila bransoletę, którą ukradła babci, żeby uwolnić się od babcinej kontroli, żeby babcia nie przeszkadzała jej w zabawie i nastoletnim buncie, lecz to przyniosło odwrotny efekt. Sprawilo, że Isobel nie widziala cienia naznaczajacego Willa Hamleya jako jej zaprzysieglego wroga. Tak jak przez bransoletę ja nie widzialam cienia u Piper, a ona nie widziala go u mnie. Wszystko się zmieniło w momencie, gdy zdjęłam bransoletę. Kiedy Isobel uświadomiła sobie, co zrobiła, zerwała z Willem. Lecz dla jej córek było już za późno.

Mając Hamleya jako ojca i matkę z rodu Blackwood, Piper i ja nigdy właściwie nie mogliśmy dostać innego wyboru. Musiałyśmy próbować zniszczyć się nawzajem. Po tym, jak tarcza, którą otoczyła mnie babcia, została usunięta, kiedy patrzyłam na Piper bez bransolety na nadgarstku, widziałam tylko cień. Czułam wyłącznie nienawiść.

Babcia i Isobel rozdzieliły bliźniaczki, próbując nas uchronić przed wzajemnym zniszczeniem.

Babcia mówiła, że jesteśmy w połowie dobre, a w połowie złe. Zawsze myślałam, że to ja jestem złą połówką, a Piper dobrą. Ale babcia, jak zaznaczyła, od początku wiedziała, że Piper jest tą niebezpieczną, tylko ukryła to przed Isobel. Czy to oznacza, że tak naprawdę byłam dobrą połówką?

Przyjemnie jest tak myśleć, lecz mogę zdobyć się na uczciwość, przynajmniej przed sobą. Każda z nas wewnątrznie była w połowie dobra i w połowie zła. Była to pół prawda, pół kłamstwo – najgorsze kłamstwo ze wszystkich – które jedną z nas wymalowało jako dobrą, drugą zaś jako złą. I nie uważam, żeby to nasza rodzina była tą dobrą częścią, nie po tylu pokoleniach skrzywionych nienawiścią Aggie.

Nie. Myślę, że babcia zatrzymała mnie, bo myślała, że wygram.

Nawet teraz trudno się pogodzić z tym, jak Isobel mnie traktowała. Gdy biorę do ręki wisiołek, łatwiej mi to zrozumieć. Zaszła w ciążę z Hamleyem, znalazła się więc w beznadziejnej sytuacji. Rozdzieliła mnie i Piper w swoim umyśle, jakby jedna z nas była dobra, a druga zła – jedna do pokochania, druga do znienawidzenia – nie ogarnęła, że w każdej z nas dobro było przemieszane ze złem.

To uczyniło ze mnie kozła ofiarnego – winną wszystkiego, co w życiu matki poszło nie tak, jak trzeba. Czy kiedy zaczęła widzieć u Piper przeblęski ciemności, zdała sobie sprawę, że zostałyśmy podmienione, że babcia ją oszukała? Tego nawet wisiołek nie pomaga mi zrozumieć.

Wciąż prześladowuje mnie pytanie, dlaczego Piper wybrała taką a nie inną ścieżkę. Spowodowała śmierć matki Zaka i własnej. Jeżeli jedyna różnica u mnie polegała na tym, że chroniła mnie babcia, czy mogłabym zrobić to samo co Piper, gdybym to ja została z Isobel?

Czy kiedy poznałam Piper, mogłam coś zrobić, by ją zmienić? Czy gdybym wystarczająco kochała siostrę, powstrzymałoby ją to przed zwołaniem łowu?

Nie potrafię uwierzyć, że nasze ścieżki od początku były ustalone. Obie dokonywałyśmy wyborów, na każdym etapie drogi. Lecz moje wybory nie zawsze były właściwe. Wiem, że tak było. Może właśnie kilka nieodpowiednich decyzji oddzieliło mnie od Piper.

No i na samym końcu Piper postanowiła mnie ocalić. Mimo wszystkiego, co zrobiła, puściła mnie wolno. Pozwoliła mi żyć.

A co z babcią? Miała własną odwagę. Rozumiem teraz, ile jej sprawiałam bólu. Za każdym razem, gdy na mnie patrzyła, widziała swojego wroga. Kochała mnie i zarazem nienawidziła, i nie umiała zapanować nad żadnym z tych uczuć. A przy tym babci było znacznie, znacznie trudniej niż Isobel, bo przecież Isobel miała bransoletę.

Babcia starała się jak mogła nauczyć mnie, żebym nigdy nie kłamała. Czy uważała, że jeżeli nigdy nie skłamię, będę przed tym wszystkim uchroniona? Musiała przewidzieć, że kiedy Piper i ja znajdziemy się tutaj obie, Piekielne Ogary zaczną biegać po wrzosowiskach. Dopilnowała więc, żebym się bała wszystkich psów, jakby to mogło czemuś zapobiec.

Babcia próbowała. Niemniej w jednym się myliła: nie mogła nic zrobić, żeby mnie powstrzymać od kłamania. Mam to we krwi.

Obecnie żyję wśród wielu kłamstw.

Tato wciąż myśli, że jestem Piper, jego córką, a ja nie jestem ani jedną, ani drugą. Może pozostawienie tego kłamstwa na miejscu byłoby aktem miłosierdzia? Mieszkałam z tatą, chodziłam do szkoły Piper, jakoś udało mi się zaliczyć egzaminy końcowe. Zak skończył Cambridge. Mieszkamy teraz razem. On pracuje, ja studiuje. A wszystko to od początku opiera się na kłamstwie.

To dziwna mieszanka: kłamstwo i prawda. Wisiołek pozwala mi widzieć prawdę, kiedy tego chcę, lecz to nie zawsze jest przyjemne. Moje kłamstwa mają moc i – owszem – pozwalają kontrolować ludzi. Ale wszystkie te drobne kłamstewka, które mówimy do siebie na co dzień? Stają się częścią tego, kim jesteśmy, i naszych relacji z otoczeniem, czyli naszej własnej mitologii. I to dotyczy wszystkich, nie tylko mnie. Jeśli zedrzymy z kogoś jego kłamstwa,

zniszczymy maskę. A niektóre maski są na twarzach nie bez powodu.

Zak nie wie o naszym dziecku, jeszcze nie.

Czy będzie mnie nadal kochał? Czy będzie nas kochał, kiedy się dowie, kim naprawdę jestem, kiedy się dowie, jak zmarła jego matka, kiedy się dowie wszystkich innych rzeczy, o których mu nie mówiłam przez te lata?

Muszę podjąć ryzyko dla mojej córki. Muszę znaleźć w sobie odwagę.

Rozpalam małe ognisko z podpałki i drewna, które przyniosłam w plecaku. Robię to w najpotężniejszym miejscu – tam gdzie umarła Aggie wiele lat temu.

Wypalone ruiny domu babci są za mną. Kiedy stąd wyjechaliśmy, bałam się, że będzie jakiś oddźwięk, dochodzenie policyjne, że nas namierzą i pociągną do odpowiedzialności za to, co się stało. Przeszukiwałam wiadomości, ale znalazłam tylko informację drobnym druczkiem na ostatnich stronach gazet: „Staruszka i jej wnuczka zginęły w pożarze domu”. I kilka dni później: „W grzędawisku znaleziono szczątki Williama Hamleya”. Dwójka turystów obozowała w odległym miejscu i natknięto się na nich znacznie później, toteż pogoda i czas zatarty ślady i nikt nie dociekł, co im się przytrafiło.

Otwieram Księgę Kłamstw, wyjmuję nóż i pióro. Zacinam się w dłoń na tyle głęboko, by pocięła krew.

Lisica patrzy. Podpełza bliżej do ognia. Czy będzie próbowała mnie powstrzymać? Lecz ona przysiada tylko i czeka. Zanurzam pióro w swojej krwi i piszę:

*Kiedy ta księga powróci do ognia i popiołu, moja moc oraz moc moich dzieci i wszystkich przyszłych pokoleń rozwieje się z dymem, jakby jej nigdy nie było.*

Zerkam na lisicę. Zdaje się czekać na coś więcej. Zastanawiam się, czy kiedy Aggie pisała, że wróci po śmierci, wiedziała, że będzie na zawsze lisicą.

Wiele jej można zarzucić; podobnie Hamleyom, którzy ją ścigali i spowodowali jej śmierć. Czas jednak położyć temu kres.

Znowu zanurzam pióro w swojej krwi i wracam na tę samą stronę.

*I wszystkie uwięzione dusze Hamleyów i Blackwoodów zostaną uwolnione z Wistman's Wood. One i dusza Aggie Blackwood będą odtąd na zawsze spoczywać w spokoju.*

Ogary też są tutaj. Czy jeden z nich to Piper? Trzymają się na uboczu, z dala od lisicy. Czerwone ślepie błyszczą. Psy przypadają do ziemi i czekają. Zgadza się, lisica i ogary były wrogami od tak dawna. Teraz jednak chcą tego samego. Chcą to zakończyć.

Moje małe ognisko buzuje. Już czas. Krzyżuję wzrok z lisicą. Przekrzywia łebek, jakby zadawała pytanie.

Wiem, że kiedy to zrobię, wszystko stanie się zwyczajne. Nie będę w stanie niczego sprawić słowami, nie będę wiedzieć rzeczy, o których nie powinnam wiedzieć. A myśl o tym, że zostanę matką, nie mając najmniejszej możliwości

kształtowania świata swojego dziecka, zupełnie mnie przeraża.

Ale trzeba to zrobić.

Wyciągam przed siebie Księgę Kłamstw i upuszczam ją w płomienie. Przez chwilę wydaje się, że książka zdławi ogień. W końcu zajmuje się jednak i jasno płonie.

Kładę się na plecach i patrzę, jak dym unosi się do nieba. Lisica i psy ulatują z dymem jako niematerialne kształty. Rozpływając się, zmieniają postać. Lisica jest uśmiechniętą staruszką. Ogary – tak ich wiele – stają się mężczyznami i kobietami, Hamleyami i Blackwoodami. Wśród nich widzę swojego ojca.

I kiedy już się boję, że Piper nie została uwolniona wraz z nimi, staje obok niego. Uśmiecha się i wyciąga ręce. A ja wyciągam swoje, jakby mogły przeciąć niebo – granicę między żywymi a zmarłymi.

W miarę jak książka z wolna zamienia się w popiół, czuję, jak opuszcza mnie moc, po kawałku, aż zupełnie znika. Czuję się lekka, wyswobodzona.

W o l n a.

– Żegnaj, Piper – szepczę.

Piper, Aggie i wszyscy inni znikają z nieba i zostają sama. Bardziej sama niż kiedykolwiek w życiu.

Nie mogę sprawić, by Zak mi wybaczył. Nie wiem też, czy zostanie z nami, kiedy pozna prawdę.

Lecz mogę kochać swoje dziecko – bezgranicznie i bez zastrzeżeń – tak jak ani Isobel, ani babcia nie mogły kochać Piper i mnie.

I mogę mieć nadzieję.

## PODZIĘKOWANIA

Mam małą obsesję na punkcie sztuki kłamania, w której sama nie jestem zbyt dobra – zdaje się, że posiadam wbudowany wewnętrzny przymus mówienia prawdy nawet w sytuacjach, gdy lepiej byłoby milczeć. Nie zawsze jest to dobra rzecz i dziwna cecha u kogoś, kto zarabia na życie zmyślaniami historii. *Księga Kłamstw* rozciąga studium kłamstwa do skrajności: dwie dziewczyny, z wyglądu identyczne, lecz na początku opowieści jedna zdaje się mieć nieodparty pociąg do prawdy, a druga do kłamstwa.

Pragnę szczególne podziękowania przekazać Jo Wyton. *Księga Kłamstw* rozpoczęła się nad kilkoma kieliszkami czerwonego wina, kiedy siedziałyśmy razem w pisarskim zakątku Scooby (SCBWI – Society of Children’s Book Writers, Stowarzyszenie Autorów Książek dla Dzieci), i nigdy by nie powstała bez Jo. Dziękuję także Addy Farmer, która stwierdziła, że historia powinna być straszniejsza – o ewentualne koszmary proszę winić ją!

Chcę podziękować mojej agentce Caroline Sheldon, która przeczytała pierwszy rozdział podczas lanczu i powiedziała: „Cudowny głos. Napisz to!”

Dziękuję też moim wydawcom: Megan Larkin i Emily Sharratt, oraz wszystkim w wydawnictwie Orchard Books i Hachette Children’s Group za ich entuzjazm i ciężką pracę. Jak zwykle słę gorące podziękowania do Thy Bui, zdumiewającej graficzki, która jest autorką okładek wszystkich moich książek wydanych przez Orchard Books. Wciąż zerkałam na okładkę *Księgi Kłamstw*, kiedy doszlifowywałam tekst, i myślałam: „Muszę tę powieść tak wygładzić, żeby zasługiwała na taką okładkę”.

Hotel Dwa Mosty (Two Bridges Hotel) i Wistman’s Wood to prawdziwe miejsca. Wisht Tor i bezpośrednie otoczenie domu babci – nie. W Dartmoor istnieje legenda o posiadaczu ziemskim, który spalił farmę, żeby mieć gdzie polować na lisy, oraz o mądrej kobiecie, która powraca jako czarna lisica ze zjeżonym ogonem, o czym można przeczytać na stronie [legendarydartmoor.co.uk](http://legendarydartmoor.co.uk). Wisht Hounds, czyli Ogary Czarownic, to legendarne psy gończe uganiające się po wrzosowiskach; niektóre źródła podają, że mieszkały w zagajniku Wistman’s Wood. Piekielne Ogary i Dziki Łów są w Europie znane pod różnymi nazwami, a przynależą do mitycznych opowieści znanych w wielu krajach.

Dziękuję Karen Murray i Lyndsay Stone, że wybrały się ze mną na wycieczkę badawczą i zadbały o to, abym nie zginęła na wrzosowiskach. Zatrzymałyśmy się w hotelu Dwa Mosty i zapożyczyłam ich imiona dla przedstawionych w powieści fikcyjnych kobiet z obsługi. Doskonale się tam bawiłyśmy, a jedzenie było przepyszne! Była rozmowa o kolejnej wycieczce, więc być może tam wrócimy.

A przede wszystkim zawsze i nieustająco dziękuję Grahamowi za to, że

znosił moje niekończące się pisarskie wzloty i upadki i utrzymał naszą domową twierdzę.

I wreszcie – Banrock, Hobie i wszystkie moje muzy wszędzie – stokrotne dzięki!



<sup>1</sup> Dartmoor – bardzo słabo zaludniona wyżyna, pokryta wrzosowiskami i usiana skałkami kraina w hrabstwie Devon, na południowym zachodzie Anglii, słynąca z mrocznych legend. Nie ma na jej mapie miejsca o nazwie Wisht Tor. Wisht w miejscowym dialekcie oznacza ‘niesamowity, upiorny, nawiedzony’; tor – ‘skaliste wzgórze’ (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Blackwood – ang. ‘czarny zagajnik, czarny laszek’ (przyp. tłum.).

